

A photograph of a red door set in a brick wall at night. The door is framed by a white archway and has a brass knocker and a mail slot. Black metal railings are visible on either side of the door.

LAURA MARSHALL

THRILLER PSYCHOLOGICZNY DLA FANÓW „IDEALNEGO ŻYCIA”
ORAZ „ZA ZAMKNIĘTYMI DRZWIAMI”

MARIA WESTON CHCE DOŁĄCZYĆ DO MOICH ZNAJOMYCH NA FB.
ALE MARIA WESTON PRZECIEŻ NIE ŻYJE, CZYŻ NIE?

DAWNA ZNAJOMA

FILIA

LAURA MARSHALL

**DAWNA
ZNAJOMA**

Przełożyła
Joanna Grabarek

FILIA

Dla M., C. i A. z wyrazami miłości

Rozdział 1

2016

W mojej skrzynce pocztowej, niczym niewybuch, pojawia się e-mail:

Maria Weston prosi o dodanie do grona znajomych na Facebooku.

Na początku umyka mi ostatnia część zdania, ta o Facebooku. Widzę tylko „Maria Weston prosi o dodanie do grona znajomych”. Instynktownie zamykam laptopa. W gardle zaczyna wyrastać mi gąbczasta gęstwa, powoli nasiąkająca wodą, puchnąca i utrudniająca oddychanie. Usiłuję nabrać powietrza w płuca i odzyskać panowanie nad sobą. Może się pomyliłam? Musiałam się pomylić, bo przecież to absolutnie nie może się dziać. Powoli, trzęsącymi się rękami otwieram komputer. Wracam do e-maila i tym razem nie mogę zaprzeczyć faktom. Maria Weston prosi o dodanie jej do listy moich przyjaciół.

Do tej pory mój dzień nie wyróżniał się niczym specjalnym. Henry jest dzisiaj u Sama i ma u niego zostać na noc, więc większość czasu spędziłam na opracowywaniu wstępnego projektu dla klienta, który chce urządzić wnętrze w odcieniach beżu i szarego brązu – od ścian i dywanów po meble – ale jednocześnie nie życzy sobie, żeby dom wyglądał nieciekawie.

Kiedy zorientowałam się, że otrzymałam e-mail, ucieszyłam się z tej odskoczni. Miałam nadzieję na jakąś prywatną wiadomość, a nie list od kolejnej firmy usiłującej coś mi sprzedać. W tej chwili jednak myślę, że

wolałabym spam marketingowy. Nie pragnę niczego więcej, jak tylko wrócić do łagodnej nudy sprzed kilku minut. To chyba jakiś chory żart. Tylko czyj? Kto mógłby uznać coś takiego za zabawne? I kto w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, jaki efekt wywrze na mnie taka wiadomość.

Oczywiście istnieje proste rozwiązanie całej sprawy. Muszę jedynie pozbyć się e-maila, a potem zajrzeć na Facebooka i odrzucić prośbę o dodanie do grona znajomych, nie zaglądając na profil Marii. Wewnętrzny głos we mnie wrzeszczy, żebym natychmiast to zrobiła, zdusiła problem w zarodku; jednak część mnie – ta spokojna, uśpiona – chce zobaczyć, dowiedzieć się. Zrozumieć.

Dlatego to robię. Klikam „zaakceptuj prośbę” i natychmiast ukazuje się jej strona: profil Marii Weston. Umieszczone na nim zdjęcie jest stare, wyraźnie sprzed ery cyfrowej, najprawdopodobniej zeskanowane. Widnieje na nim Maria w zielonym szkolnym blezerze, z długimi brązowymi włosami rozwianymi na wietrze i lekkim uśmiechem błakającym się na twarzy. Wpatruję się w ekran, szukając wskazówek, ale na stronie jest naprawdę niewiele informacji. Maria nie ma żadnych przyjaciół ani zdjęć, poza tym jednym, profilowym.

Wpatruje się we mnie obojętnie z ekranu komputera. Przez ponad dwadzieścia pięć lat nie czułam na sobie jej chłodnego wzroku, którym zawsze oceniała, nie w negatywnym sensie, lecz raczej po to, aby oszacować człowieka, zrozumieć go lepiej niż może by sobie tego życzył. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek zdała sobie sprawę z tego, co jej zrobiłam.

W tle widnieją czerwone mury budynków szkolnych, znajome, lecz jednocześnie obce, niczym wspomnienie należące do innej osoby, a nie do mnie. Dziwne to, że przez pięć lat człowiek codziennie udaje się w to samo miejsce, a potem przychodzi koniec i nigdy więcej już się tam nie pojawia. Zupełnie jakby w ogóle nie istniało.

Jak się okazuje, nie potrafię przyglądać się Marii zbyt długo i zaczynam rozglądać się po kuchni, pragnąc zaczepić wzrok na czymś zwykłym, prozaicznym – oderwać się od tej szokującej nowej rzeczywistości. Wstaję i szykuję kawę, odnajdując komfort w rytuale

wkładania do maszyny gładkiej lśniącej kapsułki, naciskania guzika czubkiem palca z tą samą precyzją co zawsze i podgrzewania mleka w spieniaczu.

Zasiadam w otoczce mojego bardzo wygodnego życia przedstawicielki klasy bardzo średniej i w prawie średnim wieku: gadzety kuchenne, fotografia, na której stoimy razem z Henrym na ekscentrycznym moście, zrobiona zeszłego lata podczas naszych pierwszych wakacji tylko we dwoje; autoportret przy basenie: nasza skóra opalona, słona – tuż przy ustach Henry’ego widnieje cień tam, gdzie kurz przykleił się do resztek jego codziennej porcji lodów.

Na zewnątrz, za drzwiami balkonowymi, mój malutki ogródek przywdział już smętne szaty późnej jesieni. Kostka brukowa jest śliska od zamarzającego deszczu, który spadł wcześniej. W poobijanych donicach tkwią martwe brązowe pozostałości mojego z góry skazanego na niepowodzenie letniego projektu wyhodowania własnych ziół. Ciemniejące popołudniowe niebo jest zmatowiałą płachtą niebieskiej szarości. W oddali dostrzegam jeden z wieżowców, które wyrastają tu i ówdzie niczym złowrogie giganty nad rzędami wypełniających tę część południowo-wschodniego Londynu wiktoriańskich szeregowców, teraz zmienionych w mieszkania, jak moje. Ten pokój, ten dom, to życie, które zbudowałam z taką pieczołowitością. Ta mała, zaledwie dwuosobowa jednostka społeczna. Jeżeli jedno z nas polegnie, wtedy to, co zostanie, nie będzie już rodziną. Co mogłoby to wszystko zniszczyć, doprowadzić do upadku, do ruiny?

Może nie tak wiele, jak mi się zdawało. Może wystarczy lekkie pchnięcie w plecy; tak niepozorne i delikatne, że mogłabym go prawie nie poczuć.

Kuchnia ze ścianami w kolorze gołębiej szarości i blatami z bielonego drewna jest ciepła, w nieprzyjemny sposób. Ekspres do kawy mruczy swoją codzienną piosenkę, a ja przysłuchuję się z roztargnieniem wiadomościom podawanym przez radio, które zawsze jest włączone: osiągnięcia sportowe, przetasowania w Radzie Ministrów, piętnastoletnia dziewczyna, która odebrała sobie życie po tym, jak jej

chłopak opublikował w internecie jej nagie zdjęcia. Krzywię się boleśnie na samą myśl. Moje współczucie dla nastolatki wymieszane jest z karygodną wdzięcznością za to, że w mojej młodości nie istniały telefony z kamerami. Podchodzę do drzwi prowadzących na ogród i otwieram jedno skrzydło, czując potrzebę zaczerpnięcia świeżego powietrza, jednak zimny podmuch wiatru zamyka je zaraz z powrotem.

Kawa jest już gotowa i nie mam wyjścia, jak tylko usiąść z powrotem przed laptopem, na którym czeka na mnie Maria: spokojnie, nieprzystępnie. Zmuszam się do zajrzenia jej w oczy, na próżno szukając najmniejszej wskazówki na temat tego, co czekało ją w przyszłości. Usiłuję potraktować jej fotografię tak, jak przypadkowy obserwator: to zwykła uczennica na starym zdjęciu, które latami stało na komodzie jej matki, co tydzień odkurzone i odkładane na miejsce. Nie udaje mi się. Nie potrafię spojrzeć na Marię w ten sposób, znając tak dobrze jej los.

Maria Weston chce być moją przyjaciółką. Może właśnie na tym od początku polegał problem – Maria Weston chciała być moją przyjaciółką, ale ja ją zawiodłam. Przez całe moje dorosłe życie czaiła się na granicy mojej świadomości, chociaż byłam świetna w utrzymywaniu jej z daleka, niczym rozmazany cień widziany kątem oka – prawie, lecz niezupełnie poza zasięgiem wzroku.

Maria Weston chce być moją przyjaciółką.

Tylko że Maria Weston nie żyje od ponad dwudziestu pięciu lat.

Rozdział 2

1989

Spędziłam bezsenną noc, usiłując zachować jako taką równowagę w związku z tym, co się wydarzyło – tym, co zrobiłam. Mam zaczerwienione oczy, szczypiące ze zmęczenia, ale nie śmiem zapaść w sen. Jeżeli sobie na to pozwolę, to po przebudzeniu, po jednej niebiańskiej, straszliwej sekundzie błogiej nieświadomości wszystko zwali się na mnie niczym lawina, z siłą podwojoną przez ową chwilę niewiedzy.

Przypominam sobie ostatni raz, kiedy przyszło mi oglądać wschód słońca z łóżka Sophie. Tym razem jest bardziej burzliwy i ponury. Przez całą noc padał nieprzerwanie letni deszcz, a gałąź pobliskiego drzewa stukała co jakiś czas w moje okno. Moja bezsenność nie jest jednak spowodowana wyłącznie związkami chemicznymi, chociaż nadal czuję, jak, niechciane, kursują w moich żyłach. Siedzę tu, na podłodze, od czterech godzin i obserwuję, jak moja sypialnia powoli wyłania się z mroku, rozjaśniona szarym światłem poranka. Otaczają mnie smętne resztki moich starannych przygotowań na wieczór, który jeszcze dwanaście godzin temu zapowiadał się zachęcająco, rozświetlony obietnicami akceptacji i aprobaty. Na łóżku leżą trzy sukienki, przed wysokim zaś lustrem stoją porzucone trzy pary pasujących do nich butów. Spoglądam tępo na plamę na dywanie, gdzie Sophie upuściła kiedyś mój nowy puder brązujący, a ja próbowałam go niezgrabnie zetrzeć za pomocą kawałka ligniny umoczonej w szklance stęchłej wody.

Sukienka, którą miałam na sobie, leży teraz w zmiętej kupce obok. Zamieniłam ją na stary podkoszulek i legginsy. Pod oczami mam zacieki od tuszu, spierzchnięte usta z resztkami szminki zaskorupiałej gdzieś na wargach i rozmazanej wokół nich.

Siedzę na podłodze tak długo tylko dlatego, że nie mogę się poruszyć. Spodziewałam się, że serce będzie waliło mi niczym młotem, ale tymczasem czuję się, jakby zacisnęła się na nim żelazna pięść – aż dziw, że jeszcze w ogóle bije. Wszystko zwolniło do pogrzebowego tempa. Kiedy podnoszę rękę, żeby wsunąć włosy za uszy albo podnieść coś z podłogi, niezależnie od tego, jak szybko to robię, mam wrażenie, że poruszam się w zwolnionym tempie. Mój mózg ledwie nadąża ze zrozumieniem całej sytuacji. Myślami przedzieram się niemrawo przez wspomnienia ostatnich kilku miesięcy, usiłując zrozumieć, jak do tego wszystkiego doszło.

Przypuszczam, że wszystko zaczęło się parę miesięcy temu, tego dnia, kiedy pojawiła się nowa dziewczyna. Spędzałam przerwę, przysłuchując się Sophie, która rozmawiała z Claire Barnes i Joanne Kirby. Sama niewiele mówiłam. Siedziałyśmy na ławce przy samym końcu dziedzińca szkolnego. Wszystkie trzy dziewczęta miały sukienki podwinięte wokół talii tak wysoko, że równie dobrze mogłyby ich w ogóle nie zakładać. Matt Lewis obserwował Sophie z drugiego końca placu i wiedziałam, co sobie myśli. Był akurat ten dzień – pierwszy w roku, kiedy wreszcie w powietrzu czuć zapach wiosny. Siedziałam na jednym końcu ławki, rozkoszując się dotykiem promieni słońca na twarzy, z nadzieją, że dziewczyny nie oczekują ode mnie włączenia się do rozmowy. Niebo było bajkowo niebieskie, a Sophie i reszta wyglądały, jakby mieniły się blaskiem; ich niemożliwie lśniące włosy odbijały światło słoneczne, a jedwabista, złotawa w odcieniu skóra połyskiwała lekko. Oczywiście wiedziały, jaki efekt wywierają na innych. Nie były aż takie głupie.

Sophie poprawiała właśnie makijaż rzęs i opowiadała o chłopaku, z którym się spiknęła podczas zeszłego weekendu na prywatce z okazji szesnastych urodzin Claire Barnes. Ja oczywiście nie zostałam zaproszona. Claire i Joanne tolerowały moją obecność tylko dlatego, że

przyjaźniłam się z Sophie – choć czasem miałam wrażenie, że i to wymyka mi się powoli z rąk.

– No więc całowaliśmy się i w ogóle, a potem... cóż, wiecie, co jest najbardziej żenującą rzeczą, jaka może zdarzyć się chłopakowi? Więc właśnie się przytrafiła.

Claire i Joanne zaskrzeczały.

– O mój Boże! – powiedziała Claire. – To takie żałosne! Pamiętasz, jak spiknęłam się z Markiem wtedy, na zabawie u Johnny’ego? Wybraliśmy się na pola i byłam na dole, wiecie, robiłam mu loda, ale nic specjalnie się nie działo. Spojrzałam w górę i zgadnijcie co? Spał!

Sophie i Joanne złożyły się ze śmiechu, a ja uśmiechnęłam się, pokazując, że zrozumiałam ten dowcip. Przynajmniej wiedziałam – chociaż nieco mgliście – co znaczy „robienie loda”. Próbowałam wyobrazić sobie, że komukolwiek oferuję coś takiego, nawet komuś, kogo bardzo lubiłam, ale nie potrafiłam. Nie mam pojęcia, jak to działa, co trzeba robić z ustami, z językiem. Zadrżałam.

Claire nachyliła się do pozostałych dwóch koleżanek, jakby chciała przekazać im jakąś wiekową mądrość.

– Wam dwóm to dobrze, bo nadal to wszystko jest dla was dość nowe, ale mnie seks zaczyna już powoli nudzić, wiecie? Dan nie chce robić niczego innego, a ja czasem mam ochotę wybrać się do miasta albo do kina czy coś w tym stylu.

Sophie i Joanne zaczęły gorliwie potakiwać, na wyścigi. To zabawne – Sophie zawsze jest taka spokojna i pozbierana, ale czasem w obecności Claire widziałam jej słabości, pęknięcia w fasadzie. Ostatnio dziewczyny pozwoliły mi w końcu wybrać się z nimi do miasta po szkole. Szłyśmy razem, w jednej grupie, ale kiedy docierałyśmy do ścieżki przy rzece, robiło się zbyt wąsko, żeby zmieściła się na niej więcej niż para. Czułam wtedy, że Sophie i Joanne skrycie konkurują ze sobą o to, która z nich będzie szła obok Claire, a nie obok mnie.

Do dzisiejszego wieczora nigdy nie całowałam się z chłopakiem. Pamiętam, że tamtego dnia modliłam się, by reszta się o tym nie dowiedziała. Sophie wie, ale nie sądzę, żeby powiedziała dziewczynom.

Tyle z tego dobrego, że nigdy nie próbują wciągnąć mnie w te swoje rozmowy. Zawsze tak się boję, że powiem coś głupiego, co ujawni mój brak doświadczenia. Większości z tego, co wiem o seksie, dowiedziałam się ze stronic magazynu „Tylko Siedemnastolatki”, chociaż Bóg wie, że mógłby być bardziej pomocny. Kobieta prowadząca dział z poradami zawsze zakłada, że czytelnik posiada podstawową wiedzę, używa więc słów oraz określeń, których znaczenia nie jestem pewna. Można by pomyśleć, że szkolne zajęcia wychowania seksualnego cię ich nauczą, ale nic z tego. Jak do tej pory oglądaliśmy stare wideo z lat siedemdziesiątych pokazujące rodzącą kobietę oraz przeprowadziliśmy zenującą rozmowę o tym, że penisa wkłada się do pochwy. O tym to nawet ja wiedziałam. Jedyną lekcją, która mogła okazać się interesująca, była ta, na której pani Cook miała nauczyć nas, jak założyć kondom na banana, ale zgadnijcie co: pani Cook tego dnia była chora, więc musieliśmy zadowolić się demonstracją przeprowadzoną przez ucznia jednej z równoległych klas, które miały te zajęcia tydzień temu.

Nowa dziewczyna nazywała się Maria Weston. Wyglądała w porządku, miała normalny mundurek, niezbyt modny, ale też nie staroświecki. Panna Allan kazała Sophie zająć się nową, ale ta pokazała tylko Marii, gdzie są toalety i stołówka, a potem ignorowała ją przez resztę dnia. Esther Harcourt usiłowała się zaprzyjaźnić z Marią, ale nawet nowa zrozumiała w mig, że Esther z jej ciuchami po starszym rodzeństwie i okularami w grubych oprawkach nie była biletem do osiągnięcia sukcesu towarzyskiego w naszej szkole. Zabawne, kiedy pomyślę, że w podstawówce zawsze bawiłam się z Esther. Uwielbiałam odwiedzać ją w domu, ponieważ jej mama pozwalała nam bawić się w lesie całymi godzinami – chociaż zawsze dostawałyśmy dziwaczne rzeczy na kolację, bo jej rodzice byli jakimiś wegetariańskimi hipisami. W pewnym sensie tęsknię za nią. Dobrze się razem bawiłyśmy. Nie mogłam już jednak dłużej się z nią przyjaźnić. Koszmar.

W każdym razie, w porze lunchu Sophie nawet nie usiadła z nową dziewczyną, a Esther trzymała się od niej z daleka, bo Maria potraktowała ją dość chłodno podczas porannej przerwy. Zbliżając się do

kasy, jak zwykle zaczęłam się rozglądać po stołówce, szukając miejsca, gdzie mogłabym usiąść. Maria tkwiła samotnie po jednej stronie długiego stołu, a po drugiej siedziała grupka kujonów z Natashą Griffiths (czyli, jak zwała ją Sophie, „Twarz i Szyja”, ze względu na jej pomarańczowy podkład na buzi i bielutką szyję). „Twarz i Szyja” rozwodziła się nad swoją pracą domową z angielskiego i nad tym, jak to pan Jenkins uznał jej twórczość za genialną i specjalnie poprosił ją, żeby została po lekcji (założę się, że to prawda; wszyscy uważają go za starego zbrojeńca). Zamierzałam przejść obok Marii, zastanawiając się, czy mogę dzisiaj usiąść z Sophie (zajmowała z Claire i Joanne stolik w dalszym lewym rogu stołówki; z jakiegoś powodu był to „popularny” stolik i jeżeli ktoś miał na lunch cokolwiek poza jogurtem, narobiłby sobie obciachu, siadając przy nim), kiedy nagle Maria spojrzała mi w oczy. Jadła swojego pieczonego ziemniaka i przysłuchiwała się Natashy nawijającej o swoim eseju na temat Shakespeare’a, uśmiechając się, jakby wiedziała, że kujonka gada pierdoły. Coś sprawiło, że zwolniłam.

– Czy to miejsce jest wolne?

– Tak, jak najbardziej! – odparła, przesuwając tackę, żeby zrobić dla mnie miejsce. – Siadaj.

Zestawiłam z tacki bezwstydnie tłuste lasagne i usiadłam, wbijając rurkę w karton z sokiem jabłkowym. Srebrny foliowy dysk pękł pod naciskiem i z dziurki wypłynęła kropla bursztynowego płynu.

– Jak ci minął dzień do tej pory? – spytałam.

– Och, dobrze, no wiesz. Oczywiście nie jest najłatwiej... sama rozumiesz... – Zamilkła.

– Czyli jednym słowem do dupy? – Wyszczrzyłam radośnie zęby.

– Tak. – Uśmiechnęła się z ulgą. – Totalnie do dupy.

– Gdzie chodziłaś przedtem do szkoły? Twój rodzice się tu przeprowadzili?

Maria skupiła się nagle na rozcinaniu skórki ziemniaka.

– Tak. Mieszkaliśmy w Londynie.

– Aha.

Kwiecień był dość dziwnym miesiącem na przeprowadzki, tak blisko matury.

Zawahała się.

– Miałam trochę problemów z kilkoma ludźmi.

Wyczułam, że nie chciała, abym usiłowała wyciągnąć z niej szczegóły, więc nie naciskałam.

– Cóż, tutaj wszyscy są bardzo mili – skłamałam. – Nie będziesz miała żadnych problemów tego typu. Wiesz co? Razem z kilkoma dziewczynami niemal codziennie po szkole chodzimy do miasta. Powinnaś się z nami wybrać.

– Dzisiaj nie mogę. Mój brat odbiera mnie sprzed szkoły i mamy wrócić do domu razem. Ale innego dnia z wielką chęcią.

Pierwszą lekcją po lunchu była matematyka. Sophie opadła na krzesło obok mnie, zadowolona po sesji obmawiania innych w toaletach, śmierdząca perfumami Poison od Christiana Diora. Powiedziałam jej, że rozmawiałam z Marią i zaprosiłam ją na wspólną wycieczkę do miasta. Sophie spojrzała na mnie.

– Zaprosiłaś ją do wyprawy na miasto z nami? – W jej głosie pobrzmiwała niebezpieczna nutka.

– Tak... a to niedobrze? – Usiłowałam ukryć drżenie w głosie.

– Czy Claire o tym wie?

– Nie... nie sądziłam, że ktokolwiek będzie miał coś przeciwko temu.

– Powinnaś najpierw mnie o to zapytać, Louise.

– Przepraszam. Myślałam... ona jest nowa i... – Całkiem niepotrzebnie przestawiłam książki na mojej części ławki. Czułam rosnącą panikę. Co ja najlepszego zrobiłam?

– Wiem o tym, ale słyszałam już o niej kilka rzeczy. O tym, co zdarzyło się w jej poprzedniej szkole.

– Ach, nie ma sprawy, opowiedziała mi o tym – może jednak będzie dobrze? – To nie była prawda.

– Przecież by się nie przyznała, nie sądzisz? Opowiedziała ci, o co chodziło?

– Nie. – Czułam, że policzki zaczynają mi płonąć.

– Rozumiem. W takim razie może powinnaś najpierw ustalić fakty, zanim zaczniesz zapraszać ludzi do grupy.

Przez kilka minut zajmowałyśmy się obie algebrą w całkowitym milczeniu, chociaż zauważyłam, że Sophie nadal zerkała mi przez ramię, ściągając odpowiedzi.

– Cóż, dzisiaj i tak nie będzie mogła z nami pójść – odezwałam się wreszcie. – Musi spotkać się z bratem.

– Słyszałam, że on też jest nieco dziwny. W każdym razie, dzisiaj wieczorem ja też nie mogę iść do miasta. Mamy z Claire coś do zrobienia.

Najwyraźniej na to tajemnicze wyjście również nie byłam zaproszona. Nie powiedziałam więc nic, zdziwiona, że Sophie nie czuje bijącego ode mnie żaru. Szok i niepokój wylewały się ze mnie wszystkimi porami skóry.

Po dzwonku Sophie zebrała swoje rzeczy i od razu udała się na następną lekcję. Pod koniec dnia nawet się ze mną nie pożegnała, tylko wyszła, chichocząc i trzymając Claire Barnes pod ramię. Nawet się nie obejrzała. Byłam potwornie przerażona, że zrujnowałam naszą przyjaźń. Cholera jasna! I co ja teraz zrobię?

Rozdział 3

2016

Nadal siedzę wstrząśnięta przy kuchennym stole, z profilem Marii na ekranie przede mną. Do głowy cisną mi się pytania: kto jest za to odpowiedzialny i dlaczego teraz? Usiłuję pogodzić się z przerażającą możliwością, że jakimś cudem, gdzieś tam, Maria wciąż żyje. Kiedy na Facebooku pojawia się nowe powiadomienie, otwieram je z trwogą.

Komitet do spraw Zjazdu Absolwentów Liceum w Sharne Bay zaprasza na zlot rocznika 1989.

Zlot absolwentów? Gorączkowo wchodzę na olinkowaną stronę i oto jest: zlot absolwentów liceum w Sharne Bay z rocznika 1989 odbędzie się w sobotę za dwa tygodnie, w szkolnej sali gimnastycznej. Oprócz wiadomości od Marii, to kolejny cios prosto w splot słoneczny. Czy to zbieg okoliczności, że oba powiadomienia dostałam tego samego dnia? Wchodzę na stronę organizatorów zjazdu i chociaż nie ma nigdzie informacji o tym, kto jest inicjatorem, wszystko wydaje się prawdziwe. Na samej górze osi czasu widnieje podpięta wiadomość od naszego byłego nauczyciela języka angielskiego, pana Jenkinsa, który, jak się okazuje, nadal uczy w naszej szkole. Kiedyś krążyły różne plotki na jego temat – że każe dziewczynom zostawać po lekcjach, że podgląda je przez okno w damskiej przebieralni i tym podobne – ale najwyraźniej nie były prawdziwe. W tamtych czasach wszyscy myśleliśmy, że nasza wuefistka jest lesbijką, bo miała szklane oko, więc bądźmy szczerzy – nie byliśmy

najbardziej wiarygodnymi świadkami. Reszta osi czasu jest wypełniona podekscytowanymi dialogami między osobami, które zapowiedziały swoje pojawienie się na zlocie. Wszystkie wiadomości pochodzą sprzed kilku miesięcy. Dlaczego mnie zaproszono dopiero teraz? Na szyi wykwitają mi czerwone plamy i czuję, jak zdradzieckie, głupie łyzy pieką mnie w oczy. Jak łatwo – jak idiotycznie łatwo daję się przenieść z powrotem w tamte lata; jak szybko ogarnia mnie znajome poczucie wstydu: znów zostałam wykluczona z kręgu znajomych, zapomniana. Nadal nie byłam członkiem paczki, tylko drugorzędowym dodatkiem.

Wchodzę na listę uczestników, z wściekłością szukając jego nazwiska. Jest. Mruży na mnie oczy ze swojego zdjęcia profilowego. Ramieniem otacza kogoś, kto nie zmieścił się w ujęciu. Sam Parker zamierza pojawić się na zlocie. Dlaczego nic mi o tym nie powiedział? Wprawdzie nie prowadziliśmy ze sobą godzinnych rozmów, ale mógł wspomnieć o sprawie, kiedy podrzuciłam Henry'ego do jego domu. Może ma nadzieję, że nie dowiem się o spotkaniu?

Rozpoznaję inne nazwiska na liście: Matt Lewis, Claire Barnes, Joanne Kirby. Przez krótką, szokującą chwilę widzę na liście nazwisko „Weston” i z przerażeniem myślę, że to Maria, ale nie – chodzi o Tima Westona. Mój Boże, jej brat. Nie chodził z nami do szkoły – był od nas o rok starszy i uczył się w miejscowej dwulatce – ale często spotykał się z Samem i kilkoma innymi chłopakami z naszego rocznika, więc raczej nie jest to aż takim zaskoczeniem, że zamierza się pojawić na zlocie. Lista uczestników jest długa. Część z nich znam, innych nie pamiętam. Tak wiele nazwisk – ale nie moje.

Przeoglądam listę, aż wreszcie natykam się na Sophie. Wiedziałam, że ją tu znajdę. Klikam na jej profil. Zaglądałam tam już wcześniej, ale zawsze udawało mi się powstrzymać pokusę „zaprzyjaźnienia się” z nią na Facebooku. Tym razem od razu wchodzę do sekcji z jej znajomymi, ale nie znajduję tam Marii. Oczywiście nie znaczy to, że Sophie nie dostała od niej tej samej wiadomości co ja. Może po prostu jej nie zaakceptowała. Ma pięciuset sześćdziesięciu czterech znajomych. Ja mam sześćdziesięcioro dwoje i niektórzy z nich to moi koledzy z pracy.

Kiedyś myślałam o zlikwidowaniu konta na Facebooku, żeby zapobiec wpadnięciu w ten fatalny, pożerający czas wir, w którym człowiek kończy na przeglądaniu zdjęć ślubnych zupełnie obcych osób, zamiast skoncentrować się na skończeniu zlecenia przed upłynięciem terminu. Tak naprawdę jednak Facebook jest dla mnie ważny, zwłaszcza od ostatnich kilku lat. Po odejściu Sama musiałam znacznie ograniczyć swój świat, żeby nie ucierpiały najważniejsze sprawy: Henry i mój biznes. Nie mam czasu ani energii na cokolwiek innego, ale Facebook oznacza, że nie straciłam jeszcze całkowicie kontaktu z moimi przyjaciółmi i dawnymi kolegami. Nadal wiem, co się dzieje w ich życiu, jak wyglądają ich dzieci, gdzie pojechali na wakacje, a kiedy czasem uda się nam spotkać, pomaga mi to czuć się nieco bliżej, niż gdyby nasze konwersacje na Facebooku nie istniały. Dlatego wciąż publikuję wiadomości, komentuję, dodaję polubienia do ich postów. Dzięki temu jeszcze jestem jakoś ugruntowana w moim świecie.

Na zewnątrz zrywa się silniejszy wiatr i gałąź glicynii, która obrasta ramę balkonu, stuka nagle w szybę. Podskakuję i chociaż wiem, że to tylko gałąź, wstaję i wyglądam na ogród. Jest już całkiem ciemno i nie widzę zbyt wiele poza moim własnym odbiciem. Krople deszczu uderzają nagle o szybę, zupełnie jakby ktoś rzucił w nią garść żwiru. Odskakuję, czując, jak gwałtownie bije mi serce.

Wracam do stolika kuchennego i klikam na zdjęcie profilowe Sophie. To jedno z tych niby niepozowanych, na którym osoba wygląda niemożliwie ślicznie, ale jednocześnie sprawia wrażenie, że została uchwycona w kadrze całkiem przypadkiem. Gdyby przyjrzeć się uważniej, można by dostrzec „naturalny” makijaż, profesjonalne oświetlenie i filtry nałożone przy obróbce zdjęcia. Kolejne zbliżenie ujawnia ukryte zmarszczki, chociaż muszę przyznać, że Sophie ładnie się zestarzała. Jej włosy nadal są wodospadem płynnego karmelu i ma godną pozazdroszczenia figurę, która – tak jak przewidywałam – nie zmieniła się od czasów szkolnych.

Zastanawiam się, czy Sophie kiedykolwiek próbowała mnie znaleźć na Facebooku. Wracam do mojego własnego zdjęcia profilowego, usiłując

spojrzeć na nie jej oczami. Wykorzystałam fotografię, którą zrobiła Polly. Siedzę przy stoliku w pubie, z kieliszkiem wina w dłoni. Moje nowe, krytycznie spojrzenie ukazuje mi portret osoby, która usilnie stara się wyjść na rozrywkową. Nachyliłam się nad blatem, ubrana w koszulkę z krótkimi rękawkami, które odsłaniają nieatrakcyjną wypukłość moich ramion, odpychającą w porównaniu z jędrnymi, umięśnionymi, złocistymi kończynami Sophie. Moje włosy mysiego koloru wyglądają na cienkie i przyklepane, a do tego mam rozmazany makijaż.

Na zdjęciu w tle mojej strony widnieje Henry. Zrobiłam je w zeszłym miesiącu, pierwszego dnia szkoły. Mój syn stoi na nim w kuchni, ubrany w świeżutki, choć odrobinę za duży mundurek. Wygląda na wzruszająco dumnego z siebie. Tylko ja znałam jego skryte zmartwienia, którymi podzielił się ze mną wieczorem, tuż przed zaśnięciem, spod kołdry, którą był szczelnie owinięty: „Co, jeśli nikt nie będzie się ze mną chciał bawić, mamusi? Co, jeżeli będę za bardzo za tobą tęsknił? Co ja zrobię, kiedy będę potrzebował, żeby ktoś mnie przytulił?”. Uspokoiliam go najlepiej, jak potrafiłam, ale sama nie znałam odpowiedzi na jego pytania. Henry wydawał się zbyt mały, żeby wysłać go samodzielnie w świat, tam, gdzie nie mogłam go chronić. Przez chwilę zastanawiam się, czy Sophie wie, iż Sam i ja mamy dziecko i że w ogóle byliśmy małżeństwem. Odsuwam od siebie myśl o Henrym. Próbuję nie zastanawiać się nad tym, co może teraz robić u Sama, i nie martwić się o niego, ale to tak, jakby człowiek usiłował przestać oddychać.

Zastanawiam się, co będzie, jeżeli zostanę facebookową znajomą Sophie. Przebiegam wzrokiem moją oś czasu, usiłując zobaczyć wszystko jej oczami. Widzę mnóstwo zdjęć Henry’ego, posty o stresach związanych z opieką nad dzieckiem, o poczuciu winy matki pracującej – zwłaszcza kiedy Henry zaczynał szkołę i przez pierwsze dwa tygodnie chodził tylko na sesje przedpołudniowe. Zastanawiam się, czy Sophie ma dzieci. Jeśli nie, mój profil wyda się jej niesłychanie nudny. Jeżeli przewinie stronę wystarczająco daleko w dół, natknie się na fotografię z naszych letnich wakacji, na których Henry i ja jesteśmy opaleni i zrelaksowani – całe napięcie zniwelowane przez ciepłą pogodę i dystans od domu.

Sophie nie będzie jednak w stanie zobaczyć, że kiedyś byłam żoną Sama – oczywiście jeżeli jeszcze tego nie wie. Dwa lata temu usunęłam wszelkie dowody jego istnienia z mojej osi czasu. To było po tym, jak dowiedziałam się, że Sam skasował swoje konto na Facebooku – to, na którym zapisana była nasza wspólna historia. Po prostu zaczął od nowa. Wszystkie wakacje, wypadki na miasto, nasze zdjęcia ślubne, zeskanowane pieczołowicie kilka lat później, teraz zniknęły, zastąpione lśniącą od nowości narracją. Sam usunął mnie niczym brudny zaciek na szybie.

Sprawdzam, czy Sofie należy do grona facebookowych znajomych Sama. Owszem. Musiał ustawić swoje zabezpieczenia prywatności dość wysoko, bo widzę tylko jego zdjęcia profilowe, na których widnieje albo on sam, albo jakieś krajobrazy oraz datę sprzed dwóch lat, kiedy założył konto. Z trudem odrywam wzrok od jego wizerunku. Wiem, że lepiej mi bez niego, ale mimo to część mnie nadal pragnie z nim być. Obraz nas dwojga razem wciąż lśni w monotonnym świecie, który pragnie, aby nikt nigdy się nie zmieniał.

Zaczynam przeglądać zdjęcia na laptopie, usiłując znaleźć lepszy autoportret, który bardziej nadawałby się na profil. Zastanawiam się, czy nie zrobić sobie nowego, chociaż takie fotki zawsze wychodzą dość koszmarnie, więc chyba jednak lepiej nie. A może powinnam wstawić jedno z tych „zabawnych” zdjęć, na przykład zamazane albo takie, na którym widać tylko tył głowy? Z drugiej strony, Sophie mogła już zajrzeć na moją stronę i zobaczyć aktualne zdjęcia. Jeżeli zmienię je dzisiaj przed wysłaniem prośby o dodanie do grona znajomych, będzie wiedziała, że zrobiłam to, aby wyrzeć na niej wrażenie.

Szokuje mnie ta myśl: wyrzeć na niej wrażenie? Mój Boże, czy to właśnie usiłuję zrobić, po wszystkich tych latach? Spoglądam wstecz z perspektywy czasu i widzę doskonale, że Sophie wykorzystywała mnie w celu ugruntowania własnego ego: że potrzebowała u swego boku kogoś mniej atrakcyjnego i mniej popularnego, aby lśnić jeszcze jaśniej. Wtedy tego nie dostrzegałam, ale w tamtych czasach ona też, równie rozpaczliwie jak ja, usiłowała dochrapać się lepszemu statusu. Po prostu

znajdowała się o kilka szczebli wyżej. Dzisiejsza wiadomość od Marii przeniosła mnie z powrotem na plac zabaw i do stołówki szkolnej, gdzie przynależność do grupy jest wszystkim, a przyjaźń jest sprawą życia i śmierci. Moje profesjonalne osiągnięcia, przyjaciele, syn, życie, które stworzyłam – teraz to wszystko zdaje się zbudowane na ruchomych piaskach. Grunt wymyka się mi spod stóp i czuję, jak niewiele potrzeba, żebym upadła.

Ostatecznie rezygnuję ze zmiany fotografii i wysyłam do Sophie prośbę o dodanie mnie do grona jej znajomych, po dłuższym zastanowieniu nie załączając żadnej prywatnej wiadomości. W końcu co miałabym niby powiedzieć? „Hej Sophie, jak się miewałaś przez ostatnie dwadzieścia siedem lat?”. To trochę dziwne. „Hej, Sophie, właśnie otrzymałam prośbę o dodanie do grona znajomych od naszej dawno już nieżyjącej koleżanki ze szkoły. A ty?”. Jeszcze dziwniejsze, zwłaszcza jeżeli ona nie dostała wiadomości z tą prośbą.

Siedzę przy stole kuchennym, bezmyślnie przygryzając wnętrze policzka i nie spuszczać wzroku z ikony powiadomień. Po dwóch minutach wyskakuje dymek z cyfrą „1”, na który pospiesznie klikam.

Sophie Hannigan zaakceptowała twoją prośbę o dodanie do grona znajomych.

Naturalnie jest jedną z tych osób, które zawsze siedzą na Facebooku. Nie wysłała mi jednak żadnej wiadomości, co wzbudza we mnie lekkie nudności i panikę, ale mimo wszystko zaczynam przeglądać jej profil. Być może nie pozwoli mi to poznać szczegółów jej prawdziwego życia, ale z całą pewnością nauczy mnie wiele na temat tego, jak Sophie chciałaby, żeby świat ją postrzegał. Zmienia zdjęcie profilowe raz lub dwa razy na tydzień. Jest to nieskończony zbiór pochlebnych portretów, którym towarzyszą nieuniknione komplementy ze strony przyjaciół obu płci. Jeden z jej męskich znajomych, Jim Pett (który, jak się okazuje, jest żonaty), komentuje każde z nich. „Biorę”, napisał pod jednym. „Właśnie wziąłem”, pod drugim. „Och, Jim, zawsze musisz obniżyć poziom konwersacji”, odpowiada Sophie, udając obruszenie, ale w rzeczywistości

rozkoszując się jego uwagą.

Zdaję sobie sprawę, że Facebook oferuje wyidealizowaną wersję życia, okrojona i wyretuszowana, aby pokazać światu to, co chcemy, aby zobaczył. Mimo to nie jestem w stanie powstrzymać ukłucia zazdrości na widok jej nieprzycmionej wiekiem urody, fotografii, egzotycznych miejsc, komentarzy, oszałamiającego sukcesu towarzyskiego i szerokiego kręgu odnoszących sukcesy przyjaciół. Z drugiej strony, nigdzie nie ma wzmianki o partnerze ani żadnego śladu dzieci. Łapię się na tym, że trochę ją z tego powodu oceniam. Wygląda na to, że nawet po wszystkim, przez co przeszłam, nadal uważam znalezienie partnera i stworzenie nowego życia za wyznacznik sukcesu dla kobiety.

Kiedy przychodzi do wysłania jej wiadomości, nagle paraliżuje mnie niezdecydowanie. Jak mam wyjaśnić, co się wydarzyło? Ale z kim poza nią mogę jeszcze o tym porozmawiać? Kiedyś miałabym Sama, ale teraz to absolutnie nie wchodzi w rachubę. Postanawiam zacząć prosto, z namiastką promiennej śmiałości:

Hej, Sophie. Kopę lat!

Piszę, krzywiąc się niemiłosiernie na myśl o tym, że Sophie z pewnością wyczuje desperację sączącą się z każdego słowa.

Wygląda na to, że obie mieszkamy w Londynie! Miło byłoby się kiedyś spotkać!

Za dużo wykrzykników, ale nie mam pojęcia, jak inaczej zaznaczyć radość. Okazuje się jednak, że nie powinnam się tym zbyt martwić, ponieważ niemal natychmiast nadchodzi odpowiedź.

Hej! Super, że się odezwałaś! Świetnie byłoby się spotkać!! Wybierasz się na zlot?

Mam nadzieję!

Moje palce ślizgają się po klawiaturze.

Czekam jeszcze na potwierdzenie, czy spotkanie z klientem nie będzie kolidować ze zlotem, ale byłoby super znów wszystkich zobaczyć!

Jestem świadoma kontrastu między radosną lekkością moich słów a zdenerwowaniem i mętlikiem, które czuję, pisząc. Cichy głos w mojej głowie (prawdopodobnie należący do Polly) każe mi przestać, zapomnieć o zlocie, ale nie potrafię.

Wiem! Będzie super!!

– odpowiada Sophie. Boże, te wykrzykniki mnie dobijają. Nie mogę tego zrobić przez e-mail. Muszę się z nią spotkać. Zbieram się w sobie i zaczynam pisać.

Fajnie byłoby się spotkać i pogadać przed wielkim dniem – masz ochotę spotkać się na drinka?

Wysyłam wiadomość, zanim mam szansę zmienić zdanie. Do tej pory nasza e-mailowa wymiana była wariacko szybka, ale po tej ostatniej wiadomości następuje nieco dłuższa przerwa. Wstrzymuję oddech.

Jasne, czemu nie? Może wpadniesz do mnie? Co powiesz na ten piątek?

Wypuszczam powietrze z płuc, roztrzęsiona. Czuję się nieco dziwnie na myśl o wizycie w jej domu. Wolałabym spotkać się w jakimś neutralnym miejscu, ale nie mogę już dłużej kontynuować tej gierki, więc przystaję na propozycję. Sophie podaje mi swój adres – mieszkanie w Kensington – po czym wymieniamy pożegnania pełne buziaków i uśmiechów od niej, zawierające kilka nieśmiałych całusów ode mnie. Niemal natychmiast wyskakuje nowe powiadomienie. Zostałam oznaczona w poście Sophie Hannigan:

Nie mogę się doczekać na spotkanie z moją dawną przyjaciółką Louise Williams w piątek wieczorem!

Drżącą ręką naprowadzam kursor na ikonę polubienia. Cieszę się, że mój pierwszy kontakt z Sophie odbył się za pośrednictwem internetu. Dzięki temu miałam możliwość i czas, żeby po wszystkim pozbiierać się w samotności. „Jestem już dorosła”, myślę. „Nie potrzebuję jej aprobaty”. Nie przekonuję jednak nawet samej siebie.

Za oknami zapada już noc. Zamykam laptopa i przez długi czas siedzę nieruchomo przy kuchennym stole. Najpierw prośba na Facebooku, potem zlot absolwentów, a teraz spotkanie z Sophie... Czuję się, jakbym wyruszyła nagle w jakąś podróż, bez pytania i bez mojej zgody. Choć jestem wstrząśnięta rozwojem sytuacji, w pewnym sensie zawsze spodziewałam się, że coś takiego nastąpi. Nie mam pojęcia, kto prowadzi ten szalony pojazd i dokąd zdążamy, ale koła się toczą, a ja nie wiem, jak powstrzymać ich ruch.

Rozdział 4

2016

Tuż przed rozbrzmieniem dzwonka do drzwi zauważam, że zniknęła fotografia. Zazwyczaj znajduje się na szczycie wolno stojącego segmentu z półkami obok lodówki: to zdjęcie, które zrobiłam sobie i Henry'emu na plaży na tle niemożliwie błękitnego nieba. Oboje marszczymy oczy przed blaskiem słońca. Regał służy również jako przechowalnia niezapłaconych rachunków, informacji ze szkoły, list zakupów i notatek do samej siebie przypominających mi o rzeczach, które muszę zrobić. Zdawałam sobie sprawę, że przestawienie się na życie samotnej pracującej matki będzie trudne emocjonalnie, ale realia mnie zaskoczyły. Czasem mam wrażenie, jakbym kurczowo trzymała się życia koniuszkami palców, o włos od spadnięcia w przepaść.

Zostawiam Henry'ego przy stole, mozolnie wkładającego pojedyncze kawałki makaronu do ust. Otwieram drzwi.

– Jesteś wcześniej.

– No cóż, chociaż pilnowałam już twojego dziecka miliony razy, wiem, że masz dla mnie listę instrukcji długą jak rolka papieru toaletowego: aktualna ulubiona lektura, precyzyjnie wyznaczony kąt, pod którym Henry lubi mieć uchylone drzwi, konfiguracja i hierarchia jego pluszaków. To wszystko zabiera czas. Mogę wejść?

– Przepraszam. – Odsuwam się i Polly wchodzi do środka niczym podmuch wiatru, zdejmując ogromny pasiasty szalik, który praktycznie ma długość samej Polly, oraz puchówkę. Rozpina suwak w wysokich do

kolan kozakach, ujawniając szarzejące legginsy, które niezupełnie sięgają do rąbka niesparowanych skarpetek. W przerwie między materiałami widzę pasek nieogolonej nogi.

– Co u ciebie słyhać? – Odwieszam jej kurtkę i szal.

– Och, wszystko po staremu. W pracy jest koszmarnie. Dobrze zrobiłaś, wynosząc się stamtąd i zakładając własną firmę.

Mówi to praktycznie za każdym razem, od kiedy trzy lata temu odeszłam z Blue Door Interior Design. Obie jednak wiemy, że Polly dostałaby szału po jednym dniu siedzenia w domu samotnie tak jak ja, mając w perspektywie jedynie rzadkie spotkania, które przerywałyby tę monotonię. Ona uwielbia rozmowy, plotki biurowe, atmosferę panującą w pomieszczeniu pełnym ludzi wykonujących wymagającą pracę. Ja z kolei w ogóle za tym nie tęsknię. Spotykam się czasem na drinka z dawnymi kolegami, ale poza Polly żadnego z nich nie nazwałabym swoim przyjacielem.

– Wiem, chociaż czasem chciałabym mieć kogoś do pomocy – mówię znacząco przez ramię, kiedy ruszamy w stronę kuchni.

Polly uśmiecha się szeroko. Zawsze próbuję ją przekonać do tego, żeby odeszła z Blue Door i weszła w spółkę ze mną. We dwie mogłybyśmy przyjmować zlecenia, z których w tej sytuacji muszę rezygnować.

Na początku było mi trudno samej, ale czułam, że to odpowiedni moment. Henry skończył już prawie rok i miałam niedługo wrócić do Blue Door po wykorzystaniu całego urlopu macierzyńskiego. Myśl o pracy na pełny etat, poza domem, z dala od Henry'ego całymi dniami, niepokoiła mnie. Sam martwił się o to, jak sobie poradzimy, kiedy wrócę do pracy – w zasadzie nie miałby nic przeciwko temu, żebym w ogóle porzuciła zawód, ale finansowo było to niewykonalne. Poza tym chciałam czymś się zająć, po prostu niekoniecznie cieszyło mnie ponowne włączenie się do wyścigu szczurów. Chyba wszyscy mieliśmy odczucie, że życie byłoby znacznie prostsze, gdybym pracowała w domu, powoli budując własny biznes. W rzeczywistości wszystko odbyło się nieco inaczej.

Skontaktowałam się z osobą, z którą pracowałam dawno temu –

Rosemary Wright-Collins. Okazało się, że akurat szukała kogoś, kto zaprojektowałby wnętrza wszystkich jej posiadłości. Rosemary jest deweloperką z nienagannym gustem i wypchanym portfelem. Zdobyć jej jako pierwszej klientki było nie lada wyczynem. To, że mi się udało i że nadal wykorzystuje mnie przy każdym swoim nowym projekcie, jest dla mnie powodem do niezwykłej dumy. Napisała mi nawet wspaniałe rekomendacje na mojej witrynie internetowej. Oznaczało to jednak, że musiałam ruszyć z pracą z kopyta, załatwić opiekę dla Henry'ego i natychmiast przestawić się na tryb profesjonalny.

– Caro doprowadza mnie do szału – ciągnie Polly. – Znow ma nowego faceta i co dziesięć minut dzwoni do mnie z pytaniem, co oznaczają jego rozmaite esemesy, w co powinna się ubrać i czy powinna ogolić sobie to-tamto. Nie wiem, za jakie grzechy muszę znosić taką siostrę. Na litość boską, skąd mam wiedzieć, czy w dzisiejszych czasach kobiety golą sobie to-tamto? Aaron byłby zachwycony, że w ogóle chcę uprawiać seks, i pewnie nie obchodziłoby go, czy jestem pokryta mierzwą od stóp do głów... Henry! Jak się miewa mój ulubieniec?

Pochyla się i całuje go w głowę.

Henry uśmiecha się, usmarowany sosem pomidorowym.

– Cześć, Polly.

– Przez cały dzień ciebie wyglądał – mówię. – Podobno czytasz mu więcej opowiadań niż ja.

– Cóż, *Tomek i przyjaciele* to dla mnie nowość. Moje dziewczyny nigdy się tym nie interesowały. Masz jakieś nowe książki, H?

Jego twarz się rozjaśnia.

– Tak! Tatuś kupił mi trzy nowe odcinki Tomka: o Charliem, Arthurze i Dieslu. Przeczytasz mi je?

– Oczywiście! Po to tu przyszłam!

– Mamusiu, mogę po nie pójść?

– Jeżeli się już najadłeś, to tak. Pozwól mi najpierw tylko porozmawiać przez chwilę z Polly, a po moim wyjściu może ci przeczytać wszystkie trzy książki.

– Wiesz co, H? Może zaczniesz ustawiać szyny kolejki, a ja w tym

czasie porozmawiam z mamą. Potem przyjdę do ciebie i pobawimy się razem. Umowa stoi?

– Stoi! – Henry jest wyraźnie zachwycony tą perspektywą. Wybiega z kuchni, w myślach już konstruując tory.

Polly siada przy stole i wkłada do ust kawałek zimnego makaronu z talerza Henry'ego. Przyklękam przy segmencie z półkami i odsuwam go lekko od ściany. Zgromadzone na półkach rzeczy chyboczą się niebezpiecznie. Przesuwam dłonią po podłodze za regałem, żeby się upewnić, ale nie ma tam niczego.

– Co robisz?

– Zazwyczaj trzymam tu fotografię, no wiesz, tę ładną, ze mną i Henrym na plaży.

– Ach, tak, wiem którą. I co...? – Gestem wskazuje na mnie klęczącą na podłodze.

– I to, że zniknęła.

– Jak to zniknęła?

– Cóż, ja jej nie przestawiałam, ale nie ma jej tutaj. A zawsze stoi w tym samym miejscu.

– Może odkurzałaś ramkę, zamyśliłaś się i odstawiłaś ją w jakieś inne miejsce? Sama wiesz, jaka jesteś.

– Ale gdzie? To nie jest znów takie wielkie mieszkanie. – Po każdej stronie kuchni znajdują się trzy segmenty z półkami, a potem pokój rozszerza się lekko na samym końcu, robiąc miejsce na mały stół kuchenny tuż obok drzwi prowadzących do ogrodu. – Nigdzie nie widzę fotografii.

– A może Henry ją gdzieś przestawił?

– Rzeczywiście. Może tak. Henry! – Mój syn przychodzi na moje wołanie, z drewnianym mostem w jednej ręce i plastikowym słoniem dwa razy większym od mostu w drugiej.

– Widziałeś nasze wspólne zdjęcie? To, które zwykle stoi tutaj na półce?

Wzrusza ramionami.

– Nie. Mogę wrócić do układania torów?

– Tak, oczywiście. – Spoglądam na Polly. – W takim razie, gdzie ono jest?

W głowie nieustannie brzęczy mi prośba Marii o dodanie do grona znajomych, wpływając na całe moje postrzeganie świata. Kilka dni temu zupełnie bym się nie przejęła brakującym zdjęciem i nawet w tej chwili racjonalna część mnie podpowiada mi, że zachowuję się idiotycznie. Jednak w małym, wystraszonej kąciku umysłu tkwi niewygodnie natrętna myśl: czy ktoś był w moim mieszkaniu?

– Och, nie przejmuj się, na pewno się znajdzie. Musi gdzieś tu być. Powiedz mi lepiej, kim jest ta szkolna przyjaciółka, z którą zamierzasz się dzisiaj spotkać – mówi Polly.

Nalewam wody do czajnika, ociągając się z odpowiedzią, wciąż rozproszona niepokojem wywołanym zaginięciem zdjęcia. Nie jestem pewna, jak wieloma szczegółami chcę podzielić się z Polly. Nigdy nie rozmawiałam z nią (właściwie to z nikim) o tym, co stało się z Marią. To zbyt poważna, niewygodna historia. Nie wiem nawet, jakim językiem ją objaśnić. Między innymi dlatego właśnie związek z Samem był dla mnie takim odciążeniem. Jemu nigdy nie musiałam niczego tłumaczyć, ponieważ był tam z nami. Czasami zastanawiam się, czy potrafiłabym znieść tak wiele przez tak długi czas, gdyby nie fakt, że Sam był jedną z nielicznych osób, które wiedziały, co się wydarzyło. Znał moją najciemniejszą stronę, a mimo to nadal mnie kochał, na swój własny sposób.

– Och, to tylko jedna z koleżanek, z którą straciłam kontakt lata temu. Odezwała się do mnie na Facebooku i pomyślała, że byłoby miło się spotkać i pogadać.

Staram się utrzymać lekki ton. Dzisiejszy wieczór nie jest najodpowiedniejszym momentem do zagłębiania się w tę historię. Jeżeli zacznę wyjaśniać, co stało się z Marią, nawet w okrojonej wersji, którą musiałabym zaserwować Polly, zabawimy tu całą noc, a ja jeszcze nawet nie zdecydowałam, w co się ubrać na wyjście. Nie mogę prosić Polly o pomoc w tym względzie, chociaż bardzo bym chciała. Wtedy musiałabym jej jednak wytłumaczyć, dlaczego tak bardzo mi zależy,

żeby wyglądać naprawdę dobrze.

– To fantastycznie.

Polly zawsze marudzi, że powinnam częściej wychodzić, spotykać się ze znajomymi. Uważa, zapewne słusznie, że zaniedbałam ich z powodu mojego pragnienia, aby po rozstaniu się z Samem skoncentrować się wyłącznie na Henrym. Jediną przyjaciółką, która jeszcze mnie nie opuściła, jest Polly i to tylko dlatego, że jest uparta.

– Pewnie ta dziewczyna zna również Sama, co? – ciągnie Polly, marszcząc czoło.

– Tak, oczywiście.

– Zdaje sobie sprawę, że zostawił cię dla tej... tej... *bździągwy*? – Gniew Polly wywołany tym, jak potraktował mnie Sam, oraz jej pogarda dla Catherine, jego nowej, młodszej żony nie ma granic.

Czuję gwałtowny przypływ uczucia do niej. Ona, Aaron, ja i Sam nigdy nie stworzyliśmy czwórki przyjaciół. Czasem spotykaliśmy się na kolację. Kiedyś bardzo chciałam, abyśmy zostali paczką, tak jak inne znane mi pary, które spędzały razem wakacje. Teraz jednak cieszę się, że Polly „należała” tylko do mnie, a między Aaronem i Samem nigdy nic nie zaiskrzyło.

– Nawet nie wiem, czy zdaje sobie sprawę, że byłam żoną Sama – mówię. – Chociaż nie byłabym zaskoczona, gdyby wiedziała o całej historii. W szkole zawsze znała wszystkie najnowsze plotki.

Nie, pewnie nie o „całej” historii. Nikt jej nie zna. Nawet Polly.

– Hmm, rozumiem. No dobra. – Widzę, że to, co za chwilę powie, zaplanowała już na długo, zanim tu przyjechała. – A zastanawiałaś się już nad tym, co ci powiedziałam? O internetowych randkach?

– Sama nie wiem, Polly. Nie sądzę, żebym była gotowa na poznanie kogoś nowego. – Dłużej niż to konieczne szukam w szafce torebek z herbatą. – Wiesz, że muszę się skoncentrować na Henrym i na pracy. Nie mam zbyt wiele czasu na nic więcej. – Problem nie polega na tym. Chodzi o mnie. Chyba coś we mnie pękło. Po tych wszystkich latach z Samem nie miałabym pojęcia, jak nawiązać nową romantyczną znajomość.

– I właśnie dlatego powinnaś to zrobić! Potrzebujesz czegoś innego, czegoś, co będzie tylko dla ciebie. Świetnie rozumiem, dlaczego musiałaś do tej pory poświęcać całą swoją energię Henry’emu, zwłaszcza w tym roku, ze względu na rozpoczęcie nauki w szkole, ale od odejścia Sama minęły już dwa lata. To bardzo długo, Lou.

Ja mam wrażenie, że stało się to zaledwie wczoraj. Ból nieco stępsiał, ale wciąż jest obecny, jak pulsowanie dziąsła po wyrwaniu zęba. Czasami umiem zostawić to bolesne miejsce w spokoju, ale w inne dni nie jestem w stanie się powstrzymać od dotykania go językiem i sprawdzania, jak bardzo nadal boli. Bez względu na to, jak układało się nam pod sam koniec, nie mogę zapomnieć tego uczucia, że kiedyś byliśmy jednością, a nie dwojgiem indywidualnych bytów, jak byliśmy pochłonięci sobą, jak wyglądało moje odbicie w lustrze jego spojrzenia – piękniejsze niż w rzeczywistości. Jak kiedyś byliśmy dla siebie wszystkim i nie potrzebowaliśmy nikogo innego. Odrywam się od wspomnień o Samie i wracam do Polly.

– Wiem – mówię niechętnie. – Pewnie masz rację, chociaż wcale mi nie jest źle samej. Może nawet lepiej.

– Cóż, na pewno lepiej ci bez niego, ale mogłabyś być szczęśliwsza. Zasługujesz na trochę rozrywki, na związek z kimś, kto będzie cię traktował należycie i dla kogo będziesz priorytetem. Kto będzie się tobą opiekował.

– Sam to wszystko robił – odpowiadam niechętnie.

Czasem wydaje mi się, że Polly zapomina, jak szczęśliwi byliśmy z Samem aż do czasu, kiedy kilka lat temu wszystko zaczęło się psuć; o tym, jak bardzo mnie kochał, a nawet potrzebował. W wieku szesnastu lat nie wymagał żadnego towarzystwa. Był bardzo pewny siebie, niemal arogancki, chociaż wtedy nigdy w życiu bym czegoś takiego o nim nie powiedziała. Trzymałam moje całkowite oddanie w tajemnicy, ponieważ obawiałam się, że wyśmiałyby takie szczeniackie uczucia. Kiedy jednak ponownie się spotkaliśmy dziesięć lat później, Sam się zmienił; był łagodniejszy, nieco bardziej wrażliwy i mniej pewny siebie. Coś w nim zareagowało z wdzięcznością na bezkrytyczne nastoletnie uwielbienie,

jakie nadal do niego żywiłam.

– O mój Boże! – mówi Polly. – Dlaczego wciąż go bronisz? To, co ci zrobił, było okropne.

– Wiem, wiem, ale nie była to tylko i wyłącznie jego wina.

– Właśnie, że tak! To była całkowicie jego wina! – Polly zbiera niesforne włosy w koński ogon i zaczyna go skręcać w kok z frustracji. Odbywałyśmy tę rozmowę już wiele razy i obie zdajemy sobie sprawę, że nigdy nie dojdziemy do porozumienia w tej kwestii, więc postanawiam odciągnąć ją od tematu.

– A z tymi randkami internetowymi... co ja miałabym w ogóle o sobie powiedzieć?

– Ach! Akurat o to w ogóle nie musisz się martwić – Polly uśmiecha się niczym pokerzysta, który właśnie zamierza wyciągnąć atutową kartę. Jedną z wielu rzeczy, które w niej kocham, jest jej niezdolność do boczenia się na kogokolwiek. Potrafi w jednej minucie zezłościć się na człowieka, ale wystarczy ją rozśmieszyć i wszystko zostaje zapomniane.

– Jest pewna witryna, na której twój przyjaciel stworzy twój profil. Napisze wszystko, łącznie z tym, jakiego typu faceta szukasz. Ty możesz się rozsiąść wygodnie i czekać na oferty.

– A tym przyjacielem jest...? – Uśmiecham się, wyciskając torebki z herbatą i dodając mleka do kubków.

– Ta-dam! – Polly macha dłońmi wokół twarzy niczym tancerka z musicalu. – A tak poważnie, co masz do stracenia?

Nie chodzi o to, co mam do stracenia, ale o to, co mogłabym potencjalnie zyskać. Czy na pewno chcę się ponownie odsłonić, narazić na kolejne potencjalne zranienie? Tak ciężko pracowałam na to, kim jestem dziś – niezależną, samowystarczalną kobietą. Żyjemy sobie we dwoje, tylko ja i Henry, szczęśliwi w naszym małym świecie. Zapewnienie stabilności synowi jest teraz poza pracą moim głównym celem i chociaż przychodzą dni, w których chciałabym cofnąć czas, tak naprawdę czuję się dobrze: jestem zdrowsza i szczęśliwsza. W zasadzie nie potrafię sobie wyobrazić bycia z kimkolwiek innym. Boję się, że jestem felerna. W głowie rozbrzmiewają mi słowa, które powtarzała

moja matka w czasach mojego dzieciństwa: *wybrakowany towar*.

– Słuchaj, nie obraż się, ale założyłam ci profil na tej stronie – ciągnie Polly. – Może zajrzysz na niego i powiesz mi, co myślisz? – Przyciąga do siebie mój laptop z drugiego końca stołu.

– Zaczekaj! – rzucam się i wyrywam go jej. W aktywnym oknie jest tam profil Marii.

Polly odsuwa zmieszana rękę.

– Twoja strona nie jest jeszcze aktywna. Zaprogramowałam to tak, żebyś mogła najpierw ją przejrzeć, zanim ją załaduję.

– Och, nie, przepraszam, nie o to chodzi. – Otwieram wieko laptopa z nadzieją, że Polly nie zauważy delikatnego drżenia moich dłoni. – Po prostu mój laptop jest chroniony hasłem. Zaraz się zaloguję.

Stukam w kilka przypadkowych klawiszy, jakbym wpisywała hasło, a potem zamykam Facebooka i wręczam laptopa Polly, która otwiera nowe okno w przeglądarce i wpisuje coś przez kilka sekund.

– Proszę bardzo: Niezależna, pełna humoru kobieta szuka pokrewnej męskiej duszy, 35–50 lat, do spędzania czasu na spacerach w plenerze, na kosztowaniu znakomitego jedzenia i na wieczornych rozrywkach w mieście i w domu.

– Nienawidzę spacerów w plenerze.

– Wiem, ale oni wszyscy wydają się jej uwielbiać, więc pomyślałam, że dodanie tego zwiększy twoje szanse.

– No dobrze, rozumiem... a znakomite jedzenie? Czy nie pomyślą sobie, że to takie ukryte ostrzeżenie, iż w rzeczywistości jestem gruba?

– Będą widzieli twoje zdjęcie, więc na pewno nie dojdą do wniosku, że jesteś gruba. Zobacz – klika na fotografię, której nigdy przedtem nie widziałam. Zdjęcie zostało zrobione podczas wieczoru grillowego w domu Polly i Aarona, zeszłego lata. Jestem ubrana w jasną drukowaną bawełnianą sukienkę i okulary słoneczne. Trzymam w dłoni kieliszek z winem i zaśmiewam się z czegoś. Wyglądam na szczęśliwą i beztroską. Zupełnie jak nie ja.

– I co? – pyta Polly z nadzieją. – Mogę aktywować twój profil?

– O Boże, no dobra, dawaj. – Nigdy mi nie odpuści, a poza tym chyba

nic się nie stanie, jeżeli zapiszę się do tego portalu. W końcu nie muszę chodzić na żadne randki.

– Super! – Polly klika radośnie w klawiaturę. – No dobrze. Idź się przebrać, a ja skończę ładowanie i pójdę się pobawić z Henrym. Założyłam ci nowe konto e-mailowe specjalnie na listy od zainteresowanych, dobrze? Możesz trzymać swoje konwersacje stąd osobno. Wyślę ci szczegóły na twoją zwykłą skrzynkę elektroniczną.

Przymierzam z pięć moich najlepszych strojów, ale w każdym z nich wyglądam na wypindrzoną i zdesperowaną, więc koniec końców decyduję się na swobodną, chociaż modną kreację w postaci dzinsowej spódnicy, legginsów i golfu. Zaglądam do dużego pokoju, w którym Henry i Polly są całkowicie zaabsorbowani dramatem wykolejonego pociągu, ale mój syn odrywa się od tej tragedii, aby nadać naszemu pożegnaniu należyłą – jego zdaniem – wagę. Zawsze traktuje pożegnania bardzo serio. Nigdy ich nie lekceważy.

Zmierzam właśnie w kierunku stacji Crystal Palace, kiedy telefon zaczyna wibrować mi w kieszeni. Wyciągam go i z przerażeniem dostrzegam, że mam powiadomienia na Facebooku. Otwieram je, ale na szczęście to tylko aktualizacja na profilu Polly.

Bawię się w swatkę dla Louise Williams na matchmymate.com.

Oznaczyła mnie w tym poście, tak że pokaże się on również na mojej linii czasu.

Dzięki za poinformowanie o tym wszystkich moich znajomych

– odpowiadam, dodając uśmiechniętą buźkę, żeby wiedziała, iż wcale się nie gniewam. W dzisiejszych czasach, gdziekolwiek spojrzeć, ludzie randkują w internecie, więc nie mam nic przeciwko temu, aby moi znajomi się o tym dowiedzieli. Z uśmiechem wyobrażam sobie reakcję niektórych z nich na post Polly. Już nie mogę się doczekać komentarzy. Nagle zdaję sobie sprawę z zaskoczeniem, że od jakiegoś czasu szukałam

sposobu powrotu do mojego życia. Może to jest to?

Rozdział 5

2016

Grzebię w torebce w poszukiwaniu karty Oyster, kiedy zaczynam mieć wrażenie, że ktoś mnie obserwuje.

Nie mam nic konkretnego na potwierdzenie, po prostu czuję dziwne łaskotanie na karku. Rozglądam się, ale peron jest pełen ludzi – pasażerów wracających do domów i mieszkańców okolic udających się do centrum Londynu na wieczorne wyjście. Staram się oddychać równo i spokojnie: jestem przewrażliwiona, to tylko moja wyobraźnia. Tym niemniej, zaciskam pięści schowane w torbie. Napięcie przepływa z nich w górę do samych ramion, zgarbionych, jakby w gotowości do ataku.

Rozglądam się, prześlizgując się wzrokiem po wszystkich mężczyznach, w poszukiwaniu kobiet w moim wieku. Czy to ona – kobieta w kosztownie wyglądającym płaszczu z wełny wielbłąda stojąca przy wyjściu? Wyciąga z torby puder i odwraca się lekko w moim kierunku, sprawdzając makijaż w ostrym świetle jarzeniówek. Nie, to zdecydowanie nie ona. Uderza mnie bezproduktywność mojego zachowania. Wizerunek Marii, jaki zachowałam we wspomnieniach, jest tak czy siak nieaktualny i kto wie, jakie ciosy zadało jej życie, jeżeli jakimś cudem przetrwała? Szanse, że ją rozpoznam, są praktycznie zerowe, ale mimo to nadal rozglądam się po hali z kasami biletowymi: nie ona... nie ona... nie ona.

Przechodzę szybko przez barierkę i niemal zbiegam po schodach, starając się sprawić wrażenie, że spieszę się na pociąg, a nie że przed

czymś – lub przed kimś – uciekam. Docieram na platformę zdyszana znacznie bardziej niż wymagałby tego mój trucht. Przeciskam się między czekającymi podróżnymi na sam koniec. Widzę kłębki pary mojego urywanego oddechu. Po karku ścieka mi strużka potu. Do przyjazdu pociągu zostało jeszcze pięć minut, więc przysuwam się do ściany, przyciskam do siebie torbę i rozglądam się uważnie po zatłoczonej platformie. Kiedy nadjeżdża pociąg, wsiadam i szybko przechodzę przez pierwszy wagon, wślizgując się do drugiego i przystając w korytarzyku obok toalety. Stoję tam przez chwilę, usiłując złapać oddech, ale potem nagle elektryczne drzwi rozsuwają się, ukazując moim oczom młodego chłopaka wymiotującego do klozetu. Krzywię się i szybko przemierzam drugi wagon, zajmując miejsce przy oknie. Opieram głowę o szybę i zamykam oczy. Za oknem przesuwiają się domy, połyskując wygodnym rodzinnym życiem zza rozświetlonych okien. Podskakuję, kiedy czuję, że ktoś siada na fotelu obok. To tylko młoda dziewczyna, rozmawiająca o czymś bardzo gniewnie przez telefon. W ogóle nie zadaje sobie trudu, żeby mnie zauważyć.

Na stacji Victoria Station przecinam halę, starając się patrzeć prosto przed siebie i powtarzając sobie, że zachowuję się absurdalnie. Nawet jeżeli ktoś mnie śledzi, znajduję się przecież na zatłoczonym peronie. Jestem bezpieczna. Włączam się w falę ludzi płynącą w kierunku metra i staję na peronie. Tłum jest upakowany tak gęsto, że widzę jedynie moich najbliższych sąsiadów. Reszta jest po prostu morzem rozgrzanych ciał pocących się w zimowych kurtkach, z policzkami wciąż zaróżowionymi od mrozu panującego na zewnątrz. Nie ma mowy, żeby ktoś nadal mógł mnie śledzić. Jest tu zbyt wielu ludzi.

Zanim metro dociera do South Kensington, jestem w stanie wmówić sobie, że ogarnęła mnie paranoja. Pozwoliłam strachowi, który poczułam, kiedy otrzymałam prośbę od Marii o dodanie mnie do grona znajomych, aby zmodyfikował moje życie niczym filtr instagramowy, zaciemniając wszystko o kilka tonów. Nikt mnie nie śledzi. Maszeruję równym krokiem po schodach prowadzących na zewnątrz. Mój żołądek powoli przestaje boleć ze zdenerwowania. Najłatwiejsza droga do

mieszkania Sophie – i ta, którą wybrałam, sprawdzając wcześniej jej adres – prowadzi przez tunel biegnący pod ulicami zbiegającymi się przy muzeach. W ciągu dnia jest w nim pełno ludzi – rodzin planujących zobaczyć dinozaury w Muzeum Historii Naturalnej, turystów w drodze do Muzeum Wiktorii i Alberta. Teraz jednak jest może nie tyle opustoszały, co bardzo wyciszony. Zastanawiam się, czy nie udać się za resztą tłumu, który wychodzi z metra przez główne wyjście, ale potem daję sobie mentalnego kopniaka. Pozwoliłam sobie na panikę, strach, obawę. Zachowuję się naprawdę idiotycznie. Kieruję się w dół, w stronę tunelu.

Jestem mniej więcej w połowie drogi, kiedy słyszę kroki. Widzę mężczyznę jakieś pięćdziesiąt metrów przede mną. Oprócz nas dwojga i osoby, która jest za mną, nie ma tu nikogo. Przyspieszam nieco, z nadzieją, że nikt nie zauważy, ale jestem pewna, że kroki osoby podążającej za mną również stają się szybsze. Odbijają się echem od ścian tunelu: porządne buty, a nie adidas. Przyspieszam znowu i mój szpieg robi to samo. Ryzykuję spojrzenie za siebie i widzę postać w czarnej kurtce z kapturem na głowie. Nie mam odwagi przyjrzeć się jej dłużej, a z tej odległości nie jestem w stanie powiedzieć, czy to mężczyzna, czy kobieta. Zbliżam się już do wyjścia z tunelu i wypełnia mnie potrzeba znalezienia się na ulicy, w otoczeniu samochodów i ludzi. Zaczynam biec i osoba za moimi plecami również to robi. Torebka furkocze i podskakuje u mojego boku, a reklamówka z butelką wina, którą wybierałam przez czterdzieści minut w supermarkecie zeszłej nocy, uderza mnie boleśnie w nogi z każdym krokiem. Krew huczy mi w uszach, płuca zaczynają płonąć, a potem nagle w końcu widzę wyjście i grupkę kobiet w garsonkach nadchodzącą z naprzeciwka – roześmianych i rozgadanych. Zwalniam, oddychając ciężko. Jedna z kobiet spogląda na mnie z niepokojem.

– Dobrze się pani czuje?

– Tak, dobrze, dziękuję. – Zmuszam się do uśmiechu. – Po prostu... spieszę się.

Kobieta uśmiecha się i wraca do przerwanej rozmowy. Kiedy grupka

mnie mija i jestem już niemal przy wyjściu, oglądam się za siebie. Nigdzie nie widzę postaci w czarnej kurtce z kapturem. W tunelu nie ma nikogo poza kobietami. Ich śmiech odbija się echem od ścian tunelu.

Już na ulicy opieram się na chwilę o ścianę, żeby odzyskać oddech – do tej pory bowiem wciągałam panicznie powietrze jak duszący się człowiek. Tutaj, w podświetlonym latarniami ulicznymi świetle pełnym ludzi, samochodów i życia, mój strach nagle wydaje mi się całkowicie przesadzony. Co ja sobie niby wyobrażałam, że się stanie?

Zmuszam się do sprawdzenia mapy na komórce i ruszam w drogę, nadal na nieco niepewnych nogach, kierując się w stronę mieszkania Sophie. Wkrótce znajduję się na ulicy, wzdłuż której ciągną się rzędy eleganckich kremowych georgiańskich szeregowców odgrodzonych od publicznej drogi czarnymi żeliwnymi płotami. Na zewnętrznych parapetach stoją wypielęgnowane skrzynki z kwiatami. Normalnie próbowałabym zajrzeć z zazdrością przez ogromne, otwierane pionowe okna, podziwiając antyczne meble i pieczołowicie odrestaurowane kominki. Moje własne mieszkanie wydałoby mi się nijakie w porównaniu z tymi wnętrzami. Niektóre z tych budynków wciąż stanowią jeden dom, włączając w to piwnicę przebudowaną w przytulną, lecz kosztownie wyglądającą kuchnię z miejscem na miękką kanapę oraz obowiązkową wyspę kuchenną. Dzisiaj jednak nie mogę się skoncentrować na niczym poza Marią.

Mijają mnie ludzie w garniturach, opatuleni w kurtki, chroniący się przed mroźnym wiatrem, spieszący się po pracy do domu, do ciepłej kąpieli, przytulnych pokoiów i kolacji przygotowanych przez ich ukochanych. Mijam grupkę nastolatek odzianych w jednoczęściowe piżamy, kozaki z owczej skóry, z wielkimi lokówkami we włosach. Tańczą razem, nie zważając na zimno, trzymając się za ręce i zanosząc się ze śmiechu. Czuję ukłucie zazdrości podbarwione wstydem i nagle zaczynam żałować, że nie siedzę teraz skulona na kanapie, czytając Henry'emu opowiadanie o Tomku i przyjaciołach.

Kiedy docieram do drzwi mieszkania Sophie, spoglądam na rozświetlone okna z żaluzjami, szczelnie zamkniętymi, aby odegnąć

wdzierającą się z ulicy ciemność. Przez chwilę zbieram się w sobie, a potem wciskam guzik na samej górze. Kilka sekund później słyszę stukot stóp i w witrażowym panelu drzwi wejściowych stopniowo zaczyna materializować się czyjaś sylwetka. A później drzwi otwierają się i oto jest. Spoglądamy na siebie przez kilka sekund, obie niepewne, jak to rozegrać. Potem Sophie uśmiecha się promiennie, rozjaśniając się na twarzy.

– Louise! – Nachyla się, żeby pocałować mnie w policzek, ale najwyraźniej zmienia zdanie, ponieważ przyciąga mnie do siebie i przytula. Zatapiam się w jej zapachu, w jej osobowości. Obezwładniają mnie wrażenia i wspomnienia. Wszystkie te lata, podczas których tak bardzo się starałam zapomnieć, teraz topnieją. Przez chwilę znów mam szesnaście lat i jestem dziwną, pełną sprzeczności, pełną życia nastolatką.

Z bliska Sophie nie przypomina tak do końca tej świetlistej idealnej istoty z facebookowych zdjęć, ale niewiele jej brakuje. Z rażącym brakiem poszanowania dla srogiej pogody ma na sobie obcisłe džinsy, spod których wyzierają bosa stopy, oraz srebrzystą tunikę z cienkiej siateczki, ozdobioną dość masywnym srebrnym naszyjnikiem. Jej złotawe kosmyki opadają na opalone ramiona i oczywiście Sophie jest dyskretnie, lecz profesjonalnie umalowana. Wcześniej, kiedy przyglądałam się sobie w lustrze, byłam dość pewna siebie, ale teraz czuję się jak totalne bezguście.

– Hej, hej! – wykrzykuje Sophie. – Dobrze cię znowu widzieć!

Widzę, że nawet mówiąc, używa wykrzykników.

– I wzajemnie – udaje mi się wykrztusić. – Wyglądasz świetnie. Jak się miewasz?

– Och, doskonale, naprawdę, bardzo, bardzo dobrze – papla, wciągając mnie do wyłożonego kafelkami korytarza i przyglądając mi się od stóp do głów, z przekrzywioną głową. – Ach, nic się nie zmieniłaś.

Na górze, w jej mieszkaniu na ostatnim piętrze, panuje niemal ukrop i czuję, jak pot zaczyna wsiąkać mi w materiał bluzki pod pachami i między piersiami. Bardzo bym chciała zdjąć sweter, ale nie mogę

ryzykować, że Sophie zobaczy ciemne plamy potu.

Mieszkanie Sophie jest nieskazitelnie czyste, z wysokimi, dodającymi przestrzeni sufitami i drewnianymi podłogami. Mimo wszystko jednocześnie wydaje się bardzo przytulne. Z samego środka sufitu w dużym pokoju zwisa ekstrawagancki kryształowy żyrandol.

– Prześliczne mieszkanie. – Wręczam jej butelkę wina kupioną na tę okazję.

– Ach, tak, dziękuję. Chodźmy do kuchni.

Podążam za nią do małej, lecz gustownie i kosztownie urządzonej kuchni. Sophie wkłada moją butelkę do lodówki i nalewa nam po kieliszku z innej.

– Czy... mieszkasz tutaj sama?

Następuje przerwa.

– Emm... tak. – Zerka w stronę lodówki, na której przyczepione magnesami wiszą zdjęcia i powiadomienia o spotkaniach. Sophie wydaje się zakłopotana i przypuszczam, że nie ma specjalnie ochoty przyznać, iż jest samotna. Chociaż znajduję się w tej samej sytuacji, mała, skryta, małostkowa część mnie cieszy się, że ona również wylądowała jako czterdziestoletnia singielka.

Zabieramy wino do dużego pokoju, gdzie Sophie zaprasza mnie gestem do zajęcia miejsca na jednym końcu fioletowej aksamitnej sofy, sama zaś mości się wygodnie na drugim, niczym kocica. Kanapa jest tak obszerna, że chcąc trzymać stopy na podłodze, nie mogę odchylić się na oparcie, siedzę więc na brzeżku ze ściśniętymi kolanami, przekładając kieliszek z ręki do ręki.

Pomimo jej wystudiowanej niefrasobliwości widzę, że Sophie jest równie zdenerwowana. Zadaje mi kolejne pytania – czym się zajmuję zawodowo, czy lubię swoją pracę, gdzie mieszkam – nie dając mi możliwości zapytania o cokolwiek.

– A twoi rodzice? Jak się mają? – pyta, kiedy już wyczerpujemy wszystkie inne tematy.

– Bardzo dobrze, dziękuję. Nadal mieszkają w Manchesterze. – Nie mam dużo więcej do powiedzenia. Nie to, że się pokłóciliśmy, bo moim

zdaniem do tego trzeba nieco więcej intymności. Po prostu panuje między nami swego rodzaju dystans, podobnie jak między mną i wszystkimi ludźmi, którzy nie znają prawdziwej mnie i nie wiedzą, co zrobiłam.

– Często ich odwiedzasz? – ciągnie.

– Niezbyt. Nie jest to łatwe, rozumiesz sama. Praca i w ogóle. – Tak naprawdę to wcale nie jest trudne. Manchester to tylko kilka godzin drogi pociągiem z Londynu. Problem w tym, że spędzanie czasu z moimi rodzicami jest dla mnie ogromnym wysiłkiem. Nasze relacje są bardzo powierzchowne, konwersacje zawsze krążą gdzieś w pobliżu grani, nigdy nie zagłębiając się w dół. Trudno jest mi utrzymać pozory dłużej niż kilka godzin od czasu do czasu.

– A co z twoimi rodzicami? – pytam.

– Och, oboje umarli. Tata odszedł, kiedy miałam dwadzieścia jeden lat, a kilka lat potem dołączyła do niego mama. – Ton jej głosu nie zmienia się ani na jotę. Nadal jest szczebiotliwie radosny, ale wyczuwam w jej słowach pewną kruchość.

– Bardzo mi przykro z tego powodu.

– Tak, dzięki. – Zbywa płynnie moje kondolencje. – Hej, opowiedz mi trochę więcej o swojej pracy. Nie jest ci trudno prowadzić własny biznes?

Zaczynam się przesadnie rozwódzić na temat niebezpieczeństw zakładania własnego biznesu projektowania wnętrz i na temat nagród, które zdobyłam. Po chwili oczy Sophie zaczynają zachodzić mgłą. Ożywia się nieco, kiedy wspominam o tym, że po zdobyciu jednej z nagród za projekt wnętrz napisano o mnie artykuł w gazecie, w Sharne Bay. Okazuje się, że zainteresowała się tym tylko dlatego, że o niej również napisano w tej samej gazecie, kiedy wzięła udział w biegu charytatywnym.

– A ty? – pytam wreszcie. – Czym ty się zajmujesz zawodowo?

– Pracuję w modzie.

– Och, to wspaniale. A co konkretnie robisz?

– Różne różności, sama rozumiesz. Sprzedaż, marketing, to i owo.

Wyczuwam, że z jakiegoś powodu specjalnie prześlizguje się nad tym

tematem, więc nie drażę głębiej. Zdaję sobie sprawę, że nie zapytała mnie jeszcze o partnera albo dzieci. Czy to dlatego, że wie o mnie i o Samie, czy też dlatego, że nie chce nawiązywać do swojej własnej sytuacji? Wydaje się zdenerwowana, jakby bombardowanie mnie pytaniami było sposobem utrzymania konwersacji w wybranym tonie. Kiedy w końcu brakuje jej pytań, zapada milczenie, a ja rozpaczliwie zaczynam szukać nowego tematu. Sophie spuszcza wzrok i zaczyna nerwowo bawić się kieliszkiem, nietypowo zmieszana.

– Naprawdę cieszę się, że cię widzę, Louise – mówi. – Wiesz, byłaś dla mnie bardzo ważna. Byłaś jedyną osobą, z którą mogłam... normalnie porozmawiać, wiesz? Miałam wrażenie, że naprawdę ci na mnie zależy, nie tak jak niektórym innym ludziom.

Niemal zapominam języka w gębie. Chyba było odwrotnie i to ja zyskiwałam na naszej szkolnej przyjaźni, nie ona? Była moim biletem wstępu do innego świata, osobą, dzięki której nie zmieniałam się w Esther Harcourt. Z perspektywy czasu być może rzeczywiście byłam dla Sophie kimś w rodzaju bezkrytycznie uwielbiającej ją akolitki, której tak desperacko potrzebowała, ale w tamtych czasach tak bardzo pragnęłam zatrzymać ją przy sobie, że nigdy nie przyszło mi do głowy rozważanie, co ona z tego miała.

Zaczynam odpowiadać, ale mi przerywa, jakby pożałowała tego, co przed chwilą powiedziała.

– No dobra... cieszysz się na zlot? – Uśmiecha się, sprawiając wrażenie, że doskonale wie, iż dowiedziałam się o zjeździe stosunkowo niedawno. Typowa Sophie. Nasza konwersacja przeniosła się na zwyczajny temat tak płynnie, że nie jestem już pewna, czy tylko nie wyobraziłam sobie tej chwili bezbronności.

– Tak, tak, na pewno będzie niesamowicie – odpowiadam. – Nie mogę się doczekać.

– Wiesz, że Sam też się wybiera? Słyszałam o was dwojgu. Taka szkoda.

A zatem wie. Czy naprawdę ubolewa nad moją sytuacją? Nigdy nie byłam pewna co do tego, czy za czasów szkolnych między nią i Samem do

czegoś nie doszło, i idiotyczna nastoletnia część mnie podskakuje z zazdrości. Sophie przygląda mi się w zamyśleniu spod rzęs, wyraźnie zaniepokojona.

– Nie sądzisz, że będzie to dla was nieco dziwne spotkanie?

– Nie, absolutnie. Rozstaliśmy się w przyjaźni – odpowiadam, jakbym czytała ustęp ze scenariusza, który mogłabym nazwać „Moje życie w idealnym wydaniu”. Jego imię na ustach Sophie, w połączeniu z przeszłością otulającą mnie ciemnym szalem, sprawia, że ciężar spoczywający na moich barkach staje się nieco trudniejszy do zniesienia.

– Od kogo się dowiedziałaś?

– Och, sama wiesz, jak takie rzeczy się roznoszą – odpowiada. – Nadal spotykam się czasem ze starymi znajomymi z paczki. Z Mattem, Claire. Ludzie plotkują. To chyba Matt mi o tym powiedział. Był na waszym ślubie, prawda?

Przyszedł sam, stojąc niepewnie w swoim urzędowym garniturze, nie znając absolutnie nikogo. Pamiętam, jak Polly o czymś z nim rozmawiała i powiedziała potem, że jest miły. Chyba się jej podobał. Oczywiście było to jeszcze zanim wyszła za mąż.

Co Matt opowiedział Sophie na temat mnie i Sama? Nikt nie zna intymnych szczegółów naszego związku. Nikt nie wie, że kiedyś zwykliśmy spędzać całe weekendy w łóżku, całkowicie zaabsorbowani sobą, ignorując zaproszenia w odwiedziny do znajomych. Byliśmy dla siebie wszystkim.

– Macie też dziecko, prawda?

– Tak – odpowiadam przez zaciśnięte zęby. – Mamy dziecko, teraz już czteroletnie – nagle desperacko pragnę znaleźć się z powrotem w domu, spoglądając na Henry’ego przez szczelinę w uchylonych drzwiach do jego pokoju, sprawdzając, czy już śpi, wchodząc do środka, żeby go pocałować i po raz kolejny zachwycić się zapachem mojego śpiącego syna.

– Och, to słodkie. – Sophie jest wyraźnie w ogóle niezainteresowana. Tak czy owak, Henry jest ostatnią rzeczą, o jakiej chcę z nią rozmawiać.

– A co z Timem? Timem Westonem – pytam, jakby dopiero co wpadło mi to do głowy. – Widziałaś się z nim kiedyś?

Sophie spogląda na mnie uważnie.

– Nie. Nie widziałam go od lat. Dlaczego pytasz?

– Po prostu zauważyłam, że jest na liście ludzi, którzy przyjadą na zlot, a poza tym przyjaźnił się z bratem Matta, więc pomyślałam... – przerywam. Właśnie spektakularnie sknociłam wstęp do tematu, na który naprawdę chciałam z nią porozmawiać.

Sophie zaczyna wyliczać wszystkie inne osoby, które zamierzają się pojawić na spotkaniu, informując mnie o życiu ludzi, z którymi straciłam kontakt od czasu zakończenia szkoły w 1989. W szkole Sharne Bay High nie było klasy maturalnej, chociaż gdyby nawet istniała, z całą pewnością nie zostałabym tam na kolejny rok. Nie po tym, co się wydarzyło.

Poszłam do klasy maturalnej do college’u w sąsiednim mieście, zdałam egzaminy i po opuszczeniu domu i wyjeździe na uniwersytet nigdy nie obejrzałam się za siebie. Wkrótce po tym, jak rozpoczęłam studia, moi rodzice przenieśli się do Manchesteru, żeby mieszkać w pobliżu dziadków, więc nigdy nie spędzałam świąt w Norfolku i nie utrzymywałam z nikim kontaktu, z determinacją, choć bez entuzjazmu, rzucając się w wir studenckiego życia. Zanim zesłiśmy się z Samem, na długo po skończeniu przeze mnie nauki, całkowicie straciłam kontakt ze wszystkimi ludźmi ze szkoły i chociaż wiedziałam, że on od czasu do czasu spotykał się z Mattem Lewisem, działa się to bardzo rzadko, a ja nigdy się do nich nie przyłączałam.

Prośba Marii o dodanie do grona moich przyjaciół leży mi na żołądku niczym klucha niedogotowanego makaronu, powstrzymując mnie od pełnego zaangażowania się w konwersację. Nie to, że ma to jakiegokolwiek znaczenie, bo ledwie mogę wykrztusić z siebie słowo. Mam to okropne, zapierające dech w piersi wrażenie, jakie przychodzi, kiedy człowiek zdaje sobie sprawę z nadejścia rychłego wybuchu konwersacyjnej bomby, chociaż jego rozmówca nie ma o tym pojęcia. Trzymam palec w kółku zawleczeni, ale Sophie nie zdaje sobie z tego sprawy.

Wreszcie następuje chwila ciszy, więc wykorzystuję ją i zaczynam:

– Sophie, tak właściwie to skontaktowałam się z tobą nie bez powodu...

muszę z tobą o czymś porozmawiać.

– Tak? – odpowiada ostrożnie, upijając łyk wina.

– Otrzymałam dziwny... dziwną prośbę o dodanie do grona znajomych na Facebooku. – Przerywam na chwilę, pragnąc zatrzymać jeszcze na kilka sekund normalność. Kiedy to powiem, kiedy wtajemniczę w to wszystko kogoś innego... czymkolwiek „to” jest, nastąpi koniec. Nic już nie będzie takie, jak dawniej. – Od Marii Weston.

Nie sądzę, żebym to sobie wyobrażała: Sophie wyraźnie blednie, a jej oczy na chwilę robią się okrągłe. Potem jednak szybko i płynnie zakłada maskę.

– Och, ty też? – Śmieje się. – Od dziewczyny, która utonęła?

Czyli nie chodzi tylko o mnie. Znajduję w tym fakcie dziwne ukojenie. Ale Sophie chyba nie jest aż tak bezwzględna, żeby śmiać się z tej sprawy. Jedynym możliwym wytłumaczeniem jest to, że kłamie – udaje nonszalancję, tak jak względem osoby, z którą nie miało się nigdy nic do czynienia i której życie nigdy nie zetknęło się z twoim własnym.

– Tak. Od dziewczyny, która utonęła – odpowiadam znacznie surowiej niż zamierzałam. Sophie spogląda na mnie zaskoczona i może nawet nieco przestraszona, chociaż szybko to ukrywa.

– Czy to dlatego tu jesteś? – Znów zaczyna się śmiać. – To z całą pewnością jakiś niesmaczny żart, prawdopodobnie ze strony kogoś wybierającego się na zlot. Założę się, że wszyscy dostali tę samą wiadomość.

– Przypuszczam, że to możliwe – właściwie jest to podejrzenie, którego trzymałam się kurczowo przez ostatnie cztery dni, niczym rozbiłek kawałka roztrzaskanego kadłuba statku. – Tylko kto zrobiłby coś takiego? I dlaczego ja? Nie wiedziałam o zjeździe absolwentów, kiedy dostałam wiadomość. Swoją drogą, to dość oczywiste.

– Dlaczego oczywiste? – Sophie wstaje z sofy i nalewa sobie kolejną porcję wina z butelki na stoliku kawowym, nie oferując mi dolewki. Siada w fotelu po drugiej stronie stolika i powoli pije alkohol. Nie jestem w stanie dostrzec jej wyrazu twarzy, ukrytego w cieniu.

– No wiesz, to, jak ją potraktowałam... i to, co zrobiłyśmy... – płaczę

się. – Chociaż prawie nikt o tym nie wie, prawda?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Louise. Ledwie ją znałam. – Sophie odstawia stanowczo kieliszek na stolik kawowy.

Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę. Przez ostatnie dwadzieścia siedem lat żyłam w cieniu tego, co zrobiłyśmy, co ja robiłam. Oczywiście, moje życie toczyło się dalej. Studiowałam, pracowałam, robiłam zakupy i gotowałam; byłam przyjaciółką, córką, żoną i matką. Mimo to przez cały czas gdzieś w najgłębszym zakamarku mojego umysłu czaił się ten niewybaczalny akt – ściśnięty, stłoczony, sprasowany, ale zawsze obecny. Niepewność, jaką odczuwałam przez cały ten wieczór, nagle znika, zastąpiona gniewem. Myślałam, że będę w stanie porozmawiać z Sophie o tej sprawie.

– Owszem, znałaś! I wiesz, co zrobiłyśmy: zmieniłyśmy jej życie w piekło. A co z tamtym wieczorem na balu absolwentów?

– Naprawdę nie mam pojęcia, o co ci chodzi – odpowiada stanowczo. Wstaje i chwyta swój kieliszek, a potem nachyla się i zabiera również mój, chociaż jest w nim jeszcze sporo wina. Rusza w kierunku kuchni, trzymając je w obu dłoniach. – Słuchaj, naprawdę świetnie się było z tobą spotkać, ale obawiam się, że będę musiała cię pożegnać. Och... – przerywa, gdy rozlega się dzwonek do drzwi. – To pewnie Pete.

– Kto? – pytam zdezorientowana. Chciałam jej opowiedzieć o zaginionej fotografii i o tym, że ktoś chyba mnie śledził w drodze do jej mieszkania.

– Pete. Mój chłopak – dodaje, widząc kompletne niezrozumienie na mojej twarzy. – Przepraszam, ale chyba wspomniałam, że to będzie szybki drink, prawda? Na pewno ci powiedziałam, że nie będę ci w stanie poświęcić całego wieczoru.

Odstawia kieliszki na blat, sprawdza makijaż w zdobnym połączanym lustrze wiszącym nad kanapą, potrząsa włosami, które opadają jej na ramiona i zbiega lekko na dół. Siedzę na sofie z płonącymi policzkami. Jak to możliwe, że nadal potrafi wywołać u mnie takie emocje? Powinnam być wściekła za taką gburowatość, a tymczasem czuję się zażenowana i ośmieszona. Słyszę męski głos i śmiech Sophie, a potem

odgłosy dwóch par stóp wchodzących na górę.

– Poznaj moją przyjaciółkę, Louise.

– Och, przepraszam za najście – mówi wyraźnie zakłopotany mężczyzna. Ma na oko czterdzieści parę lat, jest średniego wzrostu i ma krótko przycięte siwiejące włosy. Nie można powiedzieć, że jest przystojny, ale widać, że czuje się dobrze we własnej skórze i w swoim ubraniu złożonym z czarnych dżinsów i wyblakłej denimowej koszuli pod ciemnym wełnianym płaszczem.

– Och, to żaden problem. Louise właśnie wychodziła. Prawda, Louise?

Gramolę się z kanapy, czerwona jak burak, i chwytam torebkę nieco zbyt roztrzepanym gestem.

– Tak, niech się pan nie przejmuj – mówię do nieznanego. – Wpadłam tylko na szybką lampkę wina. I tak muszę gdzieś jechać. Miło mi poznać. – Wyciągam do niego rękę, którą ściska o kilka sekund zbyt długo.

– Odprowadzę cię. – Sophie wypycha mnie pospiesznie z pokoju i prowadzi po schodach w dół. W korytarzu wręcza mi płaszcz i otwiera drzwi.

– Fajnie było się z tobą spotkać – mówi radośnie. – To co, pewnie do zobaczenia na zlocie?

Jej głos brzmi lekko i optymistycznie, ale nie mogę nie zauważyć tego, że Sophie unika spojrzenia mi w oczy na dłużej niż ułamek sekundy. Mówimy sobie do widzenia i po chwili stoję znów samotnie na ulicy, jeszcze bardziej zdezorientowana niż przed wizytą. Nie potrafię się pogodzić z tym, że Sophie postanowiła przepisać swoją przeszłość – chociaż pewnie nie powinnam się dziwić, zważywszy na to, że sama robiłam to samo przez wiele lat.

Ruszam przed siebie, ale po kilku krokach zatrzymuję się i oglądam za siebie. Przez kolorowy witraż drzwi wejściowych widzę, że Sophie nie wróciła od razu na górę i stoi oparta o framugę, jakby potrzebowała wsparcia. Trwa tak, nieruchoma, przez dobre trzydzieści sekund, a potem wyzywającym gestem odrzuca włosy i wraca do mieszkania.

Rozdział 6

1989

Sophie nie wspomniała o Marii przez kolejne kilka tygodni, więc postanowiłam pójść za jej przykładem i również nic nie mówiłam. Widywałam ją w szkole i czasem rozmawialiśmy, ale zawsze dzwoniły mi w uszach słowa Sophie „dowiedziałam się już o niej kilku rzeczy”, więc nigdy nie spoufalałam się z nią zbyt. Widziałam kilka razy Marię siedzącą z Esther Harcourt w porze lunchu, zaśmiewające się z czegoś. Esther wyglądała na najszczęśliwszą od czasów podstawówki.

Trzy tygodnie po mojej pierwszej konwersacji z Marią w stołówce szłam właśnie korytarzem, kiedy zobaczyłam ją stojącą samotnie na końcu kolejki po lunch. Wiedziałam, że będę musiała się do niej przyłączyć, chyba że odwrócę się na pięcie i w ogóle zrezygnuję z jedzenia. Sophie wyszła z Claire zaraz po dwóch godzinach francuskiego, nie zamieniając ze mną ani słowa, więc założyłam, że był to jeden z tych dni, w których nie zamierzała ze mną siedzieć na stołówce. Maria stała zwrócona twarzą w stronę kasy, więc dotknęłam jej ramienia. Podskoczyła i spojrzała na mnie nerwowo.

– Och, hej! – Jej oczy rozjaśniły się radośnie.

– Cześć. Jak ci leci?

– Dobrze, dzięki. Naprawdę w porządku.

Widziałam Sophie i Claire Barnes stojące daleko przed nami na samym początku kolejki. Sophie odrzuciła głowę do tyłu, śmiejąc się. Lśniące włosy zsunęły się jej z ramion. Nagle poczułam przypyływ

gniewu. Dlaczego muszę siedzieć sama w te dni, w które Sophie nie ma ochoty na moje towarzystwo? Odwróciłam się do Marii i się uśmiechnęłam.

Kiedy dotarliśmy do deserów, Maria wybrała pączka. Ja również. Nigdy tego nie robię, kiedy idę na lunch z Sophie. Miło było móc wybrać to, na co naprawdę miałam ochotę. Już przy kasie Maria trochę się spieszyła, ponieważ miała jeden z żetonów na darmowe dotowane obiady szkolne, ale udałam, że wcale tego nie zauważyłam.

Zanim zdążyłam zasugerować, żebyśmy usiadły gdzie indziej, Maria postawiła tackę na stole za plecami Sophie i Claire, które jadły lunch w towarzystwie Sama Parkera i Matta Lewisa. Słyszałam, jak rozmawiają o używkach, które wzięli podczas zeszłego weekendu. Wybrali się na jedną z tych dużych, głośnych imprez organizowanych na jakiejś farmie w pobliżu domu Claire Barnes. Podobno wszyscy tam biorą ecstazy albo amfę. Ja oczywiście nigdy nie zostałam zaproszona – nie to, że rodzice pozwoliliby mi pójść. Pamiętam, jak tamtego dnia myślałam o tym, że za bardzo bym się bała zażywać narkotyki, chociaż mała częśćka mnie była zaintrygowana. Maria wywróciła oczami.

– Rany gościa, ludzie, którzy biorą prochy, są TACY NUDNI – powiedziała, nie zadając sobie trudu, żeby ściszyć głos. – Nie potrafią rozmawiać o niczym innym.

Może to tylko moja wyobraźnia, ale wydało mi się, że plecy Sophie nieco zeszywniały.

– Brałaś już coś kiedyś? – spytała Maria.

– Próbowałam marychy – odparłam cicho, niemal szeptem. – Tak naprawdę nic nie poczułam, tylko zrobiło mi się niedobrze.

– Ja to samo. – Uśmiechnęła się. – Jak już mówiłam, *nudne*.

Zaczął wzbierać we mnie śmiech i wkrótce nie mogłyśmy się powstrzymać od chichotu, chociaż żadna z nas nie wiedziała, dlaczego. Widziałam, że Sophie dyskretnie obejrzała się na nas kilka razy, ale nawet to nie zdołało mnie powstrzymać.

– Jeżeli chcesz, mogę się z tobą wybrać do miasta – powiedziała Maria, kiedy wreszcie się uspokoiłyśmy. – Po szkole? Mój brat dzisiaj po mnie

nie przychodzi.

Rzuciła to niezobowiązująco, ale słyszałam w jej głosie nadzieję.

– Sam! – wykrzyknęła za naszymi plecami Sophie z udawanym przerażeniem. Obejrzałam się, a ona roześmiała się sztucznie i zdecydowanie zbyt głośno, trącając Sama łokciem. W odpowiedzi chwycił ją za rękę i unieruchomił ją za jej plecami, uśmiechając się leniwie i spoglądając jej prosto w oczy, gdy Sophie bezskutecznie usiłowała się uwolnić.

– Hej, dajcie spokój – rzucił pozornie beztrosko Matt Lewis, ale widziałam, jak zaciska dłoń wokół widelca, aż kostki mu zbieleły. Nie spuszczał wzroku z twarzy Sophie.

– Tak, chodźmy do miasta – powiedziałam do Marii.

Zapomniałam, że był to pierwszy dzień wesołego miasteczka i na rynku zamiast zwyczajowych stoisk z poliestrowymi spódniczkami i mieszankami orzechów dzisiaj panowała feeria kolorów i świateł. Przechadzałyśmy się, przyglądając się wszystkim atrakcjom, bombardowane przez jazgotliwe jarmarczne melodyjki dobiegające nas ze wszystkich stron. Maria kupiła watę cukrową wielkości swojej głowy, a ja jabłko w polewie toffi. Moje zęby przebijały się z chrzęstem przez lśniącą warstwę polewy, która ustępowała mdłej, rozczarowującej włóknistej konsystencji rdzenia. Ponieważ była dopiero szesnasta, na karuzelach i w kolejkach siedziały głównie dzieciaki, ale i tak zafundowałyśmy sobie przejażdżkę na „filizankach”, które kręciły się wokół własnej osi, gdy karuzela wirowała powoli. Po wszystkim wytoczyłyśmy się na zewnątrz, walcząc z mdłościami i zawrotami głowy, trzymając się siebie nawzajem i zanosząc się ze śmiechu.

– Chcesz pójść na gorącą czekoladę albo coś w tym stylu? – spytała Maria i zapięła kurtkę, chroniąc się przed nietypowo dla tej pory roku mroźnym wiatrem. Znalazłyśmy stolik przy oknie w kafejce Oven Door i zasiadłyśmy w przyjemnej, przyjaznej ciszy, obserwując ulicę za szybą.

– O, tam jest twoja koleżanka. – Maria wycelowała palcem w okno i rzeczywiście, dostrzegłam Sophie wędrującą chodnikiem, wygłupiającą

się i trzymającą za rękę Matta Lewisa i Sama Parkera. Poczułam ukłucie bólu, ale Maria się roześmiała.

– O Boże, ale z niej zdzira! Co ona sobie wyobraża, że jak to wygląda?

– Dokładnie. – Uśmiechnęłam się, zaskoczona tą herezją i faktem, że wydało mi się to zabawne. Nie byłam przyzwyczajona do ludzi wyśmiewających się z Sophie.

– Zajrzemy do Topshopu? – spytałam, dopijając resztkę mojej czekolady.

– Jasne, chodźmy – odparła Maria swobodnie, nie ukrywając radości z tego, że ją o to poprosiłam.

Zabrałyśmy do przymierzalni mnóstwo ubrań. Maria usiłowała przekonać mnie do zakupu jaskrawoczerwonej miniówki, ale wyglądałam w niej okropnie. Sama przymierzyła naprawdę fajny filcowy kapelusz, ale wyglądała w nim jak naśladowczyni Michaela Jacksona. Kiedy wyszłyśmy, nadal zaśmiewając się z powodu nakrycia głowy, znów natknęłyśmy się na Sophie, siedzącą na ławce między oboma chłopakami. Tym razem nas dostrzegła.

– O, witam moje drogie – zachichotała. – Dobrze się bawicie?

Zamierzałam coś wymamrotać, ale Maria mnie wyręczyła.

– Tak, dzięki. A ty? – odparła radośnie, lecz z pewną uszczypliwością.

Sophie wyglądała na chwilowo zbitą z tropu, ale za chwilę uśmiechnęła się krzywo.

– Ja też, dziękuję. – Objęła ramionami Matta i Sama. – Bawimy się świetnie.

Sam oparł głowę o jej bark i uśmiechnął się szeroko, przymykając oczy. Matt zachowywał się nieco bardziej sztywno. Siedział z dłońmi opartymi na ławce tuż obok ud.

Maria uniosła brwi.

– Hmm, na to wygląda. No cóż, jeżeli coś takiego jest dla ciebie zabawą, to wiem, kim jesteś... chodź, Louise. Idziemy.

Chwyciła mnie za ramię i odciągnęła w kierunku swojego domu, który, jak odkryłyśmy wcześniej, znajdował się w drodze do mojego. Gdy tylko znalazłyśmy się poza zasięgiem słuchu Sophie, spojrzałam na Marię na

wpół przerażona i na wpół z podziwem.

– Dlaczego to powiedziałaś?

– Och, daj spokój, Louise. Sophie jest okropna. Widzę to doskonale, a jestem tu dopiero od kilku tygodni. Wykorzystuje cię po prostu, żeby samej poczuć się lepiej. Potrzebuje kogoś, kto będzie wsłuchiwał się w każde jej słowo i z kim będzie mogła się spotykać w te dni, gdy Claire postanowi ją ignorować. Widziałam, jak cię traktuje. Jednego dnia jest twoją najlepszą przyjaciółką, a następnego całkowicie cię lekceważy. Specjalnie flirtuje z chłopakiem, o którym wie, że ci się podoba.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Poczułam, że się czerwienię, co oczywiście zaprzeczało mojemu pozornemu niezrozumieniu. Najwyraźniej nie udało mi się wystarczająco dobrze ukryć moich uczuć do Sama przed światem. Poza tym, nikt nigdy nie wyraził się tak jasno na temat mojej przyjaźni z Sophie. Przypuszczam, że w głębi duszy zawsze wiedziałam, że jestem tą gorszą stroną, ale sądziłam, że to cena, którą wszyscy płacą za przyjaźń z popularnymi osobami.

– Daj spokój, nie jestem głupia. Lubisz Sama Parkera, prawda? A jeśli ja to widzę, to Sophie zdecydowanie zdaje sobie z tego sprawę.

– Śledzisz mnie czy co? No dobrze, może rzeczywiście go lubię – przyznałam. – Ale tylko w platoniczny sposób, bo wiem, że nic nigdy się między nami nie wydarzy. Poza tym Sophie on chyba też się podoba. Wcale nie robi mi tego na złość. Na pewno chce z nim być. Pasują do siebie. Sam nigdy w życiu nie zechciałby się ze mną umówić.

– A może jednak tak.

– Nie, mówię poważnie. Chłopcy tacy jak on nie spotykają się z dziewczynami takimi jak ja. Co najwyżej możemy się zaprzyjaźnić, chociaż nie sądzę. Sam ledwie zdaje sobie sprawę z mojego istnienia.

– W takim razie może powinnaś to zmienić – odparła. – Nigdy się nie dowiesz, jeżeli nie spróbujesz.

Zmieniłam szybko temat. Z pewnością nawet nowa widziała, że Sam jest całkiem poza moim zasięgiem – choćbym znalazła w sobie odwagę na coś więcej niż tylko uśmiechnięcie się do niego.

W drodze powrotnej do domu Marii nieźle się uśmiealiśmy z jej

wytrawnych komentarzy na temat różnych uczniów z naszego rocznika. Jak na kogoś, kto zaczął chodzić do naszej szkoły dopiero kilka tygodni temu, obserwacje Marii były zaskakująco trafne. Umiała rozpoznać wszelkie słabości, kompleksy i absurdy w ludziach, którzy w moim bezkrytycznym spojrzeniu byli wręcz boleśnie odłowieni. Maria wykonała również doskonałą parodię pana Jenkinsa, proszącego ją lubieżnie, żeby została w klasie po lekcji, w celu „przedyskutowania jej wypracowania”. Już przed furtką do domu zawahała się, wyraźnie bijąc się z myślami.

– Chciałabyś... chcesz do mnie na chwilę wstąpić?

Dywan na korytarzu jej domu był przypalony na brzegach i rozpaczliwie potrzebował odkurzenia. W całym domu pachniało smażonym smalcem. Tapeta odklejała się od ścian, a poręcz na schodach została usunięta, zostawiając w ścianie poszarpane dziury od przyczepów. Było bardzo cicho, ale kiedy Maria głośno się przywitała, z kuchni wynurzyła się jej mama, wycierając ręce o ściereczkę kuchenną, która widziała już lepsze dni. Podobieństwo między matką i córką było uderzające: ich długie cienkie włosy były lekko pofalowane, a orzechowe tęczówki upstrzone złotymi i zielonymi cętkami.

– Hej! Jestem Bridget – powiedziała. Zawsze czułam się trochę nieswojo, nazywając rodziców moich znajomych po imieniu, i zasadniczo starałam się w ogóle unikać zwracania się do nich w jakikolwiek sposób. – Jak to miło poznać jedną z koleżanek Marii. Witam! – Rozłożyła ramiona w przesadnym geście, uderzając ścierką w ścianę. – Jak masz na imię?

– Louise. Dzień dobry.

– Och, Louise! Tak, wiele o tobie słyszałam!

Zastanawiałam się, co Maria naopowiadała mamie o mnie.

– Zostań na herbatę! A w zasadzie to zostań na kolację!

Zaczęłam czuć się nieco przytłoczona i właśnie zamierzałam wymigać się jakoś z zaprosin, kiedy Maria powstrzymała swoją rodzicielkę.

– Mamo! Przestań, to zenujące. Chodź, Louise, pójdziemy do mojego pokoju.

– Przynieść wam herbatę i ciasteczka? – zawołała za nami Bridget,

kiedy Maria pospiesznie wprowadziła mnie po schodach na górę.

– Nie, mamó. Niczego nie chcemy.

Maria zamknęła za nami drzwi, z których odłaziła farba, i opadła na łóżko. Dywan nie bardzo pasował do wystroju tego pokoju, ale widać było, że Maria zrobiła, co mogła. Łóżko było przykryte indyjską narzutą, najgorsze fragmenty ścian zostały udekorowane reprodukcjami Salvadora Dali, a biały plastikowy regał był pełny książek.

– Przepraszam cię za mamę.

– Nie ma sprawy. – Przysiadłam na łóżku obok niej. – Czy... czy ona zawsze się tak zachowuje w stosunku do twoich przyjaciół?

– Kiedyś tak nie było. Zanim... przed wydarzeniami w mojej starej szkole była normalna. To znaczy nadal jest, tylko... och, nieważne. – Palce Marii powędrowały nieświadomie w stronę wisiora, złotego serca na łańcuszku, który zawsze nosiła na szyi.

– O co chodzi? Możesz mi powiedzieć. Nikomu nie wypaplam, zwłaszcza jeśli nie chcesz.

– W ogóle nie chcę o tym rozmawiać. To były okropne czasy. Tak jak ci powiedziałam w porze lunchu mojego pierwszego dnia, było tak źle, że musieliśmy się przeprowadzić i zmienić szkołę. Mi było okropnie, oczywiście, ale mama przeżyła to jeszcze bardziej. Kiedyś powiedziała mi, że jest takie przysłowie: rodzic jest tylko tak szczęśliwy, jak jego najnieszczęśliwsze dziecko. Jeżeli to prawda, musi być cholernie nieszczęśliwa.

Zapadła cisza. Widać było wyraźnie, że Maria nie zamierza zagłębiać się w szczegóły, więc zmieniłam temat.

– Podoba mi się twój wisiołek. Skąd jest?

– Nie wiem. Tata mi go dał. – I znów zaczęła obracać w palcach złote serce. – To była pierwsza rzecz, którą sam mi kupił. To mama zawsze organizowała prezenty. Powinnam wiedzieć, że nie zostanie z nami zbyt długo. Czy twoi rodzice nadal są razem?

– Tak. – Nie potrafiłam sobie wyobrazić, żeby mama i tata mieli się rozwieść. Nigdy nie traktowałam ich jako dwojga oddzielnych ludzi, już raczej jako jedność: rodziców.

– Cóż, moi nie są. Rozstali się, kiedy wyjechaliśmy z Londynu. Myślę, że to wszystko przez stres... z powodu tego, co się wydarzyło.

Co mogło być aż tak potworne, że skłoniło jej rodziców do rozstania? Nie miałam pojęcia, czy Maria rzeczywiście nie chce na ten temat rozmawiać, czy po prostu pragnie, żebym nakłoniła ją, może nawet siłą, do otworzenia się przede mną.

– A co się stało? – spytałam.

Przez chwilę wyglądała, jakby zamierzała mi powiedzieć, ale potem jej twarz zmieniła się w maskę.

– Porozmawiajmy o czymś innym.

Postanowiłam przyjąć nieco inną taktykę i zaczęłam opowiadać jej o różnych nauczycielach, o ich dziwactwach. Przekazałam jej wszystkie szkolne plotki na temat tego, kto się z kim umawiał. Odniosłam w tym trochę większy sukces. Spędziłyśmy w jej pokoju ponad godzinę, z przerwami na wizyty Bridget, która przyniosła nam niechcianą herbatę i czekoladowe herbatniki. Marudziła z wyjściem nieco zbyt długo, przyglądając się mi i Marii zaśmiewającym się z różnych rzeczy, namawiając mnie na pozostanie na kolację, jednak odmówiłam, wiedząc, że moi rodzice oczekują mnie w domu.

Wreszcie pożegnałyśmy się z Marią na progu jej domu. Odchodziłam z dziwnym ciepłym i nieco bolesnym wrażeniem, które pojawia się, kiedy człowiek zbyt długo śmiał się ze szczerego serca. Ze zmieszaniem zdałam sobie sprawę, że przez całe popołudnie nie musiałam się martwić o to, co powiedzieć. Nie cenzurowałam każdego słowa w moim umyśle, sprawdzając, czy przypadkiem nie ośmieszę się, wypuszczając je z ust. Zawsze tak się czułam przy Sophie, jednak z Marią moje popołudnie nie zmieniło się w kolejne sztywne przedstawienie, lecz było całkiem wyluzowane. Nie musiałam się nieustannie pilnować. Byłam sobą.

Idąc w kierunku furtki, niemal wpadłam na ciemnowłosego, solidnie zbudowanego chłopaka o takich samych piwnych oczach jak u Marii i jej mamy. Nie przedstawił się, tylko spojrzął na mnie podejrzliwie. Uśmiechnęłam się, czując nagły rumieniec wstydu, z niewiadomej przyczyny. Bez słowa wyszłam za furtkę. Nie obejrzałam się, ale czułam

na sobie jego spojrzenie, przewiercające mnie na wylot. Odetchnęłam dopiero, gdy skręciłam za róg ulicy.

Wieczorem tego samego dnia siedziałam w pokoju, udając, że odrabiam pracę domową, kiedy zadzwonił telefon. Odebrałam, podnosząc słuchawkę aparatu stojącego na podeście schodów tuż obok mojego pokoju.

– Halo?

– Lou? Mówi Sophie.

Jej głos był łagodny i pełen wahania, zupełnie pozbawiony zwykłej pewności siebie, którą okazała nam wcześniej, na mieście. Przez chwilę pomyślałam, że zamierza mnie przeprosić. Zsunęłam się plecami po ścianie korytarza i usiadłam na podłodze, przyciągając kolana do brody. Zaczęłam nawijać kabel telefonu na palec.

– Martwię się o ciebie. Przestałaś się ostatnio spotykać ze mną i dziewczętami.

Dziewczętami? Sophie jest jedyną z ich paczki, która w ogóle okazuje jakiegokolwiek zainteresowanie mną. Reszta ledwie zdaje sobie sprawę z mojego istnienia – chyba że potrzebują ściągnąć ode mnie pracę domową. Część mnie chciała automatycznie przeprosić i sprawić, że wszystko wróciłoby do dawnej normy. Nadal jednak rozbrzmiewały mi w głowie słowa Marii i wciąż nie zniknęła jeszcze iluzja pewności siebie, jaką dało mi spędzenie całego popołudnia z nią.

– O co ci chodzi? Przecież od jakiegoś czasu w ogóle ze mną nie rozmawiasz.

– Jesteś niesprawiedliwa – odparła urażonym tonem. – To ty mnie ignorujesz. Nie miałam z kim wybrać się dzisiaj do miasta po szkole. Claire zachowała się dziś jak ostatnia suka wobec mnie. Szukałam cię przez całe popołudnie.

– Ale przecież byłaś na mieście z Mattem i Samem! I wyglądałaś na dość zadowoloną.

– Ach, oni. Poszłam z nimi tylko dlatego, że nie miałam nikogo innego do towarzystwa. Ty za to zdecydowanie dobrze się bawiłaś.

– Owszem. – Moja stanowczość powoli zniknęła. Czy rzeczywiście

Sophie była smutna? Czy odczytałam wszystko niewłaściwie? – Ale przecież... gdybym wiedziała, że chcesz się z nami wybrać, mogłaś się przyłączyć.

– No nie wiem, czy z *wami* – odparła ostrożnie. – Chciałam się wybrać na miasto z tobą.

– A co masz przeciwko Marii? Jest naprawdę miła.

– Pewnie masz rację, chociaż wybacz, ale dziś po południu zachowała się dość nieuprzejmie w stosunku do mnie. A poza tym, co ty tak naprawdę o niej wiesz? Skąd ona się tu nagle wzięła? To, co o niej słyszałam... cóż, nie powinnam plotkować. Jeżeli chcesz się z nią przyjaźnić, to oczywiście zależy od ciebie. Ale nie porzucaj swoich starych przyjaciół, Louise, inaczej możesz ich stracić. Jeżeli nie będziesz ostrożna, możesz skończyć jak Esther Harcourt. – Sophie zachichotała cicho, ale z wyczuwalnym niepokojem, sygnalizując, że chociaż to żart, w jej słowach tkwiło ziarno prawdy. – Oczywiście od ciebie zależy, z kim się będziesz zadawała, ale na twoim miejscu zastanowiłabym się nad swoimi priorytetami.

Po skończeniu rozmowy siedziałam na podłodze jeszcze przez kilka minut, z ręką na słuchawce. Rozważałam bunt przeciwko Sophie i zastanawiałam się, co by to dla mnie oznaczało pod względem towarzyskim. Rozmyślałam o przyjęciach, o nocowaniu u niej, na co prawie już czułam się zaproszona i czego tak bardzo pragnęłam. Zastanawiałam się, czy jestem gotowa na zrezygnowanie z tego wszystkiego dla kogoś, kogo bardzo lubiłam, ale kogo prawie nie znałam – a kto potencjalnie mógł stać się moim jedynym przyjacielem w szkole.

Następnego dnia nie miałam przed południem żadnych wspólnych zajęć z Marią. W czasie przerwy poszłam prosto z biologii do biblioteki i przesiedziałam tam całe dwadzieścia minut, udając, że czytam książkę o czasach anglosaskich. Zamierzałam zrezygnować z lunchu, ale Sophie zatrzymała mnie w drodze powrotnej i zaciągnęła mnie ze sobą do kantyny. Mój pieczony ziemniak był przesuszony i zaczął pękać od środka. Dodałam małą porcję galaretowatej fasolki po bretońsku (bez masła), dostrzegając kątem oka Marię stojącą nieco dalej za mną

w kolejce. Zapłaciłam i Sophie pociągnęła mnie zdecydowanie za sobą do stolika w dalszym lewym kącie stołówki, siadając obok mnie i opiekuńczym gestem kładąc mi dłoń na ramieniu. Czułam, bardziej niż widziałam, podchodzącą do mnie z tyłu Marię. Położyła rękę na oparciu krzesła obok mnie, ale Sophie była na nią gotowa.

– Przepraszam, ale to miejsce jest zajęte. – Uśmiechnęła się promiennie.

– Nie wygląda na zajęte – odparła Maria. – Wręcz przeciwnie, wygląda na całkiem puste, chyba że siedzi tu jedna z twoich wychudzonych koleżanek, która zeszczuplała tak bardzo, że nikt jej nie widzi. – Spojrzała na mnie z nadzieją na uśmiech lub choćby na skinięcie głową, ale ja tylko wpatrywałam się z uwagą w swoje jedzenie, przesuwając palcami po brązowych nierównościach plastiku, jakbym była ślepa i czytała Braille’a.

– Zajęłam je dla przyjaciółki – powiedziała Sophie, nader wyraźnie akcentując ostatnie słowo.

Maria zaryzykowała jeszcze jedno spojrzenie na mnie, ale mój wzrok nadal pozostał wbity w tackę z jedzeniem.

– Aha, w porządku. Rozumiem – odparła. Zabrała swoją tacę i poszła do najbardziej oddalonego od nas stołu.

Wychodząc ze stołówki, spojrzałam na nią. Kiedy myślę o Marii, widzę ją właśnie taką: siedzącą samotnie z ledwie tkniętym jedzeniem przed sobą, przygarbioną, bladą, wpatrującą się niewidzącym spojrzeniem w podręcznik do matematyki. Dostrzegłam, że Esther Harcourt również obserwuje ją z innego stolika, przy którym siedziała równie samotna, z nieotwartą książką w dłoni.

Rozdział 7

Stoi na moście, wpatrując się w wodę – brązową i niezbyt zachęcającą do kąpieli w chmurny zimowy dzień. Kłycie jej zaciśniętych na ciemnej drewnianej poręczy dłoni sterczą, pobielale. Na powierzchni wody unosi się pusta puszka po napoju gazowanym, podskakując na falach i znikając pod mostem. To jedyny kolorowy punkt na tej błotnistej wstędze prześlizgującej się przez miasto. Mogłaby przebiec przez jezdnię, niczym w samobójczej wersji misiów-patysiów, żeby zobaczyć, czy puszka pojawi się po drugiej stronie; żeby sprawdzić, czy ona też wypłynie.

To nader znajomy impuls. Żyła z nim przez wiele lat. Po raz pierwszy poczuła go tamtej nocy, wiele lat temu, i od tamtej chwili powracał do niej w regularnych odstępach. Jak wyglądałoby jej życie, gdyby podjęła wtedy inną decyzję? I nie tylko jej życie, ale jej bliskich? To wszystko najbardziej odbiło się na jej rodzinie. Ich życie nigdy nie wróciło do normy. Starali się jak mogli, żeby ją wspierać, być przy niej, ale tak naprawdę nie rozumieli. Bo jak?

Spogląda w dół na wodę, która płynie pod nią i oddala się od niej. Jej myśli wracają jak zwykle do tamtego czasu i miejsca; do tamtej decyzji i jej implikacji, nadal wpływających na jej życie.

Najbardziej na świecie pragnie wszystko naprawić, zrównoważyć szalę. Tamtej nocy cały świat przestał mieć sens. Gdyby tylko potrafiła znaleźć sposób na przywrócenie go do dawnego stanu. Może wtedy potrafiłaby wciąż jakoś żyć. Żyć w pełni, zaangażować się w świat, zamiast pustej egzystencji w cieniach półistnienia, gdzie nikt nie wiedział naprawdę,

kim była.

Rozluźnia chwyt na poręczy i powoli odchodzi, zostawiając za sobą płynącą, wirującą wodę. Nie tym razem, myśli.

Nie tym razem.

Rozdział 8

2016

Kolejny raz następuje w poniedziałek rano, trzy dni po moich odwiedzinach u Sophie i dokładnie tydzień po otrzymaniu prośby o dodanie do grona znajomych. Na zewnątrz jest piękny, słoneczny jesienny dzień – jeden z tych, kiedy człowiek czuje, że lato jeszcze nie do końca odeszło. Promienie słońca przenikające przez żaluzje ogrzewają powierzchnię stołu kuchennego, przy którym z wysiłkiem staram się skoncentrować na pracy. Jestem już spóźniona z oddaniem dwóch propozycji wystroju dla potencjalnych nowych klientów i widzę, że nie wyrobię się również z projektem dla Rosemary. Nieustannie sprawdzam Facebook, bojąc się nadejścia tej chwili. Modłę się, żeby to wszystko okazało się odosobnionym wydarzeniem, źle zaplanowanym żartem kogoś, kto zamierza się pojawić na zjeździe absolwentów. Z każdym mijającym dniem kiełkuje we mnie maleńkie ziarenko nadziei, że nigdy więcej nie dostanę od niej żadnej wiadomości.

Kiedy nadchodzi powiadomienie o nowej wiadomości od Marii Weston, z pośpiechu płaczą mi się palce, gdy ją otwieram.

Biegnij tak szybko, jak chcesz, Louise. Nigdy mi nie uciekniesz. Każda rana zostawia bliznę.
Zapytaj Esther Harcourt.

Siedzę przez kilka chwil, czytając wiadomość wielokrotnie, jakby miało to jakoś ujawnić wskazówkę co do tego, kto to robi i dlaczego. „Biegnij

tak szybko, jak chcesz”. Czyli ktoś jednak mnie śledził tamtej nocy. Wiedziałam!

„Zapytaj Esther Harcourt”. Widziałam raz Esther na mieście, po tamtym wydarzeniu. Odwróciła wzrok, jakby moja przewina mogła w jakiś sposób na nią przejść – jakby wstyd był chorobą zakaźną przenoszoną przez powietrze. Nie знаła całej prawdy, bo gdyby tak było, zrobiłaby dużo więcej niż tylko to.

Była jedyną osobą, z którą Maria rozmawiała przez ostatnie tygodnie poprzedzające bal absolwentów. W tym, co wiem o Marii, są wielkie dziury. Może Esther będzie w stanie je wypełnić. Cały weekend spędziłam, analizując każdy szczegół mojego spotkania z Sophie, i myśl o rozmowie z kimś, komu szczerze zależało na Marii, wydaje mi się dziwnie pokrzepiająca.

Wpisuję jej nazwisko w przeglądarce, ale Esther nie ma na Facebooku. Uciszam okropną nastoletnią część mojego umysłu, który natychmiast dochodzi do wniosku, że Esther nie ma żadnych przyjaciół. Wielu ludzi nie korzysta z Facebooka z różnorakich, nader uzasadnionych przyczyn. Ponieważ ten plan spalił na panewce, próbuję znaleźć ją przez Google. Przeglądarka wyrzuca sporo linków. Na samym początku listy jest LinkedIn i widzę, że to konto Esther. Jest prawniczką i nadal mieszka w Norfolk. Na zdjęciu profilowym widnieje kobieta, którą czas potraktował nader dobrze. Wygląda milion razy lepiej niż w szkole. Grube jak denka od butelek okulary zostały zastąpione eleganckimi modnymi oprawkami, a włosy, które u nastoletniej Esther wyglądały niczym wiecznie potargany szarobury wiecheć, teraz są gęstą, lśniąca kasztanową grzywą.

Jest partnerem w dziale testamentów i wierzytelności w jednej z największych firm prawniczych w Norwich. Wygląda na to, że jest młodą ambitną wilczycą, ma prezentacje na konferencjach, pisze artykuły – to jedna z tych osób, które prawdopodobnie są zapraszane do dawnej szkoły, żeby wygłosić motywujące przemówienia. Kiedy niedawno zdobyłam nagrodę za wystrój wnętrz i napisano o mnie artykuł w „Sharne Bay Journal”, myślałam, że dyrekcja szkoły będzie

chciała mnie zaprosić w tym samym celu, ale nikt się do mnie nie odezwał.

Teraz, kiedy już wiem, gdzie pracuje Esther, mogłabym zadzwonić lub napisać do niej e-mail, ale nie mogę się pozbyć wspomnienia sprzed lat, kiedy nasze spojrzenia się spotkały, a potem Esther odwróciła wzrok. Przychodzi mi do głowy szalony pomysł. Chwytam za telefon. Dwie minuty później Serena Cooke jest umówiona z panią Harcourt w celu utworzenia zapisu ostatniej woli. Sekretarka zanotowała moje dane i usiłowała mnie wcisnąć komu innemu, ale byłam twarda. Okazało się, że normalnie musiałabym czekać, ale tak się złożyło, że ktoś w ostatnim momencie odwołał jutrzejsze poranne spotkanie z Esther. Pewnie od razu mnie rozpozna, ale przynajmniej nie będzie miała czasu, żeby się przygotować, i nie będzie mogła się wykręcić.

Następnego dnia wstajemy wcześniej. Henry zawsze chodzi we wtorki do klubu śniadaniowego, żebym mogła pracować, ale dzisiaj zamierzam go zaprowadzić nieco wcześniej niż zwykle. Siedzi w kuchni przy stole w piżamie, zajadając płatki, zaspany, zaróżowiony i nadal rozgrzany snem. Pochyliam się i całuję go, przechodząc, w myślach wyliczając rzeczy, o których muszę pamiętać: plecak na książki, torba na lunch, butelka z wodą, książka do czytania, list dotyczący wycieczki szkolnej, próbki materiałów, wysłać e-mail do Rosemary. Moja dzisiejsza mantra.

– Mamusiu? – mówi Henry pomiędzy kolejnymi porcjami płatków.

– Tak? – odpowiadam rozproszona, kręcąc się po kuchni i gromadząc wszystko, czego mieliśmy oboje dziś potrzebować.

– Wczoraj w szkole Jasper i Dylan nie chcieli się ze mną bawić.

Siadam obok niego, nagle zapominając o liście spraw.

– Jak to? – pytam z niepokojem.

– Ja chciałem się bawić w pociągi podczas czasu wolnego, ale oni nie chcieli. Ciągle ich namawiałem, ale oni chcieli się bawić na dworze.

– Nie możesz zmuszać swoich przyjaciół, żeby robili to, co ty chcesz, Henry. Wygląda na to, że po prostu chcieli się pobawić w coś innego, a nie, że nie chcieli się bawić z tobą.

– Nie, mamusiu. Nie chcieli się bawić ze mną. Prosiłem ich i prosiłem.

Dylan powiedział, że ja ciągle tylko chcę się bawić pociągami. Powiedział, że jestem nudny. – Odkłada łyżkę i wskakuje mi na kolana, obejmując mnie ramionami i nogami. Wtula rozgrzaną buzię w moją szyję. Moje serce boleśnie nabrzmiwa miłością do niego i staram się nie zastanawiać nad uczuciami, które aktualnie żywię do Jaspera i Dylana. W końcu mają tylko po cztery lata.

– A nie mogę zostać dzisiaj z tobą? – W jego stłumionych słowach wyraźnie słyhać nadzieję.

Poczucie winy zaciska się na moim gardle. Nie uda mi się dziś zrobić zbyt wiele. Próbkki materiałów i farb, które miałam zestawić dla klienta, będą musiały poczekać. Już i tak jestem spóźniona, więc jakie znaczenie ma jeden więcej dzień? Mogłabym odwołać spotkanie z Esther, zadzwonić do szkoły z informacją, że Henry jest chory, i spędzić cały dzień tuląc go do siebie na sofie i oglądając filmy Disneya. Problem w tym, że tak naprawdę moja potrzeba dowiedzenia się, o co chodzi z tą prośbą o dodanie do grona przyjaciół, przewyższa wszystko inne.

Odklejam od siebie Henry'ego i udaje mi się przekonać go do ubrania się za pomocą obietnicy, że po powrocie do domu dziś po południu będę się z nim bawiła w pociągi przez długi czas.

– Bardzo długi czas? – pyta podejrzliwie.

– Całe wieki – obiecuję.

Odwożę go do klubu śniadaniowego i jadę na wschód pod ołowianym niebem. Zostawiam za plecami autostradę. Droga ekspresowa A11 rozwija się przede mną niechętnie. Krajobraz jest przygnębiająco znajomy, mimo że nie odwiedzałam tych okolic od wielu lat: otwarte przestrzenie z niebem zasnutym grożącymi deszczem chmurami; ciągnące się aż po horyzont płaszczyzny pól; pomnik upamiętniający wojnę, stojący całkiem samotnie przy drodze, w ryku silników mijających go samochodów, na skraju lasu o tajemniczej nazwie Elveden, która przywodzi na myśl tolkienowskie stworzenia zaangażowane w fascynujące przygody, a tymczasem oferuje jedynie wycieczki rowerowe, wspinaczkę skałkową i inne zdrowe aktywności dla całej rodziny. Wiatr gwałtownie napiera na mój samochód i kilka

kilometrów za Elveden zatrzymuję się w zatoczce przy drodze i siedzę przez chwilę, zaciskając kurczowo palce na kierownicy, usiłując spowolnić nerwowy oddech. Sprawdzam telefon, jak zawsze, gdy mam chwilę wolnego czasu, ale widzę tylko e-mail od Rosemary z pytaniem o coś, co miałam zrobić dawno temu, ale nie zrobiłam.

Kiedy dojeżdżam na miejsce, zostaję wpuszczona i recepcjonistka prosi mnie o zajęcie miejsca w eleganckim pokoju wyłożonym lśniącymi drewnianymi panelami podłogowymi i wyposażonym w nienagannie obite antyczne meble. Wygląda to jak ucieleśnienie amerykańskiej filmowej wizji tego, jak może wyglądać angielska firma prawnicza. Przysiadam na brzegu haftowanego szezlongu, przesuwając się na boki i na przemian krzyżując i rozkrzyżowując nogi.

Miałam nadzieję na kilka minut w samotności, żebym mogła się pozbierać, ale wkrótce po tym, jak elegancko ubrana sekretarka wprowadza mnie do pokoju, orientuję się, że gra jest skończona. Esther unosi głowę z szerokim powitalnym uśmiechem, który w mgnieniu oka znika, a w ukrytych za szylkretowymi oprawkami oczach pojawia się zaskoczenie. Czeka, aż sekretarka wyjdzie, a kiedy się odzywa, jej ton jest nieprzyjazny i zasadniczy.

– Nie jesteś Sereną Cooke.

– Oczywiście, że nie... nie byłam pewna, czy będziesz chciała się ze mną zobaczyć.

– Rozumiem, że nie przyszłaś tutaj, żeby spisać testament?

– Nie.

– W takim razie po co?

Nadal stoję przy drzwiach, ponieważ Esther nie zaprosiła mnie do zajęcia miejsca na krześle. Przesadnym gestem i zupełnie niepotrzebnie wsuwam włosy za uszy. To nawyk, który wyrobiłam sobie w dzieciństwie. Coś w tym geście wzbudza chyba u Esther wspomnienia dawnych czasów, gdy biegałyśmy swobodnie, ubłoczone jak nieziemskie stworzenia, bawiąc się w lesie obok jej domu, ponieważ jej twarz nieco łagodnieje. Gestem zaprasza mnie na miękkie skórzany fotel stojący przed jej biurkiem. Opadam na niego z wdzięcznością.

– Nie wiedziałam, do kogo jeszcze się zwrócić.

Esther unosi brew pytająco.

– Coś się wydarzyło.

Do pierwszej brwi dołącza druga. Zbieram się w sobie.

– Otrzymałam prośbę o dodanie do grona znajomych na Facebooku. Od Marii Weston.

Mimowolne współczucie Esther, zapewne będące odruchową reakcją na moje oczywiste zdenerwowanie i zagubienie, zostaje natychmiast zastąpione zaskoczeniem i czymś jeszcze, czego nie jestem w stanie zidentyfikować. Czy to strach?

– Od Marii? Ale to niemożliwe. – Widać, że nie przywykła do tak nagłej utraty panowania nad sobą.

– Wiem, że to niemożliwe, ale cóż, tak właśnie było. Zastanawiałam się, czy... wiesz może coś o tym? Może byłabyś w stanie rzucić światło na tę sprawę?

– Jakim cudem miałabym cokolwiek o tym wiedzieć? – pyta, czerwieniejąc na twarzy. – Nie mam w nawyku zakładania stron facebookowych w imieniu dawno nieżyjących przyjaciół z czasów szkolnych. Sama nie mam tam profilu.

– Nie, oczywiście, że nie. Wcale nie podejrzewałam, że to ty za tym stoisz. Po prostu... po prostu się boję. Mam poważne podejrzenie, że ktoś był w moim mieszkaniu, i jestem pewna, że byłam śledzona kilka dni temu.

– Co takiego? – Marszczy czoło zaniepokojona. – Poszłaś z tym na policję?

– A co niby mogą zrobić? Nie mam żadnego dowodu. Jest jeszcze coś... wczoraj dostałam kolejną wiadomość od tej samej osoby. Czy mogę ci ją pokazać?

Wzrusza ramionami, jakbym tak naprawdę nie dawała jej wyboru, więc wręczam jej moją komórkę. Zaciska wargi, czytając wiadomość, zupełnie jakby chciała zatrzymać słowa, które cisną się jej na usta. Stuka w ekran i jej mina łagodnieje. Nabiera powietrza w płuca i wydycha je długo, powoli. Wiem, że patrzy na zdjęcie Marii.

– Jak sądzisz, co to znaczy, że powinnam się spytać ciebie?

– To chyba oczywiste, nie sądzisz? Obie, Maria i ja, byłyśmy prześladowane. Ktokolwiek to napisał, zdaje sobie z tego sprawę.

Zaczynam protestować, ale Esther mi przerywa.

– Wiem, wiem, ty mnie nigdy nie nękałaś. Po prostu porzuciłaś mnie, gdy tylko poszłyśmy do szkoły średniej, i nigdy więcej nie zamieniłaś ze mną słowa. Nie sądzę jednak, żeby istniało lepsze określenie na to, co ty i Sophie zrobiłyście Marii, prawda?

Czuję uderzenie gorąca ze wstydu. Nie potrafię spojrzeć jej w oczy.

– Nie powinnam tu przychodzić. – Wbijam wzrok w podłogę. – Po prostu chciałam z kimś o tym porozmawiać, a Sophie zachowała się beznadziejnie, więc pomyślałam sobie, że może ty będziesz w stanie... będziesz w stanie mi pomóc.

– Rozmawiałaś o tym z Sophie Hannigan? Nadal się z nią kontaktujesz? – Esther robi minę, jakby moja twierdząca odpowiedź miała tylko mnie pogrążyć w jej mniemaniu.

– Broń Boże, absolutnie nie. Nie rozmawiałam z nią od skończenia szkoły. Ją również odszukałam przez internet.

– Na Facebooku?

– Tak.

– Naturalnie. Założę się, że przesiaduje tam przez cały czas, prawda? „Zobaczcie, jaka jestem śliczna i jakie mam niesamowite życie”. Nie mogę tego ścierpieć. Dlatego właśnie nie zaglądam na Facebooka. Wszystko tam jest tak cholernie nieprawdziwe, zupełnie jakby ktoś specjalnie zaprojektował to, żeby ludzie czuli się gorsi i żeby ich życie wydało się im bardziej beznadziejne.

Zastanawiam się, jak mam przełamać bariery, które Esther zaczęła stawiać od chwili mojego pojawienia się w jej gabinecie.

– Posłuchaj, wiem, że potraktowałam Marię bardzo źle.

Esther prychnęła.

– No dobrze, bardziej niż źle. Kiedy o tym myślę z perspektywy czasu, napawa mnie to takim wstydem, jakbym była wtedy zupełnie inną osobą. Nie mogę uwierzyć, że Louise, którą jestem teraz, potrafiła się

kiedykolwiek zachowywać w taki sposób, jak ta młodsza ja. Nie ma dnia, żebym nie myślała o Marii. Nie jestem jednak w stanie zmienić tego, co zrobiłam. – Mój Boże, tak bardzo bym tego chciała. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że Esther nie zdaje sobie sprawy z tego, co tak naprawdę zrobiłam. – Mogę jedynie kontrolować to, kim jestem w tej chwili. Nie rozumiem tylko, dlaczego wszystko to dzieje się właśnie teraz. Czy ma to coś wspólnego ze złotem absolwentów?

– A jest jakiś zlot?

Maska Esther opada. Powiedziała to, zanim zdążyła przybrać taką minę, jaką chciała, żebym zobaczyła. Przez chwilę dostrzegam na jej twarzy emocje, których sama doświadczyłam, dowiadując się po raz pierwszy o spotkaniu: rozczarowanie, wstyd i pogarda dla samej siebie. Tyle tylko, że w przeciwieństwie do mnie ona ma publiczność, więc musi się szybko z tego otrząsnąć.

– Nie poszłabym na ten zjazd, nawet gdyby mi za to zapłacili. Ty też chyba się nie wybierasz, co?

– Pomyślałam, że może powinnam – mamrocze. Dlaczego czuję się z tego powodu taka zawstydzona? Dlaczego wciąż jestem tak bardzo związana z moją nastoletnią osobowością i moim miejscem w tamtym dawnym wszechświecie?

– Widzę, że nadal próbujesz się podczepić pod towarzystwo, Louise. Mój Boże, w ogóle się nie zmieniłaś, co?

– Wiesz co? Zapomnij o sprawie. – Najbardziej na świecie pragnę się teraz znaleźć z dala od niej. – Najwyraźniej nie jesteś w stanie mi pomóc. Albo nie chcesz.

Jej mina łagodnieje.

– Nie chodzi o to, czy chcę. Po prostu nic o tym nie wiem. Nie widziałam nikogo ze szkoły od dnia, w którym przekroczyłam ostatecznie jej próg. A w każdym razie nie jestem tego świadoma. Wiesz co, daj mi swój numer telefonu. Jeżeli coś mi wpadnie do głowy, dam ci znać.

– Dziękuję – odpowiadam cicho, zapisując numer komórkowy na karteczce.

Esther spogląda na swoje dłonie zaciśnięte w pięści i mam wrażenie, że wbija paznokcie w skórę.

– Pewnie bardzo się zdenerwowałaś, widząc tę prośbę i jej zdjęcie.

– Owszem. Chyba zostało zrobione dość dawno temu.

Nie mamy już niczego więcej do dodania, więc wychodzę z mocnym postanowieniem natychmiastowego powrotu do domu, jednak bez zastanowienia skręcam w prawo na skrzyżowaniu, pokonuję ostry zakręt i wkrótce znajduję się na przedmieściach Sharne Bay. Niewiele się tu zmieniło, chociaż wyrósł rząd nowych domów, których nie pamiętam, a narożny sklepik, do którego chodziliśmy jako dzieci po słodycze, teraz przekształcił się w Tesco Metro. Po tej stronie miasta morze jest bardzo blisko i opuszczam szybę, żeby poczuć zapach słonego powietrza.

Kiedy przejeżdżam przez tę mieszaninę boleśnie znajomych i dezorientująco nowych elementów miasta, w głowie odtwarzam moje spotkanie z Esther. Coś mnie niepokoi i kiedy automatycznie wjeżdżam na rondo po wewnętrznej, odbijając w ulicę, przy której znajduje się moja stara szkoła, nagle uświadamiam sobie, co to takiego: ta przelotna chwila, gdy na twarzy Esther pojawił się strach. Dlaczego miałyby się bać? Jeżeli ktoś robił sobie niesmaczne żarty, mszcząc się na mnie, to Esther nie musiała się niczego obawiać. Była jedyną osobą, która zawsze zachowywała się przyjaźnie w stosunku do Marii. Poza tym nie powinna się obawiać samej Marii, która przecież utonęła dwadzieścia pięć lat temu.

Prawda?

Rozdział 9

1989

Następnym razem rozmawiałam z Marią w szkole. Chyba mnie unikała, bo przez ponad tydzień prawie jej nie widywałam, z wyjątkiem lekcji, na które chodziłyśmy razem – ale i wtedy Maria uważnie wybierała miejsce tak, żeby nie musiała patrzeć mi w oczy.

Nigdy przedtem nie byłam zapraszana na przyjęcia u Matta Lewisa, ale Sophie twierdziła, że zdecydowanie zgodził się na moje przyjście. Ledwie mnie znał, ale myślę, że przystałby na wszystko, czego chciała Sophie. Jego rodzice mieli wyjechać na weekend. Widziałam mamę Matta na którejś z wywiadówek. Zaczęła rozmawiać z moją mamą, kiedy czekałyśmy na spotkanie z panem Jenkinsem. Kontrast był przezabawny: mama Matta z pasemkami we włosach zrobionymi u najlepszego fryzjera, z nienagannym makijażem, ubrana w jasnoniebieski spodnium, urocza i wyrafinowana. A obok niej moja mama, w kloszowej sukience i beżowej kurtce, z zabawną małą torebką na kolanach, desperacko starająca się podtrzymać konwersację.

Na zabawę wyszykowałam się w domu Sophie, przy akompaniamencie *Randki w ciemno* dobiegającej z głośników telewizora w jej pokoju (mama nigdy nie pozwalała mi tego oglądać w domu), podczas gdy Sophie karbowiała mi włosy. Przyniosłam do niej praktycznie całą zawartość swojej szafy i przymierzyłam wszystko przed wysokim lustrem we wnęce, która służyła jako garderoba. Sophie przeszukiwała półki, wręczając mi kolejne ubrania do przymierzenia.

– A co powiesz na to? – rzuciła mi czarną, dopasowaną minisukienkę.
– Nigdy w życiu się w to nie zmieszczę – zaprotestowałam.
– Oczywiście, że się zmieścisz. – Przytrzymała ją, żebym mogła przełożyć nogi przez sukienkę, a potem podciągnęła ją na moje biodra. Chwyciła mnie za ramiona i obróciła.

– Ach. Nie sądzę, żeby dała się zapiąć – powiedziała. – Mogę spróbować, ale nie chcę jej podrzeć.

Czerwona jak burak, z wysiłkiem wyplątałam się z sukienki.

– Oooo, a może to? – Wyciągnęła przed siebie czerwoną elastyczną spódnicę. – Jest ładna i rozciągliwa. A do tego może ten długi granatowy podkoszulek, chociaż może być też trochę przyciasny.

– Nie przejmuj się. Wolałabym założyć coś mojego.

– Ooo, naprawdę? W porządku. – Wślizgnęła się w spódniczkę, wygładzając ją na biodrach, i odwróciła się bokiem do lustra, krytycznie spoglądając na swój idealnie płaski brzuch.

– Co o tym sądzisz? Przyciasna?

Koniec końców wybrałam czarny strój, ponieważ podobno to wyszczupła, a poza tym nie chciałam zbyt się wyróżniać ani zakładać na siebie czegoś nieodpowiedniego. Sophie miała w szafie ukrytą butelkę, z której popijałyśmy, szykując się do wyjścia. Była w niej mieszanka różnego rodzaju alkoholi, które Sophie podkradła z barku – gin, rum, wódka, jakiś dziwny żółty likier, który jej mama przywiozła z wakacji, a do tego trochę coli, żeby poprawić smak.

Dom Matta znajdował się na osiedlu, gdzie wszystkie ogromne, nowiutkie wolno stojące domy miały wygląd powiększonych starodawnych dworów. Kiedy podeszłyśmy bliżej, dało się słyszeć basowe łupanie muzyki. Na ulicy widać było wiele osób najwyraźniej również zmierzających na zabawę. Ruszyłyśmy ścieżką w kierunku drzwi. Z wszystkich okien od frontu biły światła. Grupka chłopców i dziewcząt stała w ogrodzie przed domem, już pełnym niedopałków papierosów, pustych butelek i zużytych kubków. Drzwi wejściowe były uchylone, więc wślizgnęłyśmy się do środka na ogromny korytarz z podłogą wyłożoną białą-czarną terakotową mozaiką. Szerokie schody

po prawej prowadziły na górę, a po lewej widniał korytarz najwyraźniej wiodący do kuchni. Kiedy weszliśmy do ogromnego pomieszczenia, w którym panował istny upał, Sophie została przywitana przez jakichś nieznanych mi chłopców. Matt siedział przy gigantycznym dębowym stole i skręcał jointa. Obok niego po prawej dostrzegłam Sama.

– Soph! – zawołał Matt. – Udało ci się przyjść!

– Oczywiście – Nachyliła się, żeby uściskać ich obu. – Cześć, chłopaki.

Nie wiem, czy to tylko moja wyobraźnia, ale jestem pewna, że jej dłoń pozostała nieco dłużej na ramieniu Sama niż Matta, który spojrzał na mnie niepewnie.

– Hej! W porządku? Dobrze cię widzieć... emm...

– Hej – wymamrotałam, czerwieniąc się. Nie wiedział nawet, jak mam na imię, ale nie miało to znaczenia. Byłam bezpieczna za ochronną tarczą Sophie, błyszczącą tytanową ścianą stworzoną wyłącznie z popularności i urody.

– Napijcie się czegoś. – Matt machnął w kierunku marmurowego blatu, lepiącego się od rozlanych płynów, zaśmieconego petami i zastawionego do połowy opróżnionymi butelkami różnych alkoholi, cydru i czegoś jaskrawoniebieskiego oraz licznymi plastikowymi kubkami ze śladami szminki. Nigdy nie byłam na tego typu zabawie i miotałam się między szalonym podnieceniem na myśl o samej obecności tutaj i o akceptacji, jaką to oznaczało, a nieustanną obawą, że powiem nagle coś nieodpowiedniego albo popełnię jakiś błąd i wszyscy zobaczą, kim naprawdę jestem.

– Ooo, super. – Sophie pociągnęła mnie za sobą. – Skąd ty to wszystko wzięłaś?

– Część przynosili ludzie, a poza tym mój brat kupił dla mnie sporo alkoholu – odparł Matt. – Poczęstuj się czym chcesz, Soph. I... – machnął ręką w moim kierunku – ty też.

– Ona ma na imię *Louise*, ty idioto. – Sophie się roześmiała. – Boże, Lou, on nawet nie wie, jak masz na imię! Daję słowo, widujesz ją przecież codziennie w szkole.

– Sorki – wymamrotał do mnie Matt.

– Och, nie przejmuj się. – Sophie się uśmiechnęła. – Czego się napijemy, *Louise*? Wódka z colą?

W głowie już mi się kręciło od wypitej wcześniej alkoholowej mieszanki z szafy Sophie, ale ona wlała wódkę do plastikowych kubków i dopełniła colą.

– Chodź, pójdziemy zobaczyć, kto jeszcze tu jest.

Zostawiłyśmy w kuchni Matta spoglądającego tęsknie za Sophie i wyszłyśmy na korytarz, a potem skręciłyśmy w prawo do dużego pokoju. To stamtąd dochodziła muzyka. Ktoś ustawił mikser i jeden z chłopaków ze szkoły zabawiał się DJ-owaniem. Rozpoznałam kilka dziewcząt w grupce tańczącej pośrodku pokoju. Ich ciała poruszały się bez wysiłku w takt muzyki. Były zupełnie zaabsorbowane rytmem, który pulsował niczym uderzenia serca, wymagający i natarczywy. Przyglądałam się z fascynacją Claire Barnes i chłopakowi z rocznika wyżej, którzy całowali się na fotelu w rogu. Claire siedziała na nim okrakiem, a on trzymał jedną rękę na jej pupie, drugą pieszcząc jej pierś przez bluzkę. Wydawali się w zupełnie innym świecie, ale dostrzegłam kilku jego kolegów, przyglądających się intensywnie z drugiej strony pokoju, jak Claire zaczyna poruszać biodrami, a dłonie chłopaka zaczynają być coraz bardziej niecierpliwe.

– Zostawimy ją samej sobie, dobrze? – krzyknęła Sophie i odwróciła się, żeby wyjść z pokoju, ale w tym momencie podpłynął do nas Matt. Muzyka chwilowo przycichła.

– Chcesz tabletkę, Soph? – spytał.

– Jasne, masz coś?

– W tej chwili nie, ale niedługo przyjdzie Max. Powinien być w stanie coś nam załatwić. – Spojrzał na mnie. – A ty? – spytał uprzejmie. – Ty też coś chcesz?

– Och, hm, nie, dzięki.

Skrzywiłam się wewnętrznie. Nie, dzięki? Takie rzeczy mówi się, kiedy ktoś zaproponuje ci filiżankę herbaty. Muzyka – w szalonym, nieodpartym rytmie – znów zrobiła się głośniejsza. Matt chwycił Sophie za rękę i pociągnął ją na środek pokoju, żeby z nią zatańczyć. Sophie

przywołała mnie gestem, ale ja nie umiem tańczyć do tego rodzaju muzyki (właściwie do żadnego), więc potrząsnęłam głową i łyknęłam sporo mojego drinka. Stałam tam przez chwilę, przyglądając się im i zastanawiając się, jak ludzie to robią, że potrafią tańczyć w ten sposób, tak swobodnie i niemal odruchowo. Matt nie spuszczał wzroku z poruszającej się w takt muzyki Sophie, chłonąc każdy idealny cal jej ciała. Bluzka podjechała jej do góry, odsłaniając zachęcający pasek jędrnej opalanej skóry. Osuszyłam mój kubek z drinka i postanowiłam przyrzędzić sobie następny, bardziej po to, żeby mieć zajęcie, niż z jakiegokolwiek innego powodu.

Już w kuchni zorientowałam się, że Sam nadal siedzi przy stole. Nalałam sobie kolejną porcję wódki i coli, chociaż nie byłam pewna proporcji.

– Rany gościa, chyba lubisz wódkę, co?

Głos należał do Sama. Najwyraźniej przesadziłam z wódką.

– Przysiądź się, Loui-się. – Roześmiał się cicho z własnego dowcipu.

Usiadłam naprzeciwko niego. Serce trzepotało mi w piersi jak szalone. Czułam wyraźnie wypukłość mojego brzucha pod wyszczuplającym czarnym strojem, który z takim namysłem wybrałam. Czułam moje niezgrabne dłonie, wielkie i zawsze znajdujące się w niewłaściwym miejscu, gdziekolwiek je umieściłam. Sam miał na sobie biały podkoszulek w serek. Poczułam dziwne pragnienie, aby dotknąć i pogładzić palcem odsłonięty trójkąt lekko opalanej skóry. Jak do tej pory przeprowadziłam z nim najdłuższą konwersację w moim życiu.

– Nooooo Looooou. – Znów się roześmiał. Musiał być upalony. – Widziałem cię któregoś dnia z tą nową dziewczyną.

– Marią? Tak. Ona... jest w porządku – powiedziałam nieprzekonująco i zamilkłam, wspominając moją niedawną rozmowę telefoniczną z Sophie.

– Słyszałem o niej różne... interesujące historie. Kuzyn Matta Lewisa zna kogoś, kto chodził do jej poprzedniej szkoły w Londynie.

– Słyszałam, że krążyły jakieś plotki. Wiesz, o co chodzi?

Wódka i zainteresowanie historią Marii rozluźniły mnie do tego

stopnia, że byłam w stanie podjąć w miarę normalną konwersację z Samem.

– To szalona kobieta. Lubi chłopców, lubi dziewczyny, lubi to w każdy sposób, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć.

Tak dokładnie nie wiedziałam, ale miałam jako takie pojęcie. Zmusiłam się do wypicia kolejnej porcji wódki.

– Podobno posunęła się na tyle daleko, że jeden chłopak, który totalnie zwariował na jej punkcie, nie chciał zostawić jej w spokoju, zaczął ją prześladować i w ogóle. Dlatego musiała zmienić szkołę.

Zazwyczaj dzielę poznawanych ludzi (a już na pewno moich rówieśników) na dwie kategorie: tych, którzy mnie lubią, i tych, którzy mnie nie lubią. Byłam zafascynowana, choć jednocześnie nieco zdegustowana tą nową informacją na temat kogoś, kto (choć przyznam, że jedynie na podstawie mojej pobieżnej znajomości) wydawał się należeć do tej pierwszej grupy.

– Jesteś pewien? Nie wydaje się tego typu osobą.

– Ach, widzisz, Louise. Cicha woda brzegi rwie. Jeszcze tego nie wiesz?

– Uśmiechnął się szeroko. – Sama jesteś dość cicha, nie?

Zaczerwieniłam się, gwałtownie szukając odpowiedzi. Na szczęście rozmowa została przerwana przez przybycie Matta i Sophie, która przysiadła obok Sama, opierając dramatycznym gestem głowę o jego ramię i deklarując, że natychmiast potrzebuje drinka. Matt spoglądał na nich niezadowolony, przyrządzając jej kolejną wódkę z colą, a potem usiadł obok mnie, naprzeciwko Sama i Sophie, nie spuszczać oczu z jej dłoni, którą stukała żartobliwie Sama w ramię. Żadne z nich nie wydawało się zainteresowane włączeniem mnie w zawiłą rozmowę na temat precyzyjnego działania narkotyków, które wzięli na ostatniej zabawie w klubie. Byłam wdzięczna za to, że zostałam wykluczona z tej konwersacji.

W kuchni wisiał dym i zaczynałam trochę odlatywać. Nie byłam w stanie nadążyć za rozmową, nawet gdybym miała cokolwiek do dodania. Wymamrotałam coś o toalecie, ale żadne z nich nawet na mnie nie spojrzało, kiedy wstałam i wyszłam.

Wspięłam się na piętro, przechodząc nad całującymi się parami i grupkami dziewcząt pogrążonych w intensywne rozmowy. Na samej górze mogłam pójść w lewo lub w prawo. Po lewej znajdowała się prawdopodobnie główna sypialnia. Drzwi do niej były uchylone i dobiegało zza nich podejrzane szeleszczenie i dyszenie. Po prawej widniało kilkoro drzwi do wyboru. Pierwsze, jak się okazało, prowadziły do suszarni. Drugie były zamknięte na klucz, sugerując, że prowadzą do toalety. Usiadłam po turecku na podłodze, czekając na zwolnienie łazienki.

Muzyka znów przycichła, żeby za chwilę znowu wszystko zagłuszyć, ale i tak dotarły do mnie dziwne odgłosy dochodzące zza drzwi. Na początku myślałam, że ktoś wymiotuje, ale stopniowo zaczęłam rozpoznawać czyjś płacz. Dziewczyna. Wyraźnie usiłowała powstrzymać łzy, ale bezskutecznie. Zupełnie jakby ktoś je z niej wyrwał, niczym rzeźnik wytrzebający martwe zwierzę. Stopniowo przestała się zanosić płaczem i usłyszałam, jak spuszcza wodę. Pomimo że byłam nieźle pijana, usiłowałam zrobić odpowiednio nonszalancką minę, która miałaby wskazywać, że niczego nie słyszałam. Kiedy jednak drzwi otworzyły się, opadła mi szczęka, ponieważ dziewczyną w toalecie okazała się Maria.

Spojrzała na mnie z mieszaniną wstydu i butności.

– O co chodzi? – spytała, rzucając mi wyzwanie, żebym powiedziała, co słyszałam.

– O nic. – Zawahałam się. – Dobrze się czujesz?

– Och, doskonale, świetnie. – Język jej się plątał i zdałam sobie sprawę, że jest jeszcze bardziej pijana niż ja. – Po prostu zajebiście. Znacznie lepiej teraz, kiedy cię tu spotkałam.

Zaczerwieniłam się.

– Przepraszam cię za tamten dzień w stołówce szkolnej. Nie masz pojęcia, jaka potrafi być Sophie. Jeżeli zrobię coś nie po jej myśli, będę skończona. To znaczy w szkole.

– Naprawdę? Bo mi się wydaje, że w szkole jest całe mnóstwo osób, które radzą sobie doskonale bez włączenia się za nią jak psiak.

– Ale Sophie jest moją przyjaciółką – powiedziałam. – Jedną z najstarszych.

– Myślałam, że to Esther jest twoją najstarszą przyjaciółką. A raczej powinnam powiedzieć, że teraz jest nieprzyjaciółką.

– Co masz na myśli? Co takiego powiedziała ci Esther?

– Nieważne. – Maria usiłowała dotknąć nosa, ale efekt został nieco osłabiony jej nietrzeźwością. Nie trafiła i zamiast tego wsadziła sobie palec w oko. Przez chwilę wyglądała, jakby miała się znów rozplakać, ale szala najwyraźniej przechyliła się na drugą stronę i Maria wybuchła histerycznym śmiechem, opadając na podłogę obok mnie. Chwyliła mnie za ramię, a ja poczułam, jak w moim wnętrzu zaczyna dojrzewać głupawka, i wkrótce sama też płakałam ze śmiechu. Za każdym razem, kiedy przestawaliśmy się śmiać, Maria udawała, że wsadza sobie palec w oko, i znów zaczynałyśmy rzeć jak szalone.

Wreszcie się uspokoiłyśmy. Maria wyciągnęła spod kurtki butelkę z czymś, co przypominało koktajl z szafy Sophie, tyle że ten miał nieco bardziej purpurowy odcień. Podała mi go, a ja pociągnęłam spory łyk, tym razem prawie się nie krzywiąc.

– Powiedz, o co chodzi? – zaczęłam. – Słyszałam cię w łazience.

– Widziałam się dzisiaj z tatą – powiedziała, bawiąc się złotym sercem na łańcuszku. – Pamiętasz, powiedziałam ci, że mi to podarował... zanim odszedł?

Pamiętałam. To był pierwszy prezent, jaki dostała od taty.

– Powiedział, że nie będzie nas już mógł zbyt często widywać. Wyprowadza się z Londynu. Dostał pracę gdzieś na północy. – Pociągnęła mocniej za łańcuszek. Kiedy poluźniła chwyt, dostrzegłam nieznaczną różową kreskę na jej karku. Wydawało się, że Maria chce powiedzieć coś jeszcze, ale najwyraźniej zmieniła zdanie. – Nie chcę o tym rozmawiać.

– W porządku. W takim razie o czym pogadamy?

– O tym, dlaczego jesteś taką suką? – zasugerowała, trącając mnie łokciem na znak, że chociaż nie mówiła całkiem poważnie, to jeszcze mi nie wybaczyła.

– Naprawdę cię przepraszam. Po prostu Sophie zawsze była dla mnie taka miła.

Spojrzała na mnie sceptycznie.

– Naprawdę! Zaprasza mnie na różne rzeczy i w ogóle. Jak na przykład tutaj.

Rozejrzałam się nerwowo. Muzyka nadal pulsowała, odbijając się od ścian domu. Słyszałam, jak ktoś rechocze. Czy to Sophie? Miałam nadzieję, że nie znajdzie żadnego powodu, żeby wejść na górę i zobaczyć mnie rozmawiającą z Marią.

– A jak w ogóle ty się tutaj znalazłaś? – spytałam.

– Milutka jesteś!

– Wiesz, o co mi chodzi. Mnie nikt nigdy by tu nie zaprosił, gdyby nie Sophie. Kto cię wprowadził?

– Mój brat, Tim – przyznała. – Chodzi do dwulatki ze starszym bratem Matta. Jest w tym pokoju z jakąś zdzirą. – Machnęła w kierunku głównej sypialni. Tajemnicze źródło sapania.

– Dogadujesz się z nim? Z twoim bratem?

– Tak, jest w porządku. Opiekuje się mną, wiesz. Chroni mnie.

Nie miałam pojęcia, jak to jest. Sama nie miałam rodzeństwa.

– To chyba fajne – odparłam z lekką nostalgią.

– Owszem, chociaż czasem przesadza.

I znów wydawało się, że chce powiedzieć coś więcej, ale w tej chwili drzwi od sypialni skrzypnęły i wynurzył się zza nich ciemnowłosy chłopak, którego widziałam wcześniej przed domem Marii. Wciągał przez głowę podkoszulek, guzik jego dzinsów był rozpięty i nie mogłam się powstrzymać, żeby nie spojrzeć na linię ciemnych włosów prowadzącą w dół. Podszedł do nas.

– Dobrze się czujesz? – spytał Marię, zupełnie mnie ignorując.

– W porządku. – Maria wbiła wzrok w podłogę, zasłaniając twarz włosami niczym tarczą, żeby Tim nie zobaczył zapuchniętych od płaczu oczu. – Zostaw mnie w spokoju i wracaj do swojej przyjaciółki.

– Jesteś pewna, że dobrze się czujesz? – Przyjrzał mi się podejrzliwie. – Czy to nie ta panienska, która...

– Wszystko jest dobrze, Tim – powtórzyła Maria, podnosząc się z podłogi. Ja zrobiłam to samo, nie chcąc zostać z nim sam na sam. – Idziemy na dwór zaczerpnąć świeżego powietrza. Do zobaczenia później.

– Pamiętaj, żeby mi powiedzieć, kiedy będziesz wychodziła, dobra? – zawołał jeszcze za nami. Maria uniosła w górę rękę w geście, który mieścił się gdzieś pomiędzy machnięciem a pokazaniem mu środkowego palca.

Zeszliśmy na dół do kuchni, gdzie dzięki Bogu nie było ani śladu Sophie, a potem wyszliśmy przez drzwi prowadzące do ogrodu na tyłach domu. Wcześniej nie było tam nikogo, więc miałam nadzieję, że pozostaniemy niezauważone.

Na werandzie stały dwa leżaki zbudowane z drewnianych sztachetek. Ułożyliśmy się na nich na plecach pod bezchmurnym, usianym gwiazdami niebem. Nadal słyszałam hałas przyjęcia: ciężkie łupanie muzyki, brzęczenie rozmów i od czasu do czasu wybuch głośnego śmiechu. Teraz jednak był stłumiony, jakby zabawa odbywała się gdzieś daleko, a jej uczestnicy nie mieli ze mną nic wspólnego. Powietrze pachniało chłodem i czystością. Po raz pierwszy tego wieczoru wreszcie mogłam odetchnąć swobodnie.

Przez chwilę milczałyśmy, a potem Maria przekręciła się na bok i spojrzała na mnie.

– No dobra, powiedz, co takiego słyszałaś?

Gapiałam się wciąż w wieczorne niebo z wystudiowanym spokojem, którego zdecydowanie nie czułam.

– O czym?

– O mnie oczywiście. Mama myślała, że uda się to nam zostawić za nami, ale ja nie jestem głupia. Wiem, że plotki przyszły za mną i tutaj.

– Niczego o tobie nie słyszałam. Daję słowo – skłamałam.

Wiedziałam, że w głębi duszy Maria chce o tym porozmawiać, podzielić się tym, co prześladowało ją jeszcze od czasów Londynu i co zdążyło już przyciągnąć uwagę jej nowych szkolnych kolegów i koleżanek, wyraźnie ją potępiających. Cokolwiek to było, czułam zdenerwowanie. Nie wiedziałam, czy chcę zostać wciągnięta w jej świat, więc milczałam, nie

zachęcając jej.

Maria leżała na boku, przyglądając mi się przez kilka minut, aż wreszcie chyba podjęła decyzję, bo przewróciła się z powrotem twarzą do nieba. Zapadło spokojne milczenie. Moja ręka zawisała nad krawędzią mojego leżaka i musnęła dłoń Marii, która splotła swoje drobne palce z moimi. Machaliśmy lekko rękami, przyglądając się kłębkom pary wydobywającej się nam z ust przy każdym oddechu.

– Cześć, gołąbeczki! – W głosie Sophie rozbrzmiał dziwny triumf. Serce zabiło mi gwałtowniej. Wyrwałam dłoń z ręki Marii, przełożyłam nogi nad brzegiem leżaka i zbyt gwałtownie usiadłam, bo okropnie zakreśliło mi się w głowie. Drzwi do domu otworzyły się i szeroki snop światła rozjaśnił ciemną przestrzeń między leżakami. W progu dostrzegłam sylwetkę Sophie, a za nią Matta i Sama. Co zdążyli zobaczyć? Musiałam się zachwiać, ponieważ spojrzenie Matta zmieniło się z zaciekawionego w lekko zaniepokojone.

– Hej, dobrze się czujesz? Będziesz wymiotować?

– Wszystko w porządku. – Chwyciłam się brzegu leżaka.

– Chodź, napijesz się wody. – Sophie nagle stała się troskliwa niczym matka. Pociągnęła mnie w górę, objęła za ramiona i zaczęła prowadzić do środka. Pozwoliłam jej, ryzykując spojrzenie za siebie, kiedy byłam w połowie drogi do drzwi. Spodziewałam się dostrzec gniew, pogardę a może nawet litość. Nie byłam jednak przygotowana na widok czystej rozpacz na twarzy Marii, kiedy Sophie zabrała mnie od niej, z powrotem na przyjęcie.

Rozdział 10

2016

Kiedy zbliżam się do szkoły, wciąż wspominając z niepokojem rozmowę z Esther, moim oczom zaczynają się pojawiać kolejne znajome elementy krajobrazu: przystanek autobusowy usłany dywanem niedopałków, wysoki płot nadal ogradzający dziedziniec szkolny; tablica ogłoszeń przy głównej bramie, z poszarpanymi kawałkami papieru ogłaszającego Bóg jeden wie co. Kompleks szkolny zasadniczo się nie zmienił. Stara część szkoły wciąż wygląda dość uroczo ze swoją wiktoriańską fasadą z czerwonych cegieł, a „nowe” budynki wciąż są szare i klockowate, jak typowy produkt architektury z lat sześćdziesiątych, która kiedyś uchodziła za szczyt mody.

Planowałam przejechać obok, rzucając jedynie szybkie spojrzenie na to miejsce, ale pomiędzy wyblakłymi ogłoszeniami, które tkwiły na tablicy chyba jeszcze od czasów, gdy byłam uczennicą, mój wzrok przyciąga krzykliwy plakat. Zwalniam, usiłując odczytać jego zawartość i ledwie udaje mi się rozszyfrować kolorowe pękate litery układające się w obwieszczenie: Złot absolwentów rocznika 1989.

Hamuję gwałtownie i zjeżdżam na pobocze ulicy, parkując na chybił trafił, częściowo na asfalcie, częściowo na chodniku. Przebiegam szybko na drugą stronę, ignorując trąbienie i gniewne gesty kierowcy, który musiał nagle odbić w bok, żeby uniknąć wjechania we mnie. Odczytuję informację na plakacie, od góry do dołu: jest tam obietnica dyskoteki, płatnego baru z alkoholem i zimnymi przekąskami. Muzyka z lat

osiemdziesiątych i starzy znajomi. Oglądam się, czując dziwne ukłucie winy, zupełnie jakby ktoś mógł mnie przyłapać. Słyszę w głowie głos Esther: „Nadal próbujesz się podczepić pod towarzystwo, Louise?”.

Wracam z powrotem do samochodu i siedzę za kierownicą przez dobre kilka minut, wpatrując się w budynki szkoły, usiłując uspokoić jakoś szalejące we mnie emocje. Jestem teraz zupełnie inną osobą niż dziewczyna, która chodziła tu codziennie przez pięć lat, a mimo to zastanawiam się, czy nie jest to przypadkiem prawda. Część mnie z pewnością się nie zmieniła. Dziewczyna, która zrobiła tamte rzeczy, jest mną. To dlatego związek z Samem wydawał mi się taki bezpieczny. Sam znał prawdziwą mnie i wiedziałam, że nigdy nie powie nikomu o tym, co zrobiłam. Czasami obiecywał mi to, kiedy leżeliśmy w łóżku, zaabsorbowani sobą, zamykając się na resztę świata. Obiecywał mi, że mimo tej okropnej rzeczy, którą miałam na sumieniu, nigdy mnie nie opuści. Oczywiście koniec końców jednak to zrobił.

Odpalam silnik i włączam się w ruch uliczny. Kiedy docieram do końca drogi, nie mam wyboru, jak tylko skręcić w lewo i wyjechać z miasta lub w prawo, w kierunku osiedlowej części Sharne Bay. Wybieram to drugie, zdając sobie sprawę, że zarys drogi musiał wpisać się na stałe w moje wspomnienia – coś w rodzaju pamięci mięśni, nadal aktywnej po dwudziestu pięciu latach. Bez namysłu zakręcam w prawo, w kierunku mojego dawnego domu. Uliczka cały czas jest zabudowana identycznymi domkami z lat siedemdziesiątych. Wszystkie ogródki są schludne i zadbane. Na każdym podjeździe stoją przynajmniej dwa samochody – niektórym ludziom udało się jakoś wcisnąć trzy.

Zamiast zawracać samochód na tej wąskiej alejce, postanawiam jechać dalej i wjechać na główną drogę w innym miejscu, ale kiedy docieram do skrzyżowania, na którym powinnam skręcić w prawo, orientuję się, że droga jest teraz jednokierunkowa, więc muszę jechać dalej. Bez ładu i składu skręcam to w prawo, to w lewo, ufając, że w końcu wyląduję na głównej drodze przelotowej. Sharne Bay jest małym miasteczkiem i nie powinnam się zgubić. Kiedy znajome widoki zaczynają przyciągać mój wzrok – skrzynka pocztowa wbudowana w ceglana ścianę, żywopłot

w wysokiej donicy na rogu – powoli zaczynam sobie uświadamiać, że mój wybór kierunku nie jest przypadkowy. Znajduję się na ulicy, na której mieszkała Maria – drodze pełnej małych wiktoriańskich szeregowców stłoczonych razem tuż przy wąskich chodnikach. Te domy nie mają podjazdów, więc ulica jest zastawiona samochodami, ale przed drzwiami numeru 33 jest miejsce. Parkuję tam, przypominając sobie moją ostatnią tu wizytę, kiedy leżałam na łóżku Marii i zaśmiewałam się do rozpuku. Zastanawiam się, kiedy ostatnim razem tak się śmiałam, ale nie mogę sobie przypomnieć. Może takie rzeczy nie zdarzają się dorosłym? W samochodzie jest duszno, ponieważ włączyłam ogrzewanie, więc postanawiam przespacerować się, zaczerpnąć świeżego powietrza, a potem wrócić do Londynu, pozostawiając tę imprezę wspominkową (czy cokolwiek to jest) za sobą.

Kiedy wysiadam z samochodu, obok mnie przechodzi akurat łyсы mężczyzna mniej więcej w moim wieku. Prowadzi wózek z małym dzieckiem. Kiedy mnie mija, spoglądamy sobie w oczy i przez chwilę go nie poznaję, ale potem wzdycham gwałtownie, a on zatrzymuje się i znowu na mnie spogląda.

O mój Boże. Zimny sopel lodu zsuwa się wzdłuż moich pleców. Mężczyzna oczywiście wygląda starzej, może nawet dużo gorzej jak na swój wiek, ale rozpoznałabym go wszędzie. To brat Marii, Tim Weston.

– Louise? – Stoi nieruchomo na środku chodnika. – Louise Williams?

– Tim. O mój Boże, nie wiedziałam, że nadal... – Wsuwam włosy za uszy i wpycham dłonie do kieszeni, żeby powstrzymać ich drżenie. – Co ty tu robisz? Czy twoja mama... – Wskazuję na drzwi z numerem 33.

– Słucham? Och, nie. Teraz mieszkamy tu z żoną. Wykupiłem ten dom od mamy. Co ty tu robisz, Louise?

– Miałam spotkanie z klientem w tej okolicy – improwizuję pośpiesznie. – Zgubiłam się i zaparkowałam, żeby spojrzeć na mapę w telefonie.

– Ach, rozumiem. – Spogląda na mnie ze zwątpieniem. – A gdzie mieszka ten twój klient?

W głowie mam pustkę i jestem w stanie pomyśleć wyłącznie o swojej

własnej ulicy.

– Turner Street, uwierzyłbyś? – Uśmiecham się, usiłując zneutralizować podejrzliwość, jaką ta informacja z całą pewnością wzbudzi w Timie. – Twoja mama się stąd wyprowadziła czy...?

– Przeprowadziła się do domu parterowego kilka lat temu, więc odkupiliśmy od niej z żoną ten tutaj. Inaczej nie byłoby nas stać na posiadanie własnego miejsca.

– Och, fantastycznie! – Zachowuję się całkiem przesadnie. Serce trzepocze mi w piersi niczym oszalały motyl. – A to twoja córeczka?

Jego twarz nieco łagodnieje.

– Tak. Muszę zabierać ją na spacer w wózku. Tylko w ten sposób zasypia. Dzięki temu moja żona ma trochę przerwy. Czasem tego potrzebuje, zwłaszcza teraz, kiedy wróciła znów do pracy. Ma swoją własną firmę i nieźle się jej powodzi, ale jest ciężko, bo ma... – przerywa, jakby nagle uznał, że lepiej by było nie wprowadzać mnie w takie szczegóły jego życia.

Spoglądam na dziecko uśpione w różowym kombinezonie, z zaczerwienionymi policzkami i długimi rzęsami.

– Jest śliczna.

Poczęcie Henry'ego kosztowało nas z Samem wiele czasu, trudu i bólu, i kiedy wreszcie pojawił się na świecie, myślałam, że będę cieszyła się każdą minutą jego życia, każdym płaczem, każdą bezsenłą nocą. Myślałam, że kiedy ludzie opowiadają o nieprzespanych nocach, to tylko taka przenośnia. Nie zdawałam sobie sprawy, że oznaczało to dosłownie spędzanie nocy bez odrobiny snu. Wkrótce stało się jasne, że Sam nie potrafił lub nie chciał radzić sobie z szalonymi wymaganiami niemowlęctwa, ja zaś byłam gotowa przejąć wszystkie obowiązki opiekuńcze z obawy, że jeśli tego nie zrobię, on mnie porzuci. Robiłam również inne rzeczy, żeby był zadowolony i został ze mną. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że nie można kogoś powstrzymać przed odejściem.

Tim spogląda na swoją córkę z uśmiechem.

– Dzięki. – Zapada niewygodna cisza. Szukam w głowie jakiegoś

tematu. Co można powiedzieć komuś, kogo nie widziało się przez ponad dwadzieścia pięć lat i kto – wiecie to z pewnością – szczerze was nienawidzi z nader uzasadnionej przyczyny.

– Czym się zajmujesz zawodowo? – Uciekam się do tego najbardziej obiegowego pytania z uroczystych kolacji.

– Informatyką. Dojeżdżam do Londynu przez trzy dni w tygodniu, a przez resztę czasu pracuję w domu. Stąd to. – Wskazuje na wózek. – A ty? Jesteś projektantką wewnątrz, prawda?

– Tak, dokładnie. – Niepokój, który odczuwałam od chwili usłyszenia jego głosu, teraz wzrasta. Czyżby miał mnie przez ten cały czas na oku? – Skąd to wiesz?

– Nie jestem pewien... może ktoś mi powiedział. – Marszczy czoło, usiłując przypomnieć sobie, kim była ta osoba. – A, nie, już wiem! Widziałem artykuł w lokalnej gazecie. Zdobyłaś nagrodę, prawda?

– Owszem. – Wtedy byłam z tego dumna, ale teraz czuję się zastanawiająco nieprzyjemnie na myśl o tym, że ludzie z mojej przeszłości widzieli ów artykuł, wiedząc o mnie różne rzeczy, a jednocześnie sami będąc w stanie zachować anonimowość. Zaczynam mamrotać coś o konieczności powrotu do domu, ale Tim mi przerywa.

– Słyszałaś o zlocie absolwentów?

– Tak, czytałam coś o tym na Facebooku – odpowiadam.

– Wybierasz się?

– Nie jestem pewna. A... ty? – Wiem, że zamierza się pojawić, bo widziałam jego nazwisko na liście gości. Dlaczego jestem taka zażenowana tym, że chcę wziąć udział w tym zlocie? Sophie nie ma z tym żadnego problemu, podobnie jak wszyscy inni, którzy potwierdzili swoje przybycie.

– Myślałem, że może tak. – Wbija wzrok w ziemię. – Wiem, że nie jestem wprawdzie z waszego rocznika, ale często się spotykałem z wieloma z was, a poza tym sama wiesz, Maria była z waszego roku. Pomyślałem więc, że może pojawię się trochę jakby w jej imieniu.

Wspomnienie jej imienia zapiera mi lekko dech w piersi. Chociaż przez tak długi czas była obecna w głęboko ukrytym zakątku mojego umysłu,

to od czasów, gdy byłam nastolatką, aż do zeszłego tygodnia nie słyszałam ani nie wymawiałam jej imienia. Sądziłam, że Tim i ja przebrniemy jakoś przez tą totalnie dziwną konwersację bez wspomnienia o Marii. Nagle zdaję sobie sprawę, że nie mogę pozwolić, aby ta chwila przeminęła bez przynajmniej próby z mojej strony, aby powiedzieć Timowi, jak bardzo mi przykro.

– Sądzę, że to bardzo dobry pomysł – mówię. – Posłuchaj, Tim, jeśli chodzi o Marię – zbieram się na odwagę – wiem, że potraktowałam ją źle i bardzo mi przykro z tego powodu. Chciałabym... gdybym mogła cofnąć się w czasie, postąpiłabym inaczej.

Wiem, że nie miał o mnie najlepszego mniemania już wtedy i prawdopodobnie miał rację. Ja też nie mam zbyt dobrego mniemania o sobie z czasów szkolnych.

Tim spogląda w dal.

– Nie winię cię, Louise – mówi sztywno.

– Naprawdę? Bo Esther Harcourt chyba mnie wini – mówię bez zastanowienia.

– Esther Harcourt? Nadal się z nią widzisz? Jest teraz prawniczką, prawda?

– Tak. Czyli pamiętasz Esther? – W głębi duszy jestem zaskoczona, że ktoś taki jak Tim, należący wówczas do grupy najpopularniejszych uczniów (a przecież nawet nie chodził z nami do szkoły), pamiętał Esther.

– Jasne. Przemawiała podczas nabożeństwa żałobnego, nie? Poza tym Maria spotykała się z nią dość często przed... no wiesz. Mama też o niej czasami wspomina. Obserwowała jej karierę przez te wszystkie lata. Esther była dla Marii dobrą przyjaciółką.

Niewypowiedziane słowa zawisają w powietrzu niczym smród: *W przeciwieństwie do niektórych.*

– Jak się miewa twoja mama? – wracam myślą do Bridget z dnia, kiedy widziałam ją po raz ostatni. To był wieczór, kiedy Maria zniknęła. Przypominam sobie tę rosnącą panikę, jej oczy wypełnione strachem, spoglądające prosto w moje przez kilka wstrząsających sekund.

– Niezbyt dobrze, szczerze mówiąc. Ostatnio podupadła na zdrowiu, a poza tym jest samotna. Po odejściu taty nigdy nie poznała nikogo innego. Narodziny wnuczki trochę pomogły, ale nigdy nie otrząsnęła się z tego, co stało się z Marią.

Oczywiście, że nie. Jak mogła?

– Posłuchaj, Louise, żadne z nas nie wie, co się wydarzyło tamtej nocy.

Usiłuję zachować obojętną minę.

– Mama uważa, że Maria popełniła samobójstwo, ale ja nie jestem pewien... jest twardsza... była twardsza, niż mogłoby się wydawać. Wiem, że tamtej nocy piła. Jeżeli gdzieś poszła, jeśli była zdenerwowana, mogła łatwo stracić grunt pod nogami.

Dziecko wierci się w wózku i Tim zaczyna poruszać nim lekko w przód i w tył. Kiedy mała zasypia spokojnie, wzdycha i się rozluźnia.

– Wiem, że wtedy potraktowałem cię bardzo oschle, ale czułem się odpowiedzialny za Marię, chciałem ją chronić zwłaszcza po tym, co przytrafiło jej się w Londynie. Poza tym byłem cholernie wściekły na naszego tatę za to, że nas porzucił, i czasami na Marię za to, że zadała się z tamtym chłopakiem, chociaż to oczywiście nie była jej wina. Tak naprawdę byłem zły na samego siebie. Myślałem, że powinienem ją chronić. Powinienem domyślić się, co się działo z tamtym kolesiem. Sądziłem, że to była moja wina, że gdybym zachowywał się lepiej i nie robił takiej wielkiej sprawy z wyprowadzki z Londynu, tata by od nas nie odszedł.

Tim zakłada, że znam historię o chłopcu z Londynu. Myśli, że Maria mi ją opowiedziała. Oczywiście nie zrobiła tego, ale nie sądzę, że mogłabym go o to teraz zapytać.

– To nie była twoja wina – mówię.

– Cóż, twoja również nie – odpowiada z wyraźnym wysiłkiem. – Wiem, że nie zachowałeś się zbyt dobrze, ale nie wiedziałaś, co się stanie. Nikt nie wiedział. Powinienem lepiej ją pilnować na balu. Byliśmy sobie bliscy, Maria i ja.

Ciekawe jak bliscy, zastanawiam się. Pamiętam, jak wszyscy mówili, że Tim był bardzo opiekuńczy wobec Marii. Ona sama to mówiła. Czy ich

związek był na tyle mocny, że teraz Tim chciał rozdrapać dawne rany i ukarać dziewczęta, które jego zdaniem były winne smutku jego siostry?

– Wiem, że miała... miała problemy, no wiesz... – ciągnie.

Problemy. Miło z jego strony, że ujął to w taki sposób, ale ja znam prawdę. Uczyniłyśmy jej życie piekłem.

– Nikt inny nie może wziąć odpowiedzialności za to, co się z nią stało. Albo Maria zrobiła to umyślnie, albo wydarzył się wypadek, poślizgnięcie, pech, możliwość jedna na milion. – Przygląda mi się uważnie. Przeszuję z nogi na nogę, pragnąc, aby to nasze spotkanie już się zakończyło.

Jego błędne rozumowanie jest w pewien sposób pocrzepiające i pragnę ze wszystkich sił, żeby jego wersja wydarzeń była prawdziwa – a jeśli to niemożliwe (i oczywiście, że jest niemożliwe), pragnę, aby znalazła się osoba, której będę mogła powiedzieć całą prawdę bez bycia osądzaną albo gorzej. Chciałabym rozluźnić ten supeł tajemnicy zawiązany na mojej duszy – tak ciasno, że chyba nikt nie byłby w stanie nawet go poluzować, nieważne jak bardzo by się starał.

Tim tego nie wie, ale mówimy o dwóch różnych sprawach. On uważa, że rozmawiamy na temat mojej opinii, iż porzuciłam Marię dla Sophie i obietnicy popularności, więc byłam częściowo odpowiedzialna za ostracyzm wobec Marii w szkole. Dla niego to przykład typowego prześladowania uczennicy – nic fizycznego, tylko słowa, które miały skrzywdzić i osiągnęły cel. I to prawda – zrobiłam to wszystko. Ignorowałam ją, porzuciłam ją, zawiodłam ją. Tim jednak nie zdaje sobie sprawy, że zrobiłam jeszcze coś. Coś dużo, dużo gorszego.

Żegnamy się w końcu i odjeżdżam powoli ulicami mojego dzieciństwa. Kiedy już na A11 wciskam pedał gazu, zaczyna mnie coś męczyć we wspomnieniach rozmowy z Timem. Dopiero po chwili orientuję się, co to takiego. *Jest twardsza, niż mogłoby się wydawać.* Zaczął to mówić, ale potem się poprawił. Przejęzyczenie? Być może. Albo też mój widok nagle przeniósł go we wspomnieniach do roku 1989. Jakakolwiek była tego przyczyna, jedno jest pewne: Tim użył czasu teraźniejszego w odniesieniu do Marii.

Rozdział 11

W niektóre dni czuje się jak więzień we własnym domu. Oczywiście nie ma powodu, dla którego nie mogłaby wyjść. Nikt się nie domyśli, spoglądając na nią, ale w dzień taki jak ten ma wrażenie, jakby ktoś zdarł z niej warstwę skóry, pozostawiając jej twarz obdartą do żywego, bez żadnej ochrony przed żywiołami. Przed niczym. W takie dni ukrywa się, czekając, aż znów będzie w stanie stawić czoła światu – założyć z powrotem maskę, uśmiechać się.

Czasami zastanawia się, jak długo będzie w stanie to ciągnąć. Zawsze? W pewien sposób jest już tak przyzwyczajona do skrywania tej tajemnicy, że przychodzi jej to bez trudu. A w te dni, gdy staje się to uciążliwe, gdy pragnie otworzyć serce i usta, żeby wszystko wylało się z niej na świat, ma jego, ku przypomnieniu. Zawsze był przy niej przez wszystkie te lata. Bądź cicho. Nic nie mów. Konsekwencje będą znacznie gorsze dla ciebie niż dla kogokolwiek innego. Próbuje tylko ją chronić. Ona zdaje sobie z tego sprawę i jest mu za to wdzięczna.

Dlatego brnie dalej, odsuwa od siebie myśli o przeszłości, które ją prześladowają. Jednak nie tylko dawne dni ją przerażają; czasem boi się również teraźniejszości i nawet schowanie się w domu wtedy nie pomaga. Czasem ma wrażenie, że dusi się tam bardziej, niż poza nim.

Utrzymuje bardzo mały krąg przyjaciół, ponieważ trudno jej zaufać ludziom. Nawet ci, których do siebie dopuściła, nie znają całej prawdy, ani nawet połowy z tego, co się wydarzyło. On jest jedyną osobą, która rozumie. Tylko on jej pomógł, przypomniał, że inni nie są godni zaufania

na tyle, aby usłyszeć jej historię.

Nie potrzebuje przypominania, że nie każdy człowiek jest tym, kim się wydaje. Ona wie to najlepiej.

Rozdział 12

2016

Następnego dnia rano po mojej wycieczce do Norfolku budzę się z ulgą, że jestem w domu – namiastce normalności, chociaż nie potrafię sobie wyobrazić, żeby życie kiedykolwiek wróciło do normalności. Zdaniem Polly powinnam robić więcej dla siebie samej, odnowić znajomości z przyjaciółmi, których zaniedbałam przez ostatnie kilka lat, ale ja nie potrafię poradzić sobie z żadnymi nowymi dodatkami do mojego życia. I tak ledwo ciągnę.

Henry zawsze spędza środę u Sama i zostaje tam na noc, więc rano zaczynam gromadzić jego rzeczy: bieliznę, zapasowy mundur szkolny, Brudaska – i wrzucam wszystko do jego małego plecaczka. Henry dostał Brudaska, kiedy był jeszcze maleństwem. W którymś momencie, kiedy kocyk zaczął się strzępić na brzegach, zaczęliśmy z Samem nazywać go Kocyk Brudasek i nazwa przyłgnęła. Między domem moim i Samą krąży nieustannie wiele przedmiotów, więc nigdy nie jestem pewna, co Henry ma u niego z potrzebnych rzeczy, ale Brudasek jest tylko jeden, absolutnie niezastąpiony. Wkładam zapasowy szkolny blezer i nagle czuję coś twardego i ostrego w przedniej kieszeni plecaka. Rozpinam ją i zaglądam do środka. Kiedy widzę, co to jest, opadam na łóżko Henry'ego. Wpatruję się w naszą fotografię na plaży, uśmiechniętych i mrużących oczy przed blaskiem słońca.

– Henry, czy możesz tu na chwilę przyjść? – wołam.

Przybiega z kuchni, oblizując dżem z palców. Zatrzymuje się w miejscu

przestraszony, kiedy widzi, co trzymam w dłoni.

– Dlaczego masz to w plecaku, H?

– Lubię na nie patrzeć – bąka pod nosem.

– Kiedy?

Wydaje się kurczyć w sobie.

– Kiedy jestem u tatusia. Czasami za tobą tęsknię.

Czuję piekące łzy, a w gardle ściska mnie od wzruszenia.

– Chodź tutaj.

Podbiega do mnie i wskakuje mi na kolana, obejmując mnie mocno. Jego jędrne małe ciało dosłownie wtapia się we mnie.

– Ja też za tobą tęsknię – zaczynam, starając się utrzymać lekki ton. – Ale chyba dobrze się bawisz u tatusia, prawda?

– Tak – odpowiada z ustami przy mojej szyi. – Ale czasami chcę na ciebie popatrzeć.

– Nie ma sprawy – głos lekko mi się załamuje. Przelykam głośno. – Nie musiałeś zabierać tego zdjęcia. Mogłeś mi po prostu powiedzieć. Wiesz co, może zrobimy duży kolaż z wieloma zdjęciami nas obojga i będziesz mógł go zawiesić w swojej sypialni w domu taty?

Wtula się we mnie jeszcze raz i wraca do swojego tostu. Siedzę przez chwilę na jego łóżku, spoglądając na nasze zdjęcie. Stoimy na nim objęci, skąpani w blasku słonecznym. Wydaje mi się, że ta fotografia pochodzi sprzed miliona lat. Odkładam ramkę na miejsce i czuję ogromną ulgę. Okazuje się, że jednak byłam przewrażliwiona; nikt nie włamał się do mojego mieszkania.

Muszę przestać zaniedbywać moich klientów, inaczej zaczną ich tracić. Gdy Henry jest u Sama, jestem wreszcie w stanie zająć się ostatnim projektem Rosemary Wright-Collins. Utrzymanie jej jako klientki jest imperatywem: bez niej mój biznes poważnie by kulał. Sam kiedyś zasugerował, iż moja częsta praca dla niej jest chybioną strategią – coś jak wkładanie wszystkich jajek do jednego koszyka. Chciał, żebym nie przyjmowała zleceń od niej. Uważał, że rozmiękam się na drobne, usiłując spełnić wszystkie jej wymagania i jednocześnie zadowolić innych klientów. Cieszył się, że mojej firmie dobrze się powodzi – jestem

pewna, że tak. Nie umknął jednak mojej uwadze fakt, iż zostawił mnie dla kogoś dużo młodszego i mniej zaawansowanego we wspinaczce po szczeblach kariery. Wiem, że Polly tak uważa.

W piątek odbieram Henry'ego ze świetlicy szkolnej, a po powrocie do domu, zamiast posadzić go przed telewizorem, zaczynam się z nim bawić. Budujemy wielki, skomplikowany system torów z jego drewnianego zestawu pociągów, a potem zaczynamy odgrywać wielowątkową historię autorstwa Henry'ego, w której pociągi muszą uratować jedną z krów z jego zestawu zwierzątek hodowlanych, która utkwiała na torach. Za każdym razem, kiedy usiłuję doprowadzić historię do finału z jakimś rozwiązaniem, Henry wymyśla kolejną przeszkodę nie do pokonania, która wydłuża naszą zabawę. Przyglądam się, jak mój syn popycha małe lokomotywy po szynach, z niezwykle poważną miną, całkowicie zatopiony w świecie, który stworzyliśmy. W dużym pokoju jest przytulnie, ale mnie nagle przeszywa zimny dreszcz. Właśnie dlatego nikt nigdy nie może się dowiedzieć, co tak naprawdę stało się z Marią. Nie mogę dopuścić, aby cokolwiek zachwiało niewinną wiarą Henry'ego, że świat jest niegroźnym miejscem, w którym nikt nie pozwoliłby, aby krowa została przejechana przez pociąg lub aby dziecko zostało odebrane matce.

Kiedy Henry jest już w łóżku, siadam przy stole kuchennym z kieliszkiem czerwonego wina. Lampa ustawiona w rogu rzuca na pomieszczenie łagodny ciepły blask. Zapach gotowego posiłku podgrzewanego w piecyku zaczyna roznosić się po kuchni: cebula, czosnek, zioła. Przeglądam dzisiejsze e-maile – problem z pracą w domu jest taki, że w zasadzie nigdy nie przestaję. Nie jestem w stanie w pełni się wyłączyć. Otwieram nowe okno w przeglądarce i wchodzę na Facebooka. Sprawdzam go co chwila, zarówno na laptopie, jak na komórce, i za każdym razem, gdy nie znajduję żadnej wiadomości, rośnie we mnie nikła nadzieja, że niebezpieczeństwo minęło. Może jednak to był tylko chory żart, głupi dowcip – irytujący i niepokojący, ale nic więcej. Jedna z mam dzieci w szkole Henry'ego rozwodzi się ze

szczegółami na swojej osi czasu na temat swojego najnowszego zerwania z facetem, jednak niektórzy przyjaciele jej byłego są również jej znajomymi na Facebooku i dorzucają swoje trzy grosze, podważając jej wersję wypadków i wyzywając ją. Jestem zafascynowana, tak jak kiedyś, lata temu, gdy oglądałam opery mydlane w telewizji – tyle że teraz czuję dodatkową podniecie faktem, że to prawdziwe życie, a przynajmniej jego namiastka. Zadziwia mnie skala, w jakiej niektórzy ludzie ujawniają swoje życie na Facebooku. Ta kobieta nigdy nawet się ze mną nie wita, kiedy od czasu do czasu widuję ją przy szkolnej bramie, a mimo to znam wszystkie drastyczne szczegóły jej życia miłosnego.

Zaglądam na profil Marii i widzę, że Sophie również zaakceptowała jej prośbę o dodanie do grona przyjaciół. Właśnie zamierzam zamknąć okno, kiedy zauważam, że Maria ma kolejnego nowego przyjaciela: Nathana Drinkwatera. Zastanawiam się nad tym nazwiskiem, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Jestem pewna, że żaden Nathan Drinkwater nie chodził z nami do szkoły. Zaglądam na jego profil, ale nic na nim nie ma. Maria jest jego jedynym przyjacielem.

Widzę, że zostałam włączona do grupy, do której wysłano informację o wieczornym spotkaniu ze starymi kolegami z pracy. Mój instynkt podpowiada mi to, co zwykle – żebym zignorowała powiadomienie i pozwoliła, aby uznali, że nie jestem zainteresowana – zbyt zajęta pracą i Henrym. Trzymam jednak kursor myszki nad miejscem do wpisania odpowiedzi. Usiłuję sobie wyobrazić siebie w barze, z kieliszkiem wina, gawędzącą, wymieniającą nowiny, słuchającą plotek, dowiadującą się, co słychać w świecie. Nalewam sobie kolejną porcję trunku i usiłuję przekonać samą siebie do zaakceptowania zaproszenia. Nagle rozlega się dzwonek do drzwi. Podskakuję, butelka drga w mojej ręce i wino ścieka po zewnętrznej stronie kieliszka, tworząc krwawą kałużę wokół podstawki i wsiąkając w dębowy stół. Odstawiam butelkę i ruszam niepewnie w stronę korytarza. Pomimo że znalazłam zaginioną fotografię, nie do końca pozbyłam się jeszcze uczucia, że jestem w niebezpieczeństwie – że ktoś mnie obserwuje. Nie zapomniałam o panice, jaka mnie ogarnęła, kiedy biegłam przez tunel w South

Kensington. *Biegnij tak szybko, jak chcesz, Louise.* Widzę czyjaś sylwetkę za matową szybą w górnym panelu drzwi wejściowych, ale nie jestem w stanie zorientować się, kto to. Stoję w ciemnym przedpokoju, otoczona światłem dobiegającym z kuchni. Moje ciało pulsuje wraz z uderzeniami mojego serca. Cofam się o krok. Nie otworzę drzwi. Wrócę na palcach do kuchni i pozwolę tej osobie uznać, że nie ma mnie w domu. Potem jednak klapka w skrzynce na listy uchyla się i ktoś woła przez szparę:

– Louise? Jesteś tam?

Podbiegam do drzwi i otwieram je pospiesznie.

– Polly!

Zamykam ją w uścisku, szalenie wdzięczna za to, że ją widzę. Chyba obejmuję ją nieco zbyt długo i zbyt mocno.

– Hej, czy coś się stało?

Uśmiecham się, połykając łzy.

– Wszystko w porządku. Po prostu cieszę się, że cię widzę. Co ty tu robisz?

– Em... czy nie zaprosiłaś mnie na kolację, kiedy pilnowałam Henry'ego w zeszły piątek?

– O Boże, faktycznie. Strasznie mi przykro, ale zupełnie zapomniałam przez to wszystko...

– Przez co wszystko? Co się dzieje?

Zapomniałam, że Polly o niczym nie wie. Od czego mam zacząć? Czy w ogóle powinnam powiedzieć jej cokolwiek?

– Och, nic wielkiego, po prostu jestem strasznie zajęta. Praca i w ogóle. A ty, jak się miewasz?

– Cóż, jak zwykle. Bez zmian.

Wchodzimy do kuchni i Polly opada na krzesło przy stole.

– Coś tu apetycznie pachnie.

– Pasztecik dla jednej osoby z Marksa i Spencerka – przyznaję. – Przepraszam. Mam sałatkę, chleb i inne rzeczy. Na pewno starczy dla nas obu.

– Nie przejmuj się. Mam wino i chipsy – mówi, wykładając je na stół. –

Kto potrzebuje jedzenia?

Spogląda na regał, na który wróciła już fotografia mnie i Henry'ego.

– Widzę, że się znalazła. A nie mówiłam? Założę się, że położyłaś ją gdzieś i zapomniałaś, co?

– Nie. Okazało się, że Henry ją wziął. Zamierzał zabrać ją ze sobą do Sama. Powiedział, że za mną tęskni, kiedy jest u taty.

– Och, biedny H. – Polly przykłada dłoń do piersi w geście bolesnego współczucia.

– Wiem. Nie rozmawiajmy o tym. Nie mogę tego znieść.

Zanim pasztecik się dopieka, zjadamy już wszystkie chipsy i zaczynamy opróżniać drugą butelkę wina. Polly raczy mnie opowieściami o życiu miłosnym swojej siostry oraz przekazuje mi najnowsze plotki o moich byłych kolegach z Blue Door. Wybiera się na to przyjęcie koktajlowe, nad którym właśnie się zastanawiałam przed jej przybyciem. Upiera się, że też powinnam pójść. Nie wspomniała jeszcze o swoich córkach ani nie spytała o Henry'ego. Chociaż go uwielbia, podobnie jak ja Mayę i Phoebe, nie rozmawiamy zbyt wiele o swoich dzieciach. Mam przyjaciół, których poznałam poprzez Henry'ego, z którymi konwersacja niemal zawsze krąży wokół tematu wybrednych niejadków, radzenia sobie z zachowaniem dzieci lub wszystkich za i przeciw lekcji pływania. Cieszę się, że z Polly tego nie robimy. Jest prawdziwą przyjaciółką. Wyjmuję mizerny pasztecik łyżką z formy aluminiowej i rozdzielam go na dwa talerze, dodając kilka kromek bagietki i garść sałatki. Pytam, jak się miewają dziewczęta.

– Dobrze. A przynajmniej Maya.

Maya jest silną, zdrową, pełną energii ośmiolatką o zdumiewającej i godnej pozazdroszczenia wzgardzie dla opinii innych ludzi. Z kolei jej dwunastoletnia siostra przy każdym kolejnym spotkaniu wydaje mi się bardziej wyciszona i zamknięta w sobie. Uznałam, że to normalne dla okresu dojrzewania – owo nieuniknione pragnienie niezależności, inności i idące za tym oddalanie się od rodziców i innych dorosłych krewnych.

– A Phoebe?

– Ma jakieś problemy w szkole. Z innymi dziewczętami.

Zimny paluch dotyka nagle mojego żołądka, odbierając mi apetyt.

– Chcesz powiedzieć, że... ją prześladują?

– Nie wiem, czy można to tak nazwać. Jest takie... subtelne.

Dziewczęta w tym wieku potrafią być naprawdę *podłe*.

Wiem o tym doskonale.

– Co takiego robiły?

W pewnym sensie nie chcę wiedzieć. Prześladowanie jest dla mnie co najmniej trudnym tematem do rozmowy, ale teraz nie wiem, czy będę w stanie zachować spokój.

– Trudno to opisać. Nie dopuszczają jej do różnych spraw, nie mówią jej o różnych rzeczach, dopóki nie jest za późno, żeby mogła wziąć w nich udział, podkopują jej pewność siebie co do jej wyglądu. Nie sądzę, żeby Phoebe powiedziała mi o wszystkim, co się dzieje. W środku semestru pojawiła się nowa dziewczyna i wszystko zepsuła. Zwróciła najlepszą przyjaciółkę Phoebe przeciwko niej. Jest prawdziwą samicą alfa – przerywa. – Nie, w zasadzie to jest po prostu pieprzoną małą suką.

Jad w głosie Polly dogłębnie mnie szokuje. Rzadko kiedy słyszę, jak Polly przeklina, nie wspominając o tak zajadłej nienawiści w stosunku do dziecka.

– Phoebe zawsze była zabawna, błyskotliwa, a teraz jakby zaczęła się kurczyć w sobie. Osoba, którą była, powoli znika. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że w miarę dorastania zacznie się zmieniać, oddali się ode mnie, ale sądziłam, że jej istota, to, co sprawia, że jest sobą, nadal pozostanie. Ale teraz Phoebe zaczyna to tracić. Ta dziewczyna jest temu winna. Zabiera mi Phoebe.

Polly z wysiłkiem powstrzymuje się od płaczu. Jest mi potwornie przykro z tego powodu, ale niesłychanie trudno jest mi odpowiedzieć w normalny sposób. Jest to temat budzący we mnie tak silne emocje, że nie mam pojęcia, co uchodzi za „normalną” reakcję. Jedynym moim doświadczeniem tego typu jako matki był moment, kiedy Henry powiedział mi, że Jasper i Dylan nie chcą się bawić z nim w pociągi podczas przerwy. Chociaż poczułam się naprawdę okropnie, nie można

porównać obu sytuacji.

– Byłaś w tej sprawie w szkole? – udaje mi się wykrztusić.

– O tak, kilka razy. Starają się, jak mogą, ale już ci powiedziałam, że to bardzo subtelne zachowania i nie mogą zrobić dużo więcej. *Problemy z przyjaźnią*, tak to nazywają. Zastanawiający rodzaj przyjaźni.

Spogląda na talerz z ledwie uszczkniętym jedzeniem. Tak bardzo pragnę, żeby wiedziała o tym, że rozumiem. Tak bardzo chcę ją jakoś pocieszyć.

– Miałam... podobne doświadczenie, kiedy chodziłam do szkoły – mówię z wahaniem.

– Naprawdę? – Polly spogląda na mnie. – Co się stało?

– Och, nie chcę się nad tym w tej chwili rozwodzić, ale... naprawdę rozumiem. Pamiętam, jak to jest być nastolatką.

– Och, Lou, czy możesz z nią porozmawiać? Jesteś dla niej wzorem.

Muszę mieć bardzo sceptyczną minę, ponieważ ciągnie dalej.

– Nie, naprawdę. Uważa, że jesteś ekstra, bo masz swój własny kreatywny biznes i wychowujesz Henry'ego całkiem sama.

– Nie wiem, Polly. Nie jestem pewna, czy będę w stanie powiedzieć jej cokolwiek użytecznego...

O Boże, w co ja się wkręciłam?

– Oczywiście, że tak. Przed chwilą powiedziałaś, że przydarzyło ci się coś podobnego. Już samo usłyszenie tego na pewno jej pomoże. Proszę.

Nie jest to dokładnie to, co powiedziałam, ale nie mogę jej przecież wyznać, że w rzeczywistości znam prześladowanie od tej drugiej strony.

– W porządku, zadzwonię do niej jutro. – Co innego mogłabym zrobić?

– Dzięki. Naprawdę to doceniam – dotyka lekko mojego ramienia. – No dobrze, wystarczy już tego. Mam już dosyć ciągłego myślenia o tej sprawie, szczerze mówiąc. Porozmawiajmy o tobie. Jesteś bardzo milcząca. Czy coś się dzieje?

Teraz to ja wbijam wzrok w talerz, rozplaszczając widelcem pasztet. W głębi duszy bardzo chcę zrzucić ten ciężar, zwierzyć się komuś, komu autentycznie na mnie zależy i kto jednocześnie nie ma nic wspólnego z moją przeszłością. Jestem taka zmęczona. Zmęczona tłumieniem tego

wszystkiego w sobie i niemożnością całkowitego odprężenia się.

– Nie... nic wielkiego.

– Wiedziałam! O co chodzi? Poznałaś kogoś? O mój Boże, czy to ktoś z portalu randkowego?

Na jej twarzy maluje się tak ogromna nadzieja, że mam ochotę coś zmyślić, ale nie robię tego.

– Nie, nic z tych rzeczy. Nie sprawdziłam nawet jeszcze e-maili na koncie, które dla mnie założyłaś. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy jestem w odpowiednim nastroju do tego wszystkiego, Poll.

– Okej, zrobimy to za chwilę. Najpierw powiedz mi, co się dzieje.

Decyduję się na bardzo złagodzoną wersję prawdy.

– Skontaktował się ze mną na Facebooku ktoś, z kim chodziłam do szkoły.

– No wiem, ta dziewczyna, z którą się spotkałaś w zeszły piątek. Sophie, tak?

– Nie, to był ktoś inny. Nigdy ci o tym nie opowiadałam, ale kiedy byłam w ostatniej klasie liceum, na balu absolwentów w sali gimnastycznej zginęła jedna z dziewcząt.

– Co takiego? Umarła w sali gimnastycznej?

– Nie. Ona... uznali... uznali, że musiała być pijana albo coś w tym stylu. Nasza szkoła była blisko klifów w Sharne Bay. Ostatnim razem, kiedy ktoś widział Marię, podobno szła w tamtym kierunku. Później już jej nie widziano.

Jestem boleśnie świadoma ogromnych luk w mojej historii, czarnych przestrzeni między moimi słowami niczym dziury po wyrwanych zębach. Polly jednak jest zelektryzowana tą opowieścią.

– I co, znaleźli jej ciało?

– Nie, ale to wcale nie takie niezwykle. W ciągu kilku lat było kilka przypadków, kiedy ludzie skoczyli z klifów i nigdy nie znaleziono ich ciała. Zrobił się z tego znany punkt samobójców, coś jak Beachy Head^[1]. Na to, czy ciało zostanie wyrzucone na brzeg, składają się różne czynniki, jak pływy i pogoda.

– No dobra, a od kogo była ta wiadomość?

– I właśnie w tym problem. Od niej. Od Marii.

– Od zmarłej dziewczyny? – Polly zastyga z widelcem w połowie drogi do ust. – Boże, to okropne. Chore. Kto mógłby zrobić coś takiego?

– Nie wiem.

– I dlaczego tobie? Czy była twoją bliską przyjaciółką?

Nie wiem, jak odpowiedzieć na to pytanie. Poza moimi rodzicami (z którymi moja relacja jest zaciemniona obowiązkiem, poczuciem winy i licznymi unikami) i Henrym (który jest niejako biologicznie uwarunkowany), Polly jest jedyną osobą na świecie, która mnie kocha. Nigdy nie miałam bliskiego kontaktu z rodzicami, jak niektóre inne dzieci, ale po zniknięciu Marii nasz brak porozumienia stał się jeszcze bardziej znamieny. Nastąpiło to w krytycznym momencie dzieciństwa, w którym nastolatki tak czy owak oddalają się od swoich rodziców. Naturalną kolejną rzeczą oddalałam się od nich, wybierając moich przyjaciół, moje „prawdziwe” życie. Przypuszczam, że w normalnych okolicznościach, po wejściu w dorosłość znów bym się do nich zbliżyła, ale śmierć Marii wytworzyła między nami nieprzekraczalną przepaść. Nigdy nie mogłam im powiedzieć, co zrobiłam i dlaczego odcięłam się od nich tak kompletnie. Oni z kolei zupełnie nie rozumieli, dlaczego zniknięcie dziewczyny, którą – o ile im było wiadomo – ledwie znałam, wywarło na mnie aż tak katastrofalny wpływ.

Polly widziała mnie, gdy przechodziłam przez najgłębszy kryzys, po odejściu Sama. Może nie opowiedziałam jej całej historii, ale wie więcej niż ktokolwiek inny. To ona zebrała mnie z podłogi i pomogła mi stanąć na nogi, kiedy sądziłam, że nigdy więcej nie będę mogła się podnieść. Nigdy nie miałam nikogo, kto ująłby się za mną tak jak ona i teraz nie mogę znieść myśli o tym, że ją stracę. Nie mogę ryzykować pokazania jej, kim naprawdę jestem, zwłaszcza w świetle tego, co stało się z Phoebe.

– Tak jakby – odpowiadam. – Ale wtedy, kiedy zginęła, już niezbyt. Poza tym nie chodziło wyłącznie o mnie. Inna dziewczyna, z którą chodziłam do szkoły, też otrzymała tę samą prośbę. To ta, z którą się spotkałam w zeszłym tygodniu, kiedy pilnowałaś Henry’ego. Jest jeszcze

coś – oddycham głęboko. – Tamtego wieczora, kiedy odwiedziłam Sophie, myślę, że ktoś mnie śledził.

– Co takiego? Dlaczego, na Boga, ktoś miałby cię śledzić?

– Dokładnie nie wiem... Ale ta prośba, a potem zaginiona fotografia...

– Ale przecież to Henry ją zabrał, sama mi właśnie powiedziałaś.

– Wiem, wiem, ale przysięgam, że w tunelu na South Kensington ktoś za mną szedł, a kiedy zaczęłam biec, ten ktoś również – pamiętam stukot stóp uderzających o bruk w tym samym tempie co moje, palenie w piersi, butelkę obijającą mi się o nogi. A potem dostałam kolejną wiadomość z konta Marii. Było w niej napisane: „Biegnij tak szybko, jak chcesz, Louise. Nigdy mi nie uciekniesz”. Śledziła mnie. Musiała.

– Równie dobrze mogła to być taka przenośnia, nie sądzisz? To jeszcze wcale nie oznacza, że ktoś za tobą szedł tamtej nocy.

Nie wierzy mi i wcale jej o to nie winię. Pozbawiona kontekstu – wiedzy o tym, co zrobiłam Marii – moja opowieść traci moc, ale oczywiście tego akurat nie mogę Polly wyznać. Ktoś jednak założył profil na Facebooku dla Marii Weston i ktoś szedł za mną od stacji Crystal Palace do South Kensington. Jestem tego pewna.

– Ale już ta strona na Facebooku to dość dziwna sprawa. – Polly chyba musiała usłyszeć moje myśli. – Nie masz żadnych podejrzeń co do tego, kto mógłby to zrobić?

– W następny weekend mamy zlot absolwentów. Pomyślałam, że może tam zajrzę i... no nie wiem... może ktoś inny miał podobne doświadczenia co ja?

Polly przygląda mi się surowo

– Zlot absolwentów? Serio? Sam też tam będzie?

– Nie wiem. – Wbijam wzrok w dno kieliszka z winem, myśląc o stronie z wydarzeniami na Facebooku, na której jest napisane bardzo dokładnie, kto będzie na spotkaniu.

– Czy nie powinnaś spróbować się dowiedzieć, zanim tam pojedziesz? Nie sądzę, żeby spotkanie się z nim na poziomie towarzyskim dobrze ci zrobiło.

Czasami żałuję, że zwierzyłam się Polly, kiedy Sam mnie zostawił. Nie

należy do tego rodzaju przyjaciół, którzy cokolwiek zapominają lub pozwalają tobie zapomnieć. Uwielbiam jej szaleńczą opiekuńczość wobec mnie, jej gniew na Sama w moim imieniu, ale nie mogę jej pozwolić, aby powstrzymała mnie przed tym krokiem.

– Posłuchaj – mówię. – Spróbuję się dowiedzieć, kto zamierza się pojawić. Pewnie jest ktoś, kogo mogę się zapytać albo utworzone wydarzenie na Facebooku czy coś w tym stylu. Jeżeli się okaże, że Sam zamierza się pojawić, to nie pójdę.

Nienawidzę kłamać Polly, ale nie chcę się z nią kłócić. Potrzebuję jej wsparcia i tego, żeby się na mnie nie boczyła. Oczywiście ma rację. To niezbyt dobry pomysł, żebyśmy znalazła się wraz z nim w warunkach zrelaksowanego spotkania towarzyskiego, pełnego alkoholu, wspomnień i rozbudzonych emocji. Polly doskonale wie, dlaczego. Popełniłam ten błąd, wyznając jej, że niedługo po odejściu Sama był taki moment, kiedy odwiedził mnie wieczorem, kiedy Henry już spał. Piłam samotnie, więc nalałam mu kieliszek wina. Sam usiadł przy mnie i przez jakąś godzinę czułam się tak, jakby nie odszedł. W pewnej chwili nachylił się ku mnie, żeby otworzyć szufladę, gdzie trzymałam korkociąg – i czas nagle się zatrzymał, na tę jedną sekundę. Sam był tak blisko, że jego rysy rozmyły się nieco, pozostawiając tylko dotyk jego oddechu na moim policzku i wrażenie gorąca rozlewającego się w moim podbrzuszu. Wstałam szybko i na trzęsących się nogach przeszłam na drugi koniec pokoju. Udałam, że nagle przypomniałam sobie o wczesnym starcie następnego dnia, i poprosiłam Sama, żeby już poszedł. Pomimo tego, co mi zrobił, czułam do niego pociąg – i nadal tak jest.

– Hmm, no dobrze. – Polly wydaje się udobruchana. – No dobrze, zajrzyjmy teraz do twojej nowej skrzynki. Zobaczymy, czy wzbudziłaś czyjeś zainteresowanie.

Przekazuję jej laptopa, a ona loguje się na konto, które mi założyła.

– Och! Całkiem tego sporo!

Przysuwam sobie krzesło, żeby widzieć ekran. Polly zaczyna przeglądać e-maile.

– Och – mówi. Pierwszy adorator zrobił nieprzyzwoitą aluzję do

wzmianki o wieczornych rozrywkach. – „Mogę cię zabawiać przez całą noc, jeśli chcesz – w domu lub na mieście”. Okej, tego wyrzucamy. Następny.

Kolejny interesant opowiada z jeszcze większymi szczegółami, jak chciałby mnie zabawić i jak sam by się w związku z tym czuł.

– O rany, chyba powinniśmy jednak sformułować tę część nieco inaczej – mówi przygnębiona Polly. – To moje pierwsze kroki na rynku randek internetowych. Powinniśmy poprosić nastolatka, żeby napisał to dla ciebie. Dzieciaki są znacznie bardziej kumate w tych sprawach.

Większość listów jest wariacjami na temat tego samego, z kilkoma odpowiedziami osób autentycznie zainteresowanych, które najwyraźniej doceniły moje uwielbienie dla spacerów w plenerze. Wszyscy trenują triathlon, wspinaczkę skałkową lub kulturystykę.

– Nie mogę się umówić z żadnym z nich – mówię. – Dostaję palpitanie, gdy tylko wyjadę poza M25[2].

– Chwileczkę – mówi Polly. – Chyba mamy dobrego kandydata. „Witaj”, cóż, to dość przyjazne, nie sądzisz? Dobry start. „Muszę przyznać, że nie jestem wielkim fanem spacerów w plenerze, ale lubię dobre jedzenie i zastanawiam się, czy mógłbym Cię zaprosić na obiad?”. No i proszę bardzo! On też nie lubi spacerów!

– To chyba nie najmocniejszy argument za tym, żeby się z kimś umawiać, prawda?

– Prawda, ale nigdy nic nie wiadomo. Zobaczmy jego profil.

Greg ma czterdzieści dwa lata i jest przystojny w pokrępowy sposób. Na swoim zdjęciu śmieje się, spoglądając na coś przez ramię fotografa.

– Świetna koszula – mówi Polly.

– I znów pragnę zauważyć, Polly, że nie jest to kryterium, na podstawie którego można zbudować trwałe szczęście.

– Och, przestań wymyślać problemy. Odpowiedzmy mu.

Wzdycham, ale fakt faktem, Greg jest przystojny, wydaje się normalny, na tyle, na ile można powiedzieć (czyli niezbyt wiele), więc pozwalam Polly spłodzić odpowiedź, którą wysyła za pośrednictwem okna dialogowego na witrynie randkowej. Greg chyba musiał być

aktywny, ponieważ jego odpowiedź pojawia się z piknięciem niemal natychmiast i zanim jestem w stanie zaprotestować lub zastanowić się nad sprawą, Polly aranżuje randkę w moim imieniu, następnego dnia o siódmej wieczorem w jednym z barów w centrum Londynu. Za jej namową mamy się wybrać wyłącznie na drinki. Twierdzi, że w ten sposób, jeśli będę się musiała wywinąć ze spotkania, mogę to zrobić po wypiciu jednego drinka, nie wprawiając siebie ani jego w zakłopotanie, jeśli zaś wszystko pójdzie dobrze, zawsze możemy wybrać się potem na obiad. Nie wyobrażam sobie ani przez chwilę, że wszystko mogłoby pójść dobrze, jeżeli Greg jest równie miły i normalny, jak sugeruje jego wygląd. Minęło wiele lat, od kiedy byłam na randce i na pewno wszystko zepsuję.

Po wyjściu Polly wlewam resztki wina z butelki do kieliszka i otwieram laptop. Facebook jest wciąż otwarty, tak jak go zostawiłam. Widzę, że dostałam nową prywatną wiadomość. Wieczór z Polly uspił nieco moje obawy i teraz uznaję, że to kolejna notka w długiej wymianie zdań między moimi dawnymi kolegami na temat wspólnego wyjścia na miasto. Klikam więc w dymek bez specjalnego niepokoju.

To, co widzę, sprawia, że krew odpływa mi z twarzy. Wiadomość pochodzi od Marii Weston. Napisano w niej:

Podobała ci się wycieczka do Norfolku? Pamiętam, co zrobiłaś, Louise. Zawsze cię obserwuję. Nigdy nie zostawię cię w spokoju.

[1] Kredowe urwisko klifowe na południu Wielkiej Brytanii, niedaleko Eastbourne. Ze względu na dramatyczną urodę przyciąga każdego roku wielu samobójców. Jak dotąd, zginęło tam co najmniej 500 osób i rokrocznie przybywa kolejne 20 ofiar (przyp. tłum.).

[2] Autostrada otaczająca Londyn, druga pod względem długości obwodnica w Europie, po berlińskim Ringu (przyp. tłum.).

Rozdział 13

1989

Maria nie została dużo dłużej na przyjęciu. Sophie posadziła mnie na krześle w kuchni, dała mi szklanekę wody i sama przycupnęła przy mnie, gładząc mnie po włosach. Po mniej więcej dziesięciu minutach pojawił się Tim i zaczął przerzucać wielką stertę okryć wierzchnich zgromadzonych na podłodze kuchennej. Wychodząc z dzinsową kurtką Marii, obejrzał się jeszcze przez ramię, świdrując mnie wzrokiem pełnym nienawiści i oskarżenia. Intensywność jego spojrzenia przeraziła mnie. Odwróciłam głowę. Z mojego miejsca przy rogu stołu kuchennego widziałam korytarz. Przy słupku poręczy schodów stała Maria ze spuszczoną głową. Twarz ukryła za zasłoną włosów. Pozwoliła Timowi ubrać się w kurtkę, zupełnie jakby była małym dzieckiem. Kiedy już to zrobił, odgarnął włosy z jej twarzy i powiedział coś do niej cicho, tak że nie zdołałam tego usłyszeć. Potem wyprowadził ją przez drzwi, otaczając ją opiekuńczo ramieniem.

Po ich wyjściu przyjęcie było fantastyczne – jedna z najlepszych nocy mojego życia. Poczułam się nieco lepiej, więc wypiliśmy trochę więcej wódki i poszłam tańczyć – i po raz pierwszy w życiu było dobrze. Sophie usiłowała wcisnąć mi E, ale za bardzo się bałam, a ona zachowała się naprawdę słodko. Powiedziała, że mnie rozumie i że czuła się tak samo, zanim sama wzięła ecstasy po raz pierwszy, więc nie będzie mnie zmuszać. Później w głębi duszy żałowałam, że jednak tego nie zrobiłam.

Okolo czwartej nad ranem poszliśmy na spacer wokół posiadłości

Matta. Latarnie uliczne nadal się jarzyły i w ich słabym świetle domy wyglądały niczym miniaturowe zamki. Nigdy nie doświadczyłam tak absolutnej ciszy, przerywanej jedynie stukotem naszych stóp i cichym głosem Sophie opowiadającej mi o sobie rzeczy, których nie wiedziałam – otwierającej się przede mną.

– Kilka lat temu, niedługo przed tym, jak ty i ja się zaprzyjaźniłyśmy, Claire, Joanne i ja byliśmy bardzo blisko, jak trzy muszkietierki.

Pamiętałam to. Z zewnątrz wydawało się, jakby wygrały na loterii; zawsze razem, każdego dnia siedzące w rogu boiska, zanoszące się śmiechem – nieosiągalny ideał dzielonych między sobą tajemnic i błyszcząca do ust. Tego roku wszyscy chcieli się do nich zbliżyć, ale ich trójka była tak zwarta, że było to niemożliwe.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek miałaś grupkę trojga przyjaciół, ale to fatalna cyfra. Kiedy wszystko się układało, było cudownie, ale ciągle się kłóciłyśmy i często miałam uczucie, że pozostałe dwie nie chcą ze mną rozmawiać. Pamiętasz wycieczkę do Dieppe^[3]?

Lato 1987. Esther Harcourt była w moim pokoju i pierwszej nocy zaczęłyśmy rozmawiać, po raz pierwszy od ładnych paru lat. Tęskniłam za domem, a ona mnie pocieszyła i rozśmieszyła. Zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie popełniłam błędu, odcinając się od niej tak ostatecznie. Następnego dnia jednak, kiedy ubrała się w przykrótkie dżinsowe spodenki i jasnoniebieski skafander, wiedziałam, że podjęłam właściwą decyzję. Cały dzień spędziłam z Lorną Sixsmith, a wieczorem siedziałam do późna, rozmawiając z pozostałymi osobami w naszej sali, podczas gdy Esther leżała na łóżku, czytając.

– Poważnie się pokłóciłyśmy na tej wycieczce – ciągnęła Sophie, wsuwając mi ramię pod łokieć. Przechodziłyśmy obok małego sklepiku osiedlowego; w świetle latarni wyglądał na opuszczony i nieco upiorny. – Tak naprawdę nie była to kłótnia, tylko Claire i Joanne odcięły się ode mnie. Nigdy nie zrozumiałam, dlaczego. Trzymałam się z Sue, więc nie byłam całkiem sama, ale cały czas widziałam Claire i Joanne szepczące po kątach i zaśmiewające się z własnych dowcipów. W autokarze, w drodze powrotnej, siedziałam w rzędzie przed nimi, a one przez cały

czas rozmawiały we własnym języku. To znaczy nie w zupełnie innym języku oczywiście, ale miały mnóstwo szyfrów i umownych słów na określanie ludzi i rzeczy.

Biedna, nieszczęsna Sophie. Wyobraziłam ją sobie, samotną na podwójnym siedzeniu autokaru, z twarzą przyciśniętą do szyby, czołem piekącym od chłodu szkła.

– Oczywiście teraz znów jesteśmy przyjaciółkami, ale Claire potrafi być... trudna, wiesz? Zawsze usiłuje mnie przebić; cokolwiek zrobię, ona musi być lepsza. Wszystko zawsze musi być na jej warunkach. To właśnie po tamtej wycieczce do Dieppe ty i ja zaczęłyśmy się zaprzyjaźniać. Pamiętasz?

Oczywiście, że pamiętałam. Kiedy po raz pierwszy Sophie usiadła ze mną w porze lunchu, byłam tak podekscytowana, że prawie nie spałam tej nocy.

– Dlatego tak się przejęłam tobą i Marią. Wiem, że to głupie, i oczywiście możesz się przyjaźnić, z kimkolwiek chcesz. Po prostu poczułam się, jakby wszystko powtarzało się od nowa, rozumiesz? Jakbym traciła cię na jej rzecz.

– Nie stracisz mnie, Sophie. Jesteś... – czy mogłam zaryzykować? Zacerpnęłam powietrza w płuca. – Jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

Sophie przyciągnęła mnie bliżej do siebie.

– Dzięki. Teraz wiem, że zawsze mogę na ciebie liczyć.

Szłyśmy dalej, ramię w ramię, rozmawiając od serca; nie poruszałyśmy jedynie tematu chłopców i tego, czy któryś się nam podobał. Może Sophie uznała, że to nie jest odpowiedni moment i że zwierzamy się sobie z rzeczy znacznie głębszych. Ja z kolei nie spytałam, ponieważ nie chciałam usłyszeć odpowiedzi. Rozmawiałyśmy jednak o swoich rodzicach.

– Wiem, że moi mnie kochają – powiedziałam. – Nie mają jednak zielonego pojęcia o tym, co się dzieje w moim świecie. Przez cały czas, gdy jestem w domu, mam wrażenie, że odliczam minuty do wyjścia, żebym mogła zacząć znów żyć. Wydaje mi się, że moi rodzice w ogóle mnie nie znają.

– Moja mama uważa się za moją najlepszą przyjaciółkę – powiedziała Sophie. Jej mama była starszą wersją Sophie, zawsze schludna, wytworna, pewna siebie i pełna uroku. Sophie powiedziała mi kiedyś, że jej mama co tydzień odwiedza salon piękności. Z nagłym ukłuciem bólu pomyślałam o nieumalowanej twarzy mojej mamy i jej wygodnych butach.

– Cokolwiek się dzieje w moim życiu, zawsze ma jakąś historyjkę o tym, że jej przytrafiło się coś podobnego, i oczywiście doskonałe porady oparte na własnych doświadczeniach – ciągnęła Sophie. – Niedoczekanie, żebym miała pójść w jej ślady. Zobacz, jak wylądowała.

– Co masz przez to na myśli?

– Mama i ojciec ciągle się ze sobą zgrą. Zazwyczaj czekają z tym, aż ich zdaniem zasną, ale ja ich słyszę.

– Sądzisz, że się rozwiodą?

– Chciałabym. – Roześmiała się. – Wtedy miałabym wszystkiego dwa razy więcej. Oczywiście wcale niekoniecznie tak to działa. Słyszałaś o mamie Sama Parkera?

– Nie. – Staralam się nie zdradzać swoich emocji. – A co takiego miałam słyszeć?

– Podobno kilka lat temu tak po prostu wzięła i zostawiła go i jego tatę. Uciekła z jakimś innym gościem. Od tamtej pory Sam jej nie widział.

– Boże, to okropne. Biedny Sam.

– No właśnie. Nigdy o niej nie wspomina, ale widać, że jest nadal tym załamany.

Przez kilka minut szłyśmy w milczeniu, upajając się bezruchem otoczenia. Wszystkie domy pogrążone były w ciemności, chłodne powietrze pachniało rześko i czysto, niezabrudzone spalinami z rur wydechowych ani zapachami gotowania. Z ramieniem Sophie pod łokciem czułam się tak, jakbyśmy były jednymi istotami ludzkimi na tym świecie.

Kiedy skręciłyśmy z powrotem w ulicę, przy której mieszkał Matt, Sophie zauważyła coś na progu drzwi wejściowych do ogromnej willi na

rogu.

– Masz ochotę na herbatę? – spytała z szerokim uśmiechem.

– Słucham? – spojrzałam na nią z niezrozumieniem. Sophie chwyciła mnie za rękę i pociągnęła w kierunku schodów prowadzących do ogromnej budowli. Byłyśmy już niemal przy drzwiach, kiedy włączyły się reflektory, spowijając nas ostrym żółtym światłem. Sophie chwyciła stojącą przy wejściu butelkę mleka, a potem odwróciłyśmy się i pobiegłyśmy jak wariatki do domu Matta, zasapane, zanosząc się ze śmiechu. Nigdy chyba nie czułam się równie szczęśliwa co w tamtej chwili.

W następny poniedziałek w szkole Sophie zaprosiła mnie na papieroska podczas porannej przerwy międzylekcyjnej. Udało się nam uniknąć nauczycieli i potruchtać ścieżką prowadzącą do lasu. Było to oczywiście absolutnie zabronione i byłam bardzo zdenerwowana, ale nie chciałam wyjść na idiotkę przed Sophie, więc próbowałam nie oglądać się za siebie. Przemierzyłyśmy mały lasek rosnący tuż za szkołą i ruszyłyśmy w stronę klifów, co jest jeszcze bardziej niedozwolone. Sophie podeszła do samego brzegu i przysiadła na ubrudzonej kredą trawie tuż obok znaku „Nie podchodzić”. Zwiesiła nogi nad przepaścią. Ja zostałam z tyłu, ale Sophie odwróciła się i przywołała mnie gestem, śmiejąc się.

– Nie bądź takim boidudkiem.

Usiadłam obok niej, z nogami zawieszonymi w powietrzu. Trawa łaskotała moje podudzia. Zazwyczaj nie paliłam, ale tym razem wzięłam podanego mi papierosa, który Sophie dla mnie zapaliła. Na filtrze został słaby ślad jej szminki. Zaciągnęłam się dymem, rozkoszując się gorzkim, szczypiącym posmakiem, rozlewającym się na moim języku i w gardle.

– Miałyśmy taki pomysł – powiedziała Sophie, wpatrując się w horyzont. – Coś w rodzaju psikusa na Marii.

– Psikusa? – Wyrwałam z ziemi garść trawy i rzuciłam żdźbła w przepaść. – To znaczy co?

– Jest trochę zarozumiała, nie sądzisz?

Nie odpowiedziałam.

– Cóż, Claire tak uważa, a poza tym są jeszcze te wszystkie plotki o tym, jak się puszczała w swojej starej szkole i co tam wyprawiała. Słyszałaś o tym?

– Nie. – Przypominam sobie, co powiedział mi Sam, kiedy siedzieliśmy przy stole kuchennym Matta, ale to przecież na pewno były plotki, czysta przesada.

– To naprawdę nieźle popaprana sprawa, Louise. Podobno przespała się z jednym chłopakiem i wysłała mu używany tampon pocztą. No wiesz, taki, który miała w sobie. Podobno w tym miał być cały sęk, jakby coś takiego mogło go podniecić. Dlatego Claire miała pomysł, żebyśmy podrzuciły jej używany tampon do torebki, tak dla żartu. Oczywiście nie z prawdziwą krwią. Pójdziemy na przerwie do pracowni plastycznej i nasączymy go czerwoną farbą. Pomyślałam, że ty mogłabyś to zrobić... to znaczy włożyć tampon do jej torby – ciągnęła Sophie. – Siedzisz za nią na zajęciach, prawda? Więc byłoby ci łatwiej niż komukolwiek innemu.

– No nie wiem – odsunęłam się nieco od krawędzi, podciągając kolana do brody, nagle czując, jak niebezpieczna jest moja pozycja. – Ty przecież siedzisz obok mnie. Nie możesz sama tego zrobić?

– Musiałabym się całkiem pochylić nad ławką. Ty siedzisz bezpośrednio za nią na wychowawczej, więc będzie to bardziej dyskretne.

– Pewnie tak, ale... w końcu nie wiemy na pewno, że Maria to zrobiła, tę rzecz z tamponem, prawda? – Zgasiałam do połowy wypalonego papierosa, wduszając go w kredowe podłoże za sobą.

– Kuzyn Matta Lewisa zna kogoś, kto chodzi do jej dawnej szkoły. Przysięgam na Boga, że to zrobiła.

– Ale nawet jeżeli tak, wydaje mi się to trochę... – Chciałam powiedzieć, że wydaje mi się to dość okropną rzeczą, bez względu na okoliczności. Maria nie odzywała się do mnie od czasu tamtej zabawy. Ja do niej też nie, ale miałam nadzieję, że będziemy miały szansę pozwolić naszej kielkującej przyjaźni zgasnąć stopniowo, niezauważenie. A teraz Sophie prosiła mnie, żebym praktycznie zaorała ją i posypała solą.

Zaciągnęła się papierosem i wypuściła kłęb dymu w słone powietrze.

– Cóż, jeżeli nie chcesz, to oczywiście twój wybór. Po prostu martwię się o ciebie. Jeżeli się nie przyłączysz, koniec końców możesz się poczuć osamotniona. Ludzie będą się zastanawiać, czy naprawdę należysz do grupy, rozumiesz? Nie twierdzę, że ja będę tak myśleć, ale inni mogą.

Siedziałyśmy w milczeniu przez kilka minut. Sophie przypaliła papierosa żarem niedopałka poprzedniego, nie częstując mnie jednak.

– No dobrze, lepiej wracajmy już do szkoły – powiedziała wreszcie, wstając i obciągając spódnicę w dół, ponieważ podjechała jej nieco w górę. Czułam, że się ode mnie oddala, wiedziałam to i nie mogłam się powstrzymać od wyobrażenia sobie rozmowy, w której powie Claire, a może nawet Samowi, że stchórzyłam. Ruszyłam za nią ścieżką i kiedy przemierzyłyśmy odsłonięty klif, wchodząc w cień lasu, podjęłam decyzję.

– W porządku, zrobię to.

Sophie chwyciła mnie za rękę.

– Super! Wiedziałam, że się zgodzisz. Naprawdę, to będzie bardzo zabawne, przysięgam.

Z mojego gardła wydobył się niepowstrzymany, niepewny chichot, na wdechu. Wróciłyśmy do szkoły ramię w ramię, śmiejąc się przez całą drogę.

Gdy tylko zadzwonił dzwonek obwieszczający przerwę na lunch, poszłyśmy do pracowni plastycznej. Ja pilnowałam drzwi, a Sophie weszła do środka i po kilku minutach wyszła z pomieszczenia ze znaczącym uśmiechem.

– Szybko się sprawiłaś. Gdzie on jest?

– W mojej torbie oczywiście. Dodatkowo zawinięty w plastikową torebkę. Nie będę przecież chodziła po szkolnych korytarzach, kapiąc wszędzie krwią.

– Jak to krwią? Myślałam, że to miała być farba – Przeraziłam się.

– No tak, właśnie to miałam na myśli. Farba.

– Dlaczego nie masz żadnych śladów na palcach?

– Nie jestem kompletną idiotką, Louise. Jeżeli Maria komuś powie, najpierw zaczną szukać osoby ubrudzonej czerwoną farbą. Wzięłam

wcześniej rękawiczki z pracy mamy. – Mama Sophie pracowała jako pomoc dentystyczna.

– Wcześniej? W takim razie kiedy dokładnie postanowiliście zrobić Marii ten dowcip? – Krew w moich żyłach nagle zrobiła się chłodniejsza o kilka stopni. Wszystko to wydawało się zbyt zaplanowane. Mniej żart, bardziej atak.

– Och, do diabła ciężkiego, Louise! Czy to ma znaczenie? – Sophie pociągnęła mnie za sobą do pobliskiej toalety. Wewnątrz kabiny wręczyła mi małą przezroczystą torebkę foliową, taką, w którą wkłada się kanapki. Nie przyglądałam się zawartości zbyt uważnie.

– No dobra, więc kiedy po lunchu wrócimy do klasy, to będzie dla ciebie najlepszy moment, zanim pójdziemy na matkę. Po prostu wrzucić to do jej torby. Nie jest przecież zamknięta, prawda? Nie ma żadnego suwaka ani nic w tym stylu. Albo wstań i udaj, że musisz coś wziąć, jeśli tak będzie ci wygodniej, i wrzucić tampon do jej torby, kiedy będziesz przechodziła obok. Kiedy już to zrobisz, wywal pustą torebkę do kosza przy wyjściu z klasy. Nie ma mowy, żeby ktokolwiek mógł nas z tym powiązać, nawet jeżeli Maria się poskarży.

Już w klasie usiadłam przy stoliku, cała rozedrgana. Claire i Joanne rozmawiały ze sobą na pokaz, siedząc w sąsiednim rzędzie. Widać było, że są podekscytowane i nie mogą usiedzieć na miejscu. Maria weszła do środka z Esther, obie śmiały się z czegoś, idąc w kierunku swoich stolików. Maria umyślnie unikała mojego wzroku, ale kiedy powiesiła swoją torbę na oparciu krzesła i usiadła przede mną, dostrzegłam czerwone plamy zdenerwowania na jej dekolcie. Włosy miała dzisiaj spięte w gładki kucyk.

Włożyłam rękę do mojej torby i poczułam plastikową torebkę na kanapki, gładką i śliską, a wewnątrz niej rozmiękłą grudkę tamponu między moim kciukiem a palcem wskazującym. Czy naprawdę zamierzałam to zrobić? Czułam, że siedząca po mojej prawej stronie Sophie z trudem powstrzymuje śmiech, i wyobraziłam sobie ciepło, które poczuję, pławiąc się później w jej aprobacie. To mnie, a nie Claire będzie chciała wziąć pod ramię, kiedy po szkole będziemy szli do miasta. Może

nawet zaprosi mnie na przyjęcie z noclegiem, żebyśmy mogły jeszcze raz przeżyć całą aferę, chichocząc razem pod kocami, jak współniczki zbrodni. Zacisnęłam dłoń nieco mocniej na makabrycznej zawartości torebki.

Usiłowałam nie patrzeć na Marię, kiedy zaczęłam wyciągać torebkę na zewnątrz. Próbowałam zmusić się do wyobrażenia sobie, co się stanie, jeśli tego nie zrobię – jak pełna pogardy wobec mnie będzie Sophie. Wyobraziłam sobie, jak wracam do domu sama, unikając spoglądania na Sophie, ostentacyjnie uwieszoną u ramienia Claire, gdy obie idą same do miasta. Zamknęłam na chwilę oczy, a kiedy je otworzyłam, pierwszą rzeczą, którą ujrzałam, był kark Marii, blady i bezbronny. Zapięcie jej złotego łańcuszka było przesunięte lekko na jedną stronę.

Natychmiast poczułam się jak zanurzona w ciepłej kąpieli. Ogarnęła mnie ulga, kiedy zdałam sobie sprawę, że tego nie zrobię. Drżącą ręką wepchnęłam torebkę z tamponem z powrotem do mojej torby. Mimo całej krzywdy, którą do tej pory wyrządziłam Marii, mimo sposobu, w jaki bezdusznie odrzuciłam naszą przyjaźń, tego nie mogłam jej zrobić. To było zbyt podłe, obrzydliwe i zbyt wykalkulowane. I chociaż część ulgi, którą odczuwałam, była związana z Marią i z wdzięcznością do losu, że nic z tego teraz się jej nie przydarzy, cieszyłam się również ze względu na mnie – z tego, że nie okazałam się rodzajem osoby, która byłaby zdolna do podobnego czynu. Przez jeden okropny moment sądziłam, że nią jestem.

Do dzwonka wzywającego na lekcję matematyki zostało jeszcze tylko kilka minut. Sophie napała nogą na moje udo pod blatem stolika, Claire i Joanne zaś wpatrzyły się we mnie jawnie, jakby chciały zmusić mnie do akcji. Wiedziałam, że Sophie również na mnie spoglądała, ale utkwiałam wzrok w naszej wychowawczyni. Jej słowa brzmiały niczym obcy język, lewitując bezsensownie ponad głośnym pulsowaniem krwi w mojej głowie.

Nacisk na moją nogę zelżał i w tej chwili zdałam sobie sprawę, że Sophie wzięła sprawy w swoje ręce. Sięgnęła do mojej torby i wyciągnęła z niej coś, co zaraz zamknęła w pięści. Gdyby Maria nie powiesiła swojej

torby bardziej od strony Sophie, nie sędę, żeby ta mogła to zrobić bez zwrócenia na siebie uwagi. Ona tymczasem sięgnęła przed siebie, potrząsnęła torebką i cofnęła rękę jednym płynnym ruchem. Na zakończenie włożyła z powrotem plastikową torebkę do mojej torby, spoglądając na mnie znacząco i z gniewem.

Nie wiem, jakiej dokładnie reakcji Sophie spodziewała się po Marii. Słyszałam, jak Maria mówi do Esther, że musi sprawdzić, czy ma swój podręcznik do matematyki. Zanim zdołałam się zorientować, moja dłoń wystrzeliła w przód i postukałam ją w ramię.

– Maria, muszę ci coś...

– Zostaw mnie w spokoju – przerwała mi cichym, zimnym głosem, nie podnosząc wzroku znad swojej torby.

– Tak, wiem, ale proszę...

– Powiedziałam, zostaw mnie w spokoju. – Tym razem spojrzała na mnie z twardą miną, zdeterminowana, aby nie pokazać mi żadnych emocji.

Odchyliłam się na oparcie krzesła, zrezygnowana. Maria otworzyła torbę i sięgnęła w głąb. Miałam wrażenie, jakby cały świat wstrzymał oddech. Ręka Marii zastygła. Czułam bardziej niż widziałam wyczekiwanie siedzącej obok mnie Sophie, ale jeśli liczyła na wrzaski i histerię, poważnie się rozczarowała.

Maria wpatrywała się przez kilka sekund w zawartość swojej torby. Krew, którą nabiegła jej twarz podczas rozmowy ze mną, teraz odpłynęła. Jej skóra była blada, niemal papierowo cienka, naciągnięta na kościach jej czaszki. Cał po calu wyciągnęła rękę z torby i powoli wstała.

– Idę do łazienki. Do zobaczenia na matematyce – powiedziała do Esther cichym, ale imponująco spokojnym głosem.

Kiedy wychodziła, odwróciła się i spojrzała na mnie z twarzą pozbawioną wszelkich emocji. Jeżeli była bliska płaczu, nie okazała tego. Sprawiała wrażenie potwornie wściekłej, tak bardzo, że samą siłą tej emocji mogłaby zacząć ciskać przedmiotami. Bez jednego słowa dała mi do zrozumienia, że teraz wreszcie mnie poznała i dopilnuje, żebym

pożałowała tego dnia. Siedziałam nieruchomo przy stoliku, czując, jak zimny dreszcz przebiega mi wzdłuż kręgosłupa.

[3] Port na wybrzeżu francuskim w Normandii. W czasie II wojny światowej odbyło się tam próbne lądowanie aliantów (operacja Jubilee), zakończone jednak niepowodzeniem (przyp. tłum.).

Rozdział 14

2016

Zazwyczaj budzę się, gdy tylko Henry otwiera drzwi do sypialni, ale następnego poranka po moim obiedzie z Polly ocknęłam się, czując jego ciepłe ciało wślizgujące się pod kołdrę w półmroku, jego włosy łaskoczące moją twarz, gdy wtulił się we mnie. Spoglądam na zegarek: jest już dziewiąta. Spał dłużej niż zazwyczaj. Przyciągam go bliżej, wtulając nos w jego kark i zastanawiając się, jak to zwykle, czy przestanie kiedyś tak cudownie pachnieć. Na pewno nie będzie pachniał w ten sposób w wieku piętnastu lat, ale co za pięć lat? Czy nadal będę się mogła zachłystywać jego zapachem tak, jak teraz? Czasami zastanawiam się, jaki efekt wywrze na nim cała ta moja miłość na późniejszym etapie jego życia. Wszyscy eksperci zgadzają się, że obdarzanie dziecka nadmiernym uczuciem jest niemożliwe, ale co, jeśli nie mają racji? Co, jeżeli można zadusić dziecko swoją miłością albo zepsuć je na zawsze, zwiększając jego oczekiwania co do uczuć innych względem jego? Nikt nigdy nie będzie potrafił go kochać tak bardzo.

Wzdycha radośnie.

– Jaki dzisiaj mamy dzień?

Niezależnie od tego, jak często ćwiczymy dni tygodnia, wciąż ich nie zna i każdy kolejny poranek jest cudowną niespodzianką.

– Sobota.

– Czy to jest sobota tatusia?

– Tak.

– Och, fajnie.

Jedną z rzeczy, za którą jestem wdzięczna Samowi, jest jego wycucie czasu. Henry miał tylko dwa lata, kiedy Sam nas zostawił, i w związku z tym w ogóle nie pamięta, że kiedyś mieszkaliśmy razem. Ostatnio jego przyjaciel z nowej szkoły zaprosił go do siebie do domu, żeby się pobawić. Był to pierwszy raz, kiedy zaproszenie nie obejmowało również mnie. Wieczorem przed pójściem spać, kiedy układałam jego przytulanki w odpowiednich rzędach, powiedział mi z ogromnym zdumieniem, że mama i tata Josha oboje byli w domu i mieszkali razem. Przekonałam Henry'ego do tego, że ma szczęście, ponieważ posiada dwa domy i dodatkowych ludzi, którzy go kochają, ale ta fantazja dla mnie brzmiała jak banał.

Wino, które wypiałam z Polly, wywołało u mnie pragnienie i ból głowy. Zostawiam Henry'ego w moim łóżku, oglądającego telewizję, i wtaczam się do kuchni, żeby przygotować mu jego poranny tost z dżemem. Mój laptop nadal stoi otwarty na stole kuchennym, niczym namacalne przypomnienie, że przeszłość nie zamierza mi odpuścić. Bardzo chcę zadzwonić do Polly i opowiedzieć jej wszystko. Pragnienie zrzucenia z siebie tego ciężaru jest niczym twardy kamień ciężący mi na żołądku. Muszę jednak przypominać sobie, że nie mogę tego zrobić – nie mogę zaryzykować utraty mojej przyjaciółki. Nigdy by nie zrozumiała, zwłaszcza zważywszy na to, co się dzieje z Phoebe.

Nade wszystko jednak pragnę, żeby moje życie wróciło do normalności sprzed dnia, gdy otrzymałam prośbę na Facebooku – do czasu, gdy wszystko w mojej głowie było zorganizowane we właściwy sposób. Bardzo długo zajęło mi posegregowanie wszystkiego w odpowiednich szufladkach. Dopiero ostatnio życie wróciło do normy – zrobiłam porządek w głowie, poukładałam sprawy i zrobiłam miejsce na nowe. Tym razem to Maria zaczyna wszystko przegrzebywać, wyjmować wspomnienia i zostawiać je na wierzchu, widoczne w chłodnym, jasnym świetle dnia.

Kiedy mleko pieni się energicznie i ekspres zaczyna mrugać, obwieszczając pojawienie się kawy, w mojej torebce zawieszanej na

oparciu jednego z krzeseł dzwoni nagle komórka. Zaczynam szperać między zużytymi chusteczkami, biletami na pociąg i zepsutymi długopisami, wyciągając ją akurat w momencie, kiedy włącza się automatyczna sekretarka. Na wyświetlaczu widzę numer komórkowy, którego nie mam zapisanego w pamięci telefonu.

– Halo?

– Louise? Mówi Esther. Esther Harcourt.

Stoję nieruchomo, czując serce bijące mocno tuż pod skórą. Tost wyskakuje z opiekacza, ale ignoruję go. Czy to przypadek, że zadzwoniła do mnie dzień po tym, jak otrzymałam kolejną wiadomość od Marii? Myślałam o Esther i o strachu, jaki pojawił się na jej twarzy, kiedy powiedziałam jej o wiadomości z Facebooka. Wyglądała na autentycznie wstrząśniętą, ale może było tak tylko dlatego, że nie spodziewała się, iż pojawię się u niej w biurze. Słyszając jej głos, zdaję sobie sprawę, jak bardzo chciałam się z nią znów spotkać, ale tak bardzo przywykłam już do oszukiwania samej siebie, iż nie potrafię powiedzieć, dlaczego. Może uważam, że to Esther jest autorką wiadomości na Facebooku? A może pragnę być z kimś, kto rozumie, nawet jeżeli nie zna całej historii?

– Zastanawiałam się nad czymś – mówi. – Nie powiedziałam ci o jednej rzeczy, ale nie wiem, czy w ogóle dotyczy ona tego, co się wydarzyło.

– Co? Co to takiego?

– Dzisiaj spotykam się z przyjaciółką w Londynie. Zamierzamy spędzić razem popołudnie i zjeść wcześniejszy obiad. Powinnyśmy skończyć najpóźniej o ósmej wieczorem. Czy ty... czy mogłybyśmy się spotkać potem? Porozmawiać o sprawie w odpowiedni sposób?

Cieszę się z wymówki przed pozostaniem na mojej randce dłużej, więc umawiamy się na dwudziestą trzynastą w pubie w pobliżu Seven Dials. Zawsze czuję się dużo pewniej w prawdziwych pubach, w przeciwieństwie do wykwintnych barów winnych, i wyczuwam, że Esther myśli podobnie, mimo jej wszystkich kosztownych garsonek i ogólnej profesjonalnej dynamiczności.

Wrzucam kolejną kromkę chleba do opiekacza dla Henry'ego i nieporęcznie rozsmarowuję masło nożem na zimnym toście. Stoję przy

blacie, jedząc kanapkę i wpatrując się bezmyślnie w drzwi balkonowe. Po ogródku przechadza się gołąb, skubiąc niewidoczne okruszki na werandzie. Zastanawiam się odruchowo, co takiego mógłby jeść.

Wołam Henry'ego do kuchni na tost. Wchodzi do środka powoli, trzymając Brudaska. Na głowie sterczy mu kosmyk włosów, niczym róg, a jego piżama jest założona tyłem do przodu i spodem na wierzch. Serce pęcznieje mi z miłości do niego.

– Bardzo dziękuję za mój tost, mamusiu – mówi poważnie, siadając i umieszczając ostrożnie Brudaska na krześle obok. W szkole mieli pogadankę o manierach i, tak jak wszystko inne, Henry potraktował ją bardzo poważnie.

– Proszę bardzo, Henry – odpowiadam równie poważnie. Zastanawiam się przez chwilę, jak odmiennie wyglądałaby ta scenka, gdybym posiadała całe stadko niegrzecznych dzieci, wyciągających płatki śniadaniowe z szafki, rozlewające swoje napoje, walczące ze sobą i pyskujące mi. Chcieliśmy dać Henry'emu rodzeństwo (oboje byliśmy jedynakami i nie chcieliśmy, żeby Henry poszedł w nasze ślady), ale poczęcie go zajęło nam tyle czasu i kosztowało tak wiele pieniędzy i bólu, że myśl o ponownym rozpoczęciu tej podróży była zniechęcająca. To tak jakby człowiek skończył maraton i powiedziano mu, że natychmiast musi pobiec następny. Moja niezdolność do podtrzymania dziecka w łonie sprawiła, że czułam się jak nieudacznik. To jedyna rzecz, którą kobiety powinny być w stanie zrobić bez wysiłku, a ja nie mogłam. Kiedy człowiek po raz pierwszy dowiaduje się o seksie i ciąży, słyszy tylko o tym, jak łatwo jest w nią zajść. Nikt nigdy nie rozmawia o tym, że czasem jest trudno. Sam usiłował mnie nie winić, ale wiedziałam, że w głębi duszy mnie oskarżał. Jak mógłby się tak nie czuć, kiedy miesiąc po miesiącu nie było żadnych linii ani wielkich grubych niebieskich krzyżyków?

Teraz jednak kocham naszą małą komórkę rodzinną – nas dwoje przeciwko całemu światu. Gdziekolwiek idziemy, Henry trzyma mnie mocno za rękę, jakby chciał powstrzymać mnie od wyslizgnięcia się mu. Kiedy jesteśmy w parku albo na placu zabaw, idzie się bawić ze swoimi

kolegami, ale od czasu do czasu wraca do mnie i mówi mi, że mnie kocha.

Przed jego urodzeniem nie byłam pewna, jakiego rodzaju matką będę. Na początku niespecjalnie chciałam mieć dzieci i nigdy nie czułam tego wszechogarniającego biologicznego pragnienia, o którym czytałam – chociaż wszystko się zmieniło od chwili, gdy stało się oczywiste, że zajście w ciążę będzie problemem. Kiedy Henry się urodził, zaskoczyła mnie moja własna cierpliwość i instynkty – pomimo braku doświadczenia zawsze wiedziałam, czego potrzebował i jak go uspokoić. Miłość pochłonięła mnie całkowicie, choć tak się obawiałam, że nie nadejdzie.

Być może posunęłam się nawet za daleko, przedkładając potrzeby Henry'ego nad moje własne i Sama. Sam z pewnością tak sądził. Po urodzeniu Henry'ego chciał mnie w większym stopniu niż kiedykolwiek, ale ja nie miałam mu zbyt wiele do zaoferowania. Nie wiedziałam, dlaczego nie rozumie, że jesteśmy dorośli i sami potrafimy się sobą zająć, bez względu na to, czy jesteśmy szczęśliwi, czy nie. Liczyło się tylko dobre samopoczucie Henry'ego – i nadal tylko to jest dla mnie ważne.

– Pójdiesz się ubrać? – pytam, przyglądając sterczący kosmyk jego włosów. – Potem będziemy mieli trochę czasu, żeby pobawić się pociągami, zanim zabiorę cię do taty.

Jego twarz się rozjaśnia.

– Będziemy mieli czas, żeby zbudować duże tory? – pyta.

– Ogromne – odpowiadam z uśmiechem. Henry ściska mnie i zupełnie mi nie przeszkadza, że jego lepiące się od dzemu paluszki wplatają mi się we włosy. Przytulam go bardzo mocno. Myśl o zostawieniu go później u Sama ciąży mi niczym worek z kamieniami na barkach.

Kiedy Henry się ubiera, z nielekkim sercem biorę w dłoń komórkę i przeszukuję kontakty, znajdując numer Phoebe.

– Hej, Louise – wydaje się ucieszona i zaskoczona telefonem ode mnie. Chyba nigdy przedtem do niej nie dzwoniłam, chociaż czasem wymieniamy esemesy.

– Hej, Phoeb. Jak się miewasz?

– W porządku – odpowiada ostrożnie.

– Czy mama powiedziała ci, że mogę zadzwonić?

– Nie. Nie widziałam się z nią jeszcze dzisiaj rano. Nadal jestem w łóżku.

– Ach, rozumiem. – Zbieram się w sobie, żeby skłamać tej dziewczynie, którą trzymałam w ramionach, gdy była niemowlęciem. – Mama powiedziała mi, że masz w szkole jakieś problemy z jedną z dziewczyn.

– O mój Boże! Dlaczego ci to powiedziała? – Phoebe najwyraźniej wzięła sobie „nastoletniość” bardzo do serca.

– Bo się o ciebie martwi – odpowiadam. – Rozmawiałyśmy sobie i wspomniałam, że coś... podobnego zdarzyło się, kiedy ja byłam w szkole. – Podobnego, owszem, ale nie w taki sposób, w jaki pozwalałam jej zinterpretować moje słowa. – Wtedy twoja mama poprosiła, żebym z tobą porozmawiała.

– Rozumiem. – Phoebe jest nieprzekonana. – Nie mogę uwierzyć, że gada o mnie za moimi plecami.

– Po prostu chce ci pomóc. Ja również. – I rzeczywiście, rozpaczliwie tego pragnę. Czy w głębi duszy uważam, że mogę w jakiś sposób odpokutować za to, co zrobiłam Marii? Że będzie to jakaś wielka kosmologiczna wymiana?

– A co się zdarzyło tobie? – Ciekawość przeważa w Phoebe.

– Och, nie chcę się wdawać w szczegóły. – Usiłuję nadać lekkość swojemu tonowi. – Musisz jednak pamiętać, że większość tego typu prześladowań bierze się z braku pewności siebie. Nawet jeżeli ta dziewczyna... jak ona ma na imię?

– Amelia.

– Ta Amelia pewnie wydaje się nietykalna, pewna siebie, ale tak naprawdę w głębi duszy ma kompleksy i jest pełna obaw, dlatego czuje potrzebę manipulowania tobą i innymi, zwracania ludzi przeciwko sobie.

Gdybym tylko była w stanie dostrzec to sama, kiedy byłam w szkole. Gdybym tylko potrafiła zrozumieć, że niezyczliwość Sophie wynikała z niepewności, może potrafiłabym utrzymać się z dala od tej całej afery. Gdybym sama miała więcej pewności siebie, być może nikt nie zdołałby

tak łatwo przekonać mnie do okrucieństwa i być może nie usiłowałabym aż tak zżarcie trzymać się na dystans od wszystkiego i wszystkich, nawet lekko skażonych możliwością niepopularności.

– Ona nie jest niepewna siebie – Phoebe mówi to z przekonaniem. – Serio, Louise. Wcale nie jest.

– W porządku. Rzecz w tym, że inne dziewczęta prawdopodobnie czują się tak jak ty. Boją się z nią zadrzeć, boją się zostać same, odizolowane. Gdybyście jednak zdołały się jakoś zebrać, zyskałybyście na sile jako grupa. Jeżeli Amelia nie będzie mogła was rozdzielić, nie będzie miała nad wami takiej władzy. Czy jest ktoś, jakaś z twoich innych koleżanek, z którą możesz się trochę bardziej zaprzyjaźnić? Robić różne rzeczy we dwie? Ktoś, kto być może jest nieco mniej zachwycony Amelią niż reszta?

Wracam myślą do Claire i Joanne, z ich lśniącymi od błyszczyka ustami, wystrzałowemu pewnych siebie. Czy one również zmagają się z niepewnością? Czy cokolwiek było takie, jak mi się wtedy wydawało?

– Cóż... – odpowiada Phoebe powoli. – Jest Esme. I może Charlotte.

– Doskonale! Proszę bardzo! Może zaprosisz je do siebie albo zaaranżujesz spotkanie z nimi, bez Amelii? Kiedy ta zrozumie, że nie zamierzasz się poddać i robić wszystkiego, co ci każe, może wtedy wszystkie będziecie mogły zostać przyjaciółkami.

Zastanawiam się, czy Maria kiedykolwiek zwierzyła się komuś z tego, co się działo w jej życiu. Jakże inaczej mogłyby się potoczyć wydarzenia, gdyby miała troszczącego się o nią dorosłego, który mógł jej doradzić i pocieszyć.

– No nie wiem – odpowiada Phoebe. – Ona nie jest normalnym człowiekiem, tylko zwyczajną suką – chichocze i przez chwilę słyszę dawną Phoebe, którą popychałam na huśtawce przy akompaniamencie pisków i wrzasków radości. – Spróbuję jednak zrobić to, co mówiłaś, z Esme i Charlotte – przerywa. – Dziękuję – dodaje niemal nieśmiało.

– Nie ma za co – odpowiadam. – Pamiętaj również, że szkoła i twoi przyjaciele z klasy to jedynie mała część twojego życia. Wiem, że w tej chwili tak tego nie odbierasz i że szkoła wydaje ci się całym światem, ale będziesz rozwijała się dalej i robiła fantastyczne rzeczy, a Amelia... cóż,

może jej to nie jest pisane.

Myślę o Esther i jej niezwykłej karierze oraz nienagannej fryzurze; i o przelotnym wyrazie twarzy, który zobaczyłam po tym, jak powiedziałam jej o zlocie absolwentów, na który nikt jej nie zaprosił. Czy zatrzymujemy je na zawsze, wszystkie te krzywdy wyrządzone nam w latach wczesnej młodości?

Żegnam się z Phoebe i odkładam telefon ostrożnie na stół. Dałam jej dobrą radę, powtarzam sobie. Dlaczego więc czuję się taka winna? Znam odpowiedź. To dlatego, że pozwoliłam jej myśleć o sobie jako o ofierze, a nie sprawczynie. Pozwoliłam Phoebe założyć, że jestem taka jak Esther – nadal nosząca blizny po upokorzeniach, które wycierpiałam z rąk innych. Tymczasem prawda jest zupełnie inna.

Wychodzimy później ze względu na moją rozmowę z Phoebe i na niechęć Henry'ego do porzucenia zabawy pociągami. Korci są straszne, więc docieramy do Sama dopiero po jedenastej trzydzieści. Wsiadam z samochodu, żeby otworzyć drzwi od strony Henry'ego, rozpinam jego pas i pomagam mu założyć plecaczek z ciuchcią Tomkiem.

Podnoszę go, żeby nacisnął dzwonek, i jak zwykle drzwi otwiera Sam. Ma zmierzwione włosy i jest ubrany w dżinsy i stary podkoszulek, który posiada od wielu lat. Opierałam głowę na tej miękkiej, spranej bawełnianej tkaninie tysiące razy. Można by pomyśleć, że po dwóch latach człowiek się do sytuacji przyzwyczai, ale wciąż zbija mnie z tropu widok jego twarzy, tak znajomej – tak bardzo będącej częścią mnie – w tym obcym kontekście. Wciąż jestem ogłuszona tym, co się z nami stało – faktem, że oto przekazuję mu nasze dziecko, wymieniając uprzejmości na progu domu, który należy do Sama, ale nie do mnie.

– Mogę wejść do środka? – pyta mnie Henry.

– Tak, oczywiście – przyklękam, żeby go przytulić, ale on już zdążył zniknąć, wyslizgując się z moich wyciągniętych ramion niczym piskorz. Nadal nie cierpię go tutaj zostawiać. Żołądek boli mnie z niepokoju przez cały czas, kiedy jest poza domem, a wskazówki zegara przesuwają się strasznie powoli, zanim nie nadejdzie chwila jego powrotu.

Naprawdę uważam, że posiadanie rodziców, którzy ze sobą nie

mieszkają, jest dla Henry'ego czymś normalnym, ale nie sędzę, żebym ja osobiście kiedykolwiek przyzwyczała się do obserwowania, jak odchodzi w kierunku świata, o którym nic nie wiem. Zawsze zdawałam sobie sprawę, że kiedy stanie się nastolatkiem, będzie miał swoje własne, nieznanne mi życie, którego nie będę mogła kontrolować, ale to, że dzieje się tak już teraz, kiedy ma zaledwie cztery lata, wydaje mi się całkowicie nie w porządku. W jego życie są w pełni zaangażowani ludzie, których praktycznie w ogóle nie znam: macocha, która nigdy nie podchodzi do drzwi; młodsza siostra, której również nigdy nie widziałam. Kiedy Henry zostaje gdzieś beze mnie, jakim cudem mam wiedzieć, czy jest bezpieczny?

– Spóźniłaś się trochę – mówi Sam.

– Wiem, przepraszam. Bawiliśmy się w pociągi, a potem straszne były korki...

– Nie ma sprawy, Louise, nic się nie stało. – Przygląda mi się uważnie.

– Ale... czy coś się stało? Powinienem o czymś wiedzieć? – Opiera się o framugę, z rękami w kieszeniach.

– Co masz na myśli? – Czyżby on też dostał prośbę na Facebooku?

Milczy przez chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Nic takiego. Po prostu ostatnio wydajesz się trochę... rozkojarzona. Poza tym spóźniłaś się już kilka razy, przywożąc Henry'ego, i zastanawiałem się... czy wszystko jest w porządku?

– Tak, absolutnie. – Mam ochotę wbiec do środka, zgarnąć Henry'ego i zabrać go gdzieś, gdzie będziemy tylko we dwoje, już na zawsze: gdzieś, gdzie nigdy nie będę musiała przyglądać się, jak odchodzi w nieznanne.

– Jesteś pewna, Louise? Wydajesz się... – Milknie.

– Wszystko jest dobrze. Poza tym tak czy siak to nie twoja sprawa, nieprawdaż? To, jak się miewam? – wiem, że reaguję z przesadą, ale nie mogę się powstrzymać.

Sam unosi ręce do góry.

– Dobra, dobra, po prostu pytałem. Nadal mi na tobie zależy, wiesz? Zdaję sobie sprawę, że nie wyszło nam tak, jak planowaliśmy. – Unoszę brwi na te słowa, ponieważ jest to niedopowiedzenie stulecia, ale Sam

mnie ignoruje i ciągnie dalej: – Tym niemniej zawsze będzie mi na tobie zależało, bez względu na to, czy tego chcesz, czy nie. – Słyszę w głowie prychnięcie Polly: *Zależy mu na tobie? Okazał to w bardzo dziwny sposób.* Jak długo żyłabym dalej, udając, że wszystko jest w porządku, gdybym nie znalazła esemesa od Catherine na jego komórce, co zmusiło go do podjęcia ostatecznego kroku?

Odwracam się z zamiarem odejścia, ale Sam mnie zatrzymuje.

– Zaczekaj, Louise.

– O co chodzi? – Odwracam się zdumiona.

– Słyszałaś o szkolnym zlocie absolwentów?

– Ach, tak. – Dlaczego nagle mnie o to pyta?

– Wybierasz się? – Wydaje mi się, że wyczuwam w jego głosie niebezpieczną nutkę nadziei.

– Nie wiem. A ty? – Jego nazwisko jest na liście ludzi, którzy wezmą udział w zabawie. Wiem, że zamierza iść.

– Tak, dlaczego by nie? Powinno być zabawnie. – Usiłuje zachowywać się bez troski, ale ja nie daję się oszukać. Przypominam sobie szesnastoletniego Sama, popularnego równiacę. Czy sądzi, że czeka go wieczór, podczas którego będzie mógł zmienić się w tamtego chłopaka, który miał u stóp cały świat?

– Może. – Zaczynam oddalać się od niego po ścieżce. – Do zobaczenia jutro o siedemnastej.

– W porządku, do zobaczenia. – Zamyka cicho drzwi, a ja wsiadam do samochodu, zmuszając się do normalnego oddychania. Jak to się dzieje, że nadal potrafi tak na mnie oddziaływać? Kiedy w końcu dojdę do etapu, na którym nie będzie mnie już ranił, a jego słowa będą się ześlizgiwać po mnie bez dotykania? Odjeżdżam, zastanawiając się, czy kiedykolwiek będę w stanie zostawić z nim Henry’ego bez tego okropnego, zżerającego mnie uczucia lęku.

Rozdział 15

2016

Reszta dnia wlecze się niemiłosiernie. To kolejna rzecz, do której nie przywykłam: samotne weekendy. Kiedy Sam i ja byliśmy jeszcze razem, lubiłam te rzadkie momenty, w których miałam możliwość spędzić czas sama. Bez względu na moją wszechogarniającą miłość do Henry’ego czułam, że były to jedyne chwile, w których mogłam być naprawdę sobą – kiedy udawało mi się pozbyć tego intruza, który pojawił się w chwili narodzin Henry’ego: tej matki. Jednak teraz, kiedy Henry jedzie do Sama, jestem zagubiona. Wiem, że istnieją galerie, kina i muzea, które mogłabym odwiedzić, ale jednocześnie zdaję sobie sprawę, że jeśli to zrobię, niechybnie zobaczę jakąś dwupokoleniową rodzinę wybierającą się na film Disneya albo podążającą w muzeum za znakami w kierunku interaktywnego warsztatu dla rodzin i poczuję fizyczny ból wywołany nieobecnością małej rączki w mojej dłoni.

Zapewne mogłabym się spotkać z przyjaciółmi, ale Polly często jest zajęta w weekendy, wożąc dziewczęta na przeróżne zajęcia – a nawet jeżeli nie jest, nie chcę zabierać im czasu przeznaczonego dla rodziny. Byłabym niczym widmo podczas uczyty, przypominające jej i Aaronowi, jak może wyglądać życie, jeżeli nie będą wobec siebie ostrożni. Mam innych przyjaciół, ale to naprawdę przerażające, jak łatwo jest pozwolić się im oddalić. Wystarczy odrzucić wystarczająco dużo zaproszeń i w końcu nawet najbardziej zdeterminowani zamilkną. Włączenie mojej osoby w ich życia wymagałoby w tej chwili iście herkulesowego wysiłku,

a ja nie mam na to energii. Zamiast tego przyglądam się im z boku, na Facebooku, lajkując ich zdjęcia z grillów, przyjęć urodzinowych i wypadów za miasto i wiedząc, że mogę winić tylko siebie za moją nieobecność na tych fotografiach.

Często w takich sytuacjach wykorzystuję okazję do nadrobienia zaległości w pracy. Rosemary wysłała mi kilka e-maili dotyczących różnych problemów z jednym z jej projektów i wiem, że jest zdziwiona moim brakiem odpowiedzi. Nie potrafię jednak się na niczym dzisiaj skupić. Gdy tylko wskazówki zegara docierają do w miarę rozsądnej godziny, o której mogę wyjść z domu bez przybycia na spotkanie absurdalnie wcześnie, wybiegam z mieszkania. Powinnam spędzić całe godziny, zastanawiając się, co na siebie założyć, malując się i układając fryzurę. Tymczasem niestarannie wysuszyłam włosy po umyciu, pomalowałam rzęsy tuszem, maznęłam usta szminką i założyłam dzinsy oraz jedną z moich „wyjściowych” bluzek. Nie wróży to dobrze mojej randce.

Wysiadam z autobusu na Piccadilly i przechodzę przez Soho. W dziewczynie takiej jak ja, która wyrosła na prowincji, życie w Londynie nadal wzbudza dreszczyk emocji; nie chodzi tylko o blask światła, ale również o głębokie, mroczne zaułki. Kiedy przeprowadziłam się tutaj, byłam przepełniona radością, że dostałam pracę w prawdziwej agencji projektanckiej, chociaż moje obowiązki polegały głównie na parzeniu herbaty. Kiedy nie miałam żadnych planów na wieczorne spotkania z ludźmi, wybierałam się do Soho i spacerowałam po dzielnicy, sycąc się ciężkim zapachem czosnku i wina, frytek i dymu papierosowego, śmieci i ścieków. Czuję, że żyję. Byłam anonimowa, ale jednocześnie stanowiłam część czegoś, co miało znaczenie; uderzającej do głowy mieszanki ludzi spoza miasta wybierających się na *Nędzników*, babskie wieczorki i imprezy pracownicze oraz odrobiny tradycyjnego Soho – *bon viveurs*^[4], prostytutek i kryminalistów.

Soho zmieniło się w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Jest tu więcej sieciowych restauracji i turystów, a mniej brudu. Zastanawiam się, czy ja też się zmieniłam. Prawdopodobnie mniej niż ta dzielnica. Nie jestem

aż tak otwarta na przemiany; muszę się przez cały czas pilnować. Stworzyłam osobowość stabilną i zadowoloną z życia – typową przeciętną Kowalską. Sam był jedynym człowiekiem, który znał mnie naprawdę.

Przybywam do baru kilka minut wcześniej i nie widzę ani śladu Grega. Przyjrzałam się bardzo uważnie jego zdjęciu, żeby na pewno go rozpoznać. Kupuję sobie wino i siadam na stołku barowym przy oknie, skąd mam dobry widok na wszystkich wchodzących do środka. Pomimo mojego braku entuzjazmu do randkowania, zaczynam czuć lekkie łaskotanie w żołądku na myśl o dzisiejszym wieczorze. To moja pierwsza schadzka od siedemnastu lat. Za każdym razem, kiedy do drzwi zbliża się ciemnowłosy mężczyzna, żołądek lekko mi się ściska, rozluźniając się, kiedy okazuje się, że to nie on. Kiedy dochodzi kwadrans po dziewiętnastej, łaskotanie w żołądku zmienia się w tępy ból. Nie podałam Gregowi mojego numeru telefonu, ponieważ nie czułabym się z tym komfortowo, nie znając go jeszcze, ale mógł napisać do mnie e-mail, jeżeli planował się spóźnić. Sprawdzam pocztę na komórce, lecz nic nie znajduję. O dziewiętnastej dwadzieścia pięć uznaję, że mam tego dosyć. Przy pobliskim stoliku siedzi grupka młodych kobiet, które pewnie zorientowały się, że zostałam wystawiona do wiatru i naśmiewają się ze mnie. Powinnam się tego spodziewać – że na to właśnie zasługuję. Byłam głupia, pozwalając sobie na zagłębienie się w fantazji, w której mogłabym znaleźć normalny związek. Powinnam wiedzieć, że przeszłość nie wypuści mnie tak łatwo ze swoich szponów.

Dopijam wino, czerwona z upokorzenia, i wstaję z zamiarem wyjścia. Kiedy jestem przy drzwiach, moja komórka pika. Wyjmuję ją, spodziewając się listu na skrzynce pocztowej, którą założyła dla mnie Polly, a którą dodałam na moim telefonie. Tymczasem jest to powiadomienie z Facebooka. Kolejny list od Marii:

Wychodzisz tak wcześnie, Louise?

Zatrzymuję się jak wryta na chodniku, a nogi niemal uginają się pode

mną. Jest gwaro, ale ja słyszę tylko mój paniczny oddech i bicie własnego serca. Ktoś mnie obserwuje. Rozglądam się, ale na ulicy jest pełno zwykłych ludzi spotykających się z przyjaciółmi lub kochankami. Naprzeciwko widzę restaurację ze stolikami na ulicy. Klientów ogrzewają ustawione na werandzie grzejniki. Przyglądam się ich twarzom, ale jest ich zbyt wielu, stolik obok stolika, a poza tym nie mam pojęcia, kogo szukam. Mój telefon znów pika:

Nie zasługujesz na szczęście. Nie po tym, co zrobiłaś.

Naciągam kaptur kurtki i ze spuszczoną głową oddalam się pospiesznie ulicą, niemal biegnąc. Maria ma rację. Nie zasługuję na szczęście. Oczywiście, że nie ma żadnego Grega. Zwyczajny miły mężczyzna nigdy by się mną nie zainteresował. A nawet jeżeli tak, nie wiedziałabym, jak właściwie zareagować, jak z nim być.

Ale jak ona to zrobiła? Mam wrażenie, jakby Maria wpełzła do mojej głowy, rozczapierzyła palce i zaczęła grzebać w moich myślach, wydobywając z nich najgorsze rzeczy, które myślę na swój temat, i serwując mi je znowu. Potem przypominam sobie żartobliwy post Polly na Facebooku:

Bawię się w swatkę dla Louise Williams na matchmymate.com.

Naturalnie. Każdy mógł ściągnąć z internetu zdjęcie przystojnego mężczyzny. Każdy mógł napisać e-mail. Maria miała po prostu szczęście, że wszystkie inne reakcje były tak nieodpowiednie.

Idę dalej, trzymając się wyłącznie ruchliwych ulic i bez przerwy rozglądając się za możliwym niebezpieczeństwem. Przez kilka dobrych minut jestem przekonana, że ktoś na chodniku po przeciwnej stronie idzie równo ze mną – dopóki ta osoba nie skręca w boczną uliczkę, nie oglądając się za siebie. Kluczę, wracam tą samą drogą, zmieniając strony ulic. Raz wchodzę na jezdnię bez rozejrzenia się na boki i taksówka hamuje z piskiem dosłownie centymetry ode mnie. Kierowca

gestykuluje wściekle. *Głupia krowa*. Unikam cichych bocznych uliczek z ich ciemnymi zaułkami i spowitymi w mroku, nasączonymi uryną drzwiami, ale nawet dobrze oświetlone i pełne ludzi miejsca wydają się złowrogie, ponieważ nie mam pojęcia, gdzie kryje się zagrożenie. Nie wiem, kogo się tak boję, przed kim uciekam.

O dwudziestej dostaję esemesa od Polly: „Jak idzie? Potrzebujesz ratunkowego telefonu?”.

Odpisuję: „Nie pojawił się. Wracam do domu”. Nie mogę jej powiedzieć o spotkaniu z Esther bez wyjawienia całej reszty problemu, a na to nie jestem gotowa. „O kurczę”, odpisuje. „Zadzwoń do mnie po powrocie, dobrze?”. Nie mogę, ponieważ nie idę do domu. „Zamierzam schować się pod kołdrą przed całym światem. Zadzwonię jutro rano”.

Następuje przerwa w konwersacji, więc Polly albo pisze jakąś długą odpowiedź, albo zastanawia się, czy powinna zaoferować, że mnie odwiedzi, abym mogła się jej wypłakać na piersi. Najwyraźniej decyduje, że jednak nie, ponieważ jej kolejny esemes mówi tylko: „OK. Zadzwoń, jeśli będziesz mnie potrzebować. Kocham cię x”.

Zostało pół godziny do spotkania z Esther. W głębi duszy pragnę napisać do niej, że nie mogę się z nią zobaczyć, a potem schronić się w bezpiecznych ścianach mojego mieszkania. Jednak coś w jej głosie, kiedy wspomniała o tej tajemniczej sprawie, powstrzymuje mnie od odwołania spotkania. Przemierzam zatem kolejne ulice, z mocno bijącym sercem, aż wreszcie docieram do umówionego pubu.

Esther jeszcze tam nie ma, więc zamawiam duży kieliszek wina i znajduję stolik w rogu pomieszczenia, z solidną ścianą za plecami i dobrym widokiem na całą salę. Panuje tu zwykły gwar rozmów na tle wydobywającej się z głośników melodii *Fall at your feet* w wykonaniu Crowded House. Kiedy byłam na studiach, uwielbiałam tą piosenkę, marząc o znaczącej relacji z jakąś mistyczną, niesprecyzowaną męską bratnią duszą. Rozglądałam się zaniepokojona, myśląc o wszystkich innych mężczyznach na świecie, z którymi mogłam skończyć w związku i o tym, jak inaczej mogło się ułożyć moje życie. Być może jednak nigdy nie miałam wyboru.

Upijam właśnie pierwszy łyk, kiedy Esther pojawia się w drzwiach, rozglądając się za mną. Jest ubrana w jasnoczerwony długi płaszcz. Włosy ma spięte w lśniący pełny kok, a policzki zaróżowione od chłodu. Wygląda na dziesięć lat młodszą niż jest w rzeczywistości i nie ma najmniejszego pojęcia, że niektórzy obecni tu mężczyźni w średnim wieku spoglądają na nią z zachwytem. Dostrzega mnie i macha, a potem gestem pokazuje wypijanie drinka. Potrząsam głową, więc Esther idzie do baru i dwie minuty później siedzi już przy mnie ze szklanką ginu z tonikiem musującym na stole między nami.

– Jak ci minął dzień? – pyta bardziej w ramach otwarcia konwersacji niż dlatego, że naprawdę chce wiedzieć. Tak przynajmniej myślę.

– Och, wiesz... – Nie patrzę jej w oczy. Od czego miałabym zacząć? – A twój?

– Dobrze, dzięki. – Nie jest zainteresowana streszczaniem mi swoich aktywności.

Pilnuje się w mojej obecności; czułam to już tego dnia w jej biurze. Nie chce mnie dopuścić bliżej i nie mogę jej za to winić. Czuję potrzebę oczyszczenia atmosfery między nami, wypowiedzenia niewypowiedzianych słów.

– Posłuchaj, Esther. W sprawie tego, o czym rozmawialiśmy ostatnim razem, kiedy cię odwiedziłam; o tym, jak potraktowałam Marię. Prawdopodobnie myślisz, że mówię to wyłącznie po to, abyś nie myślała o mnie najgorszych rzeczy, ale jestem teraz zupełnie inną osobą. Wiem, że to, co jej zrobiłam, było okropne i niewybaczalne. Wiem, że uczyniłam jej życie nieznośnym, i bardzo bym chciała cofnąć się w czasie i to zmienić, ale nie mogę. Zostaje mi jedynie przyznanie się do tego, jak bardzo źle postąpiłam, i... zrobienie wszystkiego, żeby być teraz lepszą osobą.

Esther bawi się słomką w jej szklance z ginem i tonikiem. Kostki lodu stukają o szklane ścianki.

– W porządku – mówi wreszcie. – Jestem w stanie to zrozumieć, chociaż muszę przyznać, że nie zawsze potrafię myśleć racjonalnie o naszych szkolnych czasach.

Na wspomnienie szkoły ogarnia mnie znów panika i rozglądam się dookoła. Mężczyzna czekający przy barze chwyta moje spojrzenie i uśmiecha się lekko. Czuję, jak ściska mnie w piersi, i z wysiłkiem przenoszę wzrok na Esther.

– Kiedy myślę o tamtych czasach, w jakiś sposób przenosi mnie w przeszłość – mówi. – Wszystko, co osiągnęłam od tamtej pory, nagle blednie, staje się nieistotne i znów znajduję się tam, siedząc samotnie w stołówce i udając, że czytam książkę. Takie rzeczy, doświadczenia zostają z człowiekiem na zawsze. Zmieniają cię. Wiem, że teraz odniosłam sukces i... – Wskazuje na siebie, nie chcąc wypowiedzieć tego na głos, ale rozumiem. – Tym niemniej w głębi duszy część mnie nadal jakby stoi na zewnątrz, zaglądając do środka.

Wiem, o czym mówi, ponieważ pomimo naszych bardzo różnych doświadczeń szkolnych ja również tak się czuję.

– Czasami rozmawiam z kobietami, które poznałam już jako dorosła osoba – ciągnie. – Może to być mama jakiegoś ucznia albo ktoś z pracy. W każdym razie nagle wspominają przelotnie o czymś z czasów szkolnych i uświadamiam sobie, że należały do tych popularnych uczennic. No wiesz, na przykład opowiadają o jakimś przyjęciu, na które poszły, albo o swoim chłopaku, który był kapitanem drużyny futbolowej, a ja myślę sobie, mój Boże, jesteś jedną z nich. I część mnie – przerywa, rumieniąc się. – Część mnie czuje się *zawstydzona*. Więc nie mówię im, kim ja byłam w szkole, tylko śmieję się razem z nimi, by pomyślały, że jestem taka sama i że moja młodość była pełna pijackich eskapad, przyjęć z nocowaniem pełnych śmiechu oraz chwil przerażenia, że zaszło się w ciążę. Ale wcale taka nie była, prawda? Moje doświadczenia jako nastolatki byłyby dla nich niczym wycieczka po obcym kraju.

– Wiem, że trudno ci będzie w to uwierzyć, ale w pewnym stopniu rozumiem, jak się czujesz. Mój czas w szkole był... – Milknę, niezdolna do przełożenia tego na słowa, zwłaszcza w rozmowie z nią.

Esther uśmiecha się, przesuwając czubkiem palca w dół i w górę szklanki, robiąc ślady na szkle.

– Nie najszcześniejszym okresem twojego życia? Wiesz, tak właśnie

myślałam od chwili, kiedy przyszedł do mnie z wizytą.

– Co masz na myśli? – Czas zwalnia odrobinę. O czym Esther wie? Co takiego widziała?

– Pamiętaj, że znałam cię w podstawówce.

– Oczywiście, że pamiętam.

Smugi chmur przepływające przez lazuruwe niebo Norfolku. Bieg przez las, bez tchu, aby wynurzyć się na ogromnej przestrzeni piasku, ciągnącej się aż do morza, a potem poza tę tajemniczą niebieską kreskę, gdzie niebo styka się z wodą. Niezliczone dni na plaży, powroty do domu wieczorami, ze słońcą rozgrzaną skórą i piaskiem w butach. Ja i Esther leżące na plecach obok siebie w jej ogrodzie, nie dotykając się. Niczym niezbrukane błękitne niebo nad nami, brzęczenie owadów i ciepło promieni słonecznych na naszych opalonych kończynach. Leżałyśmy tak długo, jak mogłyśmy, dopóki cień domu nie przykrył ostatniego skrawka trawy, kradnąc ciepło słońca i ochładzając ziemię i nasze ciała. Pamiętam to wszystko.

– Widziałam, jak się zmieniłaś, kiedy zaczęłyśmy naukę w liceum w Sharne Bay – ciągnie Esther. – Dojrzywałaś szybciej niż ja. W wieku jedenastu, dwunastu, nawet trzynastu lat nadal byłam dzieckiem. Ty przepoczwarzyłaś się znacznie wcześniej. A kiedy wyszłaś z kokonu, było tak, jakbyś podjęła świadomą decyzję, że będziesz inną osobą i wszyscy, którzy znali dawną wersję ciebie... musieli zniknąć. Liczyła się tylko Sophie i inni. Ale zawsze wydawałaś się zostawać na obrzeżu, nigdy tak naprawdę nie byłaś częścią paczki. Aż do balu absolwentów. Wtedy coś się zmieniło, prawda?

Kiwam głową, bo słowa nie przechodzą mi przez gardło. Kiedy odcięłam się od Esther (miała rację, to była świadoma decyzja), przestałam w ogóle o niej myśleć, z wyjątkiem upewnienia się, że ludzie jak najmniej wiedzieli o naszej byłej znajomości.

– To prawda, *byłam* inna, czułam się inna. Jakbym znów się zmieniała albo stawała się osobą, którą chciałam być od samego początku. – Badam grunt. Prawda niezgrabnie wydostaje się z mojej duszy. Czuję jej obcy smak na języku. Myśli wirują mi w głowie i nie jestem w stanie

uciszyć dręczącego mnie strachu, że wciąż jestem obserwowana.

– I co? – pyta Esther. – Stałaś się tą osobą?

Wpatruję się w wino.

– Nie, niezupełnie. Ale po tamtej nocy nic już nigdy nie było takie samo.

– To prawda. – Tym razem to Esther spuszcza wzrok. Nie potrafi mi spojrzeć w oczy. O czym jeszcze wie?

Krażę niebezpiecznie blisko prawdy. Czuję ją, piętrzącą się nade mną niczym góra lodowa na nocnym oceanie. Nie wiem dokładnie, gdzie się znajduje, ale jestem potwornie przerażona wizją nagłego z nią zderzenia – uczucia, jak mi się wali na głowę, rozdziera mnie, rozrywa i zatapia całkowicie. Część mnie chce opowiedzieć Esther wszystko, dopuścić ją do tego miażdżącego strachu, który mnie pożera. Chcę nią potrząsnąć, żeby mnie usłyszała: *Ktoś mnie śledzi*.

Spoglądam znów w stronę baru, ale mężczyzna, który się do mnie uśmiechał, już zniknął. Teraz stoi tam kobieta z długimi brązowymi włosami spiętymi w luźny kucyk. Jest do nas zwrócona plecami i kiedy zaczyna spoglądać w bok, żołądek podchodzi mi do gardła. Potem jednak widzę jej twarz: to jakaś obca dwudziestolatka, gładkolica i uśmiechająca się do swojej przyjaciółki, która właśnie weszła do środka. Przenoszę wzrok na Esther.

– Widziałam Tima Westona. – Nie zdawałam sobie nawet sprawy, że zamierzam to powiedzieć, dopóki słowa nie wypłynęły z moich ust.

– Co takiego? Gdzie?

– Po tym, jak odwiedziłam cię w Norwich, pojechałam na wybrzeże, do Sharne Bay. Wcale tego nie planowałam, po prostu nieświadomie skierowałam się w tamtą stronę. Wiesz, że Tim mieszka w ich starym domu? Wykupił go od swojej mamy kilka lat temu. Ona przeprowadziła się do domku jednorodzinne.

– Nie, nie wiedziałam o tym. Czy to tam właśnie go spotkałaś?

– Tak. Pojechałam obejrzeć mój dawny dom, a potem... zgubiłam się i nagle znalazłam się na ich ulicy. – Moje słowa brzmią niewiarygodnie i zastanawiam się, ile tak naprawdę było przypadku w tym, że

wylądowała pod dawnym domem Marii.

– Jak się zachowywał? – pyta Esther wyraźnie zafascynowana. – Zawsze uważałam, że jest trochę dziwny. Bardzo opiekuńczy wobec Marii.

– Zachował się... w porządku, zważywszy na okoliczności. Był dla mnie bardzo miły w kwestii... no wiesz. Powiedział, że mnie nie wini. – Wracam myślą do naszego spotkania. – Wydawał się sporo o mnie wiedzieć, co było dziwne... o tobie też dużo wiedział.

– Co masz na myśli?

– Och, nic wielkiego tak naprawdę. Wiedział, czym się obie zajmujemy zawodowo, to wszystko. Miałam wrażenie, że interesował się naszym życiem.

– Przypuszczam, że jesteśmy dla niego związane z Marią. Musi być mu trudno o wszystkim zapomnieć. Nie potrafię wyobrazić sobie presji, pod jaką się znalazł, jako jedyne pozostałe dziecko w rodzinie.

– Wiem. – Milczymy przez kilka sekund, pogrążone we własnych myślach. – Było jeszcze coś – dodaję z wahaniem.

– Co mianowicie?

– To pewnie drobiazg, ale... coś, co powiedział Tim. Kiedy rozmawialiśmy o tym, co się zdarzyło Marii, powiedział: „Jest twardsza, niż mogłoby się wydawać”, a nie: „była twardsza”. Mówił o niej w czasie teraźniejszym.

Oczekuję, że Esther wyśmieje tę nedorzeczność, uzna to za zwykłe przejęzyczenie, ale nie dzieje się ani jedno, ani drugie. Esther po prostu wpatruje się we mnie z pobladłą twarzą, od której ostro odcinają się oprawki jej okularów. Siedzimy tak, zawieszony w ciszy przez kilka sekund.

– Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać – odzywa się wreszcie.

– Jak to? – Nie mogę oderwać od niej wzroku, chociaż boję się tego, co zamierza mi powiedzieć.

– Każdego roku od czasu zniknięcia Marii w dniu moich urodzin dostaję list. Przychodzi pocztą.

– I?

– To zazwyczaj jakiś drobiazg; świeczka, płyn do kąpieli, chustka. Nigdy nie ma adresu zwrotnego ani kartki z życzeniami, tylko naklejka: „Droga Esther, wszystkiego najlepszego w dniu urodzin. Ucałowania od Marii”.

Odstawiam kieliszek na stół gwałtowniej niż zamierzałam. Ręka mi się trzęsie, grożąc wylaniem zawartości kieliszka na blat. Gwar i hałas wokół mnie rozmywają się, jedyną wyraźną rzeczą jest twarz Esther.

– Każdego roku od kiedy...?

– Tak.

– Skąd przychodzą?

– Z różnych miejsc; z Londynu, raz z Brighton, czasem z Norwich.

– Z Norwich?

– Uhm, czasami.

– Ale jak sądzisz, kto mógłby... chyba nie myślisz, że to *od niej*, co? – Zniżyłam głos do szeptu. Czuję ból w dłoniach i zdaję sobie sprawę, że wbijam paznokcie w miękką skórę.

– Uwierz mi, rozważałam wszelkie możliwe opcje, ale szczerze mówiąc, poddałam się wreszcie w kwestii wyjaśnienia tej zagadki. A przynajmniej do dnia, w którym pojawiłaś się w moim biurze. To częściowo z tego powodu byłam w stosunku do ciebie taka obcesowa. Po prostu... byłam przerażona ideą, że Maria żyje i wszystkie te prezenty pochodziły naprawdę od niej.

– Czy powiedziałaś o tym komukolwiek? Poszłaś z tym na policję?

– Owszem, po kilku pierwszych latach zabrałam prezenty na policję, ale nie potraktowali sprawy poważnie. W końcu nie było żadnego zagrożenia, więc co mogli zrobić?

Odchylam się na oparcie krzesła. Moje myśli szaleją. Czy to naprawdę możliwe, że Maria nadal żyje? I dlaczego jestem jedyną osobą, na której się teraz mści, skoro Esther od lat dostawała prezenty? Czy dramatyzuję, sądząc, iż grozi mi niebezpieczeństwo? Nie można zaprzeczyć faktowi, że dziś wieczorem ktoś mnie obserwował. Rozglądam się pospiesznie, sprawdzając ludzi znajdujących się w pobliżu. Czy ta rudowłosa kobieta może być nią? A może jedna

z grupki kobiet stojących przy barze?

Esther mi się przygląda.

– Przepraszam, nie chciałam cię zdenerwować. Po prostu pomyślałam, że może powinnaś o tym wiedzieć. Chociaż po tylu latach wiem, że mogę się spodziewać prezentu, zawsze wstrząsa mną widok jej imienia, czarno na białym na naklejce. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak się czułaś, kiedy otrzymałaś tę prośbę na Facebooku.

Pragnienie otworzenia się przed Esther jest niezwykle silne – potrzeba rozluźnienia tego węzła w mojej duszy, który zaciska się coraz silniej. Nacisk na czaszkę, który powoli wzrastał od dnia, w którym Maria napisała do mnie na Facebooku, grozi teraz osiągnięciem apogeum.

– To nie była tylko prośba o dodanie do grona przyjaciół, Esther.

– Jak to? – dopija resztkę ginu z tonikiem i zerka na zegarek.

– Dostałam inne wiadomości, a tego dnia, gdy odwiedziłam Sophie, jestem pewna, że ktoś mnie śledził. A potem... – Milknę, nie chcąc przyznać się do tego, jak łatwo dałam się złapać na randkę internetową. – Chcesz się jeszcze czegoś napić? – pytam zamiast tego. Jeszcze jeden kieliszek wina i może spróbuję opowiedzieć jej prawdziwą historię tego, co przydarzyło się Marii, rzucić nieco światła na sprawę.

– Nie, lepiej nie. – Zaczyna się zbierać. – Muszę już iść na Liverpool Street. Mój mąż nie cierpi, kiedy się spóźniam. Ale co chciałaś powiedzieć przez to, że ktoś cię śledził?

– Och, nic. To pewnie tylko moja wyobraźnia.

Spogląda na mnie ze zważeniem.

– Naprawdę, wszystko jest w porządku! – Usiłuję zabrzmieć beztrąsko. Muszę szybko zmienić temat. – Nie wiedziałam, że jesteś mężatką. – Jak idiotka wyobrażałam sobie, że będzie tak samo samotna jak ja.

– A to ci niczego nie podpowiedziało? – Uśmiecha się szeroko, machając mi przed twarzą lewą dłonią, gdzie widzę teraz wyraźnie platynową obrączkę z diamentem na serdecznym palcu.

– Czym się zajmuje twój mąż? – Ogarnia mnie panika na myśl, że zostanę sama i usiłuję ją zatrzymać przy sobie dłużej.

– Jest prawnikiem, tak samo jak ja – Uśmiecha się. – Nuda! – Widzę,

że w rzeczywistości wcale tak nie uważa.

– Świetnie. – Szukam pomysłu, ale nie mogę znaleźć żadnego inteligentnego pytania. Przypominam sobie nagle, że Esther jest partnerką w swojej firmie. – Czy on również jest partnerem?

Zapada krótka cisza, a twarz Esther przelotnie pochmurnieje.

– Nie, jeszcze nie.

– Dzieci? – Jeżeli będę jej zadawała kolejne pytania, może ze mną zostanie?

– Tak, dwoje. Chłopiec i dziewczynka. A ty? – Zerka na serdeczny palec mojej lewej dłoni tak szybko, że prawie tego nie zauważam.

– Tak. Tylko jedno – mówiąc to, czuję zwykłe ukłucie bólu. Przynajmniej teraz, kiedy jestem rozwiedziona, ludzie przestali mnie pytać, kiedy planuję mieć następne. – Henry. Ma cztery lata. – Zdaję sobie sprawę, że Esther nie wie o moim małżeństwie z Samem. Z jakiegoś powodu wstydzę się przed nią do tego przyznać. Esther założyła już płaszcz i widzę, że nie zdołam jej zatrzymać. Za kilka chwil zostanę sama, z perspektywą samotnej podróży z powrotem do pustego mieszkania. Co, jeżeli ktoś mnie śledzi?

– No dobrze, lepiej już pójdę, żeby złapać mój pociąg. Jesteś pewna, że wszystko jest dobrze? Dobrze... miło było się z tobą spotkać, Louise. – Widzę, że te słowa dużo ją kosztują. Kiedy odchodzi, ogarnia mnie nagła potrzeba pobiegnięcia za nią i zapytania, czy mogłybyśmy zostać przyjaciółkami. Wiem jednak, że to beznadziejna sprawa. Esther wydaje się skłonna spróbować mi wybaczyć to, jak potraktowałam Marię i ją samą. Nigdy by mi jednak nie darowała, gdyby знаła całą prawdę. Nigdy w życiu.

[4] *Bon viveur* (fr.) – człowiek lekkomyślny, szukający w życiu tylko przyjemności, lekkoduch (przyp. tłum.)

Rozdział 16

On zawsze był... opiekuńczy. Wie, przez co przeszła – że jej dzieciństwo i okres dojrzewania nie były ustlane różami. Pragnie po prostu, żeby reszta jej życia była wypełniona szczęściem, to wszystko. Nie chce, żeby ktokolwiek inny ją skrzywdził. Im bliżej będzie ją trzymał przy sobie, tym bezpieczniejsza będzie.

Kiedy była w ciąży, chyba skrycie marzyła o tym, że będzie zupełnie mogła zrezygnować z pracy, chociaż tak naprawdę nigdy nie byłoby to możliwe. Usiłuje odsunąć od siebie myśl o tym, że on nienawidzi jej świetnej kariery i wolałby jakąś kurę domową w kapciach, z obiadem zawsze gotowym na stole. Martwi się, że on nie potrafi sobie poradzić z tym, iż odniosła większy sukces od niego. Nie najlepiej mu się powodzi w pracy, dlatego ona stara się nie mówić o swojej karierze. Pomniejsza jej znaczenie.

Ciąża miała również innego rodzaju wpływ na ich związek. Poród i karmienie piersią nie tylko wyniszczyły ją fizycznie, ale zmieniły jej rozumienie własnego ciała. Nie wiedziała już, do czego ono właściwie służy. Czynności, przy których kiedyś krzyczała z rozkoszy, teraz zupełnie jej nie wzruszały.

Pewnie powinna być zadowolona z tego, że nadal jej pragnął. Miała przyjaciółki, których mężowie nie chcieli ich dotknąć po tym, co zobaczyli na porodówce: krew, jatka, wrzaski, potworne cierpienie; odrzucało ich na widok ich żon z obwisłymi brzuchami i ciekącymi piersiami.

Sama dość często musi się upewniać. To całkowicie normalne: to, co

chce robić. Zdecydowanie mieści się w granicach normalności. Poza tym, co tak naprawdę uchodzi za naturalne? Nie ma sztywnej definicji tak długo, jak nikomu nie dzieje się krzywda. Chociaż czasem boli, ale przecież to część zabawy, prawda?

Najważniejsze to nie zapominać, że on ją rozumie. Zna ją – jest jedynym człowiekiem, który ją naprawdę widzi. Nigdy nie będzie miała tego wszystkiego z nikim innym. A jeżeli kiedykolwiek zacznie o tym zapominać, to cóż... on jest tuż obok, żeby jej o tym przypomnieć.

Rozdział 17

1989

Sophie wybaczyła mi to, że stchórzyłam w tej sprawie z tamponem. W zasadzie to była całkiem miła, powiedziała, że rozumie i że nie powinnam robić niczego wbrew sobie. Trwała blisko mnie, przechadzając się ze mną, zamiast z Claire i Joanne, siedząc ze mną na lunchu każdego dnia. Dzięki Bogu Maria trzymała się zupełnie z daleka. Prawie jej nie widywałam, poza lekcjami. Wszyscy rozmawiali na temat balu absolwentów, który miał się odbyć za kilka tygodni, pod koniec czerwca. Przeważnie gadali na temat tego, co ze sobą przyniosą i jak zamierzają się upewnić, że nauczyciele zawczasu tego nie przechwycą i nie zepsują zabawy. Sophie miała szalony pomysł zrobienia jakiegoś żartu na pożegnanie szkoły. Miało to być coś spektakularnego, co zapisze nas w annałach szkolnej historii. Odwiedziłam ją kiedyś i razem obejrzałyśmy film *Carrie*. Nigdy w życiu tak się nie bałam. W planie Sophie nie było miejsca na krew świni, ale powiedziała, że z całą pewnością odegram w nim ważną rolę. Nie powiedziała o niczym nawet Claire i Joanne. Wiedziałyśmy o tym tylko my dwie, Sam i Matt. Potrzebowałyśmy chłopców, żeby zorganizowali dla nas różne rzeczy, a poza tym sądzę, że Sophie chciała zaimponować jednemu z nich. Nie miałam ochoty się zastanawiać, któremu dokładnie.

Wiedziałam, że tym razem się nie wycofam, nie zawiodę Sophie. Byłam pewna, że podjęłam właściwą decyzję, trzymając się z nią i z pozostałymi. Widziałam, że Maria przez większość dni jada lunch

z Esther. Nic jej nie będzie. Esther prawdopodobnie bardziej się nadawała na jej przyjaciółkę, tak czy owak.

Kolejna duża zabawa odbyła się w domu Sama. Tym razem zostałam właściwie zaproszona i to nie tylko ze względu na Sophie. Ona sama powiedziała mi, że Sam specjalnie zapytał się jej, czy może mnie przyprowadzić. Usiłowałam nie wyciągać z tego zbyt pochopnych wniosków. Znów wyszykowałam się do wyjścia u Sophie i razem poszliśmy do domu Sama. Nie miałam pojęcia, gdzie mieszka, więc kiedy skręciliśmy w prawo przy sklepiku z rybą i frytkami na wynos i ruszyliśmy w górę Coombe Road, byłam zaskoczona. Nie w snobistyczny sposób – po prostu nie zdawałam sobie sprawy, że Sam tutaj mieszka. Minęliśmy grupkę brudnych małych chłopców grających w piłkę na ulicy. Jeden z nich zawołał za nami coś niegrzecznego, ale zignorowałyśmy ich.

Kiedy Sam otworzył drzwi, jego źrenice były tak wielkie, że oczy zrobiły mu się niemal czarne. Objął nas obie mocno, a potem tańcząc, oddalił się korytarzem w głąb domu.

– No proszę, już się nieźle bawi, czyż nie? – powiedziałam do Sophie. Chciałam w ten sposób zaprezentować swoją „luzackość”, dać jej do zrozumienia, że wiem, iż Sam coś zażył. Sophie jednak zacisnęła tylko usta. Podłoga wyłożona była mdłozielonym dywanem, a tapety wyglądały, jakby położono je tu w latach siedemdziesiątych. Sophie pociągnęła mnie za sobą korytarzem do kuchni znajdującej się na tyłach domu. Jeżeli tapety pamiętały lata siedemdziesiąte, to kuchnia wydawała się jeszcze bardziej wiekowa. Sophie posadziła mnie przy stole z formiki, pokrytym warstwą kurzu i kilkoma plamami od przypalenia. Spojrzała na mnie poważnie.

– Posłuchaj, musimy porozmawiać.

Milczałam, skrobiąc paznokciem pęknięcie na blacie stołu. Chyba nie zamierzała się ode mnie odciąć po tym, jak dopiero co ją odzyskałam?

– Zauważyliśmy, że masz trochę specyficzne podejście do narkotyków.

„Kim są ci »my«?”, pomyślałam, ale nie powiedziałam nic.

– Jeżeli nie chcesz niczego próbować, to oczywiście twój wybór. Ale

jeżeli zamierzasz spędzać z nami więcej czasu, to pamiętaj, że jest to coś, co my robimy, okej? Nie chcę, żebyś poczuła się poza nawiasem.

Zastanowiłam się szybko.

– Nie chodzi o moje podejście. Po prostu nigdy nie próbowałam niczego takiego, poza wypaleniem odrobiny trawki. Dlatego jestem trochę niepewna. Co się dzieje po ecstazy?

– O mój Boże, jest super! Totalnie ci się spodoba. Wszystko staje się takie piękne, kolory są bardzo jaskrawe, człowiek kocha absolutnie wszystkich i czuje się naprawdę niezwykły. Lekki i szczęśliwy. Jakby w każdej chwili mógł odpłynąć w powietrzu.

– Brzmi nieźle – odparłam niemrawo, zawstydzona moją koszmarną naiwnością.

– Jest dużo lepsze. Chcesz spróbować dziś w nocy?

– Dzisiaj? Co, tutaj? Och, nie wiem... – Bałam się narkotyków, utraty kontroli i zrobienia z siebie idiotki.

Sophie wzruszyła ramionami, bez uśmiechu.

– Jak już powiedziałam, wszystko zależy od ciebie. Pójdę poszukać Claire.

Wyszła z pokoju, zostawiając mnie samą przy kuchennym stole. Za oknem widziałam zarośnięty krzakami ogród z dwoma podartymi i zardzewiałymi leżakami – jeden stał przewrócony na bok. Przypomniałam sobie, jak leżałyśmy z Marią w ogrodzie u Matta i jak zrelaksowana się czułam w jej towarzystwie, to rozmawiając, to znów milcząc. Niezobowiązująco. Przygryzłam wewnątrz policzka między trzonowcami, żując miękką tkanę, schwytna w pułapkę niezdecydowania. Czy było już za późno, aby ocalić nic porozumienia z Marią? Mieć prawdziwego przyjaciela – kogoś zabawnego i interesującego, kto lubił mnie taką, jaką jestem. Wybaczyła mi już kiedyś – może teraz robi to znowu? W końcu próbowałam ją ostrzec w tej sprawie z tamponem. Muszę tylko wyjść z tego domu, wrócić do siebie i zadzwonić do Marii. Zdawałam sobie sprawę z tego, że byłaby to moja ostatnia szansa, ale nadal czułam, że mogłabym ją dostać.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i spojrzałam w ich stronę,

spodziewając się widoku Sophie. Serce ścisnęło mi się nerwowo, kiedy ujrzałam Tima, który stanął jak wryty, widząc mnie przy stole.

– Och. Nie wiedziałam, że tu będziesz.

– Włóż to do lodówki, dobra, stary? – powiedział do Tima brat Matta, wpychając mu kilka czteropaków piwa i wracając do pokoju, w którym odbywało się przyjęcie.

Wsunęłam moje krzesło pod stół najdalej, jak tylko mogłam. Tim przecisnął się obok mnie w milczeniu. Wyjął z paczki jedną puszkę, wkładając resztę do lodówki. Był już w połowie drogi do drzwi, kiedy nagle chyba zmienił zdanie i odwrócił się do mnie.

– Posłuchaj, trzymaj się z dala od mojej siostry, dobra?

– Nie martw się. Zamierzam. – Ostry ton mojego głosu przeraził mnie i zniesmaczył. Spuściłam wzrok, bawiąc się suwakiem mojej bluzki. – Przyszła tu z tobą? – spytałam łagodniej.

– Nie, oczywiście, że nie przyszła. – Opadł na krzesło naprzeciwko mnie i postawił z hukiem puszkę na stole. Piwo rozprysło się na laminacie. – Czy ty masz pojęcie, jak narozrabiałaś?

– Nie rozumiem, o co ci chodzi. – Nie śmiałam spojrzeć mu w oczy.

– Maria zwierza mi się z różnych rzeczy. Wiem, co zrobiłaś. Może nie masz pojęcia, przez co przeszła w Londynie, ale ja owszem. To była ostatnia rzecz, której potrzebowała.

– Ma przecież Esther, prawda? – wymamrotałam.

– Tak, dzięki Bogu, ale wiesz równie dobrze jak ja, że przyjaźń z Esther oznacza odcięcie się od dziewięćdziesięciu procent waszych rówieśników. A poza tym chciała zaprzyjaźnić się z tobą. Polubiła cię, a ty sprawiłaś jej zawód. I dlaczego? Z powodu tej tam bzdziągwy? – Kiwnął kciukiem w kierunku dużego pokoju, z którego dobiegało dudnienie muzyki. – Mam nadzieję, że twoim zdaniem to wszystko było tego warte. – Wstał, odpychając gwałtownie krzesło, którego nogi z przeraźliwym zgrzytem przesunęły się po zniszczonym linoleum.

Siedziałam przy stole przez kilka minut, niepewna, czy jeśli wstanę, moje nogi będą w stanie mnie utrzymać. Wreszcie ruszyłam w stronę drzwi, podejmując decyzję i zastanawiając się tylko, czy powinnam

powiedzieć Sophie, że wychodzę. Jednak gdy tylko postanowiłam wymknąć się z przyjęcia niepostrzeżenie, drzwi otworzyły się znowu. Przygotowałam się na ponowną konwersację z Timem, ale nagle załaskotało mnie głupio w żołądku, kiedy zdałam sobie sprawę, że to Sam. Jego ciemnoblonde włosy wpadały mu do oczu, których błękit był niemal całkowicie zniwelowany przez rozszerzone źrenice.

– Słodka Louise! Tutaj jesteś! – zawołał, wywołując u mnie rumieniec, wędrujący aż na szyję, chociaż wiedziałam, że jego uczucia względem mnie są w tej chwili czysto chemiczne. Przyciągnął mnie do siebie, a ja odwzajemniłam jego uścisk, czując ciepło jego ciała na piersi, moje dłonie zaciśnięte na jego plecach. Zamknęłam oczy i odetchnęłam głęboko, zachłystując się zapachem jego znoszonej skórzanej kurtki, słodko-ostrego cytrusowego zapachu i czegoś jeszcze, czego nie potrafiłam zdefiniować. Obudziło się we mnie znajome uczucie, desperackie pragnienie, którego nie potrafiłam nazwać.

– Usiądziesz ze mną? – spytał.

Zajęliśmy miejsca naprzeciwko siebie i Sam uśmiechnął się, sięgając po moją dłoń. Serce biło mi tak szybko, że miałam wrażenie, iż zaraz wyskoczy mi z piersi.

– Przepraszam za to wszystko – powiedział, rozglądając się po kuchni.

– Za co? – spojrzałam na zardzewiały zlew, stare szafki kuchenne, na wyłamane drzwiczki i brakującą szufladę oraz na poplamione i poodpryskiwane blaty.

– Wiesz, o co mi chodzi. To rudera.

– Nie jest tak źle – ścisnęłam jego rękę z uczuciem. – Kto by się przejmował? Przynajmniej masz to miejsce dla siebie na całą noc. Moi rodzice nigdy nigdzie się nie wybierają, a nawet jeśli by to zrobili, zabiliby mnie, gdybym wyprawiała przyjęcie.

– Mój ojciec ma to w dupie – jego twarz pociemniała. – Cieszę się, że tu jesteś – jego uśmiech sięgnął w głąb mojej duszy, rozgrzewając ją.

Zamierzałam właśnie odpowiedzieć, kiedy drzwi ponownie się otworzyły, tym razem wpuszczając do środka Sophie. Uśmiechnęła się i spojrzała znacząco na nasze splecione dłonie na stole. Sam cofnął rękę

i wstał, obdarzając mnie jeszcze pożegnalnym uśmiechem.

– Do zobaczenia za chwilę, tak? – powiedział. Kiedy mijał Sophie, ta wyciągnęła do niego ramiona.

– Hej, Sammy, gdzie jest mój uścisk?

Sam otoczył ją ramionami, a ona objęła go w pasie, spoglądając na mnie przez jego ramię. Kiedy Sam ruszył w stronę dużego pokoju, Sophie przysiadła naprzeciwko mnie przy stole.

– Wyglądało to dość intymnie – powiedziała z chytrym uśmieszkiem. – No więc, co sądzisz? Chcesz spróbować?

Odetchnęłam głęboko.

– Masz coś, co mogłabym zażyć? To znaczy teraz?

Uśmiechnęła się wtedy i wiedziałam, że zdałam egzamin. Wiedziałam również, że cokolwiek było między mną i Marią, właśnie ostatecznie się skończyło. Nie będzie żadnych kolejnych szans.

Dużo później leżałam obok Sophie pod ciężką pierzyną w jej podwójnym łóżku. Nadciągał właśnie świt, a ja miałam wrażenie, jakbym przekroczyła jakąś niewidzialną barierę odgradzającą mnie od innego świata. Zawsze czułam się nieco poza nawiasem grupy. Moja znajomość z innymi zawsze była filtrowana poprzez pryzmat przyjaźni z Sophie. Zażycie ecstasy jednak sprawiło, że po raz pierwszy w życiu poczułam się jedną z nich. W myślach rozbłysły mi obrazy z minionej nocy: mnie tańczącej, przytulającej się, śmiejącej się; ramiona Sama obejmujące mnie, podnoszące mnie do góry i obracające wokoło; otoczenie zmieniające się w spiralę kolorów i światła. Jutrzenka przedarła się przez zasłony Sophie od Laury Ashley i ptaki rozpoczęły swoje poranne przekomarzania. Nie spałam, raz po raz rozmyślając nad pomysłem Sophie. Na początku nie byłam przekonana, ale Sophie obiecała, że nie będzie żadnych długotrwałych konsekwencji – tak naprawdę Marii może się to nawet spodobać, trochę ją rozluźnić. Sam i Matt również byli chętni. Uważali, że to przezabawny pomysł. Postanowiliśmy nie mówić o tym nikomu innemu, nawet Claire i Joanne. Miał to być nasz sekret, należący tylko do naszej czwórki. Wiedziałam, że scementuje to moją przynależność do grupy – byłam

jedyną osobą, która mogła to zrobić. Po prostu musiałam zachować spokój.

Rozdział 18

2016

Przez cały dzień w domu paliły się światła, jednak nie udało im się rozpędzić październikowego mroku. Ze stalowoszarego nieba lały się strugi deszczu, smagając okna balkonowe. Przez cały tydzień odkładałam decyzję o udziale w zjeździe absolwentów i nawet teraz, kiedy nadszedł ten dzień, nadal nie weszłam na stronę wydarzenia i nie zaznaczyłam, że zamierzam wziąć w nim udział. Polly czeka w razie czego na wezwanie, żeby pilnować Henry'ego. Nie chciałam jej mówić, że wybieram się na zlot, ale nie mam nikogo innego, komu mogłabym powierzyć opiekę nad Henrym przez całą noc. Chciała zobaczyć stronę wydarzenia, więc nie byłam w stanie ukryć przed nią faktu, iż Sam również zamierza się tam pojawić. Nie była zachwycona. Wiem, że tylko próbuje mnie chronić, ale nie rozumie, dlaczego czuję potrzebę pojawienia się tam. Nie jest w stanie, ze względu na obszerne brakujące części mojej historii, których jej nie wyjawiałam. Nie wie, jak bardzo Sharne Bay mnie przyciąga – jest niczym blizna, która swędzi i sprawia, że palce bezwiednie wędrują do niej, chociaż człowiek zdaje sobie sprawę, że powinien zostawić ją w spokoju.

Nie mam nic przeciwko temu, żeby Henry nocował u Polly, ale czuję ukłucie bólu, kiedy widzę dziadków, którzy odbierają ze szkoły jego kolegów. Po swobodnej bliskości, z jaką wnuki się z nimi witają wnoszę, że stanowią sporą część ich życia. Dla Henry'ego wizyta u moich rodziców jest wielkim świętem: wybiera uważnie strój, rozprawia

o wydarzeniu na całe dni przedtem, doprowadzając się do stanu rozbudzenia i niepokoju – i zawsze doświadczając zawodu, kiedy dziadkowie okazują się dalecy od jego ideału. Nigdy nie okazywali zainteresowania opieką nad nim, nawet kiedy był malutki, a ja chodziłam na czworaka ze zmęczenia. Byli pełni współczucia, ale najwyraźniej zwyczajnie nie przyszło im do głowy, że potrzebowałam kogoś, kto przejąłby mojego syna na kilka godzin. Może gdybyśmy byli sobie bardziej bliscy, zanim Henry się urodził, byłabym w stanie poprosić ich o pomoc, której tak desperacko potrzebowałam, ale dystans między nami był zbyt wielki, żeby go pokonać. Dwadzieścia trzy lata uprzejmych konwersacji zebrały swoje żniwo i czas na szczerą dawno przepadł.

Rodzice Sama również nigdy nie odgrywali żadnej roli w naszym życiu. Jego ojciec zmarł lata temu, kiedy Sam był na uniwersytecie, a chociaż jego matka pojawia się od czasu do czasu w jego życiu dorosłym, nie nazwałabym ich relacji bliską. Pamiętam, że usiłowałam zrozumieć, jak i kiedy znów się z nim skontaktowała, ale Sam nie chciał o tym rozmawiać. W niektórych aspektach byliśmy sobie bardzo bliscy, ale innych w ogóle nie pozwalał mi zobaczyć. Henry spotkał się z „drugą babcią” zaledwie kilka razy, więc stała się w jego głowie czymś w rodzaju mitycznej postaci.

Stchórzyłam przed dodaniem do znajomych na Facebooku kogokolwiek innego ze szkoły poza Sophie, więc teraz muszę zadowolić się limitowaną ilością informacji o nich, dostępną publicznie na ich profilach. Zazwyczaj są to zdjęcia i posty, które polubiła lub skomentowała Sophie. Matt Lewis najwyraźniej dorobił się jakichś małych dzieci, chociaż nie są to jego własne pociechy. Sam spotykał się z nim od czasu do czasu, kiedy byliśmy jeszcze małżeństwem, chociaż ja nigdy się do nich nie przyłączałam i na pewno wtedy jeszcze nie miał żadnych dzieci. Musiał poznać kogoś, kto już dochował się potomstwa. Claire Barnes, sądząc z kilku wymian informacji między nią i Sophie, ma starsze dzieci i żyje w separacji ze swoim partnerem.

Siedzę z laptopem na stole kuchennym, podczas gdy Henry

skrupulatnie zjada kanapkę z masłem orzechowym, oblizując palec wskazujący i przyciskając go do talerza, żeby zebrać wszystkie najmniejsze okruszynki chleba.

– Moja siostra nie może jeść masła orzechowego – oświadcza. – Żeby przypadkiem nie spuchła.

Nadal mnie boli, kiedy słyszę z jego ust słowa „moja siostra” dotyczące dziecka, które nie należy do mnie. Rzadko wspomina Daisy lub swoją macochę. Oczywiście nie wie, że Sam porzucił mnie dla Catherine, ale najwyraźniej podświadomie rozumie, że nie powinien rozmawiać ze mną ani o niej, ani o Daisy.

– Spuchła – powtarza. – Jak balon.

– Aha – odpowiadam w zamyśleniu, zaabsorbowana Facebookiem, coraz bardziej oddalając się od pierwotnego celu i przeglądając zdjęcia z wakacji jakiejś osoby, z którą pracuje Claire Barnes. Moja komórka brzęczy na stole i jednocześnie na Facebooku pojawia się dymek nowej wiadomości. Klikam na niego i nagle wszystko wokół mnie znika. Zostają tylko ja i ekran komputera. To kolejny list od Marii.

Zamierzasz wrócić na miejsce zbrodni? Będę na ciebie czekać, Louise.

Każda wiadomość od niej jest niczym uderzenie obuchem w głowę zadane przez obcego napastnika: pozostawia mnie zdezorientowaną i kompletnie ogłuszoną. Henry nie ma o niczym pojęcia – skoncentrowany na swojej kanapce, chroniony przez typowy dla małych dzieci egocentryzm.

To się nigdy nie skończy, dopóki nie stawię tej osobie czoła. Nie wiem, czego ode mnie chce, ale ukrywanie się tutaj, w moim mieszkaniu i usuwanie wiadomości niczego nie rozwiąże. Idę do mojej sypialni i zaczynam przebierać w szafie, odrzucając kolejne stroje: zbyt urzędowe, niezbyt twarzowe, zbyt mamuśkowate. Pakuję torbę z rzeczami na zmianę i nocleg dla Henry’ego, a potem wchodzę na stronę Travelodge i rezerwuję pokój w hotelu na obrzeżach Sharne Bay. Nie ma mowy, żebym przetrwała ten wieczór bez picia, a ostatni pociąg z Norwich do

Londynu odjeżdża zdecydowanie zbyt wcześnie, koło dwudziestej drugiej.

Część mnie zastanawia się, czy jednak się nie wycofam, jednak kilka godzin później siedzę w samochodzie, ubrana w nudną, ale twarzową sukienkę, którą zawsze zakładam, gdy mam wątpliwości, a na fotelu obok leżą buty na obcasach. Henry siedzi zapięty bezpiecznie z tyłu i nie mogę już dłużej udawać, że nie wybieram się na szkolny zlot absolwentów. Nie mogę również ignorować dłużej wiadomości i przesywa mnie zimny dreszcz na myśl o tym, co lub kto może na mnie czekać w liceum w Sharne Bay. Moją obawę zwieńcza ciasny węzeł napięcia wywołanego perspektywą spotkania Sama, przebywania w tym samym pomieszczeniu razem z nim nie ze względu na konieczność transakcji – przekazania sobie naszego dziecka. Będzie to okazja przesiąknięta winem i nostalgią, pełna intensywnych emocji. Koncentruję się na drodze przede mną, zupełnie jakby dobre prowadzenie samochodu mogło uspokoić szalejące we mnie uczucia.

Już u Polly, Henry ledwie zaszczycza mnie pożegnalnym spojrzeniem, wyrrywając się z moich ramion, żeby wbiec do środka i znaleźć Phoebe, która – wie o tym – z radością przeczyta mu cały zestaw książek o Tomku i przyjaciółkach, który przyciągnął ze sobą w plecaku.

– Phoebe niedługo wychodzi – ostrzega go Polly. Spogląda na mnie. – Idzie na przyjęcie z noclegiem. Ta mała suka też tam będzie.

– Jaka mała... och, ona.

– Dokładnie. Ona. Posłuchaj, dziękuję ci z całego serca, że porozmawiałaś z Phoebe o całej tej sprawie. Wygląda na to, że naprawdę jej pomogło. Wczoraj poszła do kina z kilkoma innymi koleżankami i dobrze się bawiły. Chyba dobrze jej zrobiło, że porozmawiała o sprawie z kimś, kto doświadczył tego samego.

Uśmiecham się słabo, gorąco żałując, że sama niejako narzuciłam sobie rolę prześladowanej uczennicy.

– No dobrze – Polly spogląda na mnie surowo. – Jesteś tego absolutnie pewna? Potraktuj to jako działanie interwencyjne z mojej strony, okazję do zmiany zdania. Nie osądzam cię ani nic równie okropnego. Po prostu

martwię się o ciebie. Tak dobrze ci poszło z ułożeniem życia po Samie, byłaś taka silna. Nie chcę, żebyś znów została wciągnięta w... cokolwiek. Mogłabyś zostać i pooglądać *Strictly*^[5] ze mną i z Mayą.

Czuję pokusę tylko przez kilka sekund.

– Nie. Jadę tam. Naprawdę, Polly, nic się nie stanie. Nie wybieram się tam ze względu na Sama. Pewnie zamienię z nim może dwa słowa. Widuję go regularnie i naprawdę nie potrzebuję zlotu absolwentów, żeby z nim porozmawiać.

– Wiem, ale wy przecież nigdy tak naprawdę nie rozmawiacie, prawda? Wymieniacie wszelkie informacje o Henrym za pomocą esemesów. Jedyne bezpośrednie kontakty macie, kiedy przekazujecie sobie małego jak pałeczkę w sztafecie. Co, tak przy okazji, moim zdaniem jest bardzo dobrą rzeczą. Ten zlot to coś innego: to okazja towarzyska. Będiesz pijana, w miejscu, gdzie spotkaliście się po raz pierwszy. To wszystko sprzyja silnym emocjom.

– Nie zeszliśmy się, kiedy chodziliśmy do szkoły. Zaczęliśmy się umawiać dopiero, kiedy oboje mieliśmy po dwadzieścia sześć lat.

– Tak, zdaję sobie sprawę, ale... wiesz, o co mi chodzi. To ja byłam przy tobie, kiedy cię porzucił, pamiętasz? Wiem, jaki jest i przez co przeszłaś. Nie chcę, żebyś ponownie znalazła się w tej samej sytuacji.

– Wiem. Dziękuję, Polly, ale naprawdę wszystko będzie dobrze.

Wypuszcza mnie niechętnie, wyciągając ode mnie obietnicę, że opuszczę przyjęcie, jeżeli coś się wydarzy lub jeśli zacznę się denerwować.

Drogi są niespodziewanie puste i podróż przebiega gładko jak we śnie. Mam wrażenie, że upłynęło niewiele czasu, gdy parkuję na ulicy przy szkole. Myślałam o zostawieniu samochodu w Travelodge i zamówieniu taksówki do szkoły, ale ostatecznie zdecydowałam, że zostawię samochód tutaj. W ten sposób, jeżeli postanowię wyjść z przyjęcia po jednym kieliszku, mogę wsiąść od razu do samochodu i pojechać prosto do Polly. Jeżeli zaś zostanę, wezmę taksówkę z hotelu i wrócę tu nad ranem.

Nie jestem pewna co do parkingów w okolicy, więc zatrzymuję się na

wolnym miejscu na poboczu. Odchylam klapkę przeciwsłoneczną i spoglądam po raz ostatni w lusterko. Ledwie jestem w stanie spojrzeć sobie w oczy. Nadal mogę jeszcze się wycofać. Nie jest za późno. Mogłabym wrócić do Polly i obejrzeć z nią *Strictly* albo zwyczajnie schować się w moim pokoju w Travelodge. Siedzę tak przez kilka minut z telefonem w dłoni, numerem do Polly na wyświetlaczu i kciukiem zawieszonym nad przyciskiem połączenia. Obok mojego samochodu przechodzą dwie kobiety, których nie znam – roześmiane, rozgadane i wyraźnie podekscytowane. Skręcają w stronę szkolnej bramy i jedna z nich piszczy: „O mój Boże!”, podczas gdy jej przyjaciółka ucisza ją z chichotem. Kim one są? A skoro nie potrafię ich rozpoznać, co ja tu do cholery robię?

Ale potem widzę Sama, zmierzającego samotnie pewnym, swobodnym krokiem przez plac szkolny. Czuję nagłą suchość w ustach i język staje się jakby za duży. Przez minutę mam wrażenie, że zaraz zwymiotuję, ale przechodzi mi – mdłości zastępuje gniew. Dlaczego on może zachowywać się tak beztrosko, a ja mam siedzieć, drżąc i wahając się, w samochodzie, w którym robi się z minuty na minutę coraz zimniej? To przecież także moja przeszłość, w równym stopniu, co jego. Wyłączam telefon, wysiadam z wozu i maszeruję zdecydowanym krokiem do wejścia.

Z zaskoczeniem rozpoznaję nauczyciela witającego gości przy drzwiach. To pan Jenkins. Nie postarzał się nawet za bardzo. To pewnie dlatego, że chociaż w tamtych czasach wydawał mi się wręcz wiekowy, miał prawdopodobnie dwadzieścia kilka lat, co czyniłoby z niego teraz pięćdziesięcioparolatka.

– Ach, witam! – zaczyna. – Pani godność...?

– Louise Williams – odpowiadam, nadal czując suchość w ustach ze zdenerwowania.

– Ach, oczywiście – odpowiada, wyraźnie nie kojarząc mnie zupełnie. Wręcza mi plakietkę z nazwiskiem. – Cieszysz się na spotkanie ze starymi znajomymi? – Uśmiecha się. – Niektórzy w ogóle się nie zmienili!

Niepotrzebnie dużo czasu trawię na przypinaniu plakietki do sukienki,

ale kiedy czuję, że nie mogę już tego bardziej przedłużać, wchodzę przez korytarz na salę gimnastyczną. Zaciskam dłonie w pięści. Najpierw uderza mnie zapach. Tak jak wszystkie szkoły, ta również pachnie gumkami do ścierania, płynem odkażającym i odrobiną zastarzałego potu, ale swojskość tego szczególnego odoru jest niczym uderzenie w twarz. Budzi we mnie wspomnienia, o których istnieniu nie zdawałam sobie nawet sprawy: stanie w kolejce po czekoladę w sklepiku szkolnym na przerwie; gorący sok pomarańczowy z automatu z napojami, parzący palce przez cienkie ścianki beżowego plastikowego kubka; gra, w którą bawiliśmy się przez całą pierwszą klasę podczas przerwy, którą wtedy jeszcze nazywaliśmy wciąż „przerwą na zabawę”. Z jakiegoś bliżej niesprecyzowanego powodu, który zupełnie mi umknął po tak długim czasie, nazywaliśmy ją „tą grą”. Oczywiście są również wspomnienia innego wieczora – te wcale nie zapomniane, lecz skrzętnie schowane w moich myślach – które pozostawiły po sobie szpetną bliznę. Usiłuję powstrzymać potok obrazów, które przemykają mi przez myśl, i towarzyszącą im falę wstydu: Maria, Esther, Sophie. Ja.

Z obawą niemal dorównującą panice zdaję sobie sprawę, że nie widzę nikogo innego stojącego samotnie. W pomieszczeniu tworzą się małe grupki, stopniowo stapiające się ze sobą, gdy ludzie przechodzą z jednej do drugiej z piskiem oznaczającym rozpoznanie i z przesadnymi całusami i uściskami na przywitanie. Jestem jedyną osobą, która przybyła tu bez wsparcia w postaci przyjaciela. Sam stoi przy barze, odwrócony plecami do mnie, ale nie zniosłabym, gdyby to on miał być pierwszą osobą, z którą podejmę tu rozmowę. Mój wzrok prześlizguje się po sali. Po drugiej stronie sali stoi kobieta, tyłem do mnie. Jej brązowe włosy zebrane są w skomplikowany kok. Kiedy zaczyna odwracać głowę, żeby powiedzieć coś do mężczyzny stojącego obok, moje serce nagle zwalnia rytm i sala zaczyna kołysać mi się przed oczami. Potem jednak kobieta spogląda za siebie, śmiejąc się z czegoś, co powiedział jej towarzysz, i widzę, że to wcale nie Maria. Rozpoznaję ją, ale podobnie jak w przypadku wielu zgromadzonych tu osób, nie mogę przypisać jej imienia. Janine? Nie. Sarah? Dwie kobiety, które wcześniej przeszły

obok mojego samochodu, szepczą coś teraz do siebie, wskazując w moim kierunku i przez jedną okropną chwilę myślę, że rozmawiają o mnie. Potem jednak uświadamiam sobie, że są zainteresowane kimś innym, pięknym, o kasztanowych włosach. Przybyła tu z wysokim, olśniewająco przystojnym mężczyzną, który mocno obejmuje ją ramieniem. Wpatruję się w tego człowieka, myśląc o tym, że bardzo trudno jest trafić w życiu na kogoś o urodzie gwiazdora filmowego. Nagle zdaję sobie sprawę, że kobietą u jego boku jest Esther. Jestem absurdalnie, żałośnie uradowana jej widokiem i podchodzę do niej czym prędzej.

– Powiedziałaś, że się tu nie wybierasz! – Mam ochotę ją uściskać, ale wiem, że zostanie to uznane za zbyt poufale.

Esther wygląda na zakłopotaną.

– Okazuje się, że mimo wszystko jestem tylko człowiekiem. – Spogląda na swojego męża. – Wiesz, co sprawiło, że ostatecznie się zdecydowałam? Wyraz zaskoczenia na twojej twarzy, kiedy powiedziałam, że wyszłam za mąż. Tak przy okazji, to jest Brett. Brett, poznaj Louise.

Mężczyzna nie wypuszcza Esther z objęć, potrząsając moją dłoń na przywitanie.

– Miło mi cię poznać, Louise. Napije się pani czegoś?

– Tak, poproszę o białe wino.

– Dla ciebie to samo, kochanie? – pyta Esther, która uśmiecha się potakująco. Brett uwalnia ją z uścisku i rusza w kierunku baru.

– Co chciałaś przez to powiedzieć, że jesteś tylko człowiekiem? – Spoglądam na Esther.

– Wydawało mi się, że nic mnie nie obchodzi opinie innych ludzi. Właściwie to w ogóle nie chciałam, żeby ktokolwiek o mnie myślał. – Jest bardzo uczciwa, szczerą wobec swoich motywów. – Ale wiesz co? Ciężko pracowałam na to, aby zdobyć to, co mam. Wspaniałą karierę, fantastycznego męża, dwójkę cudownych dzieci. Moje życie jest dobre. Bardziej niż dobre: naprawdę jestem szczęśliwa i obawiam się, że malutka częśćka mnie, a może wcale nie taka malutka, chce im wszystkim pokazać, tym ludziom, którzy nadal może się podśmiewają na wspomnienie o mnie albo gorzej, współczują mi w głębi duszy.

– Cóż, ja bardzo się cieszę, że tu jesteś. Rozpoznałaś kogokolwiek?

Rozglądamy się obie. Otaczają nas jakby nieco znajome twarze, ale żadna z nich nie należy do bliskich przyjaciół ani do uczniów naszej klasy. W naszym roczniku były cztery trzydziestoosobowe grupy, więc wielu uczniów ledwie kojarzyłam.

– Ach. Mamy kogoś znajomego – mówi Esther. Przy wejściu robi się lekkie zamieszanie, ktoś jest przytulany na przywitanie, przy akompaniamencie okrzyków. Obok grupki otaczającej nowo przybyłą osobę stoi mężczyzna, trzymając białe futro. Wygląda na zażenowanego i zupełnie nie na miejscu. Jego twarz wygląda znajomo, ale dopiero po kilku minutach orientuję się, że nie jest to dawny szkolny znajomy, tylko Pete, z którym Sophie umówiła się w ten sam wieczór, gdy odwiedziłam ją w jej mieszkaniu.

Nasz wzrok się spotyka i uśmiecham się do niego. Po kilku sekundach rozpoznaje mnie i odpowiada uśmiechem pełnym wdzięczności, machając do mnie nieśmiało. Sophie jest pochłonięta ożywioną rozmową z trzema wyglądającymi identycznie blondynkami, ubranymi w ciuchy od Bodena^[6]. Kiedy staje się jasne, że nie spieszy się z pożegnaniem grupki, Pete podchodzi do mnie, Esther i Bretta, który zdążył już w międzyczasie wrócić z baru z naszymi drinkami.

– Hej... Louise, prawda? – mówi Pete.

– Owszem. Dobra pamięć.

– Och, ja zawsze pamiętam nazwiska. To jedna z moich cech. Pamiętam również wszystko, co ludzie do mnie mówią. Prawdziwy koszmar dla moich przyjaciół, bo nic nie zostaje zapomniane.

Odwracam się, żeby przedstawić Pete'owi Esther i Bretta, ale widzę, że jakaś kobieta, której nie rozpoznaję, podeszła do nich wcześniej i zaczęła z nimi rozmawiać. Zostawiam więc ich w spokoju. Dostrzegam, że Brett cały czas obejmuje Esther – jego ramię jest jakby przyklejone do jej pleców.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że ty i Sophie umawiacie się na serio. Jak długo jesteście razem? – pytam Pete'a. Nie mogę zrozumieć, dlaczego, ale wtedy, w mieszkaniu Sophie odniosłam wrażenie, że był to

stosunkowo nowy związek, o ile w ogóle był związkiem. Przed pojawieniem się Pete'a Sophie nie wspomniała nawet jego imienia.

– Niezbyt długo. – Pete wygląda na zmieszanego. – To nasza trzecia randka.

– Trzecia? I od razu zgodziłeś się jej towarzyszyć na szkolnym zlocie absolwentów? Chryste, to dość wymagająca trzecia randka.

– Wiem. – Pete potrząsa głową rozpaczliwie. – Nie mam pojęcia, co sobie wyobrażałem. To znaczy owszem. Mam taką... przypuszczam, że można by to nazwać strategią.

– Strategią? – Ten człowiek z minuty na minutę robi się coraz dziwniejszy. Wydaje się zupełnie nie pasować do Sophie, z tego co widziałam do tej pory.

– Owszem. Rozwiodłem się kilka lat temu i było to dość koszarne przejście.

– Wiem. Ja też. – Dlaczego to wyznanie wciąż sprawia, że czuję się jak nieudacznica? Rozwiedziona przed czterdziestką. Normalnie nie przyznałabym się do tego wszystkiego przed niemal obcym człowiekiem, ale ośmielił mnie fakt, że on zrobił to jako pierwszy. Nie zamierzam mu jednak powiedzieć, że mój były mąż też tu jest.

– Naprawdę? – Jego twarz łagodnieje. – A zatem rozumiesz. W każdym razie mniej więcej rok temu postanowiłem wrócić do gry. Zapisałem się na kilka portali randkowych.

– Poznałeś Sophie przez internet?

– Tak. – Wygląda, jakby chciał się bronić. – Może od czasu, kiedy ty przerabiałaś ten cały cyrk z umawianiem się, minęło już sporo czasu. Teraz wszyscy poznają się w internecie. To żaden wstyd.

– Tak, wiem o tym. – Jeszcze jak. – Bardziej chodziło mi o... Sophie. Nie potrafię sobie jej wyobrazić w takiej sytuacji. – W końcu chodzi o Sophie, która zawsze czarowała wszystkich chłopaków w okolicy.

– Jak już mówiłem, wszyscy teraz to robią. W każdym razie, kiedy zacząłem, miałem w zwyczaju szybko odrzucać kandydatki. Wystarczył dziwny tembr głosu, zbyt długie paznokcie, tego typu rzeczy. Moja siostra powiedziała, że specjalnie wynajduję w nich wady, żeby

przypadkiem się nie zaangażować. Dlatego wymyśliłem dla siebie tę zasadę. Jeżeli umówię się z kimś na randkę, muszę to powtórzyć jeszcze przynajmniej dwa razy, oczywiście jeżeli ta osoba wyrazi chęć. Muszę też zgodzić się na wszystkie jej sugestie, pod warunkiem że nie będzie to coś nielegalnego lub niebezpiecznego.

– I dlatego wylądowałeś na czyimś zlocie absolwentów? Osoby, którą ledwie znasz?

– Uhm. Dlatego tak się ucieszyłem z twojego widoku. W tym scenariuszu kwalifikujesz się jako stara znajoma.

Śmieję się i upijam nieco wina, zastanawiając się, co powiedzieć.

– Czym się zajmujesz zawodowo? – Decyduję się na nieuniknioną oczywistość.

– Jestem architektem w Foster i Lyne.

– Och, znam tę firmę. Zlecili mi projekt w przeszłości, kiedy pracował tam John Fuller.

– To było jeszcze przed moim angażem, ale słyszałem o nim. A zatem ty jesteś...?

– Projektantką wewnątrz. Teraz mam własną firmę, ale przedtem pracowałam w Blue Door.

Sophie pojawia się nagle u boku Pete'a. Wygląda na wkurzoną.

– Tutaj jesteś – mówi. – Hej, Louise, wyglądasz świetnie. – Cmoka mnie automatycznie w oba policzki. – Czy to nie wspaniałe przyjęcie? O mój Boże, zobacz, to Emma Frost. Jest monstrualna! A Graham Scott ma obrzydliwą brodę. Widziałaś pana Jenkinsa przy drzwiach? Przysięgam, że kiedy pomagał mi przypiąć plakietkę, próbował mnie obmacać, prawda, Pete?

Pete wzrusza ramionami.

– Pamiętasz te wszystkie historie o nim, Louise? Z Natashą Griffiths, prawda? Ooooo, ciekawe, czy ona też tu jest? Pete, możesz nam zorganizować jakieś drinki? Jeszcze wina, Louise?

Pete odchodzi w stronę baru, a Sophie spogląda na mnie.

– Widziałaś już Sama? – pyta ze źle skrywaną ciekawością.

– Jeszcze nie. Widuję go jednak dość często. Mamy dziecko, pamiętasz?

– Ośmielona wypitym winem, przypuszczam atak. – Dlaczego przyciągnęłaś tu ze sobą kogoś, kogo prawie nie znasz?

Sophie poważnieje.

– Powiedział ci?

– Owszem, ale tylko dlatego, że spytałam go, jak długo jesteście razem.

Sophie wygląda na zażenowaną i nie mogę uwierzyć, że znalazłam jej słaby punkt.

– Lepiej mu powiem, żeby nie wspominał o tym nikomu innemu. Nie wygadasz się, prawda, Louise? Nie mogłam ścierpieć myśli o przyjeździe tutaj sam na sam. Wiedziałam, że wszyscy inni będą paradować ze swoimi mężami i chwalić się zdjęciami swoich cherubinkowych dzieciaczków. – Może to gorycz, ale wydaje mi się, że w jej głosie słyszę przede wszystkim smutek.

– Hej, ja przyszłam sama, podobnie jak wiele osób, tak sędzę – kładę dłoń na jej ramieniu, poruszona świadomością naszej wspólnej historii. Widzę teraz nader wyraźnie, że w czasach licealnych wykorzystywała mnie, aby dodać sobie pewności, ale zyskałam niespodziewane zrozumienie poczucia zagubienia, które musiało nią powodować.

– Tak, ale ty to ty, prawda? – Strząsa moją dłoń. – To nie ma znaczenia. Nikt nie oczekuje od ciebie niczego wielkiego – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki cała jej wrażliwość znika i jakby nigdy nie Sophie wraca do zwyczajowego wymierzania mi policzków. – Boże, gdzie jest Pete z tym winem? – mówi nabzdyczona. – Za chwilę wracam. – Rusza w kierunku baru.

Czuję desperacką potrzebę kolejnej dawki alkoholu i widzę, że nie jestem w tym odosobniona. Widać, że wszyscy tu zgromadzeni piją niemal na wyścigi w ten nerwowy sposób, w jaki ludzie robią to, gdy wiedzą, że zabawa nie może się rozpocząć, zanim wszyscy chociaż trochę się nie upiją. Ktoś stuka mnie lekko w ramię i zakładam, że to Pete albo Sophie z moim drinkiem, więc odwracam się gorliwie. Kiedy jednak widzę, kto to jest, czuję bolesny ścisk w sercu.

– Hej, Louise. – Sam wita mnie z niepewnym uśmiechem. Po naszym ostatnim spotkaniu pewnie spodziewa się kłopotów; płaczu, może

rozpaczy, a w najgorszym przypadku sarkazmu i zgryźliwych komentarzy.

Uśmiecham się i cmokam go w policzek.

– Hej. Jak się miewasz?

– Dobrze. Tak, dobrze. – Widać, że mu ulżyło. – Gdzie jest Henry? – Rozgląda się, jakby oczekiwał widoku naszego syna raczącego się chipsami wystawionymi na stołach pod ścianą.

– U Polly. Wszystko jest okej. Uwielbia ją odwiedzać. – Najeżam się odruchowo, przyjmuję postawę obronną.

– Wiem, wiem. Nie musisz... w każdym razie. – Chyba przypomina sobie, gdzie się znajdujemy. – Pamiętasz Matta? Matta Lewisa? – Wskazuje na mężczyznę stojącego obok. Nie widziałam go od czasu mojego ślubu z Samem, trzynaście lat temu. Przybrał na wadze, a jego włosy posiwiały, ale wciąż można w nim rozpoznać Matta.

– Oczywiście! Cieszę się, że cię widzę. – Nachylam się w celu wykonania uprzejmego przywitalnego cmoknięcia w policzek, kiedy za moimi plecami robi się jakiś szum i nagle pojawia się Sophie, a za nią Pete z drinkami.

– O mój Boże! Chłopaki! – Rzuca się najpierw w objęcia Matta. – Hej, przystojniaku – dodaje jakby nigdy nic. Przypominam sobie, że nie są sobie tak obcy jak reszta z nas. Nadal się widują. To Matt powiedział Sophie o mnie i o Samie.

Potem przychodzi kolej Sama. Sophie obejmuje go za szyję, całując go długo w policzek.

– Wow, wyglądasz świetnie, Sophie – mówi Sam.

– Jak za dawnych lat! – Puszczą do niego oczko i trąca go kokieteryjnie biodrem.

Pete wręcza mi wino, z którego natychmiast upijam wielki łyk. Jest kwaśne i w ogóle nieschludzone, ale nie przestaję popijać. Wygląda na to, że będę potrzebowała dużo alkoholu.

– No dobra, jakie są najnowsze plotki? – pyta Sophie. – Kogo spotkaliście? Mój Boże, widzieliście brodę Grahama Scotta?

Matt wymienia spojrzenie ze mną, unosi lekko brwi i uśmiecha się, ale

dostrzegam, że Sophie natychmiast znów przyciąga jego wzrok.

– Żadnych plotek, póki co, Sophie. Daj nam trochę czasu. Dopiero przyjechaliśmy. – Sam się uśmiecha. – Poza tym, to ty zawsze miałaś nowe wiadomości z pierwszej ręki.

– O tak, wiem wszystko i widzę wszystko. – Śmieje się, kiwając palcem. – Nie próbuj niczego przede mną ukrywać!

Pete zaczyna grzebać w górnej kieszeni marynarki i wyciąga z niej paczkę Marlboro Light. Widzi, że mu się przyglądam, i wyciąga papierosy w moim kierunku.

– Poczęstujesz się?

– Czemu nie – odpowiadam z uśmiechem.

– Myślałem, że rzuciłaś palenie – mówi Sam z zaskoczeniem.

Chcę mu powiedzieć, że nie wie o mnie wielu rzeczy, że to, co zrobił, bardzo mnie zmieniło, że jestem teraz zupełnie inną osobą – ale oczywiście nie robię tego. Po prostu wzruszam ramionami i wychodzę za Pete’em na zewnątrz. Kiedy mój wzrok przyzwyczaja się do ciemności, zaczynam przyglądać się zaułkom i ocienionym miejscom, w których mógłby się ktoś czaić, obserwując mnie. Przysiadamy na niskim murku, drżąc z zimna i zastanawiając się czy przypadkiem nie wrócić po kurtki. Wiatr co chwila gasi zapalki i dopiero po kilku razach udaje się nam zapalić papierosy. Wdycham kłęb gęstego dymu i po raz pierwszy tego wieczora czuję, że moje ciało lekko się rozluźnia, sycąc się chłodem po dawce gorąca i ledwie powstrzymanej histerii wewnątrz szkolnej sali.

– Wychowywałaś się może w podobnym otoczeniu? – pytam. – W małym miasteczku na zadupiu?

– Nie – odpowiada. – Urodziłem się i wychowałem w Londynie. Miejsca takie jak to napędzają mi stracha.

– Byłeś kiedyś na szkolnym zlocie absolwentów? To znaczy na swoim własnym, a nie jako osoba towarzysząca przypadkowej kobiecie, którą poznałeś w internecie.

– Boże, nigdy! Nie ma niczego gorszego.

– Och, rozumiem – odpowiadam urażona.

– Przepraszam. Nie mówię, że inni ludzie nie powinni chodzić na takie

imprezy. Po prostu to nie dla mnie. Szkolne czasy nie były dla mnie najszcześniejsze. Byłem raczej samotnikiem.

– Nie przejmuj się. – Topnieję. – To rzeczywiście dziwna sprawa. W końcu, gdyby nie serwisy społecznościowe, nikt nie wiedziałby prawie nic o ludziach, z którymi chodził do szkoły. Wszyscy zajmowałibyśmy się swoim życiem. Słyszałam nawet o przypadkach, kiedy ludzie odnowili kontakty na Facebooku z dawnymi sympatiami i rozstali się ze swoimi małżonkami, wracając do swoich pierwszych miłości.

– Ja trzymam się zdecydowanie z daleka od całej tej sprawy – mówi. – Pomijając wszystko inne, wydaje mi się to kolosalną stratą czasu!

– Cóż, pewnie masz rację. – Milkniemy i zastanawiam się, czy gdybym nie była aktywna na Facebooku, Maria znalazłaby inny sposób, żeby się ze mną skontaktować i sprawić, żebym zapłaciła za to, co zrobiłam. Ułatwiłam jej to, wystawiając się na widok publiczny w mediach, ale w dzisiejszych czasach trudno się ukryć, zostać całkowicie poza siecią. Zaciągam się głęboko papierosem i gdy dym pali mnie w płucach, chwilowe uczucie rozluźnienia, jakie odczuwałam tu, w ciemności, zostaje zastąpione nader znajomym niepokojem, na skutek którego odruchowo garbię ramiona.

– Hej – zaczyna Pete tonem człowieka, który z rozmysłem zamierza zmienić temat. – Wcześniej, w sali miałaś mi powiedzieć, dla kogo kiedyś pracowałaś.

Najwyraźniej nie jest nam jednak dane dokończyć tej rozmowy, ponieważ naszą uwagę przyciąga podniesiony męski głos dobiegający z podjazdu przy wejściu do szkoły. Nie jest to długi podjazd i oświetla go pobliska latarnia uliczna. Z dziwnym uczuciem mdlącego przerażenia uświadamiam sobie, że mężczyzną stojącym na podjeździe jest Tim Weston. Stoi twarzą do nas, gestykulując i protestując w rozmowie z człowiekiem zwróconym plecami do nas, ubranym w czarną kurtkę z narzuconym na głowę kapturem. Z tej odległości nie jestem w stanie dostrzec, czy jest to kobieta, czy mężczyzna, a chociaż słyszymy Tima, wiatr sprawia, że nie jesteśmy w stanie zrozumieć jego słów. Wstajemy razem z Pete'em i spoglądamy na podjazd; on zapewne z chorobliwym

zaciekawieniem, ja zaś z rosnącą obawą. Oboje usiłujemy bezskutecznie podsłuchać rozmowę. Mroźny wiatr wydaje się przenikać mnie całą, przeszywać do szpiku kości. Mrużę oczy, próbując zestawić ocienioną sylwetkę w czarnej kurtce z dorosłą wersją Marii. Czy to możliwe, że to ona? Z powrotem tutaj, gdzie wszystko się zaczęło? Czy temu miała służyć dzisiejsza noc? Zdaję sobie sprawę, że nie mam pojęcia, kto jest organizatorem tej imprezy, i jeszcze nie spotkałam nikogo, kto posiadałby tę informację. Robię niepewny krok do przodu i mrużę oczy jeszcze bardziej, jednak w tym momencie Tim obejmuje swojego rozmówcę ramieniem i oboje odchodzą w kierunku centrum miasta. Osuwam się po ścianie na ziemię, bez tchu.

– Ciekawe, o co im poszło – mówi Pete. – To okropne, ale uwielbiam obserwować kłócących się ludzi. Wszyscy zawsze starają się pokazywać reszcie świata tylko swoją najlepszą stronę. Wiesz, o co mi chodzi: spójrzcie na moje idealne życie, wspaniałą rodzinę, skomplikowane ciasto, które upiekłam. W pewnym sensie to pokrzepiające, że nie jestem jedynym człowiekiem, który wszystko chrzani.

Zmuszam się do uśmiechu, ale niepokój kipi pod moją skórą niczym bąbel odcisku. Zaciągam się po raz ostatni papierosem, wstaję i rozgniatam niedopałek obcasem, używając przesadnej siły.

– „Raz jeszcze skoczmy w wyłom”^[7]? – cytuje Pete, również wstając.

Wracamy razem do głównego wejścia i pomimo mrozu czuję emanujące od niego ciepło. Nasze ramiona niemal, ale nie do końca się stykają.

[5] *Strictly Come Dancing*, nieformalnie znany jako *Strictly* – program nadawany przez BBC, protoplasta *Tańca z gwiazdami* (przyp. tłum.).

[6] Brytyjska firma odzieżowa, sprzedająca produkty głównie przez internet i za pośrednictwem katalogów (przyp. tłum.).

[7] *Z Dziejów żywota króla Henryka Piątego* W. Szekspira, przeł. A. Słomczyński, akt III, scena I (przyp. tłum.).

Rozdział 19

1989

Wieczór zaczął się naprawdę dobrze. Sophie przyniosła dla mnie kilka sukienek do przymierzenia, włączając tę, która leży teraz zmięta na podłodze obok mnie. Obcisłą, szmaragdową, satynową, pełnej długości („Ja nigdy jej nie noszę”, powiedziała Sophie. „Okropnie mi w niej nie do twarzy i zwisa ze mnie w nieodpowiednich miejscach”) – w przeciwieństwie do wszystkich moich dotychczasowych strojów. Miała głęboki dekolt, była ściągnięta w talii i odsłaniała ramiona. Podkreślała moje krągłości i sprawiała, że czułam się niespodziewanie seksowna i odważna. Dodałam do niej przyprawiające o zawrót głowy wysokością czarne szpilki (również odrzut z kolekcji Sophie) i diamentowy naszyjnik, który rodzice podarowali mi na szesnaste urodziny. Połykiwał zachęcająco dosłownie milimetry nad moim biustem.

Siedziałam niczym lalka na brzegu mojego łóżka, podczas gdy Sophie wyczyniała swoje magiczne sztuczki. Najpierw wygładziła większość moich włosów i zebrała je w kucyk, który zawinęła i przypięła za pomocą diamentowej spinki, umiejętnie wyciągając kilka pasemek włosów, żeby spływały wokół mojej twarzy.

Następnie metodycznie zaczęła nakładać podkład, puder, bronzer i róż do policzków, a następnie brokatowy zielony cień do powiek, który kupiłam sobie w tym tygodniu w Woolworths. Dodała do tego czarną kreskę płynnego tuszu wzdłuż krawędzi moich górnych powiek, przedłużając ją przy zewnętrznych kąciach oczu, w kocim stylu.

Następnie nałożyła tusz na moje rzęsy. Ignorując porady „Tylko Siedemnastolatek”, aby nakładać mocny makijaż wyłącznie na oczy lub na usta, ale nigdy na jedno i drugie, dodała śliwkową szminkę, która sprawiła, że moje usta lśniły niczym pulchne czarne czereśnie.

Nie widziałam mojego odbicia, siedząc na łóżku, więc kiedy wstałam, żeby przyjrzeć się efektowi, obca dziewczyna spoglądająca na mnie z lustra zaparła mi dech w piersiach. W moich oczach dostrzegałam jedynie błąd, ledwie widzialny cień niepewności tej przysadzistej dziewczyny o włosach w kolorze mysiego blond, która godzinę temu poddała się procesowi upiększania. Stałam teraz bardziej wyprostowana, wciągając brzuch i ściągając ramiona do tyłu. Dziewczyna o mysich włosach skurczyła się jeszcze bardziej, kiedy przyjrzałam się mojej na nowo podkreślonej figurze w kształcie klepsydry, połyskującym kocim oczom i diamentowemu lśnieniu na moim dekolcie, w świetle lampy.

– Totalnie mu się spodoba – powiedziała Sophie i tym razem nie fatygowałam się z udawaniem, że nie wiem, o kim mówi.

Sophie zeszła na dół przede mną, ubrana w czarną lycrową sukienkę tak krótką, że praktycznie można było zobaczyć jej majtki. Widziałam, jak mój tata rozdziawia usta w, jak miałam nadzieję, szoku – chociaż z pełną odrazy fascynacją odkryłam cień czegoś więcej na jego twarzy. Kiedy Sophie dotarła do stóp schodów, żeby odsłonić mnie w pełnej chwale, na twarzy mojej mamy odmalowała się mieszanina zaskoczenia, niechętniej dumy i czegoś jeszcze, co być może wynikało z zazdrości.

Mój tata pozbiierał się wystarczająco szybko, żeby odegrać rolę naszego szofera („Wasza karoca czeka, drogie panie”), ale dostrzegłam zaniepokojone spojrzenie, jakie rzucił mojej mamie. Podobał mi się fakt, że ich zmartwiłam. Nigdy przedtem nie czułam żadnej władzy nad nimi i to wrażenie było oszałamiające. Bali się – tego, kim się stawałam i tego, co mogłabym zrobić.

– Uważaj na siebie, kochanie – powiedział tata niepewnie, wysadzając nas przy szkolnej bramie.

– Bardzo dziękujemy, panie Williams – wymruczała zalotnie Sophie

z tylnego siedzenia, ostentacyjnie odsłaniając gołe nogi. W dłoni trzymała srebrną kopertkę.

– Nie ma za co. – Tata rozmyślnie utkwił wzrok w drodze przed sobą.

Kiedy odjechał, spojrzaliśmy po sobie z Sophie. Roześmiałam się bez tchu, a ona wzięła mnie za rękę.

– Do boju!

Ruszyliśmy chwiejnym krokiem po podjeździe w kierunku sali, z której dobiegało nas dudnienie muzyki. Pan Jenkins stał za małym stolikiem przy wejściu, witając przybyłych, ubrany w najbardziej zenującą koszulę, jaką widziałam w życiu. Przyciął brodę oraz wąsy i najwyraźniej sądził, że wygląda naprawdę super.

– Dobry wieczór, dziewczęta. Poproszę o torebki. – Zlustrował Sophie od stóp do głów.

– Słucham? – Sophie obrzuciła mnie panicznym spojrzeniem.

– Poproszę o torebki – powtórzył. – Połóżcie je na stoliku i otwórzcie je dla mnie.

Serce zaczęło mi walić tak mocno, że aż dziwne wydało mi się, iż pan Jenkins go nie słyszy. Usiłowałam nie patrzeć na Sophie, mocując się z klamerką mojej malutkiej torebki na ramię. Otworzyłam ją, ujawniając małą cekinową portmonetkę, lusterko i śliwkową szminkę. Pan Jenkins zwrócił mi torebkę i skinął na Sophie, która powoli położyła swoją srebrną kopertę na blacie, jednocześnie lekko następując mi na stopę. Pan Jenkins otworzył kopertę i wsunął do środka palec, badając zawartość torby. Zastygł na chwilę i poczerwieniał, a potem wręczył kopertę z powrotem Sophie.

– Bawcie się dobrze, dziewczęta.

Weszliśmy na korytarz. Spojrzałam na Sophie.

– Gdzie to jest? Dlaczego mnie kopałaś? – syknęłam.

Sophie wyszczerzyła zęby w uśmiechu i pociągnęła dekolt sukienki w dół, odsłaniając małą plastikową torebkę z niebieskimi tabletkami, zatkniętą za jej czarny koronkowy stanik.

– Żartowałam sobie tylko! Powinnaś zobaczyć swoją minę! Dobrze, że pan Jenkins nie zamierzał przeprowadzić rewizji osobistej. Był

wystarczająco zszokowany tym! – Wyciągnęła z koperty prezerwatywę i pomachała nią w powietrzu. – Swoją drogą, pewnie bardzo by mu się spodobała rewizja osobista. To zboczenie.

Dałam jej niechętnego kuksańca i wkroczyłyśmy do sali, rozglądając się dookoła. Było dopiero wpół do ósmej wieczorem, więc na zewnątrz jeszcze się nie ściemniło, ale organizatorzy zasłonili wszystkie okna i włączyli światła dyskotekowe, co stworzyło dziwną atmosferę półmroku. Z głośników leciała piosenka Neneh Cherry *Manchild* i nikt nie tańczył, poza Lorną Sixsmith i Katie Barr, które miały dziwną obsesję na punkcie tego utworu i znały jego słowa na pamięć.

– Widzę Matta – powiedziała Sophie, ciągnąc mnie w stronę „baru”, w którym oczywiście serwowano jedynie soki, coca colę i lemoniadę. Matt rozglądał się po pomieszczeniu, wyglądając niewymuszenie luzacko w spodniach od garnituru, białym podkoszulku i conversach.

– Boże, co za beznadzieja – powiedział do Sophie. – Naprawdę tu zostajemy?

– Oczywiście! – odparła. – Poza tym nie martw się. Mam dla ciebie i Sama zaopatrzenie. – Znów obciągnęła w dół dekolt sukienki, pokazując im zawartość swojego stanika, chociaż tym razem zrobiła to nieco wolniej, usiłując się z nim nieco podrażnić. Widziałam, jak bardzo chciał nie patrzeć, nie dać jej tej satysfakcji, ale nie mógł oderwać wzroku.

– Słuchaj, jesteś tego pewna? – Spojrzał na mnie, odrywając wzrok od biustu Sophie. – A jeżeli coś pójdzie nie tak? Naprawdę nie tak?

– Och, na litość boską, przestań zachowywać się jak stara baba! – powiedziała Sophie. – Wszystko będzie dobrze. To tylko E. Ciągłe je bierzemy, prawda? Louise wcale się nie martwi, co nie? – Spojrzała na mnie niecierpliwie.

– Nie – odparłam niezgodnie z prawdą. W rzeczywistości byłam przerażona, ale czułam się przyparta do muru we własnym umyśle, dokładnie w miejscu, gdzie trzymałam nieprzyjemne prawdy.

– Ale to Louise ma to zrobić – nalegał Matt. – Tobie łatwo powiedzieć. – Byłam wzruszona, że się za mną ujął, i starał się postawić Sophie

w moim imieniu, mimo wyraźnego nią zauroczenia.

– Nie, nie ma sprawy – odparłam. – Chcę to zrobić. – Nie mogłam kolejny raz się wypiąć na Sophie. Może wybaczyła mi sprawę tamponu, ale jeżeli sknocę dzisiaj, nigdy więcej się do mnie nie odezwie.

– Doskonale, zatem wszystko ustalone. Do zobaczenia później, babciu. – Sophie chwyciła mnie za rękę i pociągnęła w kierunku Claire i Joanne, stojących po drugiej stronie parkietu. Konwersacja to rozwijała się, to gasła, ale Sophie trzymała moją dłoń w swoich, ściskając mnie od czasu do czasu, gdy któraś z nich powiedziała coś zabawnego lub szczególnie głupiego. Nie pozwoliła pozostałym dziewczynom mnie uciszać i rozmyślnie włączała mnie w rozmowę przy najmniejszej okazji. I za każdym razem, kiedy w mojej głowie pojawiał się cień zwątpienia, wypędzał go stamtąd ciepły ucisk palców Sophie na moich. Buzowałam w środku z podekscytowania i czystej radości, iż dzielę z Sophie sekret, o którym nie wiedzą pozostałe dziewczęta.

Do sali prowadziło tylko jedno wejście i widziałam je kątem oka. Rozmawiałam, śmiałam się i robiłam sobie jaja z ubiorów innych dziewcząt, ale w tym samym czasie obserwowałam i czekałam, niemal wstrzymując oddech z przejęcia. Oczekiwanie ciążyło mi na piersi niczym kamień. Maria miała na sobie ciemnogrnatową sukienkę do kolan, którą z pewnością widziałam w Topshopie tamtego dnia, kiedy wybrałyśmy się do wesołego miasteczka. Włosy miała rozpuszczone i uśmiechała się do dziewczyny obok, z którą szła pod ramię. Musiałam spojrzeć dwa razy, zanim zorientowałam się, kim jest jej towarzyszka. Maria musiała zastosować własną magię wobec Esther, która wyglądała naprawdę nieźle w czarnej spódnicy i czerwonej portfelowej bluzce. Była nawet umalowana. Kilka kroków za nimi, rozglądając się po pomieszczeniu niczym ochroniarz szukający potencjalnych zabójców, szedł Tim. Dziewczęta podeszły do baru, najwyraźniej nieświadome obecności innych. Zamówiły dwie cole, które podano im w kubkach ze słomkami, jak na przyjęciu dla dzieci. Maria zwróciła się do Tima i o coś go zapytała. W odpowiedzi potrząsnął głową. Maria wyglądała na zirytowaną i chyba odbyli krótką sprzeczkę, po której on odszedł

obrażony na drugą stronę sali i gniewnie opadł na krzesło.

Poczułam ponagląjące mnie palce Sophie.

– Chodź, pójdziemy do toalety.

Stłoczyłyśmy się obie w kabinie i Sophie sięgnęła za stanik po torebkę. Wyciągnęła jedną z tabletek i włożyła ją do innej, mniejszej torebki, którą położyła na zamkniętej klapie sedesu. Wyciągnęła zapalniczkę z koperty i zaczęła nią kruszyć tabletkę, która wkrótce rozpadła się na mniejsze kawałki, a po kilku minutach zmieniła się w drobny pył.

– W porządku, tyle wystarczy – powiedziała, wyciągając torebkę przed siebie, z kamiennym spokojem. – Gotowa?

Czy byłam gotowa? Tak czy siak, wzięłam od niej torebkę.

– Ja wyjdę pierwsza, żeby uniknąć podejrzeń – powiedziała.

Oczekałam kilka chwil, z zamkniętymi oczami. Co chwila przeszywał mnie lekki dreszcz strachu i podniecenia. Kiedy wracałam sama korytarzem na salę, skrywając torebkę z proszkiem w rowku między piersiami, zauważyłam, że Matt i Sam idą w moim kierunku. Oczy Sama rozszerzyły się na chwilę na mój widok, a kiedy się zbliżyliśmy do siebie, czułam jego fascynację wiszącą w powietrzu między nami. I znów ogarnął mnie dreszcz rozkoszy z powodu kontroli, jakiej wcześniej nie zaznałam. Tak właśnie musi wyglądać bycie Sophie.

– Tutaj jesteś – powiedział Matt. – Wiesz, że nie musisz tego robić, prawda? Jeżeli tak będzie łatwiej, możesz wrócić do domu. Powiedz, że się źle czujesz albo coś w tym stylu.

Byłam wzruszona jego troską i zrozumieniem faktu, że mogłabym potrzebować wytłumaczenia dla Sophie, która nie przyjęłaby dobrze informacji o zwykłej zmianie zdania.

– No właśnie – dodał Sam. – To zależy całkowicie od ciebie. Nikt nie będzie o tobie myślał niczego złego ani nic w tym stylu.

Z wyjątkiem Sophie. Niewypowiedziane słowa zawisły w powietrzu i wiedziałam, że wszyscy myślą to samo. Zdawałam sobie również sprawę, że bez względu na to, co powiedzieli, decyzja została już podjęta. Zrobiłam to w noc przyjęcia w domu Sama, kiedy wzięłam E i kiedy spaliłam wszystkie mosty między sobą i Marią. Jeżeli zawiodę dziś

wieczorem, stracę również Sophie, a wtedy co mi zostanie?

– Cóż, jeśli jesteś tego pewna – powiedział Matt ze zważeniem. – Idę się odlać. A ty, Sam?

– Za chwilę, stary. – Sam nie spuszczał ze mnie wzroku.

Wszystkie drzwi do klas wzdłuż korytarza były zamknięte, jak przypuszczałam, na klucz. Kiedy jednak Sam poruszył klamką najbliższych, otworzyły się łatwo.

– Wejdz tu ze mną na moment – powiedział.

Podreptałam za nim do środka. Zasłony były zaciągnięte i panował tu dość spory mrok, chociaż docierało do nas nieco światła z korytarza przez wysoko umieszczone szklane okienka biegnące wzdłuż ściany pokoju, tuż pod sufitem.

– Wyglądasz dzisiaj niesamowicie – powiedział cicho Sam.

Poczułam dreszcz rozkoszy. Miałam wrażenie, że jestem kimś innym. Był to scenariusz, który odgrywałam w głowie niezliczoną ilość razy, i to, że teraz wszystko działo się naprawdę, sprawiało wrażenie czegoś niewłaściwego. Stałam plecami do ściany i kiedy Sam podszedł do mnie, oparłam się o nią, nie ufając nogom, że mnie podtrzymają. Sam przyłożył dłoń do mojej twarzy i przesunął delikatnie palcem po moim policzku i w dół, po szyi. Zadrżałam cała. Nachylił się i widziałam jego oczy, coraz bardziej się zbliżające, aż wszystko się rozmyło. Sam pocałował mnie delikatnie, przytrzymując moją górną wargę między swoimi, zanim odsunął się ode mnie.

– Czy tak jest dobrze? – spytał.

Pokiwałam głową, niezdolna wykrztusić ani słowa.

Pocałował mnie znowu, tym razem mocniej, badając językiem moje usta i przywierając do mnie tak blisko, że ledwie mogłam oddychać. Jego dłonie błędziły po śliskiej satynie sukienki, a całe moje wnętrze zmieniło się w odpowiedzi na jego dotyk w białą kulę płynnego ognia. Palce Sama wbiły się w moje ciało, sprawiając mi rozkoszny ból, przeszywający mnie niczym prąd, a potem poczułam, że jego dłoń wślizguje się za moje plecy, odnajdując zamek i zaczynając go rozpinać.

– Nie! – krzyknęłam instynktownie, sztywniejąc w jego ramionach.

Odskoczył jak ugryziony.

– Przepraszam! Myślałem, że ty...

– Nie, wszystko jest okej, ja... to znaczy tak... owszem. Tylko po prostu... ja nie... nie jestem przyzwyczajona...

Uśmiechnął się.

– Nie przejmuj się. Nie zamierzałem naciskać. Po prostu dzisiaj wyglądasz cholernie seksownie.

– Dzięki – mruknęłam, wbijając wzrok w podłogę i płonąc ze wstydu i gniewu na samą siebie.

– Wszystko w porządku, naprawdę. To nie ma znaczenia. Nie powinienem tak bardzo naciskać. Zostawmy to na dzisiaj, dobra? Dobrze się czujesz?

– Tak – szepnęłam.

– W porządku. Do zobaczenia później, tak? – Z tymi słowy zniknął, zostawiając mnie samą w półmroku. Odetchnęłam głęboko, rozedrgana, czując w tej chwili jedynie chłód ściany przenikający skórę moich pleców. Jak mogłam być taka głupia? Czy nie tego właśnie chciałam? Nie o tym marzyłam Bóg jeden wie, jak długo? A co, jeżeli opowie o tym Mattowi, który z kolei przekaże to Sophie?

Dotknęłam torebki wsuniętej za mój stanik – małej, niezauważalnej dla nikogo poza mną. Moja determinacja wzrosła. Nie pozwolę, żeby jedyne wspomnienie tej nocy dotyczyło tego, co się stało – a raczej co się nie stało – z Samem. O nie, ta noc będzie wspomnieniem czegoś innego, tak wielkiego, że nikt nie będzie pamiętał niczego innego, poza tym jednym.

Rozdział 20

2016

Wieczór upływa powoli, hałas rośnie w siłę. Wokoło słyhać wiele śmiechu. Rozbrzmiewają obiecane melodie z lat osiemdziesiątych i odbywa się sesja kiepskiego tańczenia. Przekonuję się, że są tu ludzie, których znam lub znałam. Sophie, Maria, Sam, Matt – wszyscy urosli w moim umyśle tak bardzo, że zapomniałam o pozostałych przyjaciółach, których miałam zwłaszcza przed ostatnią klasą licealną. Sam zniknął, wchłonięty przez tłum. Zrobiłam to, co do mnie należało, i odbyłam z nim uprzejmą rozmowę. Mam nadzieję, że uda mi się uniknąć go przez resztę przyjęcia.

Nastrój panujący w sali jest silną mieszanką zdenerwowania i podniecenia; w miarę jak poziom alkoholu w krwiobiegach wzrasta, wszyscy powoli cofają się do swoich nastoletnich osobowości, jakby ich dorosłość była tylko czymś, co przymierzeli, żeby zobaczyć, jak to jest.

Pomimo ciągłej czujności, całkiem nieźle się bawię i kiedy Lorna Sixsmith idzie do baru, żeby zamówić dla nas więcej drinków i kontynuować opowieść o swoim rozwodzie, nie czuję się niewygodnie, zostając sama. Rozglądam się po sali, uśmiechając się w alkoholowym zaduchu i zastanawiając się, kogo jeszcze tego wieczora życie pchnie w moim kierunku. Ciemnowłosa kobieta w niebieskiej lnianej sukience, stojąca po przeciwnej stronie sali, uśmiecha się do mnie przyjaźnie, najwyraźniej mnie rozpoznając. Macham jej w odpowiedzi. Bardzo się cieszę, że jednak przyszłam. Może właśnie czegoś takiego

potrzebowałam. Egzorcyzm starych szkolnych demonów.

W moim kierunku zmierzają dwie kobiety, jedna wysoka z krótkimi włosami, rozjaśnionymi w jakimś ekskluzywnym salonie, druga niska i ciemnowłosa. Nie rozpoznaję ich na początku, ale kiedy podchodzą bliżej z uśmiechem, nagle zaskakuję. Claire Barnes i Joanne Kirby.

– O mój Boże, Louise! – Claire obejmuje mnie i ściska.

Robię to samo, a potem witam się z Joanne.

– Wyglądasz świetnie – mówi.

– Dziękuję. Wy obie również – odpowiadam automatycznie.

– Czy to nie dziwne? – pyta Claire. – Boże, tak się denerwowałam przed przyjściem tutaj.

– Ja też. – Joanne potakuje gorliwie. – Zwłaszcza że... no wiesz, miałyśmy wrócić tutaj, gdzie wszystko się zdarzyło. Mam na myśli Marię.

To pierwszy raz, kiedy słyszę, jak ktoś wspomniał jej imię. Sądziłam, że skoro wszyscy się tu zjawiliśmy, zgromadziliśmy w miejscu, w którym widziano ją po raz ostatni, Maria będzie w myślach każdego z przybyłych, ale wygląda na to, że ludzie mają krótką pamięć. Ale nie Claire i Joanne.

– Zawsze mi było jej żal. Myślałam nawet o tym, żeby nie przychodzić – mówi Claire. – Po prostu nie wydawało mi się to jakoś odpowiednie, rozumiesz?

Przez chwilę jestem zdezorientowana. Claire i Joanne nie wiedzą, co zrobiłam na balu absolwentów, prawda?

Potem jednak Joanne dodaje:

– Dokładnie. Byłyśmy dla niej takie okropne. Jak totalne gówniary.

Zdaję sobie sprawę, że nawiązuje do naszej codziennej kampanii izolacji, a nie do jakiegoś szczególnego wydarzenia.

– Sama mam teraz dwie nastoletnie córki – mówi Claire. – Zawsze wyglądałam oznak czegoś podobnego. Obie mają już dość mojego opowiadania o tym. Jeżeli napomkną coś nawet odrobinę niemiłego w stosunku do innych dziewcząt, skaczę im do gardeł.

Opowiadam im o Polly i Phoebe, o tym jak bardzo Polly się martwi.

Claire i Joanne wyrażają współczucie i sugerują więcej strategii, które Phoebe mogłaby zastosować, aby odeprzeć ataki dziewczyny, która zatruwa jej życie. Są miłymi, porządnymi kobietami i zdecydowanie potrafię sobie wyobrazić, że mogłabym się z nimi zaprzyjaźnić, gdybym poznała je jako dorosłe osoby. Wymieniamy obietnice utrzymania kontaktu i naprawdę sędzę, że będzie to możliwe.

Zamierzam właśnie odejść, żeby porozmawiać z kobietą w niebieskiej sukience (Katie, to Katie Barr, fanka Neneh Cherry), kiedy obok mnie wyrasta Matt Lewis. Czuję nagle przypływ uczucia. Matt zawsze był dla mnie miły, czyż nie? Usiłował mnie nawet powstrzymać przed wykonaniem planu na balu absolwentów.

– Siemka – mówię. Nawet po pijaku nie brzmi to naturalnie. Nigdy nie mówię „siemka”. W zasadzie to prawie nikt nie używa tego wyrazu, poza kolesiami z szajek ulicznych.

Matt się nie uśmiecha. Wręcz przeciwnie, wygląda dość ponuro.

– Właśnie rozmawiałem z Sophie. Opowiedziała mi o tej sprawie z Facebookiem. Co ty, do kurwy nędzy, robisz, Louise?

Rozglądam się rozpaczliwie dookoła. Gdzie jest Lorna z drinkami? Dostrzegam ją przy barze; w drodze powrotnej ktoś ją zaczepił i teraz stoi z tą osobą, rozmawiając i zaśmiewając się. Nie wygląda na kogoś, kto się spieszy. Bąbel, w którym radośnie lewitowałam, nagle pękł.

– O co ci chodzi?

– Kto jeszcze o tym wie? Komu powiedziałaś, Louise?

Pomimo głośnej muzyki, Matt mówi dość cicho, nachylając się tak blisko, że czuję jego kwaśnawy oddech i widzę pory w jego skórze.

– Nie wiem, kto jeszcze wie... nikomu nic nie powiedziałam, ale może Sophie to zrobiła, wtedy...

– Wszyscy byliśmy w to wmieszani, Louise, i ktoś wie. Myśl! Komu powiedziałaś? Kto jeszcze mógł wiedzieć, co zrobiliśmy?

– Przysięgam, nikomu nie powiedziałam o tym, co naprawdę się zdarzyło. Boże, nie chcę, żeby to wyszło na światło dzienne, tak samo jak wy. To ja przecież... no wiesz... wy nic nie zrobiliście...

– Jak sądzisz, skąd Sophie miała prochy? – syczy.

– Sam je zdobył, nie?

– Ode mnie! To ja mu załatwiałem te wszystkie dragi! – Przez sekundę mam wrażenie, że mnie uderzy, ale oddycha głęboko i rozluźnia pięści. – Posłuchaj, moje życie nie ułożyło się tak, jak to sobie planowałem, okej? Spieprzyłem wiele rzeczy, ale teraz mam nową partnerkę z dziećmi, które z nami mieszkają. Zmieniłem się. Po prostu nie chcę, żeby cokolwiek mi to zniszczyło, rozumiesz? Nie tylko zdobyłem dla nas prochy, ale też skłamałem policji. To nie wygląda zbyt dobrze, Louise.

– Ja też powiedziałam nieprawdę. Wszyscy to zrobiliśmy. – Upijam łyk wina, usiłując splukać nieprzyjemny smak w ustach.

– Właśnie. I będziemy dalej kłamać. Wszyscy. Cokolwiek się wydarzy. Jasne?

– Tak – szepczę, nie ufając własnej mowie. Przypuszczam, że jestem równie egoistyczna co on. Nie chcę, żeby prawda wyszła na jaw, podobnie jak Matt, ale jego bezwzględne lekceważenie okropieństwa, które zaplanowaliśmy, sprawia, że robi mi się niedobrze. Jak może tak po prostu być tutaj znowu i nie czuć ani krzty wstydu i zdenerwowania, które mnie przepełnia?

– A jeśli dostaniesz więcej tych wiadomości, chcę o tym wiedzieć, dobrze? Tutaj masz mój numer. – Zapisuje go na kawałku papieru, który wtyka mi do ręki. Wkładam go pieczołowicie do torebki, chociaż nie mam najmniejszego zamiaru do niego dzwonić ani opowiadać mu o pozostałych wiadomościach. Po prostu chcę, żeby ta rozmowa dobiegła końca.

– Okej. – Wydaje się usatysfakcjonowany, a ja z ogromną wdzięcznością dostrzegam, że Lorna wreszcie zmierza w moją stronę, niosąc w każdej ręce wypełniony po brzegi kieliszek wina. Matt również ją dostrzega i czym prędzej odchodzi. Myślałam, że to tylko ja nie potrafię odciąć się od przeszłości, ale okazuje się, że się myliłam. Zanim Lorna dociera do mnie, pojawia się Sophie, zataczając się, z szeroko rozwartymi ramionami.

– Louise! – grucha, zaciskając palce na miękkiej skórze mojego przedramienia. Jest bardzo pijana, z dodatkiem, jak się orientuję,

czegoś, co wygląda jak strach. *In vino veritas*^[8]. Lorna wręcza mi kieliszek i uśmiecha się do Sophie, która nie zwraca na nią w ogóle uwagi. Lorna wzrusza ramionami, mówi, że porozmawia ze mną później, i odchodzi, wywracając oczami za plecami Sophie, jakby chciała powiedzieć, że ta się w ogóle nie zmieniła.

– Gdzie jest Pete? – pytam. To takie typowe dla Sophie, zaprosić kogoś niemal obcego na przyjęcie, na którym ten nie zna nikogo, a potem zostawić go na pastwę losu.

– Och, nie wiem, gdzieś się tu kręci.

– Widzę, że wspomniałaś Mattowi o prośbie o dodanie do grona znajomych. Mogłaś się najpierw ze mną porozumieć w tej sprawie. – Sama chyba jestem pijana, tak się stawiając Sophie.

– O Boże, przepraszam. Czy Matt był zły?

Nie spodziewałam się skruchy i wytrąca mnie to z równowagi.

– Trochę, ale nie martw się o to. Nie powiedziałaś chyba nikomu innemu, co?

– Tylko Samowi – mówi z poczuciem winy.

– Sam wie? Kiedy mu powiedziałaś? Dziś wieczorem?

– Tak – odpowiada szybko. – To znaczy w zasadzie nie. Zadzwoiłam do niego tamtego dnia, po twojej wizycie.

– Zadzwoiłaś do niego? Dlaczego? Skąd w ogóle masz jego numer? – Stara dobra zazdrość znów rośnie mi gulą w gardle i sprawia, że sztywnieję.

Sophie wzdycha niecierpliwie.

– Czy to ma znaczenie? Napisałam do niego na Facebooku i poprosiłam o jego numer telefonu.

– Ale dlaczego chciałaś z nim porozmawiać na ten temat?

Na jej twarzy pojawia się dziwna mina.

– Przecież był w to zamieszany, prawda? – mówi szybko. – Załatwił nam E. Myślałam, że może on też dostał taką samą wiadomość.

– I co? Dostał? – W głowie zaczyna mi się kręcić. Dlaczego Sam nie wspomniał o tym, kiedy odwoził do mnie Henry’ego? To pewnie dlatego zachowywał się tak dziwnie i pytał, czy wszystko jest w porządku.

I dlaczego nie powiedział nic, kiedy rozmawiałam z nim wcześniej tej nocy?

– Nie, niczego nie dostał. O Boże, Louise, co my teraz zrobimy? Kto za tym wszystkim stoi? – Nie spodziewałam się po niej takiej paniki. Rzeczywiście, *in vino veritas*.

– Nie wiem. Czy ty dostałaś jakieś wiadomości od Marii od czasu, kiedy poprosiła o dodanie do grona twoich znajomych?

– Dwie. – Jej oczy są wielkie, jak u disnejowskiej księżniczki.

– O czym były?

– Jedna nadeszła niedługo po prośbie o dodanie. Napisane w niej było: „Nadal dobrze wyglądasz, Sophie”. Następną dostałam dzisiaj rano.

– I co w niej było?

– Tylko: „Do zobaczenia na zlocie, Sophie Hannigan”. Każdy mógł wysłać taką wiadomość. Nie ma nic w tym przerażającego poza faktem, że przyszła od niej. – Jej głos zmienia się w szept i słyszę w nim prawdziwy strach. – O Boże, Louise, co my mamy teraz zrobić?

– Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wszystkiego, kiedy cię odwiedziłam w twoim mieszkaniu? Dlaczego zachowywałaś się, jakby w ogóle nie było problemu. – Policzki zaczynają mi płonąć. Poczułam się przez nią wtedy taka głupia, że przejmowałam się moim zdenerwowaniem w sprawie wiadomości od Marii.

– Próbowałam o tym nie myśleć. To, co zrobiliśmy... wiem, że to było złe. Poza tym wszyscy skłamaliśmy, prawda? Okłamaliśmy policję. Ale może to nie była tak do końca nasza wina? – Spogląda na mnie błagalnie. – W końcu kto wie, co się tak naprawdę zdarzyło? Tamtej nocy działy się przeróżne rzeczy.

– To znaczy?

– Różne rzeczy. – Potrząsa głową.

Zamierzam wydobyć od niej szczegóły, ale nagle u jej boku wyrasta Pete.

– Ach, tutaj jesteś – mówi Sophie nieobecny tonem, rozglądając się dookoła i patrząc wszędzie, tylko nie na niego.

– Tak, tutaj jestem – odpowiada tonem ociekającym sarkazmem. –

Widzę, że się o mnie bardzo martwiłaś.

– Och, na litość boską, nie musisz za mną chodzić jak... jak pieprzony pies. Bądź pieprzonym mężczyzną. – Z tymi słowy odchodzi, potykając się na obcasach i zdążając w linii prostej do Sama, stojącego po drugiej stronie sali.

Twarz Pete'a zmieniła się, jest blada i gniewna.

– Milutkich masz przyjaciół.

– To ty się zdecydowałeś na randkę z nią – odpowiadam naburmuszona.

Zapada cisza, a potem oboje wybuchamy śmiechem. I nagle całe napięcie nagromadzone podczas wieczoru zostaje uwolnione w jednym silnym strumieniu czystej radości, która ciągnie się dużo dłużej, niż wymaga tego dowcip, aż wreszcie powoli przestajemy, zadyszani. Pete ściska grzbiet nosa, a ja wycieram tusz do rzęs spod oczu.

– Zgaduję, że nie będzie czwartej randki? – pytam, kiedy już odzyskuję zdolność mowy.

– O tak, pomyślałem, że może zabiorę ją następnym razem ze sobą na wesele. Pozna moich rodziców i będę się mógł nią pochwalić wszystkim moim znajomym.

– Brzmi rozkosznie. A może przyjęcie dla zespołu z pracy? Mógłbyś zaimponować swoim kolegom.

– Oooo, to świetny pomysł. Mogę im opowiedzieć wszystko o jej pracy w „modzie”. – Dłońmi zaznacza w powietrzu ironiczny cudzysłów.

– Nie rozumiem, o czym mówisz. Sophie pracuje w modzie, czyż nie?

Pete prychnął.

– Cóż, jeżeli zawód sprzedawczyni w sklepie odzieżowym można nazwać „modą”, to owszem, przypuszczam, że pracuje w modzie. Nie zrozum mnie źle, nie obchodzi mnie, czym się kto zajmuje zawodowo, natomiast dobija mnie pretensjonalność. Sophie nie chciała mi nawet tego powiedzieć, po prostu wymusnęło się jej przypadkiem, kiedy umawiała się ze mną na spotkanie po pracy.

– Ale to mieszkanie w Kensington... jakim cudem ją na nie stać, skoro pracuje jako sprzedawczyni? To miejsce musi być warte miliony.

Pete spogląda na mnie dziwnie.

– Nie znasz jej zbyt dobrze, prawda?

– Oczywiście, że nie – odpowiadam zaskoczona. – Nie widziałam jej przez ponad dwadzieścia pięć lat, aż do zeszłego tygodnia.

– Aaach. – Oddycha. – Tego mi nie powiedziała. Zasugerowała, że jesteście starymi przyjaciółkami i pozostajecie nadal w kontakcie.

– Absolutnie nie. – Dlaczego Sophie chciała, żeby Pete tak pomyślał? – No więc w jaki sposób stać ją na to mieszkanie?

– To proste – mówi Pete. – Mieszkanie nie należy do niej, lecz do jakiejś jej znajomej, która robi zawrotną karierę i spędza dużo czasu zawodowo w Hongkongu. Sophie pilnuje jej mieszkania, kiedy tamta jest za granicą.

– Oooh. – Nutka radości w moim głosie sprawia, że czuję się nieswojo. Upijam kolejny łyk ciepłego wina, żeby utrzymać *schadenfreude*^[9] na wodzy. Płyn szczypie mnie, spływając po gardle, i pali mnie w żołądku. Najwyraźniej w świecie Sophie nie wszystko jest takie, jak się wydaje. Nie dziwne, że tak kręciła, kiedy zapytałam ją, czy mieszka tutaj sama.

– Zastanawiam się, dlaczego powiedziała to tobie – mówię.

– Cóż, kiedy wymusnęła jej się ta informacja o jej pracy, nie mogła już udawać, że stać ją na takie mieszkanie. Poza tym myślę, że może... – Przerzywa, czerwieniąc się.

– Może co?

– Cóż, jeżeli sądziła, że jest przed nami jakaś wspólna przyszłość, wiedziała, że nie będzie w stanie utrzymać pozorów zbyt długo, prawda? Jej przyjaciółka wraca z Hongkongu w przyszłym tygodniu, więc Sophie będzie musiała wrócić do swojej kawalerki w Croydon.

Śmieję się cicho, nie dlatego, że z Croydon jest coś nie tak, ale z powodu kontrastu, jaki stanowi porównanie go do eleganckich georgiańskich fasad w South Kensington. Zamierzam wypytać go o więcej, kiedy czuję dłoń na moim łokciu i odwracam się, widząc Sama. Uśmiech znika z mojej twarzy. Do tej pory czułam sporą dumę z powodu tego, jak dobrze sobie poradziłam z jego obecnością tutaj, ale dotyk jego palców na mojej skórze jest niczym dotknięcie gorącego pogrzebacza.

Odsuwam się od niego, obejmując się ramieniem.

Sam uśmiecha się do Pete'a.

– Bardzo przepraszam. Mogę pożyczyć Louise na chwileczkę?

Pete nie może oprzeć się czarującemu atakowi Sama Parkera.

– Och, oczywiście, w porządku. – Odchodzi sztywno. Nie pozostaje mu nic innego, jak tylko przyłączyć się do Sophie.

Sam odwraca się do mnie i moja pewność siebie nagle zmniejsza się z każdą mijającą sekundą. Jestem już pijana, podatna na wpływy i z trudem zachowuję pozory spokoju, zdesperowana, aby nie pozwolić mu dostrzec, jaki efekt nadal na mnie potrafi wywrzeć. Próbuję się odprężyć, specjalnie pozwalam mojemu ramieniu opaść wzdłuż ciała. Upijam powoli nieco wina. Czuję gorąco i falowanie otaczającego mnie tłumu, chociaż teraz wszystko wydaje mi się nieco oddalone. Pomieszczenie skurczyło się i jest tylko nas dwoje, z własną prywatną atmosferą, w której powietrze jest chłodniejsze, milczenie dłuższe i niewypowiedziane słowa mają moc większą niż te wymówione.

– A zatem wiesz. – Zmuszam się do normalnego tonu. – O Marii.

– Tak. – Spogląda na mnie zdziwiony. – Dlaczego mi nie powiedziałaś? Wiedziałaś o tym, prawda? Kiedy podrzucałaś do mnie Henry'ego w sobotę?

– Sophie powiedziała, że ty wtedy też już wiedziałaś. Twierdzi, że już wtedy do ciebie zadzwoniła. – Zdaję sobie sprawę, że zachowuję się jak nadąsane dziecko.

– Owszem, wiedziałem, ale pomyślałem, że jeśli nie chcesz ze mną o tym rozmawiać, powinienem uszanować twoją decyzję. To musiało być dla ciebie okropne.

Wygląda na szczerze przejętego i zdenerwowanego ze względu na mnie i z ukłuciem bólu przypominam sobie o istnieniu drugiej strony Sama, o tym, jak życzliwy potrafi być. Pod wieloma względami jestem silniejsza i nawet szczęśliwsza bez niego. Poradziłam sobie sama lepiej, niż myślałam, że byłabym w stanie. Są jednak chwile, kiedy cudownie byłoby nie być odpowiedzialną za absolutnie każdy aspekt życia i kiedy oddałabym wszystko to, co zyskałam, za obecność przy mnie kogoś, kto

przejałby ode mnie ciężar codzienności. Czasem nie jestem pewna, czy to, co pamiętam o naszym związku, jest rzeczywiste, czy może upływ czasu i separacja skrzywiły moją percepcję. Nie wiem nawet, czy istnieje coś takiego jak prawda, jeśli chodzi o związki. Może są tylko jej różne wersje, ukształtowane przez miłość, strach i sposób, w jaki kłamiemy przed sobą samym i przed innymi.

– Słyszałaś coś więcej? – pyta. – Od tej osoby, która założyła profil.

– Nie. – Nie zamierzam mówić Samowi niczego ponad to, co naprawdę muszę. Wystarczy, że wie o sprawie. Nie chcę, żeby w ten sposób wszystko powoli przedarło się z powrotem w moje życie.

– A czy są... czy poprosiła o dodanie do grona znajomych kogoś jeszcze?

– Tylko jedną osobę, Nathana Drinkwatera.

– Kto to jest? Znasz go?

– Nie mam pojęcia. To chyba nikt ze szkoły, co?

– Nie, nie sądzę. Nigdy o nim nie słyszałem. Posłuchaj, Louise. Wiesz, że zawsze cię wspierałem w tej sprawie, prawda? Pomagałem ci, byłem jedyną osobą, która rozumiała.

Ma rację i właśnie dlatego nadal tak bardzo za nim tęsknię, mimo tego, co się z nami stało. Sam zamierza powiedzieć coś więcej, ale jego uwagę przyciąga Pete i Sophie, wyraźnie kłócący się po drugiej stronie sali. Sophie próbuje się śmiać, ale Pete nie wydaje się doceniać jej żartu; w zasadzie robi się coraz bardziej rozgniewany, z minuty na minutę. Sam przygląda się im zainteresowany.

– W każdym razie chciałem tylko powiedzieć, że nie powinnaś wspominać Timowi o tej sprawie z Facebookiem, jeżeli się tu pojawi – podejmuje Sam. – Tylko by go to zdenerwowało.

– Nie zamierzałam tego zrobić, Sam. Uważasz, że kim ja jestem? Jakimś kompletnym emocjonalnym matolem? – Znów się najeżam. Zapomniałam, jak wyglądają rozmowy z Samem. Zupełnie jakby ktoś wyciągnął cię z głębokiego snu od razu w pełny stan gotowości, w którym podskakujesz jak bokser, czujny, wyglądający kolejnego ciosu.

– Nie, oczywiście, że nie. Przepraszam, to było głupie. Wiem, że nie zrobiłabyś niczego podobnego. – Zapada milczenie. Sam wydaje się nad

czymś zastanawiać.

– Naprawdę dobrze cię widzieć w zwykłej sytuacji, Louise. Jak się miewasz? Dobrze ci się wiedzie? – Znow kładzie rękę na moim ramieniu.

– Tak, dzięki. – Odsuwam się o krok, rozlewając nieco wina, które ścieka mi po nadgarstku. Nie jestem jeszcze tak pijana, żeby całkowicie zagłuszyć głos Polly w głowie, podpowiadający mi, żebym się pilnowała i nie pozwoliła mu dostrzec swojej słabości. Przekładam kieliszek do drugiej ręki i unoszę nadgarstek do ust, żeby zlizać płyn, zapobiegając zabrudzeniu sukienki. Potem widzę, jak Sam wpatruje się w mój język, i zamieram, opuszczając rękę. Wino zostaje na mojej skórze, zimne i lepkie. Sam podchodzi do mnie i otwiera usta, żeby coś powiedzieć, kiedy nagle po drugiej stronie sali robi się zamieszanie. Pete wyrzuca dłoń w górę w geście odrazy, sprawiając, że Sophie kurczy się w sobie dramatycznie, jakby ten zamierzał ją uderzyć. Pete odwraca się i wychodzi z sali. Sophie spogląda za nim gniewnie, z twarzą ożywioną przez nienawiść i upokorzenie.

– Lepiej pójdę i sprawdzę, czy wszystko jest w porządku z Sophie. – Muszę się wyrwać z tej sytuacji, zanim rzeczy wymkną się spod kontroli i zanim zatracę się znowu.

Sam wygląda na zaskoczzonego i lekko urażonego.

– Myślałem, że będziemy mogli pogadać. Wiem, że nie chcesz słyszeć o... no wiesz... Daisy i tym podobnych, ale są przecież inne rzeczy... Jak, twoim zdaniem, Henry radzi sobie w szkole? Nigdy niczego mi nie mówi.

– Dobrze. Radzi sobie dobrze. Możesz umówić się z jego nauczycielką, jeżeli jesteś tak bardzo zainteresowany. Do zobaczenia później. – Niemal uciekam, ale nie w stronę Sophie, lecz ku względnej prywatności toalet. Opieram się o drzwi kabiny, czując, jak serce pulsuje niemal w całym moim ciele. Opieram ręce po bokach, przyciskając je do ściany, jakby to miało powstrzymać mnie od upadku. Nadal czuję ciepło dotyku jego dłoni na moim ramieniu i spojrzenie jego oczu na języku.

Przyływ optymizmu, który czułam jeszcze chwilę temu, teraz zniknął. Kiedy mój oddech wraca w miarę do normy, idę na salę, gdzie po przeciwnej stronie widzę Sophie i Sama pogrążonych w głębokiej

rozmowie. Sam trzyma dłoń na ramieniu Sophie. Czuję dziwny ścisk w żołądku. Żartobliwy flirt ich nastoletniej przyjaźni zawsze sprawiał mi ból i chociaż skrzętnie ukrywałam te uczucia, moja zazdrość zawsze czaiła się tuż pod powierzchnią, grożąc w każdej chwili wybuchem, szpetnymi oskarżeniami. Jest również coś jeszcze w sposobie, w jaki dłoń Sama spoczywa na ramieniu Sophie, co bardzo mnie denerwuje. Rozglądam się w poszukiwaniu kogoś, z kim mogłabym porozmawiać. Jest dopiero dwudziesta druga i nie mogę skapitulować i wyjść z przyjęcia.

Esther i Brett siedzą po przeciwnej stronie sali, trzymając się za ręce i rozmawiając z ożywieniem z dwiema kobietami, które chyba rozpoznaję. Brett nie odstępował Esther na krok przez cały wieczór, trzymając ją za rękę lub obejmując. Pewnie jest bardziej zdenerwowany, niż się wydaje. Kolejną godzinę spędzam, siedząc z nimi, kiwając głową i uśmiechając się, gdy ktoś na mnie spogląda, chichocząc, kiedy reszta się śmieje i prawie nie wtrącając się do konwersacji. Bycie pierwszą osobą, która wyjdzie z przyjęcia, wydaje mi się przyznaniem do porażki, ale gdy tylko inni zaczynają to robić, wymawiając się opiekunkami do dziecka i wczesnymi zmianami w pracy, ja również się zmywam. Nie mam siły żegnać się ze wszystkimi po kolei, a poza tym nie chcę ryzykować kolejnego zbliżenia z Samem, więc odnajduję mój płaszcz i wymykam się, porzucając plakietkę z imieniem na mijanym po drodze stole.

Już na szkolnym parkingu dzwonię po taksówkę, pod numer, który specjalnie wpisałam wcześniej do pamięci telefonu. Proszę ich o jak najszybszy przyjazd i siadam na niskim murku, czekając na wóz. Dźwięki muzyki stają się głośniejsze za każdym razem, gdy drzwi się otwierają, wypływając małe, dwu- lub trzyosobowe grupki wychodzące na zewnątrz na papierosa. Wszyscy śmieją się z tego, jakimi buntownikami się czują, paląc papierosa na terenie szkoły – zupełnie jakby to oni pierwsi wpadli na ten dowcip. Z moich ust przy każdym oddechu wydobywają się kłęбки pary. Siedzę niewidzialna w ciemności, otulając się szczelnie płaszczem. Zapomniałam rękawiczek, więc

krzyżuję ramiona na piersi i wtykam dłonie pod pachy, obejmując się mocno.

– Witam ponownie. – Z cienia dobywa się głos.

– O mój Boże, nie rób mi tego! – Podskakuję, chwytając się za serce.

– Przepraszam – mówi Pete. – Nie chciałem cię przestraszyć. Miałem nadzieję, że jeszcze tutaj będziesz.

– Co ty tu robisz, czając się w mroku?

– Nie mogłem tam zostać. Sophie była dla mnie podła, a nie znam tu nikogo innego. Nie chciałem cię odciągać od zabawy, więc pomyślałem, że poczekam na ciebie tutaj.

– Jak długo już tu stoisz?

– Nie jestem pewien. Może godzinę?

– Ale dlaczego na mnie czekasz? Co, twoim zdaniem, ja mam z tym niby zrobić?

– Sophie zarezerwowała dla nas Bad & Breakfast, ale teraz nie mogę z nią wrócić.

– B&B? Na trzeciej randce?

– Wiem, wiem. – Pete wygląda na lekko zażenowanego. – W każdym razie może mogłabyś mnie podrzucić do Londynu?

– Podrzucić? Nie mogę prowadzić, za dużo wypiałam. Zostawiam tutaj mój samochód i zamierzam przenocować w Travelodge. Za chwilę przyjedzie tu moja taksówka.

– O cholera. – Wygląda na załamane. – Co ja teraz zrobię? Ostatni pociąg z Norwich do Londynu odjeżdża o dwudziestej drugiej. Już jest dawno po czasie.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu.

– To twoje zasady postawiły cię w tej sytuacji. Może pojedziesz do Travelodge? Zarezerwowałam pokój dopiero dzisiaj. Jestem pewna, że mają wolne miejsca. Gdzie masz samochód? Czy Sophie prowadziła?

– Nie, ja. Ona nie ma samochodu. Też tutaj stoi. – Wskazał na podjazd.

– Przyjechaliśmy tu z B&B. Planowałem wrócić tu rano i go zabrać.

– W porządku, możemy razem tu wrócić jutro rano.

W taksówce nie odzywamy się do siebie, oboje zagłębieni we własnych

myślach. Rejestruję się pierwsza, a potem Pete pyta o wolny pokój.

– Przykro mi, ale nie mamy miejsc. – Młoda dziewczyna za ladą wydaje się zupełnie niezainteresowana tym, co może to oznaczać dla Pete'a.

– Słucham? Nie macie zupełnie nic? Nawet... czy ja wiem... niesprzątniętego pokoju? Albo takiego, który trzymacie wolny na wypadek kryzysu?

– Kryzysu? – powtarza dziewczyna, jakby Pete zasugerował właśnie, żeby zaangażowała się wraz z nim w jakąś zboczoną seksualną praktykę. – Jak co na przykład?

– Och, nie wiem. – Spogląda na mnie błagalnie. – Co ja teraz zrobię?

Oboje wiemy, że jest tylko jedno rozwiązanie, które nie będzie wymagało od niego zadzwonienia po taksówkę i objechania wszystkich tanich hoteli w mieście, z płonną nadzieją znalezienia wolnego pokoju. Wie, że on nie może jednak go zasugerować – byłoby to zbyt bezczelne, dlatego taktownie pozostawia decyzję mi. Nie mogę pozwolić, żeby spędził noc na ławce w parku. Spoglądam na recepcjonistkę.

– Czy łóżko w moim pokoju da się rozdzielić na dwa jednoosobowe?

– Nie. – Spogląda to na mnie, to na Pete'a, wyraźnie zainteresowana.

– Prześpię się na podłodze – mówi pospiesznie Pete. – O mój Boże, jesteś taka miła. Dziękuję ci bardzo.

Już w pokoju zachowujemy się wobec siebie z wystudiowaną uprzejmością, wchodząc po kolei do łazienki. Dziękuję Bogu, że zabrałam ze sobą przyzwoitą piżamę, a Pete z kolei odmawia zdjęcia z siebie czegokolwiek poza płaszczem.

– Posłuchaj, nie musisz spać na podłodze – mówię, kiedy wynurza się z łazienki. – Po prostu trzymaj się swojej strony łóżka, dobra?

– Oczywiście. To byłoby fantastycznie, jeśli jesteś tego pewna. – Pete wślizguje się pod kołdrę. Jeżeli przesunąłby się bliżej swojego krańca łóżka, niechybnie znalazłby się na ziemi. Kładę się po mojej stronie i gaszę lampkę nocną.

– Dobranoc – mówię nieco sztywno.

– Dobranoc. I jeszcze raz dziękuję.

Udaję, że zasypiam od razu, i wkrótce jego oddech wyrównuje się i spowalnia. Może sam też udaje albo rzeczywiście zasnął. Wpatruję się w jego plecy, ledwie widoczne w ciemności. W tamtej chwili propozycja, żeby Pete dzielił ze mną pokój, wydawała mi się gestem zwykłej ludzkiej życzliwości. Zdaje się całkiem przyzwoitym facetem, z wyjątkiem niezrozumiałego gustu co do kobiet. Teraz jednak, w ciemności, czuję się zagrożona. Kim jest ten człowiek? Wreszcie sama zapadam w nerwową drzemkę, budząc się co pół godziny aż do czwartej nad ranem, kiedy wreszcie, wyczerpana, zapadam w głęboki sen.

Powoli zaczynają do mnie docierać dźwięki wiadomości z odbiornika telewizyjnego. Odwracam się. Do pokoju przesącza się światło przez szczelinę w zasłonach. Łóżko jest puste, a drzwi do łazienki otwarte.

– Pete?

Nikt nie odpowiada. Rozglądam się dookoła półprzytomnie. Jego płaszcz i buty zniknęły.

Zanim jestem w stanie zastanowić się, dlaczego telewizor jest włączony, przez mgłę porannego rozespania przedziera się głos spikerki i jej słowa zaczynają przesączać się do mojego mózgu.

Dziś rano ludzie wyprowadzający psy znaleźli zwłoki kobiety w lasku za liceum w Sharne Bay, w Norfolk. Policja nie podała jeszcze personaliów denatki, ale istnieją podejrzenia, że była uczestniczką zlotu absolwentów, odbywającego się zeszłej nocy w szkole. Ktokolwiek posiada jakieś informacje dotyczące tego zdarzenia, proszony jest o natychmiastowy kontakt z policją.

[8] *In vino veritas, in aqua sanitas* (łac.) – w winie prawda, w wodzie zdrowie (przyp. tłum.).

[9] *Schadenfreude* (niem.) – przyjemność czerpana z cudzego nieszczęścia bądź niepowodzenia (przyp. tłum.).

Rozdział 21

1989

Po powrocie na salę rozejrzałam się po całym pomieszczeniu. Na zewnątrz robiło się już ciemno, więc dziwny półmrok został zastąpiony bardziej konwencjonalną atmosferą dyskotekową. Temperatura rosła i kiedy otyły chłopak otarł się o mnie, schodząc z parkietu, poczułam wilgoć jego skóry na ramieniu, zapach świeżego potu i taniego płynu po goleniu.

Sophie rozmawiała z Mattem; odrzucała włosy na ramiona, nie spuszczać wzroku z jego twarzy. Musiała przysunąć usta blisko jego ucha, ze względu na głośną muzykę i stopniowo zbliżali się do siebie. Emanujący z nich żar był wyczuwalny nawet w miejscu, w którym stałam, po przeciwnej stronie sali. Zobaczyłam, jak Sophie kładzie delikatnie dłoń na policzku Matta, żeby przyciągnąć go jeszcze bliżej i powiedzieć mu coś na ucho. Kiedy to zrobiła, Matt nachylił się, żeby ją pocałować. Sophie się odsunęła, chichocząc, i dała mu żartobliwego kuksańca. Obserwowałam ją, jak odchodzi tanecznym krokiem w kierunku Claire i Joanne, uśmiechając się do Matta przez ramię z fałszywą skromnością. Kiedy przeniosłam wzrok na jego twarz, on wcale się nie śmiał.

Maria i Esther siedziały w dalszej części sali, rozmawiając z ożywieniem. Od czasu do czasu jedna lub druga nachylała się nieco, żeby wykrzyknąć coś niedosłyszanego, prosto do ucha tej drugiej. Nigdzie nie było śladu Tima. Zauważyłam, że Maria rozgląda się szybko, po

czym wyciąga z sukienki miniaturową butelkę wódki i dolewa sobie do coli. Dobrze. Dzięki temu prawdopodobnie nie będzie w stanie wyczuć dodatkowego smaku.

Zobaczyłam, jak Esther gestem wskazuje na pobliskie drzwi, Maria potrząsa głową, a Esther wychodzi, prawdopodobnie do toalety. Maria upiła nieco drinka, a potem odstawiła go na puste krzesło po swojej prawej stronie. Wyglądała nieswojo, jak ludzie, którzy niespodziewanie zostali zostawieni sami sobie w tłocznym pokoju. To była moja najlepsza szansa.

Przemierzyłam salę, obserwując Marię przez cały czas. Prawdopodobnie nie miałam zbyt dużo czasu, chociaż Esther poszła do mniejszej toalety, obok sali, przy której pewnie była kolejka. Maria była odwrócona bokiem do mnie, obserwując parkiet. Podeszłam do niej od lewej strony. Usiadłam na pustym krześle obok. Odwróciła się uśmiechnięta, zakładając, że to Esther wróciła z łazienki. Mina jej zrzędała, kiedy zobaczyła, że to ja.

– Czego chcesz? – Chwyciła małe złote serduszko na łańcuszku, nawijając go na palec tak mocno, że jego opuszek napęczniał i poczerwieniał tam, gdzie łańcuszek wbijał się w skórę.

Myślałam intensywnie. Jaką taktykę zastosować?

– Chciałam cię przeprosić. Znowu.

– Przeprosić? Serio? Nie sądzisz, że trochę na to za późno? – Maria roześmiała się z goryczą. Na jej twarzy nie było ani śladu przebaczenia, którego udzieliła mi podczas przyjęcia w domu Matta.

– Wiem. Przykro mi.

– Na litość boską, przestań mówić, że ci przykro! Gdzie było twoje „przepraszam” przez ostatnie dwa miesiące szkoły? Gdzie było „przepraszam”, kiedy włożyłaś ten... ten *przedmiot* do mojej torebki.

– To akurat nie byłam ja, ale bardzo mi przy... – Przerwałam, przewidując kolejny wybuch gniewu.

– Odpieprz się i, do kurwy nędzy, zostaw mnie w spokoju, Louise – powiedziała, wstając. – Nigdy więcej nie chcę cię widzieć ani z tobą rozmawiać.

Ruszyła na drugą stronę sali, ale ponieważ Esther jeszcze nie wróciła z toalety, nie miała gdzie pójść. Widziałam, że zawahała się na samym brzegu parkietu, który wypełnił się od czasu, gdy usiadłam przy Marii.

Adrenalina kursowała w moich żyłach, miałam wrażenie, że tysiące igiełek atakuje moją skórę. Brakowało mi tchu, tak bardzo czułam się żywa i odważna, a jednocześnie przerażona, że ktoś mnie przyłapie. Wsunęłam palce za stanik i chwyciłam torebkę. Grupka chłopców zaczęła się przepychać tuż przede mną. Jeden z nich potknął się o moją stopę. Znałam go z widzenia. Johnny Majors. Nie należał do śmietanki, ale był zabawny i popularny. Spojrzał na mnie z przeproszającym gestem. Uśmiechnęłam się, ukrywając torebkę w dłoni. *Nie ma problemu*, powiedziałam bezgłośnie, ponieważ wrzask muzyki nie pozwalał i tak na usłyszenie czegokolwiek. Johnny Majors uśmiechnął się do mnie w odpowiedzi: chłopak, który nigdy nawet nie spojrzał na mnie przez pięć lat liceum, teraz zlustrował moje krągłości i lekki rumieniec na policzkach. Najwyraźniej było coś we mnie, czego nie widział przedtem – coś przyzywającego i niebezpiecznego. Przez chwilę, jedno uderzenie serca, wydawało mi się, że usiądzie obok mnie. Zdążyłam już sobie wyobrazić nas oboje rozmawiających, śmiejących się, upojonych nowością tej sytuacji. Zobaczyłam w myślach, jak mnie całuje, a ja wsuwam rękę za plecy i porzucam małą plastikową torebkę z jej wybuchową zawartością na podłogę za rzędem krzeseł, gdzie miała zostać później odkryta i zgłoszona przez woźnego.

Potem mój wzrok przeniósł się z roześmianej twarzy Johnny'ego na stojącą po drugiej stronie sali Sophie, gestykującą do mnie zawzięcie, z uniesionymi ponaglająco brwiami. Spojrzałam na podłogę i zobaczyłam znikające adidas-y Johnny'ego. Rozwarłam dłoń i wpatrzyłam się w torebkę i niewinnie wyglądający niebieski proszek. Pamiętałam, jak poczułam się po zażyciu E na przyjęciu u Sama: lekka, nieskrępowana, radosna. Czy to rzeczywiście takie okropne, jeśli sprawię, że Maria poczuje się tak samo? W głębi duszy znałam odpowiedź na to pytanie, ale zadusiłam ją w sobie. Ukryłam głęboko tę cząstkę mnie, która wiedziała, że nie robimy tego po to, aby poprawić Marii humor, tylko po

to, żeby ją upokorzyć i sprowokować do zrobienia z siebie idiotki. Po to, żeby przejść do szkolnej historii jako ci, którzy odważyli się posunąć dalej. Żadnych głupich żartów, żadnych majtek na maszcie. Mieliśmy zjednoczyć wszystkich w pełnej grozy fascynacji, gdy Maria zrobi z siebie widowisko, nie wiedząc, dlaczego czuje się tak swobodna, pełna radości i miłości. Chcieliśmy zobaczyć, co się stanie, i to pragnienie było silniejsze niż obawa o bezpieczeństwo czy moralność samego czynu.

Spojrzałam znów na Sophie, która wpatrywała się we mnie. Nie potrzebna było słów, aby zrozumieć, co chciała powiedzieć. Miałam wrażenie, jakbym unosiła się w powietrzu, balansując na krawędzi klifu. A potem nagle spadałam, spadałam: otwierając torebkę, wsypując jej zawartość do kubka Marii i gorączkowo mieszając płyn słomką, modląc się, żeby proszek rozpuścił się szybko. Rozejrzałam się szybko po sali, ale nikt na mnie nie patrzył. A nawet jeśli tak było, wyglądało to, jakbym mieszała własny drink. Człowiek musiałby się przyjrzeć bardzo uważnie, żeby dostrzec, jak okropnie trzęsą mi się ręce. Spojrzałam jeszcze raz na szklankę. Nie było w niej widać niczego poza colą. Wyglądała dokładnie tak, jak na początku. Przyszło mi do głowy, że w zasadzie nie upadłam jeszcze całkowicie. Jeszcze nie. Mogłam zabrać drinka do toalety i wyłączyć go. Moja dłoń zawisała nad szklanką, ale kiedy spojrzałam na Sophie, zobaczyłam, jak promienieje z radości, pokazując mi kciuki uniesione w górę. Zanim więc miałam szansę zmienić zdanie, zmusiłam się do wstania i podeszłam do Marii, która nadal stała niepewnie na obrzeżu parkietu.

– To nie ty powinnaś odchodzić i rezygnować z wolnego krzesła – powiedziałam. Serce waliło mi tak głośno, jak muzyka. – Ja sobie pójdę.

Wyglądała na nieprzekonaną.

– Dalej, wracaj na miejsce. Esther będzie się ciebie tam spodziewała po powrocie z łazienki. Ja pójdę tam. – Wskazałam na odległą część sali, skąd obserwowała mnie z radością Sophie. – Obiecuję, że nie będę cię już nagabywała.

Maria spojrzała na mnie podejrzliwie, a potem wróciła na swoje miejsce. Idąc w stronę Sophie, obejrzałam się przez ramię i dostrzegłam,

jak Maria znów chwyta złote serduszek i bawi się nim nerwowo. Uniosła szklanekę i upiła nieco coli przez słomkę.

Mniej niż dwanaście godzin później wspominałam tę chwilę, siedząc bez ruchu na podłodze w moim pokoju. Myślałam o ostatnim razie, kiedy widziałam Marię. Po tym, jak dodałam proszek do jej coli, poszłam opowiedzieć wszystko Sophie. Była zachwycona i zrobiła wielkie zamieszanie wokół mnie. Niezbyt chciałam brać E, ponieważ już byłam upojona samą śmiałością tego, co zrobiłam, ale Sophie mnie przekonała. Sama też wzięła jedną tabletkę i kiedy narkotyk zaczął działać, poprowadziła mnie na parkiet. Po raz drugi w życiu poczułam się zupełnie nieskrępowana, pozwalając mojemu ciału poruszać się w takt muzyki w taki sposób, w jaki chciało. Przez kolejne dwie godziny nie myślałam o niczym innym, tylko o muzyce oraz o fizycznej, zwierzęcej radości wynikającej z poddania się rytmowi. Parkiet wypełnił się (nie sądzę, żebyśmy byli jedynymi ludźmi, którym udało się coś przemyścić przez kontrolę pana Jenkinsa) i po chwili straciłam kontakt ze wszystkimi: Samem, Mattem i nawet Sophie. Chłopcy, którzy przedtem nie zawiesiliby nawet na mnie oka, teraz spoglądali na mnie zupełnie inaczej. Czułam się, jakbym zrzuciła skórę i pozostawiła dawną wersję mnie w tyle, leżącą gdzieś w miejscu, którego nikt nie odwiedza.

Wreszcie Sophie znów pojawiła się obok mnie. Chciała iść do baru po wodę.

– Gdzie byłaś? – spytałam.

– Och, tu i tam. – Uśmiechnęła się tajemniczo, bardziej do siebie niż do mnie. Poczułam, że sztywnieję. Czy była z Samem? Czy oboje śmiali się z mojej niezgrabności, nachylając ku sobie głowy, a jej idealne ciało promieniowało zachęcającym ciepłem? A może z Mattem, który zapomniał o odruchu chronienia mnie przed wzgardą Sophie, zatracając się w swoim pożądaniu?

– Gdzie właściwie jest Maria? – spytałam. – Do tej pory powinna już być na haju. – Zatracona w chwili, zapomniałam, że przecież o to właśnie w tym wszystkim chodziło. Oczywiście miałam na uwadze nie tyle Marię, ile Sophie i naszą przyjaźń – to, co mój czyn mógł dla mnie zrobić,

gdzie mnie zaprowadzić.

Sophie znów uśmiechnęła się do siebie.

– Z czego się tak cieszysz? – spytałam. – Myślałam, że chcesz zobaczyć, jak Maria traci głowę? O to przecież chodziło, nie?

Sophie wzruszyła ramionami i rozejrzała się dookoła, ale Marii nigdzie nie było. Widziałam Esther zmierzającą w naszym kierunku i z mdlącym ściskiem w żołądku zdałam sobie sprawę, że chce ze mną porozmawiać.

Nie traciła czasu na wstępne uprzejmości.

– Louise, widziałaś Marię?

– Nie, od jakiegoś czasu nie. Dlaczego pytasz?

Przypuszczam, że na tym etapie powinnam poczuć cień tego, co nadchodziło albo chociaż nikłe przecucie, ale nadal byłam upojona euforią wynikającą z faktu, iż przez jedną noc byłam kimś innym.

– Powiedziała, że z nią wcześniej rozmawiałaś. Co jej powiedziałaś?

– A co ci do tego? – Zastanawiałam się z niepokojem, jak wiele Maria przekazała Esther.

– Myślę, że gdzieś sobie poszła. Już jakiś czas temu powiedziała, że nie czuje się najlepiej, i udała się do toalety, a teraz nie mogę jej znaleźć.

Może właśnie w tym momencie zaczęło we mnie kiełkować pierwsze ziarenko zwątpienia.

– Może rozmawia z kimś na zewnątrz albo w jednej z klas?

– Na przykład z kim? – spytała Esther z wyrzutem. – Ty i twoje cudowne przyjaciółeczki zapewniłyście jej, że nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby się z nią zadawać. Myślałam, że masz lepszy gust, Louise.

Jej słowa zapiekły, wywołując rumieniec wstydu na moich policzkach. Nie byłam przyzwyczajona do takiej bezpośredniości Esther. Wolałam nie myśleć o niej i o tym, jak kiedyś się przyjaźniłyśmy.

– Jediną osobą, z którą mogłaby przebywać jest jej brat, ale jego też nie mogę nigdzie znaleźć – ciągnęła.

Ogarnęło mnie poczucie ulgi wymieszane z rozczarowaniem, że nie zobaczymy żadnych szalonych występów Marii na parkiecie, jak na to liczyłyśmy.

– Prawdopodobnie poszła z nim do domu. Sama powiedziałaś, że nie czuła się najlepiej.

– Powiedziałyby mi, że wychodzi. Nie zostawiłaby mnie tutaj samej.

– Jesteś pewna, Esther? Właściwie to jak dobrze ją znasz?

Po jej minie domyśliłam się, że mój komentarz ją ubódl, zgodnie z moim zamierzeniem.

– Wiesz co, Louise? Zapomnij. Najwyraźniej nic cię to nie obchodzi albo nie chcesz pomóc. Mam nadzieję, dla twojego dobra, że Marii nic się nie stało. Zamierzam zadzwonić po mamę, żeby mnie zabrała. Jeżeli zobaczysz Marię, możesz jej powiedzieć, że wróciłam do domu?

Przez chwilę wszystko zmieniło się w rozmazane wspomnienia tańca, rozmów i śmiechu – i zanim się zorientowałam, była już północ. Niczym w bajce o Kopciuszku, kiedy karoca zmieniała się w dynię, muzyka zamilkła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i zapłonęły ostre światła. Wszyscy byli bladzi, spoceni, a pomieszczenie znów było tylko szkolną salą.

Po tym wszystkim – kolejne rozmazane wspomnienia. Mama Marii, Bridget, która pojawiła się, żeby zabrać ją do domu: najpierw nieco zaniepokojona, a potem oszalała ze zmartwienia, kiedy pojawił się Tim i okazało się, że był tu przez cały czas i również nie widział Marii. Mój tata, który przyjechał, żeby mnie odebrać w momencie, gdy nauczyciele poprowadzili Bridget do gabinetu, żeby mogła zadzwonić do domu Esther. Pan Jenkins pytający Bridget, czy Maria miała jeszcze jakieś przyjaciółki, do których można by zadzwonić, i gorąco rozlewające się po całym moim ciele niczym wirus, kiedy Bridget spojrzała na mnie z gniewem i wstydem wypisanym na twarzy i potrząsnęła głową. Nie, nie było nikogo innego. Słowa „policja”, „zaginiona” i „dwadzieścia cztery godziny”.

Ciepła noc ustąpiła miejsca gęstemu letniemu deszczowi. Krople waliły o przednią szybę samochodu, kiedy tata pytał mnie, co się dzieje. Próbowałam utrzymać rozmowę w normalnym tonie i sprawiać wrażenie idealnie trzeźwej. Usiłowałam udawać, że wciąż jestem jego córką – tą samą dziewczyną, która wyszła z domu kilka godzin wcześniej.

A potem była tylko pustka. Siedziałam na podłodze w pokoju przez całą noc i wpatrywałam się w przestrzeń. W przestrzeń, gdzie powinna znajdować się Maria: roztańczona, szalejąca, obściskująca ludzi, nie wiedząc, dlaczego. Obserwowana przeze mnie i Sophie, trącające się łokciami i chichoczące. Budząca się nad ranem na dzikim kacu, nie wiedząc, co się stało.

Ale Maria po prostu zniknęła, stała się pustką, pozostawiając po sobie jedynie cień pogardliwego śmiechu – złote serce na łańcuszku, smuga dymu w nocnym powietrzu.

Rozdział 22

Tamta noc była początkiem i końcem wszystkiego. Koniec jednej rzeczy zawsze jest startem czegoś innego, nawet jeżeli człowiek w tamtej chwili tego nie dostrzega.

Co pamięta? Upał dnia, nadal odczuwalny tego wieczoru; niepowstrzymaną ulewę, która potem nadciągnęła; ziemię pod swoimi stopami, twardą i nieustępliwą; uczucie, że przez krótką chwilę lewituje nad własnym ciałem, zastanawiając się, co będzie dalej – zupełnie jakby nie miało to nic wspólnego z nią samą.

Czasami nie wie już, kim jest. Wie tylko, że dziewczyna, którą była, umarła tamtej nocy, a jej miejsce zajął ktoś inny. Od tego czasu ta nowa osoba szukała po omacku podparcia dla stóp, trzymając się kurczowo skalnej ściany, z brudem pod paznokciami. To tak, jakby człowiek usiłował oddychać pod wodą.

Bardzo niewiele osób w jej nowym życiu wie o dawnych wydarzeniach. Tak jest lepiej. Unika niewygodnych pytań i zmienia temat. Zachowuje się, jakby była zwyczajną osobą, tak jak wszyscy inni. Tymczasem czuje, jakby pod jej skórą pełzały robaki poczucia winy i kłamstw.

Kiedy człowiek zostawia coś za sobą, myśli, że to koniec. Było, minęło, jesteś taka a nie inna, już do końca życia.

Ignorowała przeszłość przez bardzo długi czas, ale teraz zaczyna się zastanawiać, czy będzie w stanie ignorować ją do końca życia. Tkwi w niej, żywa niczym guz albo pasożyt. Może teraz przyszedł czas, żeby ją zrozumieć, wyciągnąć na światło dzienne i uważnie się jej przyjrzeć.

Stawić jej czoła.

Może tylko poprzez powrót do przeszłości będzie w stanie posunąć się do przodu.

Rozdział 23

2016

Siedzę na łóżku w Travelodge, popijając herbatę o metalicznym posmaku i charakterystycznym cierpkim smaku mleka UHT. Jestem przyklepiona do telewizora. Dziennikarze najwyraźniej nie uzyskali nowych informacji, ale mimo wszystko nakręcają całą historię. Policja zapewne nie pozwoliła im na wywiad z właścicielem psa, który odnalazł ciało podczas spaceru, więc zamiast tego dopadli innych, którzy powtarzali różne wersje tego samego: Nie, niczego nie widzieli. Nie, nic takiego nie zdarzyło się tu przedtem. Miejsce w łóżku, gdzie spał Pete, zieje pustką, ale w tej chwili nie jestem w stanie zacząć się zastanawiać nad moimi uczuciami co do tego faktu.

Mój umysł pracuje na wysokich obrotach, usiłując ogarnąć to wszystko. Muszę się dowiedzieć, kto zginął. Proszę, niech to będzie jedna z tych bezimiennych, anonimowych kobiet, których nie rozpoznałam ostatniej nocy. Policja będzie chciała porozmawiać ze wszystkimi uczestnikami zlotu, jestem tego pewna. Zadzwonię do nich i dowiem się, a kiedy już będę wiedziała, że to jakaś obca osoba, wszystko będzie w porządku. W telewizji podano numer, pod który można zadzwonić w tej sprawie, więc sięgam po komórkę, wystukując ciąg cyfr.

Oczywiście nie powiedzą mi nic przez telefon. Chcą porozmawiać ze wszystkimi, którzy brali udział w zlocie absolwentów, i pytają, czy mogłabym od razu przyjść do prowizorycznego centrum koordynacyjnego, które zorganizowali w sali gimnastycznej. Zamawiam

taksówkę, biorę prysznic i ubieram się szybko. Potrzeba poznania tożsamości nieboszczyka z lasu – i upewnienia się, że jest to całkiem obca mi osoba – napiera na mnie niczym pełny pęcherz.

Już w taksówce wysyłam esemesa do Polly z pytaniem, czy Henry ma się dobrze. Odpowiada krótkim „Tak”, bez całusów na końcu. To dla niej nietypowe, ale podejrzewam, że jest w środku szykowania śniadania albo coś w tym stylu. Kiedy zbliżamy się do szkoły, widzę wozy policyjne i dużą półciężarówkę lokalnych wiadomości telewizyjnych. W pobliżu zgromadził się już tłumek gapiów, pomimo że jest dopiero dziewiąta w niedzielny poranek, a znad morza dmucha mroźny wiatr.

– Gdzie dokładnie pani idzie? – pyta taksówkarz. – Nie wiem, czy uda mi się dojechać do końca. Wygląda na to, że zamknęli ulicę. Słyszała pani, co się stało.

Zjeżdża na pobocze, a ja płacę mu i mówię, że resztę drogi w miarę możliwości pokonam piechotą. Wsiadam na mróz. Mój miejski płaszcz nie ma szans ochronić mnie przed okrutnym wichrem ze wschodniego wybrzeża.

Drogę blokuje wóz policyjny, przy którym stoi młody umundurowany funkcjonariusz. Kiedy przechodzę przez ulicę, zbliża się do mnie.

– Czy mogę w czymś pomóc?

Wyjaśniam, że byłam na zlocie zeszłej nocy i poproszono mnie o przyjechanie tutaj. Jego mina się zmienia. Policjant prosi mnie o zaczekanie przez kilka minut, podczas gdy sam z kimś rozmawia. Odsuwa się nieco ode mnie, tak że nie słyszę, co mamrocze do krótkofalówki. Stoję niepewnie przy samochodzie, rozglądając się dookoła. Obserwuję, jak reporterka, którą widziałam wcześniej w telewizji, próbuje poskromić zwichrzone włosy, przygotowując się do kolejnej transmisji na żywo. Policjant wraca.

– W porządku, może pani pójść teraz do sali. Komisarz Reynolds się z panią zobaczy.

Ruszam dokładnie tą samą drogą, co wczoraj w nocy, ukrywając szyję pod postawionym kołnierzem płaszcza i usiłując kontrolować oddychanie. Wchodzę do środka z ulgą, że mogę schronić się przed

wiatrem. Sala gimnastyczna wygląda zupełnie inaczej w zimnym świetle dnia. Dyskoteka, śmieci, transparenty z zeszłej nocy – wszystko zniknęło. Przy pobliskim stoliku siedzi pan Jenkins, samotny, nieogolony i blady. Z wdzięcznością przyjmuje kubek herbaty przyniesiony mu przez umundurowaną policjantkę. Przypomina mi się, że nie wiem, kto zorganizował ten zlot. Nie wyobrażam sobie, żeby to sama szkoła wyszła z taką inicjatywą; z pewnością mają lepsze rzeczy do roboty. Ktoś jednak musiał skontaktować się z sekretariatem, założyć stronę na Facebooku, zorganizować dyskotekę, a potem posprzątać po wszystkim, chociaż nie mam pojęcia, kto. Nikt nie kwapi się do porozmawiania ze mną, więc ruszam w stronę byłego nauczyciela.

– Panie Jenkins?

– Tak? – Unosi głowę. Jego twarz jest pociemniała z niewyspania i zmartwienia.

– Dzień dobry. To ja, Louise Williams.

– Och, dzień dobry. Byłaś tutaj, prawda? Zeszłej nocy?

Nie zachowuje się, jakby mnie rozpoznawał ze zlotu albo z czasów, gdy byłam tu uczennicą. Pewnie nie byłam wystarczająco uzdolniona czy nadmiernie niegrzeczna: robiłam pracę domową na czas, nie wygłupiałam się na lekcjach, miałam dobre, jeśli nie bardzo dobre stopnie. Prześlizgnęłam się pod jego radarem.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale zastanawiałam się... czy wie pan, kto zorganizował to spotkanie? Może ktoś ze szkoły?

– Nie – odpowiada. – Skontaktowała się z nami jedna z byłych uczennic i zapytała, czy szkoła zgodziłaby się gościć zlot. Zamówiła bar, załatwiła licencję na spożycie alkoholu i tak dalej. Wynajęła kogoś do dekoracji sali i sprzątnięcia. Zajęła się wszystkim, poprosiła tylko, aby szkoła zapewniła kogoś z nauczycieli w ramach komitetu powitalnego. Pomyślała, że byłoby miło mieć taki symboliczny związek ze szkołą. Ja nie miałem nic przeciwko temu.

– Spotkał się pan z nią? Z tą organizatorką? – Usiłuję mówić zwyczajnym tonem.

Pan Jenkins rozgląda się, jakby szukał pozwolenia od policji, ale

nikogo nie ma w pobliżu.

– Przypuszczam, że to nie takie ważne – mówi. – Nazywa się Naomi Strawe.

– Och, Straw? Jak słoma^[10]?

– Nie. Z „e” na końcu. S-t-r-a-w-e.

Nie pamiętam takiego nazwiska. Moje serce nieco spowalnia.

– Czy była w naszym roczniku?

– Powiedziała, że tak. Chyba była jakaś Naomi, nieprawdaż? Może Strawe to jej nazwisko po mężu? Szczerze powiedziawszy, tak naprawdę nie sprawdziliśmy, czy wczorajsi goście rzeczywiście byli absolwentami z rocznika 1989 – wygląda na zaniepokojonego. – Po prostu założyłem, że tylko takowi mieliby ochotę pojawić się na zabawie. W końcu po co innego mieliby przyjeżdżać na zlot absolwentów?

– Czy ona tu była? Ta Naomi?

– Nie. To właśnie jest dziwne. Mieliśmy dla niej plaketkę, ponieważ wysłała mi komplet z nazwiskami wszystkich, którzy zgłosili chęć przyścia, i ta z jej nazwiskiem została jako jedna z nielicznych nieodebranych.

Nie jedyna. Nie przyszedł również Tim Weston. Zamierzam wypytać go o więcej, kiedy nagle widzę zbliżającą się w naszym kierunku wysoką, dobrze zbudowaną kobietę w ciemnym spodnim.

– Louise Williams?

Potwierdzam. Kobieta przedstawia się jako komisarz Reynolds. Prosi mnie, żebym poszła za nią w róg sali i usiadła z nią przy biurku z laptopem i kilkoma krzesłami.

– Dziękuję za przybycie, pani Williams.

– Louise – poprawiam automatycznie.

– Louise. Posterunkowy Wells powiedział mi, że była tu pani wczoraj na zlocie absolwentów.

– Tak, to prawda. – Mam wrażenie, że śnię; unoszę się nad swoim ciałem. Co się stało z moim uważnie zaprogramowanym życiem? Gdzie nagle zniknęło? Jakim cudem znalazłam się w takiej sytuacji?

– Oczywiście słyszała pani, co się wydarzyło?

– Tak, widziałam wiadomości.

– A zatem wie pani, że znaleźliśmy ciało kobiety w lasu obok szkoły. Ofiara miała ze sobą torebkę, więc byliśmy w stanie dokonać wstępnej identyfikacji.

– Więc... może mi pani powiedzieć? – Proszę cię, Boże, niech to będzie ktoś, kogo nie znam.

– Tak. – Pani komisarz obserwuje mnie uważnie. – Ofiarą jest Sophie Hannigan.

Jakimś cudem udaje mi się zachować obojętną minę, ale czuję, że całe moje ciało drży i buzuje, jakby ktoś zastąpił całą moją krew wodą sodową.

– Nie znała jej pani? – Wydaje się rozczarowana. Spodziewała się westchnięcia, łez, może okrzyku zdziwienia, jednak kiedy nadal wpatruję się w nią bez ruchu, wyraźnie zmagając się z prostym zadaniem oddychania, policjantka zaczyna domyślać się prawdy.

– Znała ją pani?

Kiwam głową bez słowa. Reynolds również milczy, dając mi czas na przetrawienie tej informacji. Prawdopodobnie sądzi, że jestem w szoku, ale to nieprawda. Wszystko, co czuję, to tępy ból w żołądku, który rezydował tam od chwili, gdy po raz pierwszy usłyszałam wiadomości w Travelodge, a teraz po prostu stał się intensywniejszy. Skręca mnie i rwie. Tego właśnie oczekiwałam od samego początku.

– Tak, znałam ją – udaje mi się wreszcie wykrztusić. Ale czy na pewno to prawda? – To znaczy, nie jest obecnie moją bliską przyjaciółką, ale kiedyś była. Nie widziałam jej od czasów szkolnych, poza jednym razem, kilka tygodni temu.

– Dlaczego się pani z nią spotkała? I gdzie? – Wygląda na zainteresowaną. Myślę panicznie. Nie mogę jej powiedzieć o prośbie o dodanie do grona znajomych od Marii. Wywoła to zbyt wiele pytań, na które nie chcę odpowiadać.

– Skontaktowałam się z nią, kiedy dowiedziałam się o zlocie... pomyślałam, że byłoby miło się spotkać przed zabawą. Nie utrzymywałam kontaktów z nikim z liceum od czasu matury

i pomyślałam, że powrót na zlot tak po prostu, znienacka będzie zbyt stresujący, jeśli wie pani, co chcę powiedzieć. Spotkanie z Sophie tamtego wieczora ułatwiło nieco sprawę.

– Jak się pani z nią skontaktowała?

– Przez Facebooka. – Staram się mówić spokojnym, równym głosem.

– Jak się zachowywała Sophie tamtej nocy?

– Normalnie. Cieszyła się na zlot. Moim zdaniem, nie zmieniła się zbyt od czasów liceum.

– Czy był ktoś, ze spotkania kogo cieszyła się najbardziej albo spotkania z kim chciałaby uniknąć?

– Była podekscytowana ideą, ale nie wspominała nikogo szczególnego. Nie sądzę, żeby miała jakiegokolwiek obawy czy skrupuły. W szkole była jedną z popularnych dziewcząt, rozumie pani.

– Uhm. – Usiłuje zachować obojętną minę, ale domyślam się, że sama nie należała do takiej grupy i domyśla się, że ja również. Potrafię sobie wyobrazić komisarz Reynolds w wieku szesnastu lat, równie wysoką i korpulentną jak w tej chwili, może z dłuższymi włosami, zwisającymi w przetłuszczonych strąkach na plecach, wtaczającą się ciężko do klasy i potykającą się o krzesło, ku jawnej uciechu ładnych dziewcząt; zawsze siedzącą w pierwszym rzędzie i zdobywającą najlepsze oceny ze wszystkiego; zdającą sobie sprawę, że popularność w szkole to nie wszystko, i cierpliwie przeczekującą, otrzymującą najlepsze wyniki w historii szkoły, a potem znikającą. Znikającą na uniwersytet, gdzie mogła odkryć siebie na nowo, znaleźć pokrewne dusze.

– W porządku. Wróćmy do samego zlotu. Czy pamięta pani, kiedy widziała Sophie po raz ostatni?

– Wydaje mi się, że koło dwudziestej drugiej.

– Czy wtedy wyszła pani z przyjęcia?

– Nie, wyszłam koło dwudziestej trzeciej, ale nie sądzę, żebym widziała ją po dziesiątej wieczorem.

– Spędziła pani z nią dużo czasu?

– Niezbyt. Rozmawialiśmy, opowiadaliśmy sobie, co u nas, rozumie pani. Na zlocie było mnóstwo osób.

– A jak oceniłaby pani jej nastrój?

Przypominam sobie Sophie zaciskającą dłoń na moim ramieniu, panikującą. Była przerażona.

– Wydawała się czuć całkiem dobrze. – Nie jestem w stanie stłumić własnego popłochu. Kopię pod sobą coraz większy i większy dołek. Tak bardzo obawiam się powiedzieć niewłaściwą rzecz, że koniec końców nie mówię Reynolds prawie nic. – Chociaż tak jak mówiłam, nie widziałam się z nią od wielu lat, więc nie wiem dokładnie, czy zachowywała się tak jak zwykle, czy nie.

– Czy Sophie spędziła czas, rozmawiając z kimś w szczególności?

– Widziałam ją z Claire Barnes, Samem Parkerem, Mattem Lewisem... – wymieniam jeszcze kilka nazwisk, usiłując przypomnieć sobie wszystkie chwile, kiedy słyszałam jej śmiech i widziałam, jak całuje ludzi na przywitanie z przesadą, odrzucając włosy na plecy. Reynolds zapisuje wszystko skrupulatnie.

– Czy Sophie pojawiła się na przyjęciu z osobą towarzyszącą? – pyta.

Waham się, zaledwie odrobinę, ale ona jest niezła, od razu to zauważa. Z jakiegoś absurdalnego powodu czuję się winna, że wmieszam w to Pete'a, co jest naprawdę idiotyczne, ponieważ inni na pewno o nim wspomnieli.

– Sophie przyjechała na zlot z mężczyzną, Pete'em.

– Sympatią? – Reynolds nastawia uszu. Mam dla niej smaczny kąsek i wyczuwa, że za chwilę podam go jej na talerzu. – Zna pani jego nazwisko?

– Nie, przykro mi. Nie sędzę, żeby był tak do końca jej sympatią. Podobno byli tylko na kilku randkach. Sophie poznała go w internecie.

– I przyprowadziła go ze sobą na zlot absolwentów? – pyta sceptycznie policjantka.

– Wiem. Też ją o to zapytałam, ale powiedziała, że nie chciała przyjeżdżać sama, kiedy wszyscy inni na pewno mają partnerów i będą rozprawiać o swoich dzieciach, i tym podobne. – Głos załamuje mi się lekko, a w gardle rośnie szloch. Biedna, głupia, próżna Sophie. Byłam tak bardzo zajęta karceniem się za to, że nadal przejmuję się tym, co moi

znajomi z czasów szkolnych o mnie myślą, że nigdy (aż do tej pory) nie przyszło mi do głowy, że Sophie zależało na ich opinii jeszcze bardziej niż mi. Zmyślona praca w modzie... pożyczone mieszkanie... Pete. Myślę o Esther z jej przystojnym mężem przylepionym do jej boku, pokazującą wszystkim zdjęcia swoich pociech na telefonie. Najwyraźniej żadne z nas nie jest od tego wolne.

– Niech się pani nie spieszy – przemawia Reynolds dobrotliwym tonem, chociaż obserwuje mnie uważnie.

– Wyglądało na to, że blisko końca zabawy o coś się pokłócili. Było to niedługo przed tym, jak widziałam ją po raz ostatni.

– A czy był to również ostatni raz, kiedy widziała pani tego mężczyznę? Czy opuścił przyjęcie bez niej? A może szukał jej pod koniec?

Czuję się, jakbym nagle wpadła z impetem na mur, którego nawet nie zauważyłam. Słyszałam określenie „ręce lepkie od potu”, ale do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, że to zdarza się w rzeczywistości. Będę musiała powiedzieć Reynolds, że spędziłam noc z Pete’em. Ale jak to będzie wyglądało? Był przecież chłopakiem Sophie. Kto mi uwierzy, że do niczego między nami dwojgiem nie doszło w tym hotelowym pokoju? Moje wyznanie sprowokuje Reynolds do zadania mi serii pytań, które mogą doprowadzić do nieszczęsnej prośby o dodanie do grona znajomych od Marii. Na pewno przejrzą wszystkie konta społecznościowe Sophie, ale w tej chwili zobaczą tylko kilka niewinnych wiadomości od Marii: „Nadal dobrze wyglądasz, Sophie”; „Do zobaczenia na zlocie, Sophie Hannigan”. Nie ma w nich niczego, co mogłoby wzbudzić podejrzenia.

Jeżeli jednak Reynolds uzna, że przespałam się z chłopakiem Sophie w noc popełnionego morderstwa, będzie mi się chciała przyjrzeć dużo uważniej. A jeśli przejrzy moje konta w portalach społecznościowych i znajdzie wiadomości od Marii, będzie miała pytania. Pytania, na które nie chcę odpowiadać. Nie mogę znieść myśli, że ktokolwiek dowie się o tym, co zrobiłam Marii. I więcej – nie mogę zaryzykować możliwości pójścia do więzienia. Oczywiście nie znaleziono żadnego ciała ofiary, ale istnieją inni ludzie, którzy wiedzą, co wydarzyło się na balu absolwentów. Może nawet nie tylko Matt i Sam – nie byłabym

zdziwiona, gdyby Sophie wygadała się trochę innym ludziom przez te wszystkie lata. Jak to Sam zawsze powiadał, nie warto ryzykować i pozwolić komukolwiek dowiedzieć się o sprawie. Poza tym mam teraz Henry'ego. Jeżeli istnieje choćby najmniejsza szansa, że mogłabym skończyć za kratkami, muszę zabrać to, co zrobiłam Marii, ze sobą do grobu. Nie mogę zostawić Henry'ego bez matki. Zbyt długo chowałam się w cieniu, ukrywając prawdę. Nie mogę teraz przestać.

– Nie wiem – mówię. Całe moje ciało płonie z paniki. – Nie widziałam go.

– Czy wie pani, gdzie możemy znaleźć tego Pete'a?

– Przykro mi, ale nie. Znam tylko jego imię i wiem, że mieszka w Londynie.

– W porządku. – Reynolds odchyła się na oparcie krzesła. – Będziemy chcieli z panią jeszcze za jakiś czas porozmawiać, ale czy w tej chwili jest jeszcze coś istotnego, co pani zdaniem powinniśmy wiedzieć?

– Nie, nic.

– Jeszcze jedno. – Wyciąga z wewnętrznej kieszeni marynarki brązową kopertę. – Znaleźliśmy coś przy zwłokach – sięga do koperty i wyciąga przezroczystą plastikową torebkę. Natychmiast domyślam się, co to jest, zanim jeszcze Reynolds cokolwiek powie. Wkładam całą energię w utrzymanie dłoni w jako tako zrelaksowanej pozycji na kolanach i równego oddechu.

– Widziała to pani wcześniej? – pyta.

Torebka leży niewinnie na stoliku między nami.

– Nie – Usiłuję zachować naturalny, spokojny ton głosu i nie mówić za szybko ani też za wolno.

– Czy Sophie nie miała tego na sobie?

– Nie, zdecydowanie nie. Założyła wyrazisty srebrny naszyjnik.

Reynolds nie mówi nic, po prostu wkłada torebkę z powrotem do brązowej koperty – plastikową torebkę zawierającą cienki łańcuszek z małym złotym sercem. Chociaż upłynęło już ponad dwadzieścia pięć lat, od kiedy widziałam ten wisiołek po raz ostatni, rozpoznałabym go wszędzie. Prześladowuje mnie w snach. Bez cienia wątpliwości jest to

naszyjnik Marii Weston – ten sam, który miała na szyi w noc swojego zniknięcia.

[\[10\]](#) *Straw* (ang.) – słoma, źdźbło (przyp. tłum.).

Rozdział 24

2016

Polly dociera do drzwi dopiero po dłuższej chwili. Wygląda okropnie, jakby płakała. Włosy ma nieuczesane, a oczy podkrążone.

– Och, co się stało? Wszystko w porządku? – pytam.

– Tak – odpowiada otępiała. – Wejdz.

Podążam za nią korytarzem, skonsternowana. Zanim wyjechałam z Norfolku, wysłałam jej krótkiego esemesa, żeby powiedzieć jej, co się wydarzyło. Oczekiwałam więc od niej nieco bardziej żywiołowej reakcji na te iście katastrofalne wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin. Oczywiście Polly nie ma pojęcia, jakie są ich implikacje dla mnie osobiście, ale tak czy owak to dość szokujące wieści.

Zaglądam do dużego pokoju. Henry i Maya siedzą przytuleni do siebie na sofie. Henry ssie miękki róg Brudaska.

– Hej, H. Wróciłam. Cześć, Maya.

Henry odrywa wzrok od kreskówki zaledwie na sekundę.

– Cześć, mamusiu. Mogę obejrzeć do końca?

– Tak, oczywiście.

Idziemy z Polly do kuchni, gdzie siadam na jednym z wysokich stołków przy barku śniadaniowym. Strasznie podoba mi się takie rozwiązanie kuchenne, ale jak zwykle stołek barowy jest niewygodnie mały i nie wiem, co mam zrobić z nogami.

– Dobrze się zachowywał? – pytam.

– Złote dziecko. Nie sprawiał żadnych problemów.

– A gdzie są wszyscy pozostali? – w domu jest bardzo cicho.

– Aaron i Phoebe nadal śpią. Herbaty? – pyta zdawkowo, nalewając wody do czajnika.

– Tak, poproszę.

Kiedy woda się gotuje, Polly nieco dochodzi do siebie, jakby rozmyślnie uczyniła wysiłek, żeby wyrwać się ze stanu, w którym się znajduje.

– No dobrze, opowiadaj, co się stało. Czy to na pewno była ta dziewczyna, z którą spotkałaś się w zeszłym tygodniu?

– Tak, to była Sophie.

– Rozmawiałaś z nią dużo? To znaczy podczas przyjęcia.

– Trochę. Nie za wiele. Było mnóstwo osób. – Znów zaczynam bagatelizować sprawę. Ponieważ skłamałam policji, łatwiej jest po prostu sprzedać tę samą historyjkę wszystkim innym. Przeraza mnie to, z jaką łatwością nieprawda ześlizguje się z mojego języka, nawet wobec Polly. Teoretycznie jest moją najlepszą przyjaciółką, a jednak wie o mnie tak niewiele.

– To takie okropne. Biedna dziewczyna. Jak sądzisz, kto to zrobił? Czy miała męża?

– Nie. Dlaczego pytasz?

– Cóż, powiadają, że w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach sprawcą jest mąż, czyż nie?

– Nie jestem pewna, czy aż tak często, ale... była na zlocie z facetem, sympatią.

– Tak? Co o nim sądzisz?

Nie odpowiadam od razu i Polly źle interpretuje moje milczenie.

– Myślisz, że to on to zrobił? – Bierze herbatnika i zanurza go w swojej herbacie.

– Nie! – Obie jesteśmy zaskoczone moją gwałtownością.

Nagle wysiłek oszukiwania Polly zupełnie mnie przerasta. Jestem potwornie zmęczona dźwiganiem tego ciężaru, a Polly na pewno jest najlepszą osobą, która mogłaby mi pomóc w jego niesieniu. Kocha mnie przecież. Zrozumie.

– Zabrzmi to dziwnie, ale... Pete, chłopak Sophie, spędził noc w moim

pokoju hotelowym.

Ręka Polly zastyga w połowie drogi do jej ust i rozmoczony herbatnik wpada do kubka z herbatą.

– Słucham?

– To nie tak. Sophie i Pete się pokłócili i było już za późno, żeby mógł wrócić pociągiem do Londynu, więc pojechał ze mną do Travelodge, ale tam okazało się, że nie mają wolnych pokoi i... powiedziałam, że może przenocować w moim. Nic się nie wydarzyło. Po prostu poszliśmy spać, a kiedy obudziłam się dzisiaj rano, jego już nie było.

– Rany gościa, Louise.

– Wiem.

Polly wstaje i przemierza kuchnię, szukając w szufladzie łyżki, za pomocą której mogłaby wyłowić rozmoczony herbatnik z kubka.

– Jak to się w ogóle stało?

– Tak jak ci powiedziałam. Pete i Sophie się pokłócili, więc zczekał na mnie na parkingu.

– Zczekał na ciebie? To trochę dziwne.

– Niezupełnie. Oprócz Sophie byłam tam jedyną osobą, którą znał. Powiedziałam ci już, że spotkaliśmy się przelotnie w mieszkaniu Sophie. Pete myślał, że zamierzam wrócić do Londynu. – Dręczy mnie ta myśl. W końcu Pete chyba wiedział, ile wypiałam. Czy naprawdę sądził, że będę prowadzić samochód w takim stanie?

– Mimo wszystko. Zdajesz sobie sprawę, że mogłaś spędzić noc wtulona w mordercę?

Oczywiście, że przyszło mi to do głowy, ale nie mogę pozwolić, aby ta myśl mnie w tej chwili rozproszyła. Mam głowę pełną innych spraw.

– Wcale się nie przytulaliśmy. A poza tym nie jest mordercą, tylko sympatycznym facetem. – Dlaczego ja go bronię?

– O mój Boże, czy on ci się podoba? Tak, podoba ci się! Zakochałaś się w mordercy!

W innych okolicznościach cieszyłabym się zdolnością Polly do żartowania z każdej sytuacji, niezależnie jak ponurej. Tej jednak nie da się rozjaśnić. Jest zbyt mroczna.

– Nie, nie chodzi o to. – Tak naprawdę wcale nie wiem, co do niego czuję. Może jeśli sprawy ułożyłyby się inaczej, mogłoby się coś między nami wydarzyć. Ale sprawy nie ułożyły się inaczej. Są mroczne, koszmarne, a Pete jest w to w jakiś sposób wmieszany.

– A obecność Sama? Jak sobie poradziłaś? – pyta, siadając z powrotem na stołku barowym.

– Dobrze – myślę o winie ściekającym mi po nadgarstku i spojrzeniu Sama zawieszonym na moim języku.

– Tylko „dobrze”? – Polly natychmiast robi się podejrzliwa.

– Tak. Przysięgam. Zamieniłam z nim zaledwie kilka słów. – Więcej kłamstw.

– I tak powinno być. Pewnie to dobrze, że przespałaś się z tym gościem, Pete’em.

– Wcale z nim nie spałam! A przynajmniej nie w tym kontekście. – Była to prawdopodobnie najdziwniejsza noc, jaką spędziłam w czyimś towarzystwie, a to coś znaczy.

– Wiem, co powiedziałaś. A co sądzi o tym policja, że z nim spałaś?

Zastanawiam się nad kolejnym kłamstwem, ale nie mogę znieść myśli o dalszym skomplikowaniu tej i tak już zawikłanej sytuacji.

– Nie powiedziałam im o tym.

– Co takiego? Dlaczego, na litość boską?

O Boże, jak ja jej mam to wytłumaczyć?

– To był instynkt. W ogóle się nad tym nie zastanowiłam. Po prostu czułam, że lepiej, jeżeli się nie dowiedzą.

– Ale dlaczego? Louise, nie bądź głupia. Nie możesz kłamać policji. Zadzwoń do nich natychmiast i powiedz, że popełniłaś błąd. Lepiej, jeżeli wyjdzie to na jaw teraz i z twoich ust, niż później.

Trudno jest sprawić, żeby zrozumiała, bez opowiedzenia jej o tym, co zrobiłam Marii.

– To skomplikowana sprawa, związana z tym, co wydarzyło się, kiedy byliśmy nastolatkami. Jest coś, o czym nie chcę, żeby policja się dowiedziała. Ja... nie mogę ci tego wyjaśnić. – Głos mi się załamuje i Polly spogląda na mnie z niepokojem.

– Co chcesz przez to powiedzieć, na wszystkie świętości? Dlaczego nie możesz mi się z tego zwierzyć?

Potrząsam głową i ukrywam twarz w dłoniach.

– Louise. – Odciąga je od mojej twarzy i spogląda mi w oczy. – Nie ma rzeczy, której nie możesz mi powiedzieć. Daj spokój, jesteśmy przyjaciółkami od... co, trzynastu lat? Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. O co chodzi?

Tak bardzo pragnę, żeby zrozumiała. Nie mogę znieść tego uczucia, że jestem osamotniona w swojej wiedzy. Zanim Sophie została zabita, jakoś sobie radziłam, potrafiłam to sobie poukładać, ale teraz wszystko wymyka mi się spod kontroli. Myśl o zwierzeniu się Polly ze wszystkiego, wpuszczeniu jej do środka jest niczym perspektywa położenia się na łożu z puchu.

– Powiedziałam ci, że Sophie również dostała prośbę o dodanie do grona znajomych od Marii, tej dziewczyny, która utonęła? Cóż... nie powiedziałam ci wszystkiego. – Oddycham głęboko, usiłując odzyskać kontrolę nad moim głosem.

– To znaczy?

– Sophie i ja... nie zawsze byliśmy miłe dla Marii.

Polly marszczy czoło.

– Niemiłe w jaki sposób?

Jeżeli na nią spojrzę, rozpadnę się.

– Byłyśmy... okropne w stosunku do niej. Pamiętasz, jak powiedziałam ci, że doświadczyłam czegoś podobnego do tego, przez co przechodzi Phoebe... cóż, owszem, to prawda, ale doświadczyłam tego jakby bardziej z drugiej strony.

Nie śmiem na nią spojrzeć. Przetykam głośno.

– Zaprzyjaźniłam się z Marią, kiedy pojawiła się w naszej szkole, a potem, później... przestałam się z nią przyjaźnić. Sophie nie chciała, żebym zadawała się z Marią, rozumiesz, a Sophie była taka... a potem tej ostatniej nocy, podczas balu absolwentów, tej nocy, której Maria zginęła, zrobiłam coś potwornego.

– Co ty zrobiłaś?

Zerkam na nią szybko. Twarz Polly jest blada, pełna niezrozumienia.

Po prostu to powiedz. Zamykam oczy.

– Zaprawiliśmy drinka Marii ekstazy. Nikt już jej nigdy potem nie widział. Musiała zawędrować na klify i spać. – Otwieram oczy i ryzykuję spojrzenie na Polly. Od razu orientuję się, że popełniłam fatalną pomyłkę.

Polly wpatruje się we mnie pobladła i przerażona.

– Dodałaś narkotyku do jej drinka? Czy ty mnie nie słuchałaś, kiedy opowiadałam ci, co się dzieje z Phoebe? Nie mogę uwierzyć, że rozmawiałaś z moją córką na ten temat i udzielałaś jej porad, kiedy przez cały ten czas sama... – Odsuwa stółek i zeskakuje z niego, odsuwając się ode mnie, aż dociera do blatu kuchennego. Chwyta się go dla podparcia.

– Wiesz, dlaczego wyglądałam dziś rano jak śmierć na chorągwi? – ciągnie oskarżycielskim głosem. – Dlatego, że nie spałam przez pół nocy ze względu na Phoebe. Zeszłej nocy miała pójść na przyjęcie z noclegiem, ale musiałam wstać i odebrać ją w środku nocy po tym, jak matka jej koleżanki zaczęła się martwić, ponieważ Phoebe zaczęła robić problemy i przykrości innej dziewczynie. Nie będzie nagrody za odgadnięcie, która to szczególna osoba wymyśliła ową historyjkę. Po powrocie do domu Phoebe płakała przez dwie godziny. Dwie godziny bez przerwy. Wiesz, jak to jest, patrzeć na swoje własne dziecko w takim stanie?

Potrząsam głową.

– Przykro mi z powodu tego, co stało się zeszłej nocy. To okropne. Ale to najmniej odpowiedni dzień na spowiedź tego rodzaju, Louise. Nie po tym, przez co przeszłam. Nie jestem w nastroju do zrozumienia czy wybaczenia albo czego tam ode mnie chcesz. Nie w związku z tym, nie w sprawach nastolatek, które zachowują się jak ostatnie suki w stosunku do innych dziewcząt, które teoretycznie miały być ich przyjaciółkami.

Spodziewałam się i potwornie bałam opieprzu z jej strony, ale to – ta zimna nieustępliwa furia – jest dużo gorsza. Myślałam, że Polly mnie rozumie, ale oczywiście myliłam się. Jakby mogła? Ma dzieci, a dzieci

biją na łeb wszystko inne, niczym poker królewski.

– Myślę, że powinnaś już sobie pójść. Muszę się dzisiaj skoncentrować na Phoebe. Nie mam dla ciebie miejsca... nie mam na to miejsca. Nie mogę się teraz nad tym zastanawiać. Zadzwoń do ciebie.

Przez całe życie wiedziałam, że nie mogę nikomu powiedzieć o tym, co zrobiłam Marii, jednak ta sprawa z Sophie wszystko skomplikowała. Myślałam, że coś się zmieniło, ale nie. Oczywiście, że nie.

Kiedy odjeżdżam sprzed domu Polly, zaczynam po cichu płakać i czuję, że nie jestem w stanie przestać. Henry, na tylnym siedzeniu, rozprawia o tym, co zjadł na kolację i jak Phoebe przeczytała mu książkę, zanim wyszła do koleżanek. Dzięki Bogu, nie pozwoliłam mu siedzieć obok mnie z przodu, tak jak tego chciał. Ocieram łzy dłonią, ale zaraz pojawia się ich więcej. Kiedy stoję na światłach, stara kobieta z wózkiem z supermarketu spogląda na mnie ciekawie.

Usiłuję zmusić się do skoncentrowania na czymś innym. Muszę przestać płakać do czasu, gdy dotrzemy do domu. Nie chcę, żeby Henry zobaczył mnie w takim stanie. Naomi Strawe. Wiem, że nie było nikogo o takim nazwisku w naszym roczniku. Strawe to niezwykle nazwisko i jestem pewna, że nigdy go nie słyszałam, chociaż pan Jenkins zasugerował, że może to być nazwisko po mężu. Nie pamiętam jednak żadnej Naomi. Przypominam sobie, jak pan Jenkins przeliterował je nazwisko, kładąc nacisk na „we” na końcu. Pierwsze dwie litery nazwiska Weston. Żołądek podchodzi mi do gardła ze strachu. Wypowiadam te litery głośnym szeptem, przedstawiając je w głowie i stopniowo uświadamiając sobie, że Naomi Strawe jest anagramem nazwiska Maria Weston.

Ktoś szedł za mną w tunelu na South Kensington. Ktoś mnie obserwował, kiedy siedziałam samotnie w tamtym barze, czekając na spotkanie z mężczyzną, który nigdy nie miał się pojawić. Czy na zlocie absolwentów wczoraj wieczorem też ktoś był, niewidoczny, trzymający się z boku, czekający na Bóg wie co? Od czasu pierwszego, otumaniającego szoku po znalezieniu ciała Sophie jechałam cały czas na adrenalinie, ale teraz zaczyna opadać i implikacje wydarzeń tłoczą się

w mojej głowie. Nie mogę już dłużej ignorować możliwości, że Maria żyje. A jeśli nie, w takim razie ktokolwiek zabił Sophie, wie, co się stało z Marią tamtego dnia. Wie, co zrobiłam. Reakcja Polly zaś uświadomiła mi jeszcze jedną prawdę: spoglądam w lusterko wsteczne na twarz Henry'ego, o niesamowicie gładkiej skórze, zaokrąglonych, nadal dziecięcych policzkach, z długimi rzęsami okalającymi czekoladowe oczy. Po dziś dzień, chociaż pozwoliłam wszystkim innym przyjaciołom oddalić się ode mnie, nie byłam samotna, ponieważ miałam Polly. Teraz jednak jesteśmy tylko my dwoje: Henry i ja – całkiem sami i w niebezpieczeństwie.

Rozdział 25

2016

Kiedy Henry jest już w łóżku, nalewam sobie wina. Krzywię się, czując jego smak, nadal cierpiąc na skutek przesadnego pofolgowania sobie na zlocie zeszłej nocy. Potrzebuję jednak czegoś, co złagodziłoby moje zdenerwowanie, aby zrozumieć, co się ze mną dzieje. W dużym pokoju włączam telewizor. Sprawa Sophie wciąż jest głównym tematem wiadomości. Teraz już ją nazwano. Pojawia się Reynolds, prosząc o informacje. Podają również przyczynę śmierci, o czym nie wspomiano wcześniej: uduszenie. Czuję mdłości, nie mogę przestać wyobrażać sobie dłoni zaciskających się na jej szyi, walki o oddech, świata ciemniejącego przed oczami.

Kiedy moja komórka zaczyna wibrować, wiem z otępiającą pewnością, że to kolejna wiadomość. Nie mylę się.

Och, biedna, słodka Sophie. Nie chcielibyśmy, żeby coś podobnego przydarzyło się Tobie, prawda?

Nie mogę tak po prostu siedzieć na kanapie, odprężając się, jakby był to normalny wieczór, więc przechadzam się z pokoju do pokoju, roztrzęsiona, podskakując na dźwięk każdego skrzypnięcia deski podłogowej. Od czasu do czasu przysiadam gdzieś, gdzie zazwyczaj nigdy nie siedzę: na podłodze w korytarzu, opierając się plecami o ścianę, na brzegu wanny, czując twarde wykończenie wbijające mi się w podudzia.

Nieustannie wyobrażam sobie martwe ciało Sophie leżące w łasku, nadal w tym idiotycznym białym futerku; piękne karmelowe włosy Sophie rozrzucone wokół jej bladej twarzy, fioletowe usta i ciemne zaognione sińce na szyi. Wyobrażam sobie, że mnie spotyka to samo: Henry'ego w małym garniturze, poważnego, ale nierozumiejącego, ściskającego dłoń Sama, jednak rozglądającego się za mną, zupełnie jakbym po prostu wyszła na chwilę do innego pokoju.

Wiem, że policja będzie chciała znów ze mną porozmawiać, i kurczę się z przerażenia na myśl o tym, co będę musiała przed nimi ukryć: moją noc z Pete'em, prośbę o dodanie do grona znajomych i wiadomości od Marii. Nie mogę dopuścić nawet przez chwilę, aby komisarz Reynolds wyczuła, że jest w tej sprawie coś więcej, niż się wydaje – że istnieje cień związku między tym, co wydarzyło się zeszłej nocy, a czerwcowym wieczorem w roku 1989. Jeżeli dowiedzą się, że morderstwo Sophie jest powiązane ze zniknięciem Marii, zaprowadzi ich to na trop, który wiedzie w kierunku szesnastoletniej Louise w szmaragdowej sukni, z owiniętą w plastik skruszoną tabletką między piersiami. Istnieje więcej sposobów, w jakie Henry mógłby mnie stracić, i nie mogę nigdy o tym zapomnieć. Wracam myślą do rozmów z Samem, kiedy jeszcze byliśmy razem: mówiliśmy o tym, że nie możemy pozwolić, aby nasze powiązanie ze śmiercią Marii wyszło na jaw. Przypominam sobie Matta, stojącego blisko mnie zeszłej nocy, przerażonego i rozgniewanego – jego głos przy moim uchu, żarliwy i nalegający.

Teraz jednak, kiedy nieco się oswoiłam z moją odruchową pierwszą reakcją, aby skłamać policji o nocy spędzonej w Travelodge, zdaję sobie sprawę z tego, co zrobiłam. Policja będzie szukała Pete'a. Może nawet już go odnaleźli. Czy on, podobnie jak ja, uzna, że fakt spędzenia nocy razem ze mną jest tak otwarty na niewłaściwe interpretacje, że powinien o nim przemilczeć? Najprawdopodobniej jest jednym z głównych podejrzanych i fakt, że zostawił Sophie na zabawie i spędził noc z inną kobietą, na pewno da detektywom wiele do myślenia. Nie mogę jednak na tym polegać. Muszę z nim porozmawiać, zanim zrobi to policja.

W głębi duszy zastanawiam się, czy gdyby wszystko się wydało, poczułabym ulgę. Mogłabym przestać się ukrywać i kłamać, zrzuciłabym wreszcie ten olbrzymi ciężar, który nosiłam na barkach od szesnastego roku życia. Zostałabym ukarana, owszem, ale może również zyskałabym przebaczenie. Potem jednak przypominam sobie reakcję Polly i wiem, że nie będzie żadnego przebaczenia. I kiedy stoję w pokoju Henry'ego, dopijając resztkę wina i obserwując jego zaróżowioną, rozespaną twarzyczkę, wiem, że nie mogę dopuścić, aby wszystko to kiedykolwiek się wydało. Nie wspominając o wstydzie, gdy wszyscy by się dowiedzieli, co zrobiłam, powstrzymuje mnie głównie Henry. Jeżeli istnieje nawet najmniejsza szansa pójścia do więzienia, nie mogę ryzykować pozostawienia mojego syna bez matki. Będę musiała nosić w sobie ten sekret do końca życia.

Śpię niespokojnie, mój umysł wciąż szaleje. O drugiej nad ranem budzę się gwałtownie, skąpana w pocie i przekonana, że usłyszałam jakiś hałas. Nie jestem w stanie znieść ciemności, więc drżącą dłonią zapalam lampkę. W domu jest cicho, ale nie mogę pozbyć się wrażenia, że coś mnie obudziło. Gdyby nie obecność Henry'ego, prawdopodobnie nakryłabym głowę poduszką i przeczekała do rana, jednak w tej sytuacji nie mogę ryzykować. Ponieważ nie mam żadnej broni, wypijam starą wodę ze szklanki stojącej na stoliku nocnym i wyslizguję się z łóżka, trzymając ją w dłoni. Przekradam się po mieszkaniu, podskakując na każde skrzypnięcie parkietu, zapalając lampy po drodze i zostawiając za sobą smugę jaskrawego światła. W kuchni zamieniam szklankę na nóż z lśniącym ostrzem. Czuję chłód jego uchwytu pod palcami. Wypędzam ciemność z każdego pokoju po kolei. Wszystko jest dokładnie tak, jak było. Zostaje tylko pokój Henry'ego. Staję przed jego drzwiami, z suchością w ustach. Podkoszulek przylega mi do ciała, zimny i wilgotny od potu. Paralizuje mnie strach, że to, co zastanę za drzwiami okaże się moim największym koszmarem. Mam dziwne uczucie, że to ostatnia chwila mojego dotychczasowego życia – że wkrótce będę wracała do tego momentu w myślach, wiedząc, iż wszystko się w nim zmieniło. Kładę dłoń na klamce i otwieram drzwi. Mój wzrok

natychmiast przyciąga łóżko Henry'ego. Jest puste. Nóż wypada mi z ręki, lądując ze stłumionym hukiem na niebieskim dywanie. Sekundę później klęczę na kolanach, wydając z siebie dźwięk, jaki nigdy przedtem nie opuścił moich warg – skowyt cierpiącego zwierzęcia. Przerazenie ogarnia mnie niczym fala przyływu. Brakuje mi tchu i z trudem łapię powietrze pomiędzy serią cichego zawodzenia.

A potem go widzę. Leży na dywaniku przy łóżku, śpiąc z Brudaskiem przy twarzy. Musiał spać z łóżka, nawet się nie budząc, i uderzenie jego ciała o podłogę wyrwało mnie ze snu. Opadam na kolana obok niego, wtulając twarz w jego włosy, napawając się słodkim zapachem mojego dziecka, płacząc z wdzięczności.

Nad ranem budzę się wcześniej, nadal roztrzęsiona po nocnych przygodach. Sprawdziłam wcześniej adres, więc teraz tylko muszę ubrać siebie i Henry'ego jak najszybciej i wyjść z domu. Podrzucam syna do klubu śniadaniowego o siódmej trzydzieści. Pojawiamy się tam jako pierwsi. Henry wkrótce zapomina o moim porannym popędzaniu go, zadowolony z tego, że ma cały klub dla siebie. Od razu biegnie, żeby wyciągnąć zestaw szyn i pociągi.

Kiedy idę w kierunku stacji, jest jeszcze ciemno, ale w nieruchomym powietrzu widzę mój oddech – przypomnienie, że wciąż tu jestem, ledwo, ale jestem. Niektóre domy wciąż pogrążone są w ciemności, jednak tu i ówdzie pojawia się prostokąt żółtego światła i widzę urywki scen domowych. Mężczyznę w garniturze, siedzącego na kanapie i jedzącego śniadanie. Światło z odbiornika telewizyjnego rzuca cienie na jego twarz. Elegancko ubraną kobietę przyglądającą się swojej twarzy w lustrze nad kominkiem w dużym pokoju. Młodą matkę na piętrze, w znoszonym szlafroku, z poszarzałą twarzą i pustym z wyczerpania wzrokiem, trzymającą dziecko na ramieniu. Podskakuję, słysząc ryk uruchamianego silnika samochodu. Kiedy wysoki mężczyzna otwiera drzwi i wychodzi na ulicę niemal mi przed nosem, ledwie udaje mi się stłumić okrzyk strachu. Mężczyzna przygląda mi się ciekawie, a potem odchodzi w kierunku stacji metra. Stoję przez chwilę, opierając się o uliczną latarnię i zmuszając do równych oddechów. Kiedy stałam się

taką nerwową, przerażoną osobą? Potrząsam sobą w myślach i ruszam dalej, tym razem nieco wolniej, w kierunku stacji.

Naprzeciwko biura Foster & Lyme jest kawiarenka, więc zamawiam sobie kawę i siadam przy oknie, wbijając wzrok w wejście. Ludzie w garniturach wchodzą i wychodzą do pomieszczeń firmy. Wygląda na to, że muszą użyć kodu, żeby dostać się do środka, co powinno mi dać trochę czasu, żeby wybiec z kawiarni i złapać Pete'a, zanim wejdzie do biura.

Piję właśnie drugą filiżankę kawy, kiedy czuję na moim ramieniu dłoń. Podskakuję, rozlewając gorący płyn na stoliku.

– Co ty tu robisz? – Pete spogląda ukradkiem na przeciwną stronę ulicy, gdzie jego niczego nieświadomi koledzy witają się przed drzwiami, trzymając w dłoniach kubki z kawą na wynos.

– Muszę z tobą porozmawiać – mówię cicho. – Przepraszam, że cię tak zaskakuję w pracy, ale to jedyny sposób, jaki przyszedł mi do głowy. Nie znam nawet twojego nazwiska. Wiesz... co się stało?

– Oczywiście, że wiem. – Siada na fotelu naprzeciwko mnie. – To takie okropne. Strasznie mi... przykro. Wiem, że była twoją przyjaciółką. Cały wczorajszy dzień spędziłem, włóczęc się po Londynie i rozmyślając o sprawie. Bałem się wrócić do domu, gdzie mogła czekać na mnie policja. Będę ich podejrzanym numer jeden.

– A więc nie rozmawiałeś jeszcze z nimi? – Kiełkuje we mnie nadzieja.

– Nie. Wiem, że będę musiał. Po prostu chciałem najpierw... pozbierać jakoś myśli. Zadzwonię do nich dzisiaj.

– Ale czy policja nie będzie się zastanawiać, dlaczego nie zgłosiłeś się od razu?

– Nie wiem. Będę musiał im powiedzieć, że nie oglądałem wczoraj wiadomości albo coś w tym stylu. Rozmawiałaś już z nimi?

– Tak. Pojechałam wczoraj rano do szkoły.

– Czy powiedziałaś im... o tym, że spędziliśmy razem noc?

Spuszczam wzrok i zaczynam kręcić solniczką.

– Nie.

Spodziewałam się gniewu, ale Pete wygląda bardziej na

skonsternowanego. Widzę też jeszcze coś – ulgę?

– Dlaczego nie?

– Ja... nie jestem pewna. Spanikowałam. – Nie mogę mu wyznać, że jestem przyzwyczajona do kłamania na temat wszystkiego, co ma związek z tamtą nocą z 1989 roku, i że kłamstwo wypłynęło z moich ust, zanim nawet zdążyłam się nad tym zastanowić: że moja obawa przed wyjściem na jaw tego, co zrobiłam Marii tamtej nocy, stała się nieodłączną częścią mnie i ukrywanie wszelkich informacji, które mogłyby mnie powiązać z jej zniknięciem, stało się moją drugą naturą. Muszę mu tym niemniej coś powiedzieć, zasugerować, dlaczego tak się zachowuję.

– To skomplikowane. – Wpatruję się w moje dłonie, rysując palcem wskazującym wzory w rozsypanym cukrze. – Kiedy chodziłyśmy jeszcze do szkoły... Sophie i ja... byłyśmy bardzo niemiłe dla jednej z dziewcząt z klasy, Marii.

– A co odrobina szkolnego prześladowania ma wspólnego z całą tą sprawą? Bóg jeden wie, że wszyscy w młodości robiliśmy rzeczy, z których nie jesteśmy teraz dumni.

Bardzo chcę uwierzyć w prawdziwość jego słów, w to, że nasz uczynek nie powinien mieć żadnych konsekwencji. Tylko że nie ma żadnych uczynków bez konsekwencji, prawda? Nawet bez zaprawienia drinka Marii, sposób, w jaki ją traktowałyśmy, musiał na niej wyrzeć jakieś piętno, prawdopodobnie na resztę życia. Zapewne wpłynąłby na jej związki romantyczne, przyjaźnie i pewność siebie. „Może tak było. Może nadal tak jest”. Nieproszona myśl pojawia się w moim umyśle i wyobrażam sobie Marię, nie tak gładkolicą, jak kiedyś, teraz już z kilkoma zmarszczkami, ale cały czas Marię o orzechowych oczach i długich brązowych włosach, siedzącą przed komputerem i wysyłającą dowody swojej nienawiści do Sophie i do mnie.

– Trudno to wyjaśnić. Po prostu nie chcę, żeby to wyszło na jaw bardziej, niż musi. Moja... znajomość z Sophie. Policja już wie, że spotkałyśmy się jakiś czas przed zlotem w jej mieszkaniu; tej nocy, której ty też tam przyszedłeś. Jeżeli się dowiedzą, że spędziłam noc z jej

chłopakiem, zaczną grzebać w naszej przeszłości i zadawać pytania. Nie ma to absolutnie nic wspólnego ze śmiercią Sophie, przysięgam. Po prostu... wolałabym nie wywlekać kilku dawnych wydarzeń na światło dzienne. A przynajmniej nie więcej niż do tej pory. O Boże, sama nie wiem. Może powinnam im powiedzieć? Zadzwonić do tej pani detektyw, wyznać, że spanikowałam i wyspowiadać się całkiem?

– Tak. – Nie wygląda na przekonanego. – Powinnaś zrobić to, co uważasz za słuszne.

– Ale ty sądzisz, że nie powinnam tego robić? – Chcę, żeby ktoś powiedział mi, jak mam postąpić, i zapewnił mnie, że wszystko będzie w porządku.

Pete wpatruje się za okno. Zaczyna padać i przechodnie przyspieszają kroku, otulając się szczelniej płaszczami, jakby to miało coś zmienić.

– Boję się przekazać im tę informację – mówi, przyglądając się kroplom deszczu spływającym po szybie.

– Ale dlaczego?

Zerka na mnie, a potem przenosi wzrok za okno. Mam wrażenie, że nad czymś się zastanawia.

– Cóż... po prostu dlatego, że... no wiesz, będę ich głównym podejrzanym, czyż nie? Na samym szczycie listy. Na kogo zawsze patrzą najpierw, kiedy kobieta zostaje zabita? Na jej partnera. Jeżeli dowiedzą się, że spędziłem noc z inną kobietą, przyjaciółką Sophie, którą ledwie znałem... jak to będzie wyglądało?

– Niezbyt dobrze – przyznaję, chociaż wyczuwam, że nie mówi mi wszystkiego. To zdecydowanie prawda: kto uwierzyłby, że do niczego między nami nie doszło? Znaleźliby się świadkowie, którzy widzieli nas rozmawiających i śmiejących się razem na zlocie. Nie udowodniłoby to niczego, ale jeżeli oskarżycielski palec byłby już wycelowany w kierunku Pete'a, niewątpliwie pogorszyłoby to sprawę. Musiał sterczeć na parkingu przez dobrą godzinę, czekając na mnie, i pewnie nikt nie będzie w stanie potwierdzić, że tam był. Odsuwam od siebie dziwne poczucie niepokoju na tę myśl i spoglądam znów na Pete'a.

– No więc zamierzasz powiedzieć o tym policji? – Dzierży moją

przyszłość w swoich dłoniach.

– Nie wiem. Oczywiście planowałem, ponieważ myślałem, że ty im już o tym opowiedziałaś. Skoro jednak tego nie zrobiłaś... cóż, nie chcę im dawać więcej powodów do podejrzeń, niż już mają.

– W takim razie co im powiesz? Jeżeli nie chcesz przyznać, że spędziliśmy razem noc?

– Po prostu powiem, że pokłóciliśmy się z Sophie, że wróciłem do Londynu samochodem i poszedłem spać – jego entuzjazm dla pomysłu rośnie.

– To akurat będą w stanie sprawdzić. Kamery uliczne i tak dalej. Nie ma mowy, żebyś zdołał wrócić do Londynu i nie zostać uchwyconym przez tę czy tamtą kamerę.

– No tak, faktycznie... – Bierze serwetkę i składa ją na pół, a potem znów i znów, aż zwitek staje się zbyt gruby, żeby nadal go zginać. – Wiem. Powiem im, że poszedłem spać w samochodzie. Zaparkowałem naprawdę blisko szkoły. Założę się, że nie ma tam żadnych kamer. Musimy tylko zachować spokój i wkrótce wszystko się uspokoi. Nie zrobiliśmy niczego złego, a spędzenie tej nocy razem w pokoju hotelowym nijak nie wpływa na okoliczności śmierci Sophie, więc nie ma znaczenia, że o tym nie wspomnimy. Rozumiem, że oboje chcemy tego samego? Żeby ta cała sprawa się skończyła.

Musiał dostrzec coś w mojej minie, ponieważ nagle się zarumienił.

– O Boże, przepraszam. Zachowuję się jak kompletny skurwiel bez serca. Rozumiem oczywiście, że chodzi o czyjąś śmierć i że była to twoja przyjaciółka.

Czy rzeczywiście była?

Z pewnością nie teraz, a może nawet również nie w czasach liceum.

– Po prostu zrozum, ledwie ją znałem – ciągnie Pete. – Kiedy wychodziłem z tej szkolnej sali, nie spodziewałem się, że znowu się z nią spotkam ani nawet że z nią ponownie porozmawiam. Udawanie żałoby byłoby z mojej strony hipokryzją. Szczerze powiedziawszy, nie czuję niczego poza tym... okropnym strachem. Co, jeżeli policja w jakiś sposób zdoła mnie obarczyć winą? Mogę skończyć w więzieniu na resztę życia.

– Nie, no chyba coś takiego nie mogłoby się zdarzyć, prawda? Nie ma żadnych dowodów. – Nie umyka mi fakt, że to samo można by powiedzieć o mojej roli w spowodowaniu śmierci Marii. Różnica polega na tym, że w przeciwieństwie do Pete’a, ja zrobiłam coś złego. Poza tym wiedzą o tym również inne osoby.

– Nie. Nie ma fizycznych dowodów, ale my... no wiesz... w B&B, zanim wyszliśmy na zabawę. – Ma na tyle przyzwoitości, aby wyglądać na zawstydzonego. – Chyba będą to w stanie stwierdzić, prawda? A to nie wygląda zbyt dobrze. A poza tym ludzie widzieli, że się kłóciliśmy podczas przyjęcia. Ziarnko do ziarnka i jeśli policja jeszcze się dowie, że spędziłem noc z tobą...

– Jesteś pewien, że nikt nie widział nas na parkingu? – pytam. – Nikt nie widział nas odjeżdżających razem?

– Na tyle, na ile mogę. Nie widziałem nikogo, a ty?

– Nie. – Skrobię łyżką po dnie filiżanki, mieszając niedopitą kawę. Krew pulsuje mi szybko od mieszaniny strachu i kofeiny. – Jesteś pewien, że nie masz nic przeciwko? Nie chcę, żebyś... czuł się zmuszony tylko dlatego, że ja już skłamałam na ten temat.

– Nie, ja też tego chcę. Po prostu zatrzymajmy to dla siebie i wszystko będzie w porządku. Może powinniśmy wymienić numery kontaktowe na wypadek, gdybyśmy musieli znów porozmawiać? – Zapisuje swój numer na serwetce i podaje mi drugą, żebym mogła zrobić to samo. – Tak, jestem pewien, że to najlepsze wyjście.

Nie jestem pewna, kogo usiłuje w tej chwili przekonać – siebie czy mnie – ale ja zdecydowanie nie potrzebuję zachęty. Od czasu mojej pierwszej rozmowy z policją wszystko we mnie wrzeszczy, żebym nie mówiła, co się stało, trzymała buzię na kłódkę i nie rzucała się w oczy. Koniec końców i tak ktoś już się na mnie wziął. Dodanie do listy komisarz Reynolds jest ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję.

Pete wychodzi z kawiarni, a ja obserwuję, jak przechodzi przez ulicę. Stoi przy wejściu, wprowadzając kod, kiedy na podwójnej linii zatrzymuje się przy nim samochód. Z sercem podchodzącym do gardła przyglądam się, jak wysiada z niego komisarz Reynolds w towarzystwie

wysokiego mężczyzny w czarnym garniturze. Reynolds mówi coś i widzę, jak Pete odwraca się z nieprzeniknioną miną. Przeprowadzają krótką rozmowę, po której Pete wsiada do wozu, który odjeżdża sprzed biura.

Rozdział 26

2016

Od czasu mojego spotkania z Pete'em minęło kilka dni, ale nie odezwał się do mnie. Policja również nie. Dziś rano muszę się spotkać z Rosemary Wright-Collins. Zwodziłam ją przez jakiś czas, ale zabrakło mi wymówek. Trudno mi będzie przerzucić się na tryb profesjonalny. Za każdym razem, kiedy usiłuję posunąć się z pracą do przodu, mój umysł pracuje na zwolnionych obrotach, zaduszony ciągłym wirowaniem myśli. Mój ostatni projekt dla Rosemary to mieszkanie w georgiańskiej kamienicy w Islington (Bóg jeden wie, ile ono kosztuje), które potrzebuje gruntownego remontu i zmiany wystroju, ponieważ poprzedni właściciel mieszkał tam przez czterdzieści lat.

Naciskam dzwonek. Rosemary pojawia się przy drzwiach dopiero po dłuższej chwili, a kiedy otwiera, jest jak zwykle nienagannie ubrana – uosobienie dojrzałej kobiecej elegancji – chociaż nie tak wylewna, jak zwykle.

– Witaj, Louise. – Stoi w progu przez chwilę z dziwną, czujną miną. Dopiero potem otwiera drzwi. – Wejdz do środka.

Mieszkanie jest niesamowite, z wysokimi sufitami, przestrzenne, ale popada w ruinę i rozpaczliwie potrzebuje odnowienia i troski.

– Och, to wewnątrz jest cudowne, Rosemary. Pewnie jesteś bardzo podekscytowana.

– Owszem. – Nie wydaje się zbyt zachwycona. Prowadzi mnie korytarzem do salonu. Jej obcasy stukają o oryginalną terakotową

posadzkę. Unika mojego wzroku. Staje przy ogromnym kominku, wycierając nieistniejący brudek na gzymsie wymanicurowanym palcem.

– No dobrze, od czego chcesz zacząć? – pytam, usiłując dodać nieco entuzjazmu do całego procesu.

– Zanim zabierzemy się do dzieła, Louise, muszę z tobą o czymś porozmawiać.

O Boże. Zawsze sądziłam, że jest nadziana, ale może ma jakiś problem z płynnością finansową? Naprawdę jej potrzebuję. Bez niej mój biznes będzie poważnie zagrożony.

– Nie ma sprawy – odpowiadam. – Czy wszystko jest w porządku?

– Tak, wszystko jest dobrze. Generalnie. – Nigdy nie widziałam jej w takim nastroju: niepewnej, pełnej wahania. Tak, to musi być problem z pieniędzmi. Odwraca się do mnie twarzą, wyraźnie zbierając się na odwagę.

– Dziś rano otrzymałam dość dziwny e-mail.

Żołądek podchodzi mi do gardła i robi fikołka, lądując gdzieś w pobliżu podłogi. Proszę, Boże, nie.

– Od kogoś o nazwisku Maria Weston.

Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale nie mogę wydać z siebie dźwięku.

– Wiem, że to nieprawda – podejmuje szybko Rosemary. – Mówię ci o tym wyłącznie dlatego, że powinnaś wiedzieć.

– Co było w e-mailu? – Zmuszam się do zachowania spokoju.

– Napisała, że wykonałaś dla niej projekt i że kompletnie go sknociłaś, zostawiając ją w kłopotcie. Że byłaś nieprofesjonalna i niesolidna. Gorąco namawiała mnie, żebym poszukała kogoś innego.

– Rozumiem – szepczę.

– Nie zrobię tego, Louise. Współpracujemy od lat i wiem, że jesteś świetna. Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, i szczerze mówiąc, nie chcę wiedzieć. Nie mam jednak ochoty zostać wmieszana w coś nieprzyjemnego, rozumiesz? Pragnę, żeby nasza znajomość pozostała na gruncie czysto profesjonalnym.

– Naturalnie, Rosemary. Chyba domyślam się, kto za tym stoi –

kłamię. – Jestem pewna, że to się nie powtórzy.

Kontynuujemy konsultacje, ale atmosfera między nami jest dość napięta i kiedy wreszcie wychodzę z mieszkania, oddycham z ulgą. Maria zaczyna wyciągać macki. Czuję jej mroźną obecność, przesączającą się w każdy aspekt mojego życia. Bardzo potrzebuję z kimś o tym porozmawiać i jedyną osobą, która przychodzi mi na myśl, jest Esther. Pomimo naszej burzliwej historii, była dla mnie miła, więc kiedy oddalam się ulicą od nowego mieszkania Rosemary, dzwonię do Esther.

– Halo? – Jest na zewnątrz. Gdziekolwiek się znajduje, słyszę odległy świst wiatru.

– Hej. Jak się masz?

– Nie wiem. Zaskoczona. Nie mogę w to uwierzyć. – Dlaczego nigdy nie wierzymy, kiedy coś takiego się dzieje? Widzimy to w wiadomościach przez cały czas. Dlaczego jesteśmy tacy zaskoczeni, kiedy przydarza się to nam samym?

– Wiem, to okropne. Posłuchaj, Esther, czy możemy się spotkać? Chciałabym porozmawiać z tobą o... no wiesz, o sprawie.

– Naprawdę? – Wydaje się nieprzekonana. – A jest o czym mówić?

– Dla mnie tak. Po prostu muszę z kimś porozmawiać. Proszę.

– No dobrze. Tak się składa, że dzisiaj jestem w Londynie. Idę właśnie na spotkanie, ale mogę potem umówić się z tobą na kawę na South Bank.

Ruszam w kierunku metra na Angel, zastanawiając się jak zwykle, dlaczego ruchome schody poruszają się nieco szybciej niż poręcz? Peron jest pusty. Stoję plecami do ściany, wdychając ciepłe powietrze o zapachu kurzu i przypalonej gumy. Zawsze czułam się niepewnie na peronach metra na myśl o tym, jak niewiele fizycznego wysiłku potrzeba, żeby rzucić się pod przejeżdżający pociąg. Ludzie sądzą, że przepaść między życiem i śmiercią jest olbrzymia, ale obecność tu zawsze przypomina mi, że to tak naprawdę tylko mały kroczek. Dzisiaj, kiedy rozglądając się nerwowo, wbijam kręgosłup w ogromną mapę metra na ścianie, nie mogę przestać myśleć o tym, że podczas tłoczego

dnia również wystarczy tylko lekkie pchnięcie – dłoń umieszczona na plecach i szybkie mocne pchnięcie, którego nikt by nawet nie zauważył.

Dojeżdżam do Embankment i przepycham się pospiesznie między ludźmi w tłumie, pragnąc jak najszybciej uciec od spalin i ścisku, wynurzyć się na chłodne czyste światło dnia. Przebiegam chyłkiem przez most. Tamiza pod moimi stopami faluje – szarozielona, nakrapiana gdzieniegdzie cieniami szybko wędrujących po niebie chmur. Perony i pociągi, mosty i rzeki – przez cały czas jestem tak blisko śmierci. Możliwości śmierci. Ostatnie wydarzenia niewątpliwie zaostrzyły wiszący nade mną miecz, ale nigdy nie byłam od niego wolna. Trwał nade mną, zaledwie milimetry od mojej szyi, na granicy zatopienia się w moim ciele.

Esther czeka już na mnie przed Festival Hall^[11]. Jej płaszcz odcina się niczym szkarłatna plama na tle monolitycznej budowli za jej plecami. Obejmujemy się z wahaniem.

– Chcesz się napić kawy czy wolisz się przejść? – pyta.

– Przejdźmy się. – Ta konwersacja będzie łatwiejsza, jeśli nie będę musiała przez cały czas patrzeć jej w oczy.

Najpierw rozmawiamy o Sophie i chociaż Esther jest oczywiście zaszokowana tym, co się stało, widzę, że z trudem przychodzi jej mówienie właściwych rzeczy. Czego można oczekiwać, gdy ktoś, kto ćwierć wieku temu uprzykrzał ci życie, nagle umiera? Przechodzimy potem na policję, która już pokrótce przesłuchała Esther, ale zapowiedziała, że wkrótce będzie chciała powtórzyć sesję, tym razem z większymi szczegółami. Nie rozmawiała z komisarz Reynolds, lecz z jednym z jej podwładnych. Ponieważ Esther trzymała się z dala od Sophie przez cały czas trwania zlotu, nie jest wysoko na liście Reynolds. Jutro muszę pojechać do Norwich na kolejne przesłuchanie przez nią i myśl o tym stoi mi na żołądku jak niestrawność.

Przez kilka chwil idziemy w milczeniu. Nasza droga przetykana jest drzewami, które rosną wzdłuż południowego brzegu rzeki – surowe i ogołoczone z liści, na tle chłodnego szarobiałego nieba.

– Po twoim wyjściu z zabawy Lorna Sixsmith powiedziała mi, że byłaś

żoną Sama Parkera. – Esther spogląda na mnie. Wiatr smaga kosmykami włosów jej twarz.

– Owszem, to prawda. – Wpatruję się w rzekę, koncentrując się na sposobie, w jaki spienia się przy brzegach, wypychając porzuconą butelkę na nabrzeżny żwir. Wspomnienie naszego związku nadal boli. Cierpienie jest niczym sznur krępujący moje nadgarstki: im bardziej usiłuję się z nich wyswobodzić, tym bardziej mnie boli.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – pyta.

– Nie wiem... chyba sądziłam, że o tym wiesz. Nie rozmawiam o tym zbyt często – odpowiadam urywanie.

– Jak to się stało? To znaczy, chcę powiedzieć, że ja bym się nie domyśliła. – Esther chyba zdaje sobie sprawę z tego, że w jej głosie słyhać zbyt wiele chorobliwej fascynacji, więc precyzuje pytanie. – Wiem, że podobał ci się w szkole, ale...

– Uważałaś, że był zupełnie nie dla mnie? – Wcale mi to nie przeszkadza. Sama zawsze tak sądziłam.

– Niezupełnie. Ale jak to się stało, że skończyliście razem? Twoi rodzice wyprowadzili się z Sharne Bay, kiedy poszłaś na studia, prawda?

– Owszem. Nie widziałam Sama przez bardzo długi czas od skończenia liceum. Wpadliśmy na siebie w Londynie całe lata po tym, jak skończyłam studia. Mieliśmy może dwadzieścia pięć lub sześć lat.

Nadal pamiętam zapierającą dech w piersi ekscytację. Stałam przy barze w pubie w Clapham i odwróciłam się, żeby spytać moją przyjaciółkę Lucy, czego chce się napić. Nagle spojrzałam prosto w te błękitne oczy, niemal tak blisko, jak wtedy, na balu absolwentów. Oczywiście natychmiast go rozpoznałam, ale jemu zajęło to nieco więcej czasu. Kiedy w końcu sobie mnie skojarzył, wydawał się autentycznie ucieszony moim widokiem. Objął mnie mocno, a potem odsunął na wyciągnięcie ramion, przyglądając się mojej twarzy i śmiejąc się z zaskoczenia i radości.

Cały wieczór spędziliśmy razem. Była to jedna z tych magicznych nocy, które chciałoby się, aby trwały wiecznie. Ciepło dnia nadal wisiało w wieczornym powietrzu. Siedzieliśmy, stykając się kolanami w ogródku

pubowym, pijąc i wymieniając się historyjkami. Samotni razem pośród tłumu. Lucy i reszta, a także jego przyjaciele powoli znikali, aż wreszcie znaleźliśmy się na ulicy sami, po zamknięciu pubu. Kiedy nachylił się, żeby mnie pocałować, w moim brzuchu rozlał się żar. Przyciągnęłam go bliżej, wsuwając palce w jego włosy i ciągnąc je lekko. Sam otoczył mnie ramionami i przycisnął do siebie tak mocno, że prawie nie mogłam oddychać. Oboma rękoma pochwyciłam tę drugą szansę na wspólne szczęście razem z nim i chociaż nie zawsze było łatwo, trzymałam się jej przez piętnaście lat. Do czasu, gdy dwa lata temu znalazłam w jego telefonie esemesa, który nie powinien się tam znaleźć. Poczułam wtedy, że moje szczęście nagle wyslizguje mi się z rąk niczym piasek.

– I pobraliście się?

– Tak. – Upakowanie całych tych piętnastu lat mojego życia w tę jedną bardzo krótką konwersację wydaje mi się niewłaściwe, ale nie potrafiłabym znaleźć odpowiednich słów na wyjaśnienie tego Esther, nawet gdybym chciała to zrobić: opowiedzenie jej zapierającej dech w piersi radości z bycia z Samem, podniecających rzeczy, które mi robił, tego, jak stał się dla mnie wszystkim, przynajmniej do czasu przyścia na świat Henry’ego, paniki, w jaką mnie wprowadził.

– A twój synek... Sam jest jego ojcem?

– Tak. – Jest tego rodzaju ojcem, który podrzuca swoje dziecko do góry, aż ono zaczyna zanosić się ze śmiechu z podniecenia, ale odmawia sprzątnięcia bałaganu po tym, jak mały zwymiotował na podłogę.

– Jak myślisz, czy to ten gość, z którym przyszła Sophie? – Esther wyczuwa, że nie chcę powiedzieć nic więcej. – Czy on to zrobił? Rozmawiałaś z nim, prawda?

– Pogadaliśmy przez chwilę, to wszystko. – Staram się, żeby moje słowa nie zabrzmiały zbyt defensywnie. – Wydawał się miły. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby on... to zrobił. Ale, z drugiej strony, nie potrafię sobie wyobrazić, że ktokolwiek mógłby to zrobić, a jednak ktoś ją zabił, prawda? Człowiek nagle przekonuje się, że te wszystkie rzeczy, które ogląda w wiadomościach i o których czyta w gazetach, zdarzają się zwykłym ludziom, takim jak my. To nie są jacyś wybrańcy. Żyli sobie

spokojnie, aż coś wywróciło ich cały świat do góry nogami.

– A co z Mattem Lewisem? – pyta. – On zawsze smalił cholewki do Sophie, czyż nie?

Jak na kogoś, kto nie należał do naszego gangu, Esther jest zdecydowanie dobrze poinformowana.

– Cóż, owszem, chyba tak, ale nie oznacza to jeszcze, że dwadzieścia siedem lat później nagle postanowił ją zamordować, prawda?

– Przypuszczam, że masz rację. Słuchaj, nie sądzisz... – Waha się. – Ta prośba na Facebooku, prezenty urodzinowe?

– Nie wiem, Esther. Właśnie między innymi dlatego chciałam z tobą porozmawiać. Dostałam od niej kolejne wiadomości.

– O czym?

Opowiadam jej pokrótce o nich.

– Ale Esther, czy my rzeczywiście uważamy, że Maria nadal może żyć? Gdzie w takim razie się podziewała?

Esther zatrzymuje się i pochyla nad poręczą, wpatrując się w rzekę od strony katedry Świętego Pawła, lśniącej w świetle słońca.

– Nie wiem. Nigdy przecież nie znaleziono jej ciała, prawda? Ale dlaczego wróciłyby właśnie teraz? I jak?

– Nie mam pojęcia, ale to, co powiedział Tim, używając czasu teraźniejszego... Widziałam go, wiesz? Przed szkołą w wieczór zlotu. Kiedy spotkaliśmy się wcześniej w Sharne Bay, zapowiedział, że przyjdzie na zabawę w imieniu swojej siostry, ale potem się nie pojawił. Tylko, że... właściwie to przyszedł. Widziałam go na zewnątrz, jak z kimś rozmawiał.

– Tim był na zlocie? – Spogląda na mnie pytająco.

– Tak. To znaczy niezupełnie na zlocie. Widziałam go na podjeździe przed szkołą, kiedy wyszłam na papierosa.

– To dziwne. Zastanawiam się, dlaczego nie wszedł. Przypuszczam, że może zmienił zdanie, kiedy przyszło co do czego? To dość osobliwa decyzja, jeśli dobrze się nad tym zastanowić. Mam na myśli generalnie przyjscie na zlot absolwentów. Jeżeli człowiek rzeczywiście był zaprzyjaźniony z kolegami z klasy, nadal byliby przyjaciółmi, a jeśli nie,

to po co do diabła się pojawił? Z ciekawości?

– Ty też przyszłaś. – Ubodły mnie jej słowa.

– Owszem, i teraz żałuję. Po pierwsze, nie musiałabym być w to wszystko wmieszana. Oznaczałoby to również, że mogę pozostawić przeszłość tam, gdzie jej miejsce. Ale nie mogłam. Nie potrafiłam. Musiałam się wszystkim pochwalić. Spójrzcie teraz na mnie, z moją wspaniałą karierą, mężem i dziećmi. Totalna głupota. Powinnam po prostu wrzucić to wszystko na Facebooka, jak pozostali. – Zaciska dłonie na poręczu.

– To wcale nie jest głupie, Esther. Ja dowiedziałam się o zlocie dopiero kilka miesięcy po jego zorganizowaniu. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby mnie o tym poinformować, i poczułam się zdeprymowana. Jeżeli coś jest głupotą, to właśnie to. Dlaczego w ogóle miałoby to mieć jakiegokolwiek znaczenie?

– Nie powinno, ale ma – mówi Esther. – Wszystko to się liczy. W głębi duszy czuję się skrzywdzona, że jeżeli Maria nadal żyje, nie powiedziała mi tego. Byłyśmy sobie bliskie, wiesz? Zanim umarła. Opowiedziała mi o wielu rzeczach. Czy zdajesz sobie sprawę, co się jej przydarzyło w starej szkole? Rozmawiała z tobą kiedyś na ten temat?

– Raz próbowała, tak przynajmniej myślę. – Drewniane leżaki w ciemności, oddechy unoszące się w nocnym powietrzu. Dwa małe palce, splecione ze sobą.

– Ten chłopak miał na jej punkcie obsesję. Było naprawdę źle. Teraz ludzie nazwaliby to nękaniami, załatwili nakazy sądowe i tym podobne, ale wtedy nie mogli zrobić zbyt wiele, dopóki nie skrzywdziłyby jej fizycznie.

Esther odwraca się i ruszamy w milczeniu wzdłuż rzeki.

– Czego ode mnie chcesz, Louise? – pyta po chwili. – Dlaczego zadzwoniłaś?

Chcę przespanej spokojnie nocy. Chcę zmienić przeszłość. Chcę przestać oglądać się przez ramię na peronie metra, przestać myśleć o wskoczeniu lub byciu zepchniętą za każdym razem, kiedy przechodzę przez most.

– Boję się, Esther. Po prostu chcę się dowiedzieć, co się stało z Marią i co zdarzyło się Sophie. – Chcę wiedzieć, ile z tego jest moją winą. Chcę wiedzieć, czy ja jestem następną.

– Czy nie powinnaś zostawić tego policji?

Nie wie, że nie powiedziałam detektywom o prośbie o dołączenie do grona znajomych od Marii. Jej nieświadomość mnie obezwładnia. Zdaję sobie sprawę, że nie mam pojęcia, co tu właściwie robię.

– Tak, zapewne masz rację. Posłuchaj, Esther, muszę już iść. Powinam odebrać Henry’ego ze szkoły.

– Och, rozumiem, w porządku. Do zobaczenia za jakiś czas... może?

– Tak, byłoby cudownie. – Brzmi to fałszywie, jakbym wychodziła z proszonego obiadu, podczas którego było naprawdę okropnie, ale staram się robić dobrą minę do złej gry. – Do zobaczenia.

Odwracam się w kierunku, z którego nadeszliśmy, i ruszam pozornie zdecydowanym krokiem. Wiatr, który do tej pory dał nam w plecy, teraz atakuje moją twarz i sprawia, że łzy napływają mi do oczu.

Myślę o Timie stojącym przed szkolnym wejściem – Timie, którego wiek dojrzewania został zrujnowany, a całe jego życie zmieniło się na zawsze wraz ze zniknięciem jego siostry; o Timie, który musiał tak ciężko pracować, żeby żyć jak każdy normalny człowiek – mieć żonę, dom i dziecko o pucułowatych policzkach. Jak on to zrobił? Jak człowiek może sobie poradzić z taką sytuacją? A może nigdy się z tym nie pogodził? Czy udawał żałobę po siostrze, która tak naprawdę żyła i miała się dobrze, kryjąc się pod fałszywym nazwiskiem? A jeśli tak, to co takiego mu powiedziała? Ile on wie?

[11] Royal Festival Hall – sala koncertowa w Southbank Centre, jedno z największych na świecie miejsc, w którym odbywają się różnego rodzaju wydarzenia, głównie muzyczne (przyp. tłum.).

Rozdział 27

Może i ją ocalił, ale to nie oznacza, że musi to robić dalej. Mówi jej, żeby była cicho, nie wzbudzała szumu, cieszyła się życiem, które otrzymała. Ale ona nie czuje, że żyje. Nie naprawdę. Po prostu egzystuje, stara się przetrwać jeden dzień, a potem następny. Koniec końców jednak, dni się skończą i co będzie miała na ich wspomnienie?

Czasami zastanawia się, czy nie powinna spróbować przetrwać samodzielnie. Porzucić ten mroczny, ciężki płaszcz tajemnicy, który nosiła – po prostu odłożyć go i odejść, stać się osobą, którą powinna być od samego początku.

Czy mogła dopuścić kogokolwiek do siebie? On zna prawdę i może to powinno jej wystarczyć – że nie musi być osamotniona w swej wiedzy. Nigdy nie poradziłaby sobie wtedy bez niego, tego jest pewna. Jej wierny towarzysz. Jej współnik w zbrodni, na zawsze wmieszany w wydarzenia tamtej nocy, która wszystko zmieniła.

Egzystowała w cieniach, uciekając i kryjąc się. Owszem, potrafi zrobić dobrą minę, kiedy musi, ale w głębi duszy nadal jest tą samą dziewczyną, rozdartą między skręcającym żołądek strachem przed wyjawieniem komukolwiek swojej prawdziwej tożsamości i kontrastującym z tym pragnieniem, aby zostać naprawdę dostrzeżoną. Czy nie tego właśnie wszyscy tak naprawdę chcemy?

Chce wyjść na światło dzienne i zacząć żyć tak, jak powinna. Chce zostać usłyszana. Chce, żeby świat ją poznał.

Rozdział 28

2016

Dzieci regularnie odbierane przez niepracujących rodziców o piętnastej stoją już w rzędku przed klasą. Henry'ego oczywiście nie ma między nimi i pani Hopkins spogląda na mnie zaskoczona.

– Skończyłam dzisiaj wcześniej – kłamię. Tak naprawdę musiałam go zobaczyć. Przyjechałam tu prosto z South Bank, żeby odebrać go wcześniej. – Mogę zajrzeć...? – Wskazuję na klasę. Coś w sposobie, w jaki dzieci w świetlicy siedzą grzecznie przy swoich stolikach, ubrane w kurteczki, z plecakami na blatach, czekając na kolejne instrukcje, chwyta mnie za serce. Są takie małe, a już musiały nauczyć się podporządkować ogólnemu modelowi. Henry rozmawia cicho i poważnie z dziewczynką obok. Pierwszy dostrzega mnie chłopiec siedzący po drugiej stronie – przyjaciel Henry'ego, Jasper. Zaczyna gorączkowo stukać mojego syna po ramieniu.

– Henry. Henry! Twoja mama przyszła.

Henry odwraca się i jego twarz cała się rozjaśnia. W oczach wybuchają mu istne fajerwerki.

– Mamusiu! Co ty tutaj robisz? – Wyraźnie chciałby do mnie podbiec, ale spogląda niepewnie na panią Jones, nową nauczycielkę, prosząc o przyzwolenie.

– Skończyłam dzisiaj pracę wcześniej. Chodź. Wybierzemy się do parku?

I znów Henry spogląda na panią Jones, która obdarza go uśmiechem.

– Do zobaczenia jutro, Henry.

Kiedy przecinamy boisko szkolne, jakaś masywna kobieta pochyla się agresywnie nad nauczycielką z sąsiedniej klasy. Widziałam już tę matkę wcześniej, z jej gromadką otyłych, niewychowanych dzieci. Tym razem chodzi o jej syna, jedyne go chłopca wśród jej potomstwa, który stoi za nią, agresywnie kopiąc plecak leżący obok niego na ziemi. Najwyraźniej matka usłyszała budzące postrach „czy mogę prosić na słówko?” od nauczycielki przy odbiorze syna. Oczywiście w jej mniemaniu jej mały aniołeczek nie jest zdolny do zrobienia niczego złego. Wyraźnie nie przyjmuje tej sytuacji zbyt dobrze. Dźga gniewnie palcem w kierunku piersi nauczycielki.

W parku Henry krzyczy z niepoahamowaną radością, kiedy bujam go wyżej i wyżej na huśtawce. Jego szczęście staje się pełniejsze, kiedy dostrzega swojego przyjaciela, Dylana, wchodzącego przez żółtą bramę z jego mamą, Olivią.

– Dylaaaaan! Jestem na huśtawkach!

Dylan biegnie w naszym kierunku.

– Chodź, pobawimy się na drabinkach – instruuje.

– Nie, chodź na huśtawkę! – woła Henry.

– Nie – odpowiada Dylan surowo. – Drabinki.

– Dobrze. Mamusiu, zatrzymaj mnie – mówi Henry, więc pomagam mu zsiąść z huśtawki i oboje odbiegają razem.

– Ach, dwóch małych przyjaciół, to takie słodkie, nieprawdaż? – mówi Olivia, przyglądając się im z uczuciem. Wyczuwam wprawdzie ze strony Dylana nieco bardziej dyktatorski niż przyjazny ton, ale nie chcę psuć jej radości.

– Może wypijemy coś ciepłego? – ciągnie.

Podchodzimy do pobliskiego kiosku i zamawiamy dwie kawy. Nie spuszczam wzroku z Henry’ego, który biega po piasku i od czasu do czasu przewraca się na ziemię. Orientuję się, że Dylan stoi na szczycie drabinek i „strzela” do mojego syna.

– Słyszałaś, co się stało na boisku podczas odbioru dzieci? Z Angielą

Dickson?

– Z kim? – Ponieważ nieczęsto pojawiaam się przy szkolnej bramie wraz z innymi, nie bardzo wiem, kto jest kto.

– No wiesz, Angela Dickson, ta... – Ścisza głos. – Ta gruba. Z gromadką dzieciaków.

– Ach tak, wiem. – Jestem rozproszona, ponieważ nie widzę Henry’ego, ale po chwili ten wynurza się zza zjeżdżalni, gdzie chował się przed nieprzyjacielskim ogniem, i oddycham z ulgą, nie spuszczać z niego wzroku. – Widziałam, jak kłóciła się z nauczycielką, kiedy wychodziliśmy ze szkoły.

– Żeby tylko kłóciła – mówi Olivia. – Uderzyła panią Smithson!

– Uderzyła? – odwracam się i spoglądam na nią. – O mój Boże. Widziałaś to?

– Owszem. Nadal stałam obok, rozmawiając z panią Hopkins. – Olivia należy do tego rodzaju rodziców, którzy zawsze mają jakąś ważną sprawę do omówienia z nauczycielem. Jest w gronie moich znajomych na Facebooku i co tydzień znajduje kolejny powód do narzekań na szkołę: wysyłanie dzieci do domu z lekturami, które nie są wystarczająco ambitne dla jej genialnego dziecka i tym podobne. – Uderzyła ją pięścią w twarz.

– Wezwali policję?

– Nie jestem pewna – mówi. – Widziałam, że przyszedł pan Knowles, jeden z nielicznych nauczycieli płci męskiej w szkole. Swoją drogą, pewnie też nie miał zbyt wielkich szans z Angielką Dickson.

Spoglądam przelotnie w kierunku drabinek, ale ani Henry’ego, ani Dylana tam nie ma. Oglądam się za siebie, w kierunku fortu, ale tam również ich nie widać. To dość duży plac zabaw z licznymi przyrządami do zabawy. Mogą być gdziekolwiek.

– Widzisz gdzieś naszych chłopców? – pytam Oliwię.

– Och, na pewno są gdzieś w pobliżu. Chodź, usiądziemy sobie na tamtej ławce. Widać stamtąd praktycznie cały park.

Podchodzimy do ławki piknikowej i się sadowimy. Odstawiam kawę na stolik i lustruję z niepokojem park. Olivia nadal nawija o ważnych

wiadomościach szkolnych spod bramy.

– Nie widzę ich – przerywam jej.

Olivia rozgląda się niedbale, popijając kawę.

– Prawdopodobnie chowają się w forcie. Wyluzuj się, Louise. Na pewno gdzieś tu są. O, proszę, znaleźli się.

Dylan biega wokół drzewa, wydając z siebie dźwięki naśladujące karabin maszynowy, ale nigdzie nie widzę Henry'ego. Czuję, że nagle trudno mi oddychać, jednak usiłuję zachować spokój. Prawdopodobnie siedzi na drzewie. Tam właśnie znalazłam go przy innej okazji, wspinającego się tak wysoko, że musiałam zacisnąć usta, żeby nie krzyknąć na niego, aby zszedł. Podchodzę, starając się nie biec i zmuszając się do spokojnego oddychania. Im bliżej jestem, tym bardziej oczywiste staje się, że nikogo nie ma na drzewie. W lecie łatwo się na nim ukryć, ale o tej porze roku jest огоłocone z liści i zanim jeszcze docieram na miejsce, widzę, że nikt nie chowa się za gałęziami. Henry'ego nigdzie nie ma.

– Dylan – mówię zbyt głośno. – Gdzie jest Henry?

– Nie wiem.

– Ale przecież przed chwilą się z nim bawiłeś, prawda?

– Tak, ale potem zaczął rozmawiać z jedną panią.

O Boże. Czuję się, jakby ktoś walnął mnie obuchem w głowę. Przez chwilę mam wrażenie, że zemdleję, ale jakoś zbieram się w garść, zmuszając usta do uformowania odpowiednich słów.

– Z jaką panią? Gdzie? – Przyklękam przed Dylanem i chwytam go za ramiona.

– Nie wiem. Tam. – Mały wskazuje w kierunku fortu, a potem strząsa moje dłonie i znów zaczyna biegać wokół drzewa.

Biegnę, bez tchu, wołając jego imię. Docieram do fortu i nachylam się, żeby zajrzeć przez drzwi. Dwie małe dziewczynki z lalką w wózeczku przyglądają mi się podejrzliwie. Są jedynymi dziećmi w zabudowie. Odwracam się i rozglądam panicznie po parku.

– Henry! – krzyczę. Przebiegam cały teren, zaglądając za wszystkie sprzęty do zabawy, wołając go głośniej i głośniej. Inne matki zaczynają

się rozglądać, zastanawiając się, czy powinny mi pomóc. Tutaj zawsze ktoś woła swoje dzieci, ale w moim głosie słyhać nutę autentycznej rozpacz, która najwyraźniej je niepokoi. Olivia wstaje i przywołuje Dylana, prawdopodobnie aby wypytać go dokładniej, gdzie po raz ostatni widział Henry'ego.

Jestem już niemal gotowa zadzwonić na policję. Zapomniałam o własnym bezpieczeństwie, reputacji. I wtedy go widzę. Jest na drugim końcu skweru i stoi tyłem do mnie, wyglądając przez bramę, która otwiera się na bardziej rozległą część parku. Zatrzymuję się i wydaję z siebie coś pomiędzy szlochem a zatchnięciem się. Dzięki Bogu. Ruszam w jego kierunku, teraz już powoli.

– Henry – wołam, a on odwraca się z uśmiechem. – Gdzie ty byłeś? – Usiłuję zachować w głosie beztroskę. – Nie mogłam cię znaleźć.

– W parku – mówi.

– Dylan powiedział, że rozmawiałeś z jakąś panią.

– Tak. Ona lubi pociągi. Wypytywała mnie o Tomka i przyjaciół.

Moje serce zwalnia. Może to tylko jedna z matek albo babć, które przyprowadziły swoje pociechy do parku?

– Gdzie ona jest?

– Powiedziała, że musi już iść. Właśnie do niej machałem. – Spoglądam w dal i widzę sylwetkę w czarnym płaszczu, zdążającą do głównego wyjścia.

– Czy ta pani nie przyprowadziła tu żadnych dzieci?

– Nie, przyszła sama.

– Ile miała lat? – pytam, wiedząc, że to bezsensowne pytanie wobec czterolatka.

– Dwadzieścia? – Zgaduje, ale oczywiście może to oznaczać wszystko, od nastolatka do emeryta. Włączając w to osobę w moim wieku.

Jestem zbyt wstrząśnięta, żeby zostać tu dłużej. Udaje mi się przekonać Henry'ego, żebyśmy wrócili do domu, bez oporów, obiecując mu gorącą czekoladę i telewizję. Kiedy mocuję go w foteliku w samochodzie, telefon wibruje mi w kieszeni. Ignoruję go, dopóki nie jestem już za kierownicą, a Henry siedzi z tyłu, bezpieczny. Modlę się,

żeby był to e-mail dotyczący pracy. Stukam w ekran, żeby go obudzić. Maria. Czytam kilkakrotnie wiadomość na Facebooku. Radosne fałszowanie Henry'ego, pełnego szczęścia na myśl o gorącej czekoladzie, rani mnie niczym szpilki wbijane w uszy.

Henry wydaje się bardzo miłym chłopcem. Mam nadzieję, że dobrze go pilnujesz. Tak łatwo to zrobić, prawda? Wystarczy odwrócić się na sekundę i już ich nie ma.

Rozdział 29

2016

Tego dnia postanawiam sama odstawić Henry'ego do szkoły. Przyglądam się, jak biegnie przez boisko szkolne do klasy, a potem idę do sekretariatu, gdzie jak zwykle za szklaną barierą rezyduje pani Harper o świdrującym spojrzeniu. Jej asystentka, panna Wallis, nerwowo odkłada dokumenty do szuflad dużej szafki po drugiej stronie biura. Czekam przez obowiązkową minutę lub dwie, podczas gdy pani Harper wali wściekle w klawiaturę, zajmując się czymś o niebo ważniejszym niż ja. Wreszcie odwraca się, spoglądając na mnie.

– Mogę w czymś pomóc?

– Jestem Louise, mama Henry'ego Parkera. – Muszę to powiedzieć za każdym razem, kiedy tu się pojawia. Nie wiem, czy naprawdę mnie nie rozpoznaje, czy też karze mnie za coś: na przykład za nieregularne pojawianie się przy szkolnej bramie albo za posiadanie innego nazwiska niż moje dziecko. – Chciałam się tylko upewnić co do procedur bezpieczeństwa przy odbiorze dzieci.

– Tak? – Gdyby nosiła lorgnon, opuściłaby go teraz. Temperatura otoczenia zdaje się nagle spaść o dobre kilka stopni. Zrobiłam coś niewyobrażalnego i zakwestionowałam kompetencje szkoły.

– Po prostu mam powody, aby w tej chwili szczególnie się martwić o bezpieczeństwo syna, więc chciałam się upewnić, że nikt poza mną nie będzie go w stanie odebrać ze szkoły bez mojego pozwolenia.

– Ale pani zazwyczaj go nie odbiera, prawda? – W jej tonie czai się

nuta wzgardy wobec mnie. „Tobie to dobrze mówić – myślę – z twoją przyjemną małą pracką w szkole, kończącą się wraz z lekcjami”.

– Nie. Henry uczęszcza do świetlicy. – Zmuszam się do zachowania spokoju. – Ale to oczywiście jest regularne ustalenie, o którym szkoła wie. Ja mówię o innych ludziach, którzy mogliby go chcieć odebrać.

Dostrzegam w jej spojrzeniu mały ognik afery.

– Ma pani na myśli jego ojca? – Ścisza głos. – Może powinnam umówić panią z dyrektorem... – Spogląda na ekran i klika na kalendarz.

– Nie! Jego tata może go odbierać! – Kobieta unosi brwi. – Miałam na myśli wszystkich pozostałych.

Wzdycha.

– Pani Parker, mogę panią zapewnić, że nie pozwolimy... – Przerywa na ułamek sekundy, wystarczająco długo, żebym zorientowała się, iż nie może od razu skojarzyć sobie, które dziecko należy do mnie. – Nie pozwolimy Henry’emu pójść do domu z nikim innym, poza rodzicami, nianią lub opiekunem, bez uprzedniej wyraźnej zgody na to z pani strony.

„Williams”, myślę, jak zwykle. „Nazywam się Williams”. To jednak nie jest dzień na prowadzenie tej szczególnej walki. Nie mam wyboru, jak tylko zaakceptować jej zapewnienie, ale wychodzę z recepcji z ciężkim sercem. Chciałabym mieć Henry’ego ze sobą przez cały czas. Kiedy jest daleko, moja obawa zmienia się w fizyczny ból, który przeszywa mnie niczym miecz.

Niestety, nie mogę wywinąć się z dzisiejszego spotkania w Norwich. Zbyt dużo czasu spędziłam z dala od tej części kraju, budując nowe życie dla siebie w Londynie, a teraz tamto miejsce nie chce zostawić mnie w spokoju, przyciąga mnie niczym magnes, którego sile nie jestem w stanie się oprzeć.

Gdzieś wewnątrz budynku ze szklaną fasadą, przed którym stoję, czeka na mnie komisarz Reynolds. O czym myśli? Czy zastanawia się nade mną, czy jestem po prostu jednym z wielu świadków, których musi przesłuchać – ostatnią na bardzo długiej liście? Może jej trening

zawodowy nie pozwala jej myśleć w taki sposób. Może wbito jej do głowy, żeby zawsze zakładać, iż wszyscy świadkowie wiedzą coś, co może okazać się przełomowe dla danej sprawy. Gorzej – być może wyczuła coś we mnie, jakieś wahanie lub rezerwę. Czy zamierza mnie dzisiaj wymaglować? Zaatakować mnie w zupełnie niespodziewany sposób? Muszę być przygotowana. Muszę być tak bardzo pewna we własnej głowie mojej historii, że pani komisarz nie będzie w stanie zbić mnie z tropu.

Zostaję wprowadzona do pokoju przesłuchań przez młodą umundurowaną policjantkę, która cały czas nawija coś bez sensu, kiedy przemierzamy długie korytarze. Poruszamy wiele typowo brytyjskich tematów: pogodę, korki uliczne, zalety i wady systemów jednokierunkowych. Nie mam pojęcia, czy to przemyślana strategia, która ma prowadzić do rozluźnienia mnie przed atakiem, czy po prostu zwyczajnie przynudza.

Przysiadam na brzegu plastikowego krzesła, w jaskrawym świetle lamp. Bawię się papierowym kubkiem, obracając go raz po raz na beżowym blacie. Rozglądam się ukradkiem, usiłując odgadnąć, czy jest tu gdzieś lustro weneckie, tak jak to zawsze pokazują na filmach. Zgaduję jednak, że zamontowana na ścianie kamera odgrywa tę samą rolę.

Komisarz Reynolds otwiera drzwi, rozmawiając przez telefon, ale szybko kończy konwersację i uśmiecha się do mnie. Jest większa, niż ją zapamiętałam, chociaż w tym malutkim pokoiku wszystko wydaje się ogromne. Dostrzegam brodawkę na jej policzku i czerwone plamy na powiekach.

– Louise. Jak się masz?

– Dobrze, dziękuję. – „Świetnie” to zdecydowanie przesada.

– To jest sierżant Stebbings. – Wskazuje na ubranego w garnitur pięćdziesięciokilkuletniego mężczyznę, który wszedł do pokoju za nią. Siada naprzeciwko mnie, a ja rozpoznaję go jako towarzysza komisarz Reynolds z tamtego dnia, gdy zabrali do samochodu Pete’a spod biura Foster’a i Lyme.

Reynolds od razu zaczyna przesłuchanie – z nią nie ma żadnych wstępnych pogadanek na temat pogody. Najpierw przechodzimy ponownie przez to, o czym już rozmawialiśmy, ale tym razem jestem przygotowana na pytania o Pete’a. Owszem, rozmawiałam z nim wcześniej tamtego wieczora. Wydawał się być w całkiem dobrym humorze, bez problemu. Widziałam też ich kłócących się, ale nie sądzę, żebym natknęła się na niego po wszystkim. Musiał wyjść z przyjęcia. Reynolds zdecydowanie próbuje drażnić tę linię przesłuchania, ale kiedy orientuje się, że nigdzie z tym nie zajdzie, poddaje się i przechodzi dalej.

– No dobrze. Mamy świadka, który wspomniał, że Sophie spędziła dużo czasu, rozmawiając z Samem Parkerem i Mattem Lewisem. Czy zgodziłaby się pani z tą obserwacją?

– Tak. Zawsze byli bliskimi przyjaciółmi szkolnymi Sophie.

– Może więcej niż przyjaciółmi, jak sądzisz? Z którymkolwiek z nich?

– Matt podkochiwał się w niej wtedy, ale nie jestem pewna, czy do czegoś między nimi doszło. Flirtowali, jednak myślę, że to wszystko, a przynajmniej z jej strony.

– A Sam?

– Nie – odpowiadam natychmiast. – Zdecydowanie nie Sam.

Za szybko. Reynolds spogląda czujnie, zainteresowana.

– Dlaczego tak mówisz?

– Nie wiem, czy pani już o tym wie, ale Sam był moim mężem. Rozwiedliśmy się dwa lata temu.

– A zatem byliście... ukochanymi z dzieciństwa?

– Nie. – Co za obrzydliwe określenie. Reynolds chyba również tak uważa, ponieważ te słowa brzmią dość dziwnie w jej ustach. – Nie widziałam go przez wiele lat po skończeniu szkoły. Spotkaliśmy się przypadkiem w Londynie dziesięć lat później, w dziewięćdziesiątym dziewiątym roku.

– Dlaczego więc jesteś taka pewna, że Sophie nigdy nie była z nim w związku?

– Cóż, ja... – Faktycznie, dlaczego jestem tego taka pewna? Dlatego, że Sophie wiedziała, że Sam mi się podoba? Czy rzeczywiście wierzę, że to

by ją powstrzymało? Dlatego, że Sam nigdy o tym nie wspomniał? Może i nie; koniec końców w chwili, kiedy ponownie się spotkaliśmy, byłaby to już bardzo stara historia.

Moje milczenie najwyraźniej jest nader wymowne dla Reynolds.

– A co podczas tych wszystkich lat po skończeniu szkoły? Czy Sophie utrzymywała kontakt z Mattem lub Samem, albo kimkolwiek innym ze zlotu absolwentów?

– Myślę, że owszem, z kilkoma osobami. Kiedy spotkałyśmy się przed zlotem, powiedziała mi, że nadal spotyka się z Claire Barnes i Mattem Lewisem. Może byli również inni.

– Czy istniały jakieś podejrzenia, że współżyła z Mattem już jako dorosłym?

– Nie, nie wspomniała o niczym takim. Powiedziała tylko, że widywała go od czasu do czasu.

– A Sam? Spotkała się z nim od czasów szkolnych?

– O ile wiem, nie widywał się z nią, kiedy byliśmy małżeństwem. Nie mam pojęcia o ostatnich dwóch latach. On... znów się ożenił, ma dziecko. Rozmawiamy teraz tylko dlatego, że musimy, ze względu na syna. – Włączenie Henry'ego do tej rozmowy sprawia, że węzeł w mojej piersi zaciska się jeszcze bardziej. Nasz syn może być zagrożony z mojego powodu. Mam ochotę otworzyć się i opowiedzieć Reynolds wszystko, błagając ją o ochronę mojego dziecka. Usiłuję jednak podejść do tego racjonalnie. Jak wielkie niebezpieczeństwo może grozić małemu? Po wczorajszym wydarzeniu nie zamierzam go spuszczać z oka. W szkole jest bezpieczny. Sam zabiera go dziś na noc, więc wysłałam mu esemesa dziś rano, pytając, czy zamierza zabrać Henry'ego gdzieś wieczorem. Odpowiedział, że odbierze go ze świetlicy i pojedzie prosto do domu. Henry ma cztery lata, więc nigdy nie jest sam. Mogę go chronić.

Reynolds nadal spogląda na mnie pytająco.

– Nasze rozstanie nie przebiegło zbyt dobrze – mówię. – Moje i Sama.

– Dlaczego?

– Porzucił mnie dla innej. – Nawet teraz nienawidzę wymawiać tych słów; nie cierpię ich twardej, brutalnej prawdziwości. Nie wystarczyłam

mu, chociaż dałam mu wszystko, co miałam. – Pani komisarz, to nie ma nic wspólnego z tym, co stało się z Sophie.

Reynolds robi minę świadcząca o tym, że to ona o tym zadecyduje.

– W porządku. W wieczór zlotu, w jakim nastroju była Sophie? Czy jest coś, co cię zastanawia w świetle zdarzeń, które potem nastąpiły?

– Była normalna. Szczęśliwa, z wyjątkiem tej kłótni z Pete'em, chociaż nie wiem, o co im poszło. Jednak szczerze powiedziawszy, nie miałabym pojęcia, czy była sobą, czy nie. Jak już mówiłam, nie widziałam jej przez ponad dwadzieścia pięć lat, z wyjątkiem tego jednego wieczora kilka tygodni temu.

– A czy ty sama nie utrzymywałaś kontaktów z nikim ze szkoły? Poza Samem.

– Nie. Nie były to najszcześniejsze dni mojego życia.

– A co z Samem? Powiedziałaś, że nie pozostawał w kontakcie z Sophie. Co z innymi szkolnymi przyjaciółmi? Utrzymywał z kimś znajomość?

– Od czasu do czasu spotykał się z Mattem Lewisem, ale niezbyt często. Obawiam się, że nie byłam tym zbyt zainteresowana. Najszcześniejsze dni i tak dalej.

Wymiguję się. Nie chodzi tak naprawdę o to, że nie byłam zainteresowana, tylko o to, że nie chciałam mieć nic wspólnego z Sharne Bay i naszymi szkolnymi dniami. Nie rozumiałam, dlaczego Sam nie chciał się od tego wszystkiego odciąć, tak jak ja. W wieczory, w które spotykał się z Mattem, kiedy wracał, udawałam, że już śpię, mamrotałam do niego, żeby opowiedział mi o wszystkim nad ranem, a potem następnego dnia znajdowałam powód, dla którego musiałam wyjść z domu wcześniej.

– A co z pozostałymi osobami na zlocie? Rozmawialiśmy z obsługą baru i sprzątaczkami oczywiście, ale był tam również nauczyciel, pan Jenkins.

– Tak, to prawda.

– O ile dobrze rozumiem, pracował tam również za twoich czasów szkolnych?

– Owszem, uczył nas. – Chyba nie podejrzewa pana Jenkinsa?

– Rozmawiałaś z nim albo widziałaś go w którymś momencie w ciągu tego wieczoru?

– Pana Jenkinsa? Tylko zaraz po przyjeździe. Witał wszystkich przy drzwiach. Przepraszam, ale czy ktoś coś powiedział?

– To znaczy? – Ma nieprzeniknioną minę.

– Ponieważ... Kiedy jeszcze chodziliśmy do szkoły, krążyły o nim plotki, że był... no wiecie... zboczeńcem. Lubił się zakradać i podglądać przebierające się dziewczyny i tym podobne.

– Rozumiem. – Reynolds nadal nie daje po sobie nic poznać.

– Ale nie mam pojęcia, czy była w tym jakaś prawda. Z całą pewnością mi nigdy niczego złego nie zrobił i nigdy nie słyszałam o niczym z pierwszej ręki. Plotki zawsze docierały do mnie przez kogoś, kto znał kogoś. Wiecie, jakie potrafią być nastolatki i jak szybko roznoszą się plotki. Nie chciałabym zasugerować, że pan Jenkins jest... no...

– Naturalnie.

Reynolds spogląda na mnie w skupieniu, kładąc dłonie płasko na stole.

– Rozumiem, że nie widziałaś się z Sophie przez wiele lat i że nie wiedziałaś zbyt wiele o jej dorosłym życiu. Oczywiście będziemy badać różne kierunki śledztwa – mówi. – Nie możemy jednak zignorować faktu, że Sophie została zamordowana podczas zlotu absolwentów, czyli w sytuacji nacechowanej znaczeniem. Czy w czasie, gdy uczęszczałaś do liceum, wydarzyło się coś szczególnego, cokolwiek, co mogłoby mieć związek z aktualną sprawą?

Myślę o twarzy Marii, wpatrującej się we mnie wyzywająco z ekranu komputera, o Sophie, odcinającej się niewyraźnie na tle barwionego szkła, szykującej się na to, co miało wkrótce nadejść, o Timie na podjeździe szkolnym, gestykułującym w kierunku sylwetki w czarnym płaszczu, o złotym łańcuszku nawiniętym na palec szesnastoletniej dziewczyny, całe wieki temu.

– Nie – odpowiadam. – Zupełnie nic.

Rozdział 30

2016

Po wyjściu z posterunku policji odchodzę niespiesznie, równym krokiem, na wypadek, gdyby Reynolds mnie obserwowała z okna na piętrze. Zaparkowałam na pobliskim parkingu wielopoziomowym, ale przechodzę obok jego wejścia. Rytm stóp uderzających o chodnik uspokaja mnie. Samochody przejeżdżają obok mnie z hipnotyczną regularnością, tworząc podkład dla moich rozszalałych myśli.

Jak to się stało, że znów znalazłam się w tej samej sytuacji, kłamiąc policji? Przypominam sobie tamtego detektywa, miłego mężczyznę. Nigdy nie dowiedziałam się, ile Bridget, mama Marii, opowiedziała mu o mnie, ale nigdy nie podejrzewał żadnych działań przestępczych. Zeznanie Esther, że Maria piła, wystarczyło mu, aby uznać, iż najprawdopodobniejszym wytłumaczeniem jest nieszczęśliwy wypadek. Deszcz, który rozpadał się tamtej nocy, gdy opuściliśmy szkolny hol, trwał do rana. Nieprzerwana ulewa z pewnością spłukała wszelkie ślady dowodów. Tylko Sophie, Sam, Matt i ja wiedzieliśmy dokładnie, jak nieszczęśliwy i jak bardzo trzeba by było rozciągnąć definicję słowa „wypadek”, aby ten oficjalny werdykt znalazł się bliżej prawdy. A przynajmniej sądzę, że wiemy o tym tylko my czworo.

Chociaż zostawiłam posterunek daleko za sobą, nadal mam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Czuję ciepło na plecach, coś jak prażące słońce, pozornie nieszkodliwe, ale z potencjałem do poparzenia, spalenia cię. Przyspieszam kroku, nagle zaalarmowana, usiłując sprawić wrażenie

osoby, która zwyczajnie się spieszy, może aby zdążyć na pociąg lub umówione spotkanie. Kiedy docieram do centrum Norwich, chowam się za tłumem turystów i skręcam do Marks & Spencer. Swojskość tego miejsca działa na mnie niczym kojący balsam. Jak oni to robią, że wszystkie sklepy pachną tak samo? W dziale gastronomicznym stoję przed bufetem z kanapkami, wpatrując się niewidzącym spojrzeniem w sałatkę z tuńczyka, kurczaka i kukurydzy, i powoli zaczynam być świadoma, że ktoś na mnie patrzy. Staram się nie spuszczać wzroku z kanapek, ale nie mogę powstrzymać fali gorąca, która zalewa mi policzki. Po mojej prawej stoi udręczona kobieta z dwójką małych dzieci, które wyciem dopominają się o słodycze. Obok niej, przy sekcji z produktami niskotłuszczowymi, stoi siwiejący mężczyzna w znoszonym garniturze, wyglądający nader nieszczęśliwie. Prześlizguję się po nim wzrokiem, który spoczywa na Timie Westonie. Uśmiecha się do mnie i macha dyskretnie, podchodząc do mnie z miejsca, gdzie stał za biznesmenem i kobietą z dziećmi.

– Hej, Louise. Co ty tutaj robisz?

– Kupuję kanapkę. – Śmieję się bezgłośnie, usiłując ukryć zakłopotanie. Czyżby Tim mnie śledził?

– Jasne. Przyjechałaś taki kawał specjalnie do Norwich po kanapkę? Wiesz, że w Londynie też mają Marksa i Spencerka, prawda? – mówi to z pozorną lekkością, ale w jego głosie czai się oskarżycielska nuta.

Poddaję się.

– Właśnie przed chwilą byłam na komendzie. Rozmawiałam z nimi o Sophie Hannigan. – Nie ma sensu unikać tego tematu.

– O Boże, oczywiście, słyszałem o tym. – Smutnieje. – To takie okropne. Czy... wiesz może coś więcej na temat tego, co się jej przydarzyło?

– Niezbyt. Policja chciała ze mną porozmawiać, ponieważ byłam obecna na zlocie, sam rozumiesz. I rozmawiałam z nią tego wieczoru. – Dlaczego usiłuję się przed nim usprawiedliwiać?

– Ach, tak, tak. Okropne to wydarzenie.

Stoimy przez chwilę w niewygodnym milczeniu.

– Którą wybierasz? – pyta wreszcie.

Spoglądam w dół, na kanapki, które trzymam w obu dłoniach, odkładam jedną z nich na ślepo na półkę i wspólnie wędrujemy do kasy. Płacimy w milczeniu za jedzenie i wychodzimy ze sklepu razem, ruszając deptakiem.

– W którą stronę idziesz? – pyta.

– Z powrotem do samochodu. Zaparkowałam w pobliżu posterunku. – Macham ręką z grubsza w kierunku Bethel Street.

– Przyłączę się, jeżeli nie masz nic przeciwko?

Tak naprawdę to owszem, mam coś przeciwko. Jest między nami tak wiele niewypowiedzianych słów, nie tylko z mojej strony, ale i z jego. Jestem nieprzyjemnie świadoma, jak mało o nim wiem i jak bardzo nie chcę, żeby on dowiedział się czegoś więcej o mnie. Stoimy na chodniku, czekając na możliwość przejścia na drugą stronę ulicy. Nie znam dobrze ruchu ulicznego i spoglądam w złą stronę, wchodząc na jezdnię. Jakiś samochód zbliża się do mnie z zawrotną prędkością. Zastygam z wahaniem na drodze. Mój mózg pracuje w zwolnionym tempie. Czuję palce Tima zaciskające się na moim ramieniu, gdy odciąga mnie z powrotem w bezpieczne miejsce.

– Przepraszam – mówi, widząc, jak pocieram ramię. – Zabolało?

– Nie, wszystko w porządku. – Śmieję się niepewnie. – Myślę, że byłoby dużo gorzej, gdybyś mnie nie złapał.

– Niektórzy kierowcy tutaj to prawdziwi wariaci. Uważają, że znajdują się na Brands Hatch^[12].

Przechodzimy, zachowując ostrożność, i idziemy dalej w milczeniu. Nie mogę przestać myśleć o sylwetce na podjeździe.

– Widzę, że jednak postanowiłeś nie pojawić się na zlocie absolwentów? – pytam w końcu. We wspomnieniach obserwuję Tima, gestykulującego gniewnie i krzyczącego, a potem odchodzącego z ramieniem otaczającym drobną postać w czerni. Twarz Tima zmienia się w maskę.

– A tak, uznałem, że to jednak byłby bardzo zły pomysł. Mam teraz własne życie. Lepiej zostawić to wszystko w spokoju.

W takim razie co robił na podjeździe? I z kim tam był?

– Cały ten Facebook – ciągnie. – Ludzie z przeszłości, którzy się z tobą kontaktują... łatwo jest dać się wciągnąć, ale tak naprawdę co to wszystko oznacza? Lepiej skoncentrować się na prawdziwym życiu, tym, które właśnie prowadzisz. Nasza rodzina nigdy nie była taka sama po tym, co się wydarzyło... Marii.

– Uhm. – Nie ufam własnemu głosowi. Jestem przekonana, że mnie zdradzi.

– Uznałem, że jeśli pójdę na zlot, to zupełnie jakbym chciał wszystko znów wywlec na światło dzienne bez żadnego powodu. A ty... pewnie nie wiesz, co się stało z Sophie?

– Zupełnie nie.

– Słyszałem, że przyprowadziła ze sobą na zlot jakiegoś kolesia. Kogoś, kogo ledwo znała?

– Owszem, przyjechała z towarzyszem. Nie jestem pewna, jak dobrze się znali. – W jego zainteresowaniu jest coś, co sprawia, że nie chcę się z nim dzielić szczegółami bez wyraźnej potrzeby.

– Przepraszam. Nie chciałem wyjść na plotkarza ani potraktować sprawy lekceważąco – mówi, najwyraźniej wyczuwając moje nastawienie. – Nie zdawałem sobie sprawy, że nadal się przyjaźniłyście z Sophie.

– Nie przyjaźnimy się. To znaczy nie przyjaźniłyśmy. Nie widziałam jej od czasów liceum.

– Och. Rozumiem. To trochę ironiczne, że nie poszedłem na to spotkanie, ponieważ nie chciałem wywlekać dawnych wydarzeń na światło dzienne, a potem stało się coś takiego i mam wrażenie, że przeszłość tak czy siak kopnęła mnie w tyłek.

– Wiem, co czujesz. – Jakkolwiek rozwiąże się ta sytuacja, nie widzę możliwości, abym kiedykolwiek mogła zacząć się czuć inaczej niż teraz. Całe życie spędziłam, dźwigając ten ciężar na barkach. Przesuwał się, obracał, w niektórych chwilach stawał się cięższy niż w innych, ale nigdy nie zniknął całkowicie i teraz widzę, że nigdy się to nie stanie.

– Wiem, co myśli sobie moja mama – mówi Tim. – Ale ja nigdy nie wierzyłem, że Maria popełniła samobójstwo. Była twardsza, niż mogło

się wydawać, wiesz? Nawet kiedy miała te kłopoty w starej szkole w Londynie, nigdy, nawet przez chwilę nie sądziłem, że się podda.

Przez jedną pełną napięcia chwilę myślę, że Tim powiedział to, ponieważ podejrzewa, że ktoś maczał palce w śmierci jego siostry, ale on ciągnie dalej.

– Jestem pewien, że policja miała rację. Maria musiała wypić więcej niż powinna, zgubiła się albo może poszła na klify, żeby uciec od wszystkich pozostałych, zostać sama z jakiegoś powodu. A potem może się potknęła albo... nie wiem. Sądziłem, że będę w stanie przestać się nad tym zastanawiać, ale ta sprawa z Sophie wszystko znów obudziła.

– Co się stało w Londynie? – Nadal nie znam całej historii. Może przyszedł czas, żeby to się stało.

– Maria nigdy ci nie powiedziała?

– Nie, niezupełnie – usiłowała, ale ja jej na to nie pozwoliłam. Wiedziałam, że jeśli pozwolę jej się zbliżyć, nie będę w stanie się wycofać, kiedy przyjdzie taka potrzeba.

– W jej roczniku był chłopak, z którym się zaprzyjaźniła. Potem jednak zapragnął czegoś więcej i powiedział jej, że ją kocha. Maria odparła, że nie jest zainteresowana i chce, żeby pozostali tylko przyjaciółmi. Po tym wszystkim jednak czuła się trochę nieswojo w jego towarzystwie i w końcu zaczęła się wycofywać. Spędzała z nim coraz mniej czasu. Wtedy właśnie się zaczęło.

– Co dokładnie?

– Najpierw liściki w jej torbie: „Dlaczego nie chcesz się już ze mną spotykać?”; „Wiem, że należymy do siebie”. Potem zaczął wyczekiwać na nią przed domem rano, przed lekcjami, chciał towarzyszyć jej w drodze do szkoły, a kiedy Maria odmawiała, i tak szedł za nami, w odległości kilku metrów.

– Powiedzieliście o tym komuś? Rodzicom?

– Na początku nie. Kiedy to wszystko się zaczęło, żartowaliśmy sobie z całej sytuacji. Poza tym, czy ja wiem? Nastolatki nigdy niczego nie mówiły rodzicom w tamtych czasach, prawda? Teraz to co innego. Wtedy założenie było takie, że sami sobie poradzimy z problemami. Mam

nadzieję, że moja córka taka nie będzie, kiedy dorośnie.

Wiem doskonale, o czym mówi. Henry jest na tyle mały, że opowiada mi wszystko, co się dzieje w jego życiu, ale nawet córki Polly są z nią bardziej szczere, niż ja byłam z moimi rodzicami. Kiedy byłam nastolatką, nawet przed zniknięciem Marii, moje życie rodzinne było zupełnie odseparowane od reszty mojej egzystencji – prawdziwego życia, jak o nim myślałam. Kiedy Polly pyta córki, jak im minął dzień, otrzymuje pełne sprawozdanie: o rywalizacji, kłótniach, małych uprzejmościach. Polly zna swoje dzieci. To, co wiedzieli – i nadal wiedzą – o mnie moi rodzice, jest wysoce okrojona wersją, kompozytem osoby, którą byłam w dzieciństwie, i tego, co uznałam za stosowne pokazać im z osoby, którą się stawałam.

– Potem, kiedy zorientował się, że do niczego go to nie doprowadzi, podkreślił fajerki – ciągnie Tim. – Kilka razy Maria widziała go przed naszym domem późno wieczorem, spoglądającego w jej okno. Nie powiedziała o tym mamie i tacie, bo bała się, że pomyślą, iż go zachęca. A potem zaczęły się roznosić plotki.

O tym właśnie wspomniała mi Maria, ale nie chciałam tego usłyszeć. Jestem oszołomiona, tak jak dość często ostatnimi czasy. Ogarnia mnie bezsilne pragnienie powrotu do przeszłości i zmienienia jej – a przynajmniej mojego zachowania. Teraz jestem porządną osobą. Płacę podatki i chodzę do dentysty, sortuję śmieci, dbam o przyjaciół i generalnie o świat. Jak jednak pogodzić to z rzeczami, które zrobiłam w wieku szesnastu lat? Tamtą osobą również jestem, czyż nie?

– Jakie plotki?

Twarz Tima ściąga się odrobinę.

– Okropne rzeczy. Seksualne. Ale nie tylko o tym, że spała z tym czy z tamtym chłopakiem lub co tam innego. Opowiadał, że sypiała również z dziewczynami. Wiem, że w dzisiejszych czasach wśród nastolatków to nawet modne, ale wtedy nazwanie kogoś lesbijką było niemal równoznaczne z nazwaniem go dzieciobójcą. Dziewczyny zaczęły unikać Marii, nawet te, które przedtem się z nią przyjaźniły. Chłopcy, którzy przedtem jej nie dostrzegali, zaczęli się wokół niej kręcić. A potem

rozeszła się plotka, że Maria przespała się z trzema facetami naraz. Po jednym... – Przerzywa, żeby opanować drżenie w głosie. Przygryza dolną wargę i wypluwa z siebie resztę. – Jeden w każdej dziurce.

– Ale dlaczego ludzie mu wierzyli? Skoro ją znali?

– Jeżeli wystarczająco wiele osób zacznie o czymś rozmawiać, informacja nabiera własnego rozpędu. A idea, że nie ma dymu bez ognia, jest bardzo wpływowa. Pomyśl o wszystkich tych sławnych mężczyznach, których oskarżono o gwałt. Nawet jeżeli zostali całkowicie oczyszczeni z zarzutów, a sprawa zamknięta z braku dowodów, nawet jeżeli powódka wycofała swoje zeznania, o czym myślisz za każdym razem, kiedy widzisz ich w telewizji lub słyszysz w radiu? „Zastanawiam się, czy on to zrobił”. To właśnie wszyscy myślą, za każdym razem.

– Zatem twoi rodzice postanowili się przeprowadzić? Powiedzieliście im koniec końców? – Pamiętam ten pierwszy dzień w stołówce szkolnej; Marię wyjaśniającą, że przenieśli się do Sharne Bay z powodu „drobnego kłopotu” w jej dawnej szkole. Była tak bardzo zdeterminowana, żeby nie ciągnąć tej przeszłości za sobą.

– Niezupełnie. On to za nią zrobił. Napisał do nich anonimowy list podpisany przez „zaniepokojonego przyjaciela”. Opisał w nim plotki, te... rzeczy, które opowiadano o Marii. Potrafisz sobie wyobrazić, że słyszysz coś takiego o własnej córce?

Nie potrafię. Nie umiem sobie wyobrazić bólu i przerażenia – i smutku. Myślę o Polly przy jej kuchennym stole, o jej głosie ociekającym ledwie powstrzymaną nienawiścią do prześladowczyni jej córki. Myślę o Bridget pod koniec balu absolwentów, kiedy zorientowała się, że Maria zniknęła – o jej niewzruszonym spojrzeniu, oskarżającym mnie o nieznaną zbrodnię.

– Jak się nazywał ten chłopak? Pamiętasz może?

– Czy pamiętam? Oczywiście. Nazywał się Nathan Drinkwater.

Zatrzymuję się jak wryta na chodniku i idąca za nami matka z bliźniaczym wózkiem wjeżdża mi w łydki, cmokając z niezadowoleniem, kiedy mnie omija.

– Nathan Drinkwater? Jesteś pewien? – Jedynego przyjaciel na profilu

facebookowym Marii, poza mną i Sophie.

– Chyba raczej nie dałbym rady zapomnieć, nie sądzisz? O co chodzi?

– Czy ktoś inny znał jego nazwisko? Ktoś z Sharne Bay?

– Mnóstwo ludzi. Kuzyn Matta Lewisa znał kogoś, kto chodził do naszej starej szkoły. Wściekłem się na niego, kiedy wszystkim wygadał o sprawie. Przyjechaliśmy tutaj z tak daleka po to, żeby uciec przed tym, co się stało, ale nadaremnie. Sprawa podążyła za nami aż do Norfolku. Myślę, że wszędzie by się za nami przywlekła.

– Co się stało z Nathanem? Czy kontaktował się z Marią od czasu waszej przeprowadzki?

– Nie. Właściwie to słyszałem od przyjaciela przyjaciela, od kogoś, kto go znał, że gość zmarł kilka lat temu. Nie wiem tylko, czy to prawda.

Czy Nathan Drinkwater nie żyje? Jeżeli nie, nie wygląda na typa, który miałby się poddać wyłącznie ze względu na odległość. Czy to rzeczywiście on jest przyjacielem Marii na Facebooku? Zastanawiam się, czy po przeprowadzce Maria nadal się z nim kontaktowała, tyle że nikomu o tym nie powiedziała. I czy on rzeczywiście zmarł? A jeśli nie, to gdzie teraz jest?

[12] Brands Hatch Race Circuit – tor wyścigowy w pobliżu miasta Fawkam w Kencie, na południowy wschód od Londynu. Kiedyś odbywały się na nim Grand Prix Formuły 1 (przyp. tłum.).

Rozdział 31

2016

Miałam nadzieję, że moje spotkanie z Pete'em w kawiarni naprzeciwko biura Foster i Lyme będzie ostatnim, ale kiedy wychodzę z przepięknego domu w Dulwich Village, należącego do jednej z moich stałych klientek, Sue Plumpton, moja komórka nagle ożywa i na ekranie rozbłyskuje jego imię. Mam ochotę zignorować jego telefon. Dzisiejszy dzień przyniósł coś w rodzaju wygodnej normalności. Pochłonęły mnie całkowicie konsultacje z Sue i głowę mam pełną pomysłów na urządzenie jej gościnnych sypialni – ostatnich pokoiów w jej domu, które wymagają przerobienia.

Zazdroszczę Sue, mieszkającej w tym pocztówkowym zakątku Londynu, rozwiedzionej z bankierem, wiodącej życie pełne sesji tenisa, kawki z „dziewczętami”, spacerów po Dulwich Park w towarzystwie swojej chihuahua Loli oraz proszonych obiadami, których nie musi sama gotować. Uśmiecham się, myśląc o paszteciku z M&S, którym podzieliłam się z Polly ostatnim razem, kiedy mnie odwiedziła. Czy można to zaliczyć jako proszony obiad? Mam ochotę napisać do Polly esemesa z tym pytaniem, ale potem przypominam sobie z nagłym bólem, że ze sobą nie rozmawiamy.

Widok imienia Pete'a na wyświetlaczu komórki budzi moje obawy i wyciąga je z powrotem na powierzchnię. Jestem zbyt przerażona, żeby go zignorować: co, jeśli coś się wydarzyło?

– Halo? – Nawet ja słyszę, że mój głos jest przesycony nieufnością.

– Hej, jak się masz? – On również jest ostrożny.
– Dobrze. Wracam ze spotkania z klientką.
– Gdzie jesteś?
– Mijam właśnie Dulwich College^[13] – odpowiadam.
– O, to całkiem niedaleko mnie. Nie mogę przyswoić sobie faktu, że dla dzieciaków, które tam uczęszczają, to po prostu zwyczajna szkoła.
– Dokładnie! Ja też zawsze myślę to samo. Przecież to, praktycznie rzecz biorąc, Hogwart^[14].

– No tak. Zastanawiałem się... – Przerywa. – Moglibyśmy się spotkać? Zamierzałem zasugerować miejsce gdzieś na mieście, ale dzisiaj pracuję w domu, w Sydenham, więc mógłbym przyjechać i spotkać się z tobą w Dulwich – może w parku?

Bardzo chciałam wrócić do domu i zacząć pracę nad moimi pomysłami na projekt gościnnych sypialni w domu Sue, ale wiem, że teraz już nie będę się w stanie na tym skoncentrować, więc przystaję na propozycję Pete'a i umawiamy się za pół godziny przed kawiarnią.

Cofam się wzdłuż College Road, skręcam w prawo na South Circular i pięć minut później jestem już w parku. Zgromadziła się tu dzisiaj połowa dzianych matek z południowo-wschodniego Londynu i jestem nieustannie zagrożona atakami kilkuletnich kamikaze na skuterach. Pete'a jeszcze tu raczej nie ma, więc idę spacerkiem wzdłuż kortów tenisowych, na których kilka kobiet (prawdopodobnie psiapsiółek Sue) pretensjonalnie odbija między sobą piłkę.

Pete pojawia się pięć minut przed czasem, ale ja już i tak na niego czekam. Przyglądam się, jak unika wózków i z uśmiechem zbywa przeprosiny matki podekscytowanego kilkulatka, który wjeżdża w niego z rozpędem na trzykołowym rowerku.

– Hej.
– Witaj. – Okazuje się, że nie jestem w stanie spoglądać mu zbyt długo w oczy i nie mam pojęcia, co zrobić z dłońmi, więc wpycham je do kieszeni, żeby je nieco uspokoić.
– Masz ochotę na kawę czy...?
– Nie, wypiliśmy dzisiaj już cały kubek. A ty?

- Nie, chodźmy na spacer – mówi i ruszamy ścieżką przed siebie.
- Rozmawiałaś znów z policją? – pyta.
- Tak, wczoraj.
- I nie...
- ... wspomniałam naszej małej randki? – powiedziałam to z większą goryczą, niż zamierzałam. – Nie, oczywiście, że nie. Zawarliśmy umowę, prawda? Ty im też nie powiedziałaś, co?
- Boże, oczywiście, że nie. Ostatnią rzeczą, której potrzebują, to coś takiego, żeby mogli mnie podejrzewać.
- Czyli co, podejrzewają cię jednak?
- Och, nie mam pojęcia. Tak sędzę, ale oczywiście nie dysponują żadnymi dowodami, więc mam nadzieję, że w końcu zajmą się kimś innym. Marnują tylko czas, prowadząc śledztwo w mojej sprawie, zamiast szukać prawdziwego mordercy.
- Może jednak istnieją jakieś dowody rzeczowe, które mogą cię oczyścić z podejrzeń? Muszą chyba coś znaleźć, prawda?
- Taką mam nadzieję. – Idziemy przez chwilę w milczeniu. W miarę jak oddalamy się od placu zabaw, okrzyki dzieci stają się coraz cichsze i bardziej odległe. – Czy mogę cię o coś zapytać?
- Dobrze. – Wbijam ręce głębiej w kieszenie, zaciskając pięści.
- Dlaczego jesteś taka pewna, że to nie ja ją zabiłem?
- Spędziliśmy przecież razem noc, nie pamiętasz? – Obawa sprawia, że moje słowa nieprzyjemnie ociekają sarkazmem.
- Wiem, ale mogłem to przecież zrobić przedtem. Odjechaliśmy spod szkoły po jedenastej w nocy, a z tego, co powiedziała policja, nikt nie pamięta, żeby widział Sophie w budynku po dwudziestej drugiej. Miałbym mnóstwo czasu na... no nie wiem... zwabienie jej do lasu. Uśmiecham się, pomimo powagi sytuacji, w jakiej się znajdujemy.
- Po części właśnie dlatego, jeśli mam być szczerą – odpowiadam.
- To znaczy?
- To, jak się wyraziłeś: „zwabić ją do lasu”. Żaden człowiek, który popełniłby taki czyn, nie opisałby tego w ten sposób.
- A co niby miałyby powiedzieć?

– Nie wiem, ale zwabianie kogoś do lasu jest scenariuszem z kiepskiego filmu w telewizji.

– No dobrze, ale dlaczego nie podejrzewałaś mnie na początku?

Mijamy jezioro i zamiast od razu odpowiedzieć, sugeruję, żebyśmy przysiedli na pobliskiej ławce. Jedna z desek jest złamana na końcu, więc przysuwam się bliżej Pete'a, aby uniknąć poszarpanego końca. Nie odsuwa się ode mnie.

– Louise? – Nasze kolana niemal się stykają, dzieli je zaledwie wąska szczelina. Jego dłonie spoczywają na jego udach. Przyglądam się jego palcom, z zaczerwienionymi i popękanymi skórkami wokół paznokci, jakby je obgryzał.

– Wiem, że to nie ty, ponieważ wiem, kto to zrobił. – Słowa wypływają z moich ust w pośpiechu, zanim jestem w stanie powstrzymać.

– Co takiego? – Zrywa się z ławki i odchodzi na kilka kroków, a potem odwraca się do mnie. – O czym ty, do kurwy nędzy, mówisz? Jeżeli wiesz, kto to zrobił, dlaczego, do cholery, nie powiedziałaś o tym policji?

– Nie, przepraszam. Źle się wyraziłam. Nie wiem, kim jest ta osoba, ale to ten sam człowiek, który wysyłał wiadomości do mnie i do Sophie przed jej śmiercią. Jest to związane z czymś, co wydarzyło się, gdy chodziłyśmy jeszcze do liceum.

– Masz na myśli to nękanie, o którym wspomniałaś? I o co chodzi z tymi wiadomościami?

Pete siada obok mnie z powrotem, jego gniew wyraźnie mija. Czuję, jak się rozluźniam i boleśnie ściśnięty żołądek relaksuje się nieco. Nagle zdaję sobie sprawę, że zaraz mu wszystko opowiem. Pete nie stanowi zagrożenia. Ma do stracenia równie wiele co ja.

– Nie jesteś na Facebooku, co?

– Nie. Jak już ci mówiłem, trzymam się z daleka od mediów społecznościowych – mówi. – Pełno tam wariatów.

– Cóż, ja jestem – odpowiadam i zaczynam swoją historię. Kiedy docieram do balu absolwentów, zaczynam się jąkać. Przez cały czas przyglądam się Pete'owi z obawą, wypatrując najmniejszych oznak odrazy i przerażenia. Nie reaguje jednak ani nie przerywa. Pozwala mi

opowiedzieć całą historię, włączając w to część o wiadomościach na Facebooku od Marii, o randce internetowej oraz incydencie w parku. Kiedy kończę, odsuwam się od niego nieco. Obłamany koniec deski wbija mi się w podudzie.

– Tak więc, teraz już wiesz. Ktokolwiek zabił Sophie, pisał do mnie te listy. Co oznacza, że albo jest to ktoś, kto był obecny przy tamtym wydarzeniu, albo... Nigdy nie znaleziono ciała Marii. Rozumiesz teraz, dlaczego nie chcę, żeby policja zaczęła się doszukiwać związków między mną i Sophie bardziej niż trzeba? Dlaczego nie chcę, żeby wiedzieli, iż spędziłam noc w hotelu z jej chłopakiem?

– Chyba tak, ale...

– Czy mnie za to nienawidzisz? – Czuję, jak do oczu napływają mi łzy. Jestem zawstydzona moją dzieciinną potrzebą pocieszenia.

– Za to, co zrobiłaś Marii? Nie, wcale cię nie nienawidzę. Byłaś dzieckiem. Podjęłaś złą decyzję, to wszystko. Tak właśnie zachowują się ludzie w młodości. Owszem, miało to katastrofalne, nieprzewidywalne skutki, ale tak naprawdę była to po prostu zła decyzja. Myślę, że już za nią zapłaciłaś, prawda? – Chwyta mnie za rękę i spogląda na mnie prosząco. – Ale Louise, czy ty nie rozumiesz? To mogłoby odsunąć ode mnie podejrzenie. Jeżeli powiesz policji...

Wyrywam dłoń z jego ręki, jakby właśnie usiłował ją ugryźć.

– Nie. Powiedziałam ci już, nie mogę.

– I ja to rozumiem, naprawdę. Ale mogłabyś im powiedzieć chociaż o wiadomościach od Marii. Nie musisz wspominać, że kiedyś ją prześladowałaś, ani o tym, że dodałaś jej czegoś do drinka.

– Będą chcieli się dowiedzieć, z jakiego powodu Maria postanowiła mnie odszukać i co takiego jej zrobiłam. Zaczną zadawać pytania, na które nie chcę odpowiadać.

– Ale przecież jej listy nie wspominają o ecstazy. Reszta to tylko zwykłe sprawy nastolatek w szkole. Nic, co mogłoby zainteresować policję.

– Ale będą chcieli wiedzieć, o czym Maria pisze, zaczną odgrzebywać tamtą sprawę. Znajdą ją lub kogokolwiek, kto wysyła te wiadomości. Ta

osoba wie, co zrobiłam, i opowie o tym policji... nie mogę tego ryzykować. Nie rozumiesz.

Sam rozumiał. Był jedyną osobą, która kiedykolwiek rozumiała, i w głębi duszy tęsknię za byciem z nim w naszej małej bańce mydlanej – nas dwoje przeciwko światu i obietnica jego milczenia, żeby mnie chronić.

Pete odwraca się ode mnie i chowa głowę w dłoniach.

– Wiesz, tamtego dnia, w kawiarni, kiedy zawarliśmy umowę, żeby siedzieć cicho i o niczym nie mówić policji...

– Tak?

– Miałem jeszcze inny powód do tego, żeby trzymać się od nich z daleka. Podczas studiów była pewna dziewczyna. Przyjaźniliśmy się, jednak ona... miała problemy. Przypuszczam, że tak to można nazwać. Zostawała często w moim pokoju w internacie, ale nigdy do niczego między nami nie doszło, chociaż wydaje mi się, że ona tego chciała. Potem pewnego dnia ktoś zastukał do moich drzwi. To była policja. Powiedzieli, że wniesiono poważne oskarżenie o gwałt. Ona to zrobiła. Powiedziała, że usiłowałam ją... zmusić. Rozumiesz. Że ją przytrzymałam i groziłam, że zrobię jej krzywdę, jeżeli nie... Ale jej jakoby udało się uwolnić, zanim ją... no wiesz. – Przez cały czas opowieści wbijał wzrok w ziemię, ale teraz spogląda na mnie. – Zostałem wtedy oczyszczony z zarzutów. Nie było żadnych dowodów, ponieważ niczego nie zrobiłem. Wiem jednak, że policja uwierzyła jej, a nie mi. Traktowali mnie jak gówno. Poza tym słyszałem te wszystkie szeptki na korytarzach, czułem spojrzenia. Jeśli zaś chodzi o posiadanie dziewczyny... żadna panienska po takim czymś nie chciała się do mnie zbliżyć. A teraz mam wrażenie, że wszystko się powtarza od początku. Wiem, co ludzie sobie myślą: pokłóciliśmy się z Sophie, a potem ja zniknąłem. Nie ma dymu bez ognia. Proszę, Louise. Musisz powiedzieć policji o wiadomościach od Marii. Będą w stanie dotrzeć do ich autora i znaleźć człowieka, który tak naprawdę za tym wszystkim stoi.

– Nie – odpowiadam cicho. – Będą chcieli wiedzieć, dlaczego skłamałam i od samego początku nie powiedziałam im o wiadomościach.

Poza tym nie mogę. Być może nie istnieją żadne dowody, ale nie jestem jedyną osobą, która wie, co się wydarzyło podczas balu absolwentów. Ktokolwiek wysłała mi te listy, wie, co zrobiłam. Jeżeli otworzę te drzwi, wszystko wyjdzie na jaw. Nie będę tego w stanie powstrzymać. Mogę pójść przez to do więzienia. Stracić mojego syna.

– Nie pójdziesz do więzienia, Louise. Wyolbrzymiasz sprawę. Zastanów się tylko.

Czyżby miał rację? Czy ta sprawa tak bardzo urosła w moim umyśle, że nie widzę już niczego innego? Ukrywałam prawdę przez tyle lat, że teraz nie wiem już, co jest rzeczywistością. Tak wiele lat w związku z Samem, który wiedział, co zrobiłam i był przekonany, że powinniśmy zachować to w tajemnicy. Może jednak on również był oślepiiony, podobnie jak ja, nie potrafiąc racjonalnie podejść do sprawy.

Może. Ale dla dobra Henry'ego muszę zostać z nim. Nawet jeśli szanse postawienia mnie przed sądem za spowodowanie śmierci Marii są nikłe, jest to ryzyko, na które nie mogę sobie pozwolić.

– Nie – odpowiadam. – Musimy trzymać się naszych ustaleń i nie wychylać się.

Potrząsa głową, nie chcąc na mnie spojrzeć. Oddycham głęboko. Mała cząstka mnie wie, że coś między nami zaiskrzyło – może to zaledwie mała iskierka, ale pewnego dnia może zapłonąć jasnym ogniem. Ale co, jeżeli moje kolejne słowa ugaszą ten mały płomyk na zawsze?

– Nie zapominaj o Travelodge – mówię. – Ja też ukrywam dla ciebie pewną tajemnicę, prawda?

Kiedy przyglądam się, jak odchodzi, zastanawiam się, czy kiedykolwiek będę w stanie zbudować z kimkolwiek normalny związek, czy też moja przeszłość zawsze będzie zaciemniać każdy aspekt mojej przyszłości. Prawdopodobnie to dobrze, że odszedł. Przynajmniej zrobił to teraz, zanim miałam szansę naprawdę się do niego przywiązać. Stałoby się to prędzej czy później.

Jestem zbyt pokręcona, zbyt wiele we mnie mroku – i zbyt samotna, aby móc z kimś być.

[\[13\]](#) Renomowana prywatna męska szkoła średnia w południowym Londynie, często wymieniana w dziesiątce najlepszych szkół w Wielkiej Brytanii. Ze względu na położenie i stare budownictwo kręcono tu wiele filmów, między innymi *Harry'ego Pottera* (przyp. tłum.).

[\[14\]](#) Szkoła czarodziejów w *Harrym Potterze* (przyp. tłum.)

Rozdział 32

2016

Ostatnich kilka dni od spaceru w parku z Pete'em były bardzo mroczne. Dzięki Bogu nie miałam żadnych spotkań z klientami, więc poza podróżami do szkoły, kiedy to przez cały czas trzymam Henry'ego za rękę, siedzę w domu, większość czasu w godzinach szkolnych spędzając w łóżku. Henry miał być u taty w zeszłym tygodniu, ale Sam poprosił mnie, żebyśmy się zamienili, ponieważ coś mu wypadło. Przystałam na to z ochotą.

Wiem, że opóźniam się z pracą i że za kilka tygodni mogę stracić Rosemary jako klientkę, kiedy wyjdzie na jaw, jak mało zrobiłam w sprawie jej projektu, ale nie mogę się zmusić do pracy. Jestem nerwowa, bojaźliwa i nie jestem w stanie pozbyć się z myśli wizerunku ciała Sophie. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek przestanę sobie wyobrazać samą siebie, leżącą na ziemi, zimną i bez życia. Zachowuję całą swoją energię na te kilka godzin pomiędzy odbiorem Henry'ego ze szkoły i położeniem go spać. Muszę wtedy odgrywać najlepsze przedstawienie.

Teraz mój synek śpi, zmęczony po dniu spędzonym w szkole. Znów dzisiaj chciał iść do parku, ale po ostatniej przygodzie nie mam do tego nerwów. Szykuję właśnie herbatę, kiedy rozlega się dzwonek do drzwi. Podskakuję i wpatruję się niewidzącym spojrzeniem w łyżeczkę trzymaną w dłoni. Kto mógłby się tu pojawić nieproszony o tej porze?

Jestem ubrana w bardzo stare dresy i podkoszulek, i nie pamiętam,

kiedy po raz ostatni brałam prysznic. Przesuwam badawczo językiem po zębach i wyczuwam na nich szorstką warstwę: zdecydowanie nie umyłam ich dzisiaj, a możliwe, że również i wczoraj. Jeżeli postoję tu całkiem nieruchomo, może ten ktoś sobie pójdzie?

Znów słyszę dzwonek do drzwi, tym razem dwukrotny, a potem głośne, brzmiące oficjalnie pukanie. Co, jeśli to Reynolds? Jeśli tak, nie ma sensu się ukrywać. Koniec końców, i tak mnie odnajdzie. Odkładam łyżeczkę, zauważając, gdy to robię, liczne kółka na blacie, pozostawione przez łyżeczki i kubki z poprzednich dni. Czy ja w ogóle coś dzisiaj jadłam, czy tylko piłam herbatę? Nie mogę sobie przypomnieć.

Z napięciem przekradam się na korytarz. Po drugiej stronie drzwi z okienkiem z matowego szkła czeka niewyraźna sylwetka. Podchodzę do drzwi, wstrzymując oddech, a potem jednym płynnym ruchem otwieram je.

– Och, to ty. – Nadal trzymam pokrętko zamka, nie wiedząc, jak wiele czasu minie, zanim będę mogła zamknąć drzwi i po której ich stronie znajdzie się Sam.

– Urocze. – Sam przygląda się uważnie mojemu zaniedbanemu stanowi. – Nie musisz okazywać takiej radości.

– Przepraszam, ale... co ty tu robisz?

– I znów, bardzo miłe. Tradycyjnie w naszym kraju, kiedy w domu pojawia się gość, zaprasza się go do środka, oferuje się mu coś do picia i tym podobne.

Odsuwam się, skarcona.

– Przepraszam, wejdz. – Wypełnia cały korytarz, jak zawsze. To mieszkanie było dla niego zbyt małe. Wszędzie wypełniał całą przestrzeń. Znacznie lepiej mieszka się tu starej panie, takiej jak ja. Sam zagląda do dużego pokoju, kiedy zmierzamy w stronę kuchni.

– O, teraz wygląda to zupełnie inaczej. – Nie był tu od czasu, kiedy niemal poddałam się samotności i pozwoliłam mu wrócić. To było dobre osiemnaście miesięcy temu, ale pamiętam, jak się wtedy czułam. Pamiętam tęsknotę i to, jak bardzo chciałam zapomnieć. Od tamtego czasu starałam się widywać Sama wyłącznie podczas przywożenia

małego i zawsze tylko przy drzwiach. Od czasu do czasu musieliśmy się spotkać, aby przedyskutować coś, co dotyczyło Henry'ego, ale odbywało się to na gruncie neutralnym.

– Cóż, wybaczone, ale czego się spodziewałaś? – mówię ostrzej, niż zamierzałam. – Że zmienię to mieszkanie w sanktuarium poświęcone tobie? Powieszę twój portret nad kominkiem?

Wygląda na ubodzonego.

– Przepraszam, nie miałem na myśli... wygląda ładnie, po prostu inaczej.

W kuchni Sam rozgląda się dookoła, starając się zachować obojętną minę na widok brudnych kubków, niezamiecionej podłogi i generalnego zaniedbania.

– Zazwyczaj nie jest tak brudno – mamrocze. – Miałam kilka niezbyt dobrych dni.

– Nie ma sprawy, Louise, nie przejmuj się. – Mimo wszystko wygląda na zaniepokojonego.

– Daj mi chwilkę, dobrze? – Nurkuję do łazienki, myję zęby, opryskuję twarz zimną wodą i myję się pobieżnie, starając się nie myśleć o tym, dlaczego to robię. W sypialni zdejmuję poplamiony podkoszulek i zakładam coś bardziej przyzwoitego, co w miarę uchodzi za strój dzienny. Pojawiam się w kuchni, czując się nieco bardziej jak człowiek.

– Herbaty? – Zgarniam zużyte miski i brudne sztuce, szybko przecierając blat stołu.

– Wolałbym coś mocniejszego. – Przesuwa usiany okruszkami talerz na bok i siada na krześle. Chwytam talerz i nieuważnie wpycham go wraz z resztą brudnych naczyń do zmywarki.

– W lodówce jest wino. Możesz je wyciągnąć, a ja w tym czasie... – Gestem wskazuję na maszynę.

Sam podnosi się lekko i wyjmuję wino, sięgając do górnej szafki po dwa kieliszki. Wie, gdzie wszystko jest. Nie zmieniłam tu niczego od czasu jego odejścia. Nalewa nam obojgu po kieliszku i popycha jeden w moim kierunku.

– Usiądź, Louise. Nie sprzątaj tylko z mojego powodu.

Poddaję się. Obiecuję sobie, że gdy tylko Sam sobie pójdzie, pokonam letarg, który się we mnie zagnieżdżył od czasu mojego spotkania z Pete'em w Dulwich.

– No dobrze, skoro już zostałeś zaproszony do środka i dostałeś coś do picia, co ty tu robisz? Henry już śpi. – Siadam i wypijam spory łyk wina. Nie jestem w nastroju do gierki i nagła konstatacja, że w tym momencie nie obchodzi mnie jego opinia o mnie, daje mi poczucie wolności.

– Przyszedłem się zobaczyć z tobą, nie z Henrym. Chciałem po prostu z kimś porozmawiać. O Sophie i w ogóle. To wszystko jest takie okropne.

– Wygląda na szczerze zmartwionego i czuję, że łagodnieję.

– Wiem. Koszmarne. Rozmawiałeś z policją?

– Tak. Próbowali wykoncytować coś z faktu, że Sophie spędziła sporo czasu, rozmawiając ze mną i z Mattem. W końcu przecież była jedną z moich najlepszych przyjaciółek w szkole. Oczywiście, że z nią rozmawiałem.

– Naprawdę była? Twoją najlepszą przyjaciółką? – Kiedy ja myślę o moich szkolnych przyjaciółkach, chłopcy nigdy nie są częścią tej grupy. Oczywiście przewijali się przez moje życie, ale mój szesnastoletni umysł uznał, że chłopcy nie mogą być przyjaciółkami. Zawsze istniała ta różnica, jakiś mur, bez względu na to, czy ktoś mi się podobał, czy nie.

– Może nie najlepszą przyjaciółką, ale częścią naszej paczki, sama rozumiesz.

Przypuszczam, że tak. Moje uczucia w stosunku do tamtych czasów i do Sophie, Sama, Marii są bardzo skomplikowane. A teraz wszystko wymieszało się z prośbą Marii na Facebooku i tym, co stało się z Sophie. Mam wrażenie, że jestem w sali luster, pełnej zniekształconych odbić i nieprawdziwych zakończeń. Straciłam już orientację, którędy weszłam, i nie mam pojęcia, jak się stamtąd wydostać.

– Czy... wspomniałeś o tej sprawie z Facebooka? O Marii?

Wygląda na zakłopotanego.

– Nie. Wiedziałem, że nie chciałaś, aby się dowiedzieli i... cóż...

– To ty załatwiłeś nam E – kończę za niego zdanie.

Sam bawi się nóżką swojego kieliszka.

– Zacząłem sporo rozmyślać, wiesz? – podejmuje.

– O czym?

– Och, o przeszłości i takie tam. Wiesz, o co mi chodzi?

Unoszę brwi, zdecydowana, aby nie ułatwiać mu sprawy.

– Oboje nas łączy historia i to sprawia, że sprawy między nami są łatwe, prawda?

– Czyżby? – W tej chwili nic nie wydaje się łatwe. Powietrze gęstnieje od przemilczanych informacji.

– Och, Lou, wiem, że nadal jesteś na mnie zła i masz do tego pełne prawo. Zraniłem cię i zachowałem się bardzo niewłaściwie. Cholernie mi przykro z tego powodu, naprawdę. Miałem jednak nadzieję, że możemy pozostać przyjaciółmi. Myślałem, że może w tej chwili potrzebujesz kogoś bliskiego. Kogoś, kto rozumie, kto wie, co naprawdę się stało. Ja na przykład tak.

Oczywiście ma rację. Pragnę tego rozpaczliwie. Nie chcę jednak znowu się zaangażować, pozwolić mu na powrót wsiąknąć w tkaninę mojego życia. Z drugiej strony, Sam jest jedynym człowiekiem, który rozumie. Stoi nade mną z wyciągniętymi zapraszająco ramionami, a mnie tak bardzo kusi, żeby w nie skoczyć.

– Słyszałaś coś więcej od... kogokolwiek, kto założył tę stronę? – pyta. Zdaję sobie sprawę, że nie wie nic o najnowszych wiadomościach. Nie ważę się opowiedzieć mu o tej, która dotyczyła Henry'ego. Wściekłyby się, dowiadując się, że nie powiedziałam mu o tym od razu. Zamiast tego więc odpowiadam mu własnym pytaniem.

– Sam, sądzisz, że to możliwe, aby... Maria żyła? – Nagle zbiera mi się na płacz. – Co, jeśli prośba o dodanie do grona przyjaciół rzeczywiście pochodzi od niej? Musiała wykoncypować, że coś dostała. Albo ktokolwiek to jest.

Sam chwyta mnie za rękę i – wbrew sobie samej – zaciskam palce na jego dłoniach.

– Nie, Louise. Myślę, że to niemożliwe. Naprawdę. Nie po takim czasie. Ktokolwiek jest za to odpowiedzialny, to tylko jakiś psychopata, usiłujący cię wystraszyć.

– Ale Esther... dostawała prezenty od Marii na każde urodziny od chwili, gdy ta zniknęła.

– Co takiego?

– Dostaje prezenty. Przychodzą pocztą i jest na nich napisane, że są od Marii.

Sam marszczy brwi i niemal widzę trybiki obracające się w jego głowie, usiłujące przetworzyć tę informację.

– Przepraszam, ale kto dostaje te prezenty?

– Esther Harcourt. Z naszego rocznika w szkole. Rozmawiałam z nią całkiem długo na zlocie.

– Nie przypominam jej sobie. – Wzrusza ramionami i ten jeden gest podsumowuje tragedię lat młodości: różnicę między popularnością i jej brakiem. Oczywiście, że nie pamięta Esther. Zwyczajnie nigdy nie pojawiła się w zasięgu jego radaru, ponieważ nie była ani popularna, ani atrakcyjna. Ja zapewne również nigdy nie weszłabym w ten zasięg, gdyby nie moja znajomość z Sophie. Ogarnia mnie rozpaczliwy żal, że w ogóle się z nią zaprzyjaźniłam. Powinnam być dzielna i trzymać się Esther. To moje własne tchórzostwo, moje bojaźliwe pragnienie akceptacji i popularności przywiodło mnie do obecnej sytuacji.

– To musiała być ta sama osoba, która założyła stronę na Facebooku – ciągnie Sam. – Jak już powiedziałem, jakiś psychol. Czy policja o tym wie?

– Nie mam pojęcia. Ja im nie powiedziałam, ale może Esther tak? Wiem, że poszła na policję zaraz po tym, jak zaczęła dostawać wiadomości, ale nie byli wtedy zainteresowani.

Sam odchyła się na oparciu, puszczał moją dłoń.

– Opowiesz mi o następnym spotkaniu z detektywami?

– Tak, oczywiście.

– I jeżeli dostaniesz nowe listy na Facebooku?

Potakuję, ale wiem, że jest to obietnica, której nie dotrzymam. Jestem nadal tak samo samotna z tym wszystkim, jak przedtem. Polly nie kontaktowała się ze mną, od kiedy opowiedziałam jej o Marii, a nie mogę przypuścić Sama na tyle blisko, żeby mógł mi pomóc. Nie chcę, żeby

w ten sposób znów wślizgnął się w moje życie. Nalewam sobie więcej wina. Sam podsuwa swój kieliszek wyczekująco. Napęlniam go. Jaką to w końcu robi różnicę?

– No dobra, a jak się mają sprawy, generalnie rzecz biorąc? – pyta. – Praca?

– W pracy wszystko jest dobrze, dzięki. Dostałam kolejne zlecenie od Sue Plumpton... pamiętasz Sue?

– Jak mógłbym zapomnieć La Plumpton? Nadal ma tego okropnego małego pieska?

– Lolę? O tak, ma się dobrze i jest w pełni sił. O ile krzyżówkę psa ze szcurem można połączyć z takim określeniem. Musiała się upewnić, że zintegruję jej psi koszyk do spania z całym projektem wystroju dużego pokoju.

– Nie mów!

– Owszem. – Zaczynam się rozluźniać i nagle spływa na mnie olśnienie. Ja wciąż za tym tęsknię. Przed narodzinami Henry'ego siadaliśmy co wieczór przy tym stole z kieliszkiem wina i wymienialiśmy się wiadomościami z całego dnia. Nasza tradycja wygasła w pierwszych miesiącach życia Henry'ego, zastąpiona moim spacerowaniem po mieszkaniu, przerażając zmęczoną i bezskutecznie usiłującą uspokoić Henry'ego wrzeszczącego na moim ramieniu. Sam chował się w sypialni z laptopem, naburmuszony. Nigdy nie odzyskaliśmy tej niewymuszonej łatwości kontaktu, nawet gdy Henry zaczął w końcu przesypiać noc. Zmiana z komórki dwuosobowej na trzyosobową, której jeden z członków był nieustająco zależny od pozostałych dwojga, całkowicie przesunęła równowagę naszego związku.

Utrzymuję konwersację, wypytując go najpierw o jego pracę, a potem o kilku naszych wspólnych znajomych, z którymi straciłam kontakt po rozwodzie. Nadal istnieje oczywisty problem, o którym absolutnie nie zamierzam wspominać, ale niestety Sam porusza ów temat, kiedy pytam go o jego mamę. Zanim się zeszliśmy, wróciła już do życia Sama, a przynajmniej do pewnego stopnia. Rzadko jednak się z nią widywałam, nawet po narodzinach Henry'ego.

– Ma kompletnego hyzia na punkcie Daisy, znacznie bardziej, niż miała na punkcie Henry’ego. Nie wiem, może dlatego, że to dziewczynka? Rozpuszcza ją niemożliwie.

Z ukłuciem bólu myślę o moim małym chłopcu – jego głębokiej miłości do swoich pluszaków, jakby były żywymi istotami, jego oddaniu wszystkim zadaniom, jakie wykonuje, tym, jak poważnie traktuje świat. Czy rzeczywiście mama Sama kocha swoją wnuczkę bardziej tylko dlatego, że ta jest dziewczynką? Może to nie to. Może to ja stanowię problem. Zawsze wyczuwałam, że matka Sama nie jest moją fanką i zastanawiam się – chociaż nie śmiem zapytać – jak w tej kwestii układa się między Catherine i nią. Teraz, kiedy Sam wspomniał o Daisy, nie mogę tak zupełnie prześliznąć się nad tematem.

– A jak wszystko się układa przy drugim podejściu? Ojcostwo?

– Och wspaniale, naprawdę dobrze. Daisy jest cudowna, rośnie tak szybko i w ogóle – mówi wszystko, co trzeba, ale w jego głosie jest dziwna nuta, którą rozpoznałem. Czekam, odmawiając wypełnienia ciszy.

– Dość to męczące – dodaje. – Nie mamy zbyt wiele czasu na... cóż, na nic innego.

Musiałam chyba się skrzywić, bo ciągnie dalej.

– Wiem, wiem, biedaczek, czuje się osamotniony, dziecko zajęło jego miejsce. Oklepany temat, co nie? – Śmieje się, oczekując, że zrobię to samo, ale ta historia wydaje się tak podobna, że nie potrafię nawet udawać.

– Jestem pewna, że to wszystko jest trudne – udaje mi się wykrztusić.

– Prawdopodobnie nie tak bardzo, jak pozostanie nagle sam na sam z dwulatkiem. – Nie mogę się powstrzymać.

– Auć. Cóż, zasłużyłem sobie na to. – Przesuwa dłonią po włosach, od czoła aż po kark. – Bardzo cię przepraszam, Louise, naprawdę. I wiem, że musiało ci być bardzo ciężko w zeszłym roku, kiedy dowiedziałaś się, że mam kolejne dziecko.

„Ciężko” jest zupełnie nieadekwatnym określeniem. Przeszliśmy tak wiele, żeby począć Henry’ego. Wszystkie te cholerne zastrzyki, niekończące się wizyty u lekarzy i, mój Boże, to czekanie: całkowita

niemożność skoncentrowania się na czymkolwiek innym, powstrzymywanie się od robienia testów, ponieważ jeśli wyszłyby negatywne, nie wiedziałabym, czy to dlatego, że zrobiłam je za wcześnie, czy dlatego, że nie byłam w ciąży. To było naprawdę wyczerpujące. Do tego dochodziło cierpienie na wieść o ciąży innych osób. W którymś momencie, gdzieś około trzydziestego piątego roku życia, miałam wrażenie, że praktycznie codziennie na Facebooku pojawiała się jakieś zdjęcie z USG albo przychodził grupowy e-mail z tytułem: „radosna wiadomość”.

– Cieszę się ze względu na ciebie – mówię, próbując wlać w to nieco przekonania. Nie chcę być tą osobą, tą karykaturą, zgorzkniałą byłą żoną. – Dzięki temu Henry ma siostrę, a przecież zawsze tego chcieliśmy.

– Hmm, uważaj, czego pragniesz.

– Och, Sam, nie mów tak.

– Nie, nie, oczywiście nie mam na myśli Daisy. Kocham ją bezgranicznie, to się rozumie samo przez się. Po prostu... nie jest łatwo, to wszystko. Utrzymywanie związku i w ogóle, życie, kiedy ma się małe dziecko. Nie wiem, dlaczego, ale z tobą nie miałem wrażenia, że jest to takie trudne.

Oczywiście, że nie, ponieważ robiłam wszystko, co mogłam, żeby ułatwić mu sprawę, wygładzić cały proces. Zgadzałam się na wszystko, czego chciał, nigdy nie odmawiałam, nawet jeśli żądał czegoś nierozsądnego. Upewniałam się, że jego życie toczyło się jak zwykle, a przynajmniej na tyle, na ile to było możliwe. Sam był jedyną osobą w moim życiu, która naprawdę mnie znała, wiedziała, co robiłam i mimo wszystko mnie kochała. Nagle widzę bardzo wyraźnie, jak wielką presję to na mnie wywarło – związek z człowiekiem, u którego zawsze będę emocjonalnie zadłużona. Byłam wdzięczna, że mnie wybrał i został ze mną.

– Jestem pewna, że kiedy trochę dorośnie, będzie łatwiej – mówię, wiedząc, że wcale tak nie jest.

– O tak, na pewno masz rację – wydaje się równie nieprzekonany. –

W każdym razie nie rozmawiajmy o tym. Pamiętasz Roba McCormacka?

Zaczyna rozprawiać o swoim koledze – człowieku, którego spotkałam wielokrotnie, podczas gdy jeszcze byliśmy razem.

Godzinę później nadal siedzimy przy stole, opróżniwszy do połowy drugą butelkę wina. Mam wrażenie, jakbym przyglądała się sobie z dystansu, rozchwiana z powodu połączenia wina i nostalgii zaprawionej lekką nutką tęsknoty, w powód której nie chcę się wgłębiać. Część mnie pragnie zapomnieć o tym, zatracić się, wtopić w niego, jak to niemal zrobiłam wcześniej, ale jednocześnie wiem, że muszę się trzymać w garści, jeżeli chcę być bezpieczna – zachować choćby cień równowagi, którą zbudowałam przez ostatnie dwa lata.

Rozmowa schodzi ostatecznie na nieunikniony temat – Henry’ego, przypominając mi o kolejnej ogromnej stracie, jakiej doznałam po odejściu Sama: zniknęła wtedy z mojego życia jedyna osoba na świecie poza mną, która rozumiała, jak cudowny i absolutnie idealny jest Henry. Jedyna osoba, która naprawdę go rozumiała. Śmiejemy się na wspomnienie tego dnia, gdy wsadził sobie do nosa czerwoną plastikową kulkę, kiedy nagle Sam zerka na zegarek i prostuje się gwałtownie.

– O Boże, spójrz na godzinę. Naprawdę powinienem już iść.

Natychmiast zrywam się z krzesła i odstawiam kieliszki i butelkę na bok.

– Tak, oczywiście, powinieneś już wracać do domu. Przyniosę ci kurtkę.

– Drepczę szybko do korytarza, żeby ściągnąć jego okrycie wierzchnie z wieszaka przy drzwiach. Sam idzie za mną.

– Mogę zajrzeć do Henry’ego?

Rozpoznaję w jego głosie tęsknotę wywołaną wszystkimi tymi „co drugimi weekendami” i otwieram drzwi do sypialni syna. Nocna lampka w kształcie Tomka-lokomotywy roztacza nieziemską błękitną poświatę. Stoję w progu, przyglądając się, jak Sam klęka przy łóżku. Jak zwykle, Henry’emu zrobiło się gorąco i ściągnął piżamę. Kosmyki włosów kleją się mu do czoła od potu. Sam gładzi delikatną, jedwabną skórę na plecach Henry’ego, który porusza się bez przebudzenia i przyciąga Brudaska bliżej do twarzy.

Kiedy Sam wynurza się na korytarz, ma pozornie obojętną twarz, ale wiem, jak boleśnie świadomy jest ceny, którą zapłacił – tego, że nie jest w stanie robić takich rzeczy co noc. Ale jest to również cena, którą ja muszę płacić, ponieważ nie jest mi dane kłaść mojego syna do łóżka co drugi weekend i jeden dzień w tygodniu, kiedy zostaje na noc u Sama. Wręczam byłemu mężowi kurtkę i kiedy to robię, moja dłoń przypadkowo dotyka jego ręki. Przeszywa mnie prąd, rozchodząc się po całym ciele. Zastygamy w tej jednej chwili, niebezpiecznej i pełnej żaru. Wiem, że Sam chce powiedzieć coś, z czego nie będzie mógł się potem wycofać, i chociaż w głębi duszy chcę to usłyszeć, wiem, że jeśli tak się stanie, cała praca, jaką włożyłam w ostatnie dwa lata, zostanie zmarnowana. Szybko cofam rękę i kurtka Sama upada na podłogę. Pochyla się, żeby ją podnieść, a ja w tym czasie prześlizguję się obok niego i otwieram drzwi, wpuszczając do środka chłodne powietrze.

– Miło, że mnie odwiedziłeś. – Nachylam się i całuję go szybko w policzek, nie pozostawiając mu żadnej możliwości pocałowania mnie inaczej. Jeżeli jest zaskoczony nagłą zmianą rytmu, dobrze to ukrywa.

– Powodzenia, Louise. I daj mi znać, jeżeli... no wiesz.

– Tak, dobrze. Dobranoc.

Praktycznie wypycham go za drzwi, zamykając je zdecydowanie za jego plecami. Już w kuchni opieram się o blat i obejmuję mocno ramionami, ponieważ nie ma tu nikogo innego, kto mógłby to zrobić. Jestem jedyną osobą, która może się mną zaopiekować, i przysięgam sobie solennie, że w przyszłości bardziej się postaram. Wiatr łomocze o drzwi na ogród, a ja wyglądam przez szybę, nie widząc jednak niczego poza własnym odbiciem.

Rozdział 33

2016

Moje mieszkanie nie jest już takie samo. Kiedyś było bezpieczną przystanią, ucieczką od świata. Teraz nie czuję się w nim bezpiecznie. Kiedyś byłam wdzięczna Marnie, mojej sąsiadce z góry, kobiecie po pięćdziesiątce, która wydaje się nie robić niczego innego poza chodzeniem do swojej bliżej niesprecyzowanej pracy i wracaniem z niej, by położyć się spać. Mieszka zaledwie kilka metrów nad moją głową, ale w zasadzie w ogóle jej nie słyszę. Gdy Henry był dzieckiem, spacerowałam z nim po mieszkaniu, kiedy wrzeszczał, noc w noc, wierząc się w moich ramionach. Myślałam wtedy, że być może Marnie przyjdzie z pretensjami, ale nie. Teraz ciche skrzywienie stóp nad głową, odgłosy gotowania obiadu, włączonego odbiornika telewizyjnego czy odwiedzających ją przyjaciół byłyby nader pokrzepiające. Niestety, Marnie pozostaje całkowicie milcząca.

Wciąż przerabiam w myślach nasze ostatnie spotkanie z Samem. Wiem, że nie wyobraziłam sobie tej chwili między nami przy drzwiach, i generalnie jestem wdzięczna za to, że nie poddałam się impulsowi. Jednak drobna cząstka mnie żałuje, że nie pozwoliła sobie na tę ulgę, jaką przyniosłoby zapadnięcie się w ramionach Sama, schronienie się w nich, szukając pocieszenia w swojskości jego dotyku. Potrząsam sobą w myślach, zmuszając się do przypomnienia sobie, jak rzeczy rozegrały się między nami w rzeczywistości, zwłaszcza pod koniec. Podjęłam właściwą decyzję. Nie mogę cofnąć się o dwa lata tak po prostu.

Esther dzwoniła do mnie dzisiaj kilkakrotnie, ale zignorowałam jej telefony, ona sama zaś nie zostawiła żadnej wiadomości. Skontaktowała się również ze mną komisarz Reynolds. Tego połączenia również nie odebrałam, ale ona nagrała się na pocztę głosową, prosząc o telefon jak najszybciej. Jeżeli nie odezwę się do niej wkrótce, pojawi się tu osobiście, uzbrojona w pytania i niezmożoną wnikliwość. Wiem, że prędzej czy później będę musiała znów z nią porozmawiać, ale usiłuję opóźnić to, jak najbardziej mogę.

Przeglądam w kuchni niewidzącym spojrzeniem moje e-maile, kiedy rozlega się dzwonek do drzwi. Przez kilka sekund zastanawiam się, czy zareagować, ale kiedy dzwoni ponownie, podchodzę powoli do wejścia, niemal zrezygnowana na myśl o tym, co może mnie za nimi czekać.

– Och – mówi Esther, spoglądając na moje ubranie. Pomimo najlepszych intencji, wróciłam do chodzenia w poplamionych spodniach od dresu i podkoszulku. – Przepraszam.

– Nie ma za co. – Ściągam sznurek spodni ciaśniej, powstrzymując je przed opadaniem. Cieszę się, że to nie Reynolds, ale z drugiej strony ogarnia mnie lekki niepokój. – Co ty tu robisz? Skąd w ogóle wiedziałaś, gdzie mieszkam?

– Serena Cooke?

Oczywiście. Moje *alter ego*; to, którego użyłam pod pretekstem potrzeby sporządzenia testamentu.

– Uznałam, że podałaś swój prawdziwy adres. Trudno jest tak po prostu wymyślić coś zupełnie fałszywego.

– No tak. – Stoimy w drzwiach przez chwilę, niepewne, co zrobić dalej.
– Czy... chcesz wejść do środka?

W kuchni nadal panuje bałagan, ale tym razem nie mam siły przeproszać, nie wspominając o sprzątnięciu.

– Herbaty? – pytam, zabierając starą gazetę z jednego z krzesel.

– Tak, poproszę. – Esther wiesza płaszcz i torbę ostrożnie na oparciu, a potem siada. Zapada niewygodna cisza, kiedy czekamy na zagotowanie się wody w czajniku. Kiedy już obie siedzimy z kubkami w dłoniach, spoglądam wyczekująco, żeby powiedziała mi, dlaczego tu jest.

– Rozmawiałam z policją ponownie – zaczyna. – A ty?

– Owszem.

– Czyli pokazali ci to?

– Pokazali mi co? – O Boże, wiem, co zaraz usłyszę.

– Naszyjnik. Naszyjnik Marii.

Panicznie poszukuję w głowie kolejnego kłamstwa, wahając się między powiedzeniem jej, że nie, że policja niczego mi nie pokazała, a potwierdzeniem, że owszem, ale nie zdawałam sobie sprawy, że był to naszyjnik Marii. Jednak cienka nić między dwoma kłamstwami pęka i moja twarz kurczy się od nagłego szlochu.

Esther dotyka delikatnie mojego ramienia.

– Przepraszam. Nie chciałam ci zrobić przykrości. Czy... to przez te wiadomości? Dostałaś jakieś nowe?

Wstaję od stołu i urywam kawałek papierowego ręcznika kuchennego, żeby wytrzeć nos.

– Nie bądź dla mnie taka miła. Nie czuj do mnie litości. To wszystko moja wina. Powiedziałaś im... policji? Że wydaje ci się, iż to naszyjnik Marii?

– Tak. – Spogląda na mnie pytająco. – A ty nie?

– Nie. Nie chciałam, żeby powiązali mnie i Sophie z tym, co przytrafiło się Marii.

– Ale... chyba wiedzą doskonale, że istnieje związek, po tym, jak opowiedziałaś im o wiadomościach na Facebooku?

– O tym też ich nie poinformowałam. – Czerwienię się z głębokiego wstydu na myśl o wszystkich tych rzeczach, o których Esther nie ma pojęcia. – A... ty?

– Tak, oczywiście – odpowiada zdziwiona.

A zatem to koniec. Reynolds wie. Bez wątpienia niedługo Tim otrzyma telefon i wkrótce po tym policja zapuka do moich drzwi. Z mdlącą falą zalewającą mój żołądek uświadamiam sobie, że jest to chwila, w której wszystko zaczyna wychodzić na jaw.

– Cóż, założyłam, że ty już im o tym powiedziałaś – ciągnie Esther. – A poza tym, czy policja nie znalazła wiadomości od Marii tak czy siak?

Na komputerze Sophie?

– O ile wiem, to nie. Jeżeli ich nie szukali, zapewne jawiłyby się jak zwykle, niegroźne wiadomości od przyjaciółki. Z ich punktu widzenia Maria jest jedną z licznych osób na liście facebookowych znajomych Sophie. Nie było powodu, dla którego mieliby coś podejrzewać, chyba że ktoś opowiedział im o sprawie Marii.

A teraz się okazuje, że tak właśnie się stało, i detektywi połączą wszystkie kropki w układance, tworząc ciąg, który doprowadzi ich do dawnego wydarzenia z letniej nocy w roku 1989.

– Nie rozumiem, dlaczego nie powiedziałaś policji o prośbie o dodanie do grona przyjaciół na Facebooku od Marii – mówi Esther.

– Nie chciałam, żeby powiązali mnie i Sophie z tym, co się wydarzyło w 1989 roku – powtarzam.

– Ale na wszystkie świętości, dlaczego nie? – Esther jest całkowicie zdumiona.

Teraz i tak nie ma to znaczenia. Policja znajdzie Marię – lub ktokolwiek wysłał te wiadomości – i dowie się, co zrobiłam. Wszystko wyjdzie na jaw. Nie ma sensu dłużej udawać. To w zasadzie nawet swego rodzaju ulga. Mimo wszystko chowam twarz w dłoniach, żeby nie musieć widzieć Esther, kiedy jej opowiem.

– To, co stało się z Marią, cokolwiek to było, to moja wina. – Moje słowa są stłumione, ale wystarczająco zrozumiałe.

– Louise, wcale nie. Wiem, że traktowałaś ją podle w szkole, ale wszyscy robimy w młodości rzeczy, których później żałujemy. Rzeczy, które może nawet nas przerażają, kiedy spoglądamy na nie wstecz z perspektywy dorosłości. – Słyszę w jej głosie, ile ją kosztuje powiedzenie tego wszystkiego; wszystkie te lata bólu i samotności, które wycierpiała w liceum, wszystkie blizny przeszłości.

– Nie rozumiesz. Jest coś, czego nie wiesz. – Odsuwam dłonie od twarzy i zmuszam się do spojrzenia jej w oczy. – Pamiętasz, jak na balu absolwentów nie mogłaś znaleźć Marii i przyszłaś mnie zapytać, czy ją widziałam? Powiedziałaś, że nie czuła się zbyt dobrze?

– Tak.

– Wiem, dlaczego nie czuła się dobrze. Ja i Sophie... zrobiłyśmy coś... – Zaciskam pięści i z drzeniem nabieram powietrza w płuca. Esther czeka, nic nie mówiąc. – Dodałyśmy jej do drinka ecstasy.

Esther wciąga gwałtownie powietrze w płuca. Obserwuję uważnie jej twarz. Nie odzywa się od razu, lecz zasłania dłonią usta i odwraca się, aby wyrzeć przez drzwi balkonowe na ogród. Znajduje się teraz dziesiątki mil i lat stąd, przypominając sobie wydarzenia tamtej nocy i dopasowując do tej przerażającej nowej informacji.

– Ale co się z nią stało potem? – pyta, spoglądając znów na mnie.

– Nie wiem. Nie widziałam jej od tamtej pory. Przysięgam.

Esther milczy, a ja wstrzymuję oddech, czekając na wyrok przeznaczenia. Uświadamiam sobie, że, pomijając implikacje odkrycia przez policję prawdy dla mnie i Henry'ego, obawiam się, że stracę Esther teraz, gdy zaczęłam czuć, że ponownie ją odnalazłam.

– A więc ta sprawa z Facebookiem... czy twoim zdaniem właśnie o to chodzi? – pyta wreszcie. – Czy odpowiedzialna za to osoba wie o tym wszystkim?

– Nie mam pojęcia. Nigdy o tym nie wspominała. – Między innymi dlatego właśnie tak mnie przerażają te listy: ktokolwiek je pisze, nigdy nie mówi niczego konkretnego. Zawsze wysyła tylko zawołowane groźby, trzyma się w cieniu.

– Profil na Facebooku... – przerywa. – To nie mogła być ona, prawda? Gdzie miałyby się niby podziewać przez cały ten czas? Nawet w dniu moich urodzin, kiedy dostawiałam prezenty, nigdy tak naprawdę nie wierzyłam, że są od niej. Ale ten naszyjnik...

– Rozważałam każdą możliwość, uwierz mi. Ale Esther... to, co zrobiliśmy... czy możesz... – Chcę ją zapytać „czy potrafisz mi wybaczyć”, ale nie mogę z siebie wykrztusić tych słów. Jestem zbyt przerażona perspektywą odpowiedzi i zbyt zawstydzona tym, jaką potworną egoistką jestem, skoro potrzebuję jej wybaczenia tak rozpaczliwie.

Esther spogląda na kubek z herbatą, skrobiąc paznokciem miejsce na uszku, gdzie odpadł kawałek emalii.

– Musiałaś przechodzić piekło, kiedy Maria zniknęła. Nie potrafię sobie wyobrazić, co to z tobą zrobiło.

– Przysięgam, Esther, kiedy spoglądam wstecz, jestem chora na samą myśl o tym, co zrobiłam i kim byłam. Owszem, brakowało mi pewności siebie, tak, martwiłam się tym, że stracę swoją i tak niepewną pozycję w towarzystwie, ale wszyscy musieli przestrzegać jakiejś hierarchii wartości, prawda? Tylko, że nie wszyscy zrobili to co ja. Nie wszyscy byli tacy... słabi. Spoglądam dzisiaj na mojego syna i jeżeli ktokolwiek kiedykolwiek potraktowałby go w sposób, w jaki ja potraktowałam Marię, miałabym ochotę rozedrzeć go na strzępy gołymi rękoma. Jestem teraz inną osobą. Naprawdę mam nadzieję... cóż, po prostu mam nadzieję, że to widzisz. – Siedzę naprzeciwko niej przy stole i ledwie wazę się oddychać.

– Myślę... – przerywa i znów spogląda za okno. – Myślę, że zapłaciłaś za to, co zrobiłaś. – Przenosi wzrok na mnie. – Widzę, że się zmieniłaś, Louise. Naprawdę widzę.

Napięcie, w którym trwałałam, nieco słabnie i czuję szczypanie łez w oczach. Jak na razie opowiedziałam o wszystkim trzem osobom i dwie z nich uznały, że jestem warta co najmniej zrozumienia i przebaczenia.

– To samo... – Milknę. Chciałam powiedzieć, że to samo usłyszałam od Pete'a, ale z przyczyn, których nie jestem w stanie wysłować, nie chcę, żeby Esther wiedziała, że się z nim widziałam. Wypełnia mnie coś na kształt wstydu, kiedy przypominam sobie, co mu powiedziałam, więc usiłuję nie wracać do tego wspomnienia, ukryć je. A potem dzieje się coś dziwnego, jakby sama myśl o nim przywołała go do mojej kuchni.

– Och, tak przy okazji, zgadnij, kogo widziałam po drodze do ciebie, na stacji Victoria?

– Kogo?

– Tego mężczyznę, którego Sophie przyprowadziła ze sobą na zlot. Pete, tak miał na imię? I co dziwniejsze, był z jakąś kobietą i nie tylko, mieli też ze sobą dziecko. Pete pchał wózek. Zastanawiam się, czy Sophie zdawała sobie sprawę z tego, że był żonaty? Nie byłabym zdziwiona. – Esther może i mi wybaczyła, ale Sophie nadal zasługiwała na jej

wzgardę, nawet po śmierci.

– O Boże. Powiedział mi na zlocie, że jest rozwiedziony.

Czyżby Pete skłamał? A jeśli tak, to czy tylko na ten temat?

– Wiem! Sądzisz, że powinnam o tym wspomnieć policji? Chociaż przypuszczam, że jego też pewnie przesłuchali, więc muszą wiedzieć, że jest żonaty. Zastanawiam się, co jego żona na te wszystkie przesłuchania, policje i tak dalej.

Moje usta przełączają się na tryb zdalny. Wyrażam zaskoczenie i inne odpowiednie reakcje na te nowiny, utrzymując wszystko w lekkim, plotkarskim tonie. Wewnątrz jednak nie mogę się pozbierać. Czy Pete rzeczywiście jest żonaty? Nie wyglądał mi na typa zdolnego do zdrady. Z drugiej strony, co ja o tym mogę wiedzieć?

Już w drzwiach nachyliłam się, żeby przytulić Esther na pożegnanie, ale coś w jej postawie – ledwie dostrzegalne wahanie, chwilowe zeszywnienie – sprawia, że się odsuwam. Esther chce zrozumieć, ale nie jestem pewna, czy zamierza zapomnieć i czy kiedykolwiek znów będziemy mogły być przyjaciółkami.

Po jej wyjściu przelatuję przez całe mieszkanie niczym tornado, odkładając na miejsce wszystkie porozrzucone graty, odkurzając, wycierając meble, myjąc podłogi, zmieniając pościel. Kiedy kończę, biorę prysznic, pod którym stoję przez długi czas, pozwalając silnym strumieniom wody opadać na moje ciało, rozgrzewając je i splukując brud, który zgromadził się od czasu, gdy zostawiłam Pete'a w parku. Myślałam, że się do siebie zbliżyliśmy, ale teraz zaskakuje mnie, jak mało naprawdę o nim wiem. Mógł być kimkolwiek. Coś, co powiedział mi na przyjęciu, nie dawało mi spokoju w głębokim zakamarku umysłu i teraz przypominam sobie, co to było. Powiedział, że nigdy nie wybrałby się na zlot absolwentów i opisał się jako samotnika z czasów szkolnych. Przypominam sobie Marię w jej pokoju z dzieciństwa w Londynie, wyglądającą przez szczelinę w zasłonach na Nathana Drinkwatera, opierającego się o latarnię i wpatrującego się w jej okno, bez emocji, po prostu obserwującego. Wyobrażałam sobie tę scenę już wcześniej, ale tym razem twarz Nathana wygląda inaczej, znajomo.

Rozdział 34

Przypuszcza, że zawsze istniała w nim ciemność – mrok, który postanowiła ignorować. Być może coś w niej przyciągało tę ciemność, śmiertelną, choć bezmyślną, niczym pocisk termolokacyjny.

Za pierwszym razem rzeczy, które jej robił, wzbudzały w niej odrazę, a nawet ją przerażały, ale nawet wtedy jakaś część jej reagowała podobnie: oto był. Ukrywała ślady pod ubraniami, gdzie nikt inny nie mógł ich dostrzec. Chwalił ją, sprawiał, że czuła się kimś wyjątkowym, mówił, że na uniwersytecie była dziewczyna, która uznała, że posunął się za daleko i której nie podobały się te zabawy tak jak jemu.

Potem jednak to przestały być zabawy. Na początku podobało się jej to, że przejmował kontrolę – lubiła ten rozkoszny dreszcz czegoś, co graniczyło ze strachem. Chociaż tak naprawdę nigdy się nie bała. Z czasem jednak zaczęła dostrzegać coś w jego wzroku, coś innego. Zupełnie jakby nie był z nią, tylko z kimś innym. Z kimś, kogo nie chciał zranić.

Zawsze wyczuwała, że jest coś w jego przeszłości, czego nie chce jej powiedzieć – coś bardziej mrocznego niż jego ulubione zabawy, kiedy chwycił ją za nadgarstki albo zakrywał jej usta dłońmi, a czasem nawet zaciskał je na jej szyi. Zacierał granice, aż w końcu nie była w stanie rozróżnić, na co się zgadza, a na co nie: walcząca o oddech, posiniaczona, półprzytomna. Złamana.

Może po prostu to niemożliwe, aby poznać w pełni drugą osobę. Kiedy przychodzi co do czego, wszyscy jesteśmy samotni. Czasem nie znamy

nawet samych siebie.

Rozdział 35

2016

Koniecznienie chcę dzisiaj odebrać Henry'ego punktualnie, ale jak zwykle ostatnio, czas przecieka mi przez palce. Nadal jestem pogrążona w rozpamiętywaniu wcześniejszego spotkania z Esther. Kiedy zdyszana wybiegam z za rogu, widzę, że jestem jedną z ostatnich mam, które pojawiły się przy bramie po odbiór dzieci ze świetlicy. Zaledwie garstka z nich stoi z panią Hopkins i jej nową asystentką, panną Jones. Większość maluchów zostaje odebrana o trzeciej przez rodziców (zwykle mamę) albo dziadków (i znów, zwykle babcię). Świetlica jest dla nieszczęśników, jak Henry, z dwojgiem pracujących rodziców i bez pomocnych członków rodziny, którzy mogliby odebrać dziecko wcześniej i dać mu gorącej czekolady i mnóstwo miłości. Niebo jest przejrzyste i widać już pierwsze połyskujące gwiazdy. W powietrzu unosi się zapach palonego drewna. Z przyjemnością myślę o spacerze przez szeleszczące liście z Henrym, w drodze do domu i dopiero kiedy podchodzę dużo bliżej, orientuję się, że żadne z dzieci przy bramie nie jest Henrym. Pani Hopkins spogląda na mnie beznamiętnie. Ogarnia mnie drżenie.

– Gdzie jest Henry? – Mój głos robi się piskliwy z przerażenia.

– Został odebrany o trzeciej... – Spogląda na pannę Jones. – Prawda?

Asystentka wygląda na zaniepokojoną, ale nie przesadnie. Pewnie sądzi, że to nieporozumienie, coś, co łatwo będzie rozwiązać.

– Owszem. Odebrała go babcia.

Przez jeden radosny ułamek sekundy myślę, że wszystko jest

w porządku – że moja mama przyjechała z nieoczekiwaną wizytą i postanowiła zaskoczyć Henry’ego. Wie, że nienawidzę faktu, iż musi zostawać w świetlicy przez większość dni. Szybko jednak orientuję się, że nie, nic nie jest w porządku. Zupełnie nie. Pomijając fakt, że moja mama nigdy sama z siebie nie wyraża chęci opieki nad Henrym, nie zrobiłaby czegoś takiego, nie informując mnie uprzednio.

– Jego babcia? – Mój głos brzmi obco nawet dla mnie samej, jest tak piskliwy i drżący. Czyżby mama Sama postanowiła, że czas poznać bliżej jej wnuka?

– Owszem. Starsza pani z długimi włosami – mówi panna Jones, spoglądając niepewnie to na mnie, to na panią Hopkins. Mama Sama nosi włosy w eleganckim koku.

– To nie była jego babcia! Nie znam żadnej starszej pani z długimi włosami! – Kolana uginają się pode mną i chwytam się płotu, żeby nie upaść. W skórę dłoni wbija mi się mała drzazga.

– Henry powiedział, że to jego babcia – mówi panna Jones, bardziej do pani Hopkins niż do mnie. Zdała sobie sprawę z powagi sytuacji.

– Henry ma cztery lata! – krzyczę na nią. – Powiedziała mu pani, że to jego babcia? Czy to właśnie pani powiedziała?

– Cóż... owszem...

– On ma tylko cztery lata! Wierzy we wszystko, co mu się powie! Myśli, że kiedy straci pierwszy ząb, wróżka zębuszka odwiedzi go w sypialni i zostawi pieniądze! Niedawno przecież byłam w recepcji. Powiedziałam pani Harper, że mam obawy! Nie wolno wierzyć czteroletniemu dziecku na słowo. Są procedury, osoby wyznaczone do kontaktu. Dlaczego tak po prostu wydała go pani tej osobie?

Stoję teraz tuż przed panną Jones, krzycząc jej w twarz. Pani Hopkins wsuwa się między nas obie.

– Jak najbardziej doceniam powagę sytuacji, pani Parker. Niestety, zostałam dzisiaj odwołana do incydentu z użyciem przemocy na boisku szkolnym, z udziałem innego rodzica. Zostawiłam pannę Jones odpowiedzialną za wydawanie dzieci.

– Założę się, że wiem, kto brał udział w tym incydencie... ta okropna

kobieta z paskudnym synem. – Strach rozluźnił mi język. Pani Hopkins wygląda na zszokowaną.

– Była wiadomość... z recepcji szkolnej. Panna Wallis powiedziała, że dzwoniła pani w porze lunchu. – Panna Jones odzyskała głos. Jej oczy są wielkie jak spodki ze strachu. – Podobno powiedziała pani, że Henry nie pójdzie dzisiaj do świetlicy i że odbierze go babcia. Henry wydawał się ją znać... myślałam, że wszystko jest w porządku... przepraszam... – Zaczyna płakać, ale ja nie mam dla niej litości.

– To nie ja dzwoniłam! Nigdy nie dzwoniłam na recepcję! Pani Harper powinna powiedzieć pannie Wallis, że przyszedłam kilka dni temu, aby sprawdzić procedury bezpieczeństwa. Poza tym chyba nie pozwalacie dzieciom odejść z kimś, kogo tożsamości nie sprawdzacie? Czy wy niczego nie wiecie?

– Ma pani absolutną rację – wtrąca się znów pani Hopkins. – To prawdziwa porażka z naszej strony i biorę za to pełną odpowiedzialność. Podejmiemy kroki, aby się upewnić, że coś takiego już się więcej nie powtórzy. – Zerka szybko na pannę Jones. – W tej chwili jednak skoncentrujmy się na tym, gdzie może być Henry. Czy ma pani jakiegokolwiek pojęcie, kim mogłaby być ta kobieta?

– Nie, nie wiem. Nie znam nikogo takiego. – Chwytam się mocniej płotu i drzazga wbija się głębiej w moją dłoń.

Stoimy tak we trzy, niczym zawieszony w czasie, spoglądając po sobie w poszukiwaniu odpowiedzi. Nagle w głębi mojej torebki odzywa się telefon. Rozpaczliwie grzebię w środku w poszukiwaniu go drżącymi rękami.

Nadeszła nowa wiadomość od Marii Weston:

Miałam rację. Henry jest bardzo miłym chłopczykiem. Jeżeli chcesz go odzyskać, przyjedź pod adres 29 Woodside Street w Sharne Bay. Sama. Jeżeli nie, Henry poniesie konsekwencje Twojej decyzji. Czekam na Ciebie.

Upuszczam telefon do torby, jakby nagle sparzył mi palce.

– Wszystko w porządku. Już wiem, gdzie jest – mamroczę. – Ja...

właśnie domyśliłam się, kim jest ta kobieta. Wszystko w porządku, nie ma problemu. Zapomniałam, że prosiłam ją o odebranie Henry'ego.

Nie sądzę, że pani Hopkins i panna Jones mi wierzą, ale jakie mają wyjście? Biegnę z powrotem do samochodu, pozostawiając starszą nauczycielkę zdziwioną i niezwykle zmartwioną. Panna Jones głównie wydaje się odczuwać ulgę.

Wybiegam za bramę szkolną, z telefonem przyciśniętym do ucha. Odpowiada po trzecim dzwonku.

– Hej, Lou.

– Zabrała Henry'ego.

– Co? – odpowiada Sam nieuważnie. – Kto?

– Maria – dyszę w słuchawkę. Brakuje mi tchu, ale nie mogę zwolnić, nie mogę stracić nawet sekundy.

– Zaczekaj chwilę. – Wreszcie przyciągnęłam jego uwagę. – O czym ty mówisz?

Opowiadam mu o tym, co się stało.

– Co, do kurwy nędzy? Kto to wszystko robi? Dzwonię na policję.

– Nie! Powiedziała, że muszę przyjść sama, inaczej Henry poniesie konsekwencje mojej decyzji. Może go skrzywdzić, jeżeli zorientuje się, że poinformowałam policję. Muszę tylko tam pojechać, sprawdzić, czy nic mu się nie stało. Policja może przyjechać później – jeżeli w ogóle.

– W porządku. Zaraz wsiadam do samochodu. Dzięki Bogu pracuję dzisiaj w domu. Gdzie jesteś?

Piętnaście minut później jesteśmy w drodze. Na każdym czerwonym świetle zgrzytam zębami nieco mocniej, zaciskając je z całych sił.

– O Boże, o Boże, co jeśli Maria go skrzywdzi?

– Nic mu nie będzie. Po prostu ktoś usiłuje cię przestraszyć. – Nie wygląda jednak na przekonanego i kiedy zmienia bieg, widzę, jak drżą mu dłonie. Boi się o Henry'ego tak samo jak ja, po prostu stara się być silny dla mnie. – Ale Lou... ty chyba nie myślisz poważnie, że Maria żyje?

Wzruszam ramionami, wpatrując się w okno i wbijając paznokcie we wnętrze dłoni.

– Pójdę z tobą – mówi po kilku minutach.

– Nie! Nie możesz. Muszę iść sama. – Jeżeli nie, nie wiem, co się stanie. Maria już przekroczyła granicę i zrobiła coś niewyobrażalnego, zabierając moje dziecko. Jeżeli poleciałaby mi obciąć sobie nogę, żeby go ocalić, zrobiłabym to w mgnieniu oka. – Będziesz musiał poczekać na zewnątrz.

Sam spogląda na mnie z prawdziwym niepokojem.

– To może być niebezpieczne. Nie masz pojęcia, kogo tam zastaniesz.

– Nic mnie to nie obchodzi. Chcę tylko wydostać stamtąd Henry’ego. Nie obchodzi mnie, co się ze mną stanie. Nigdy mnie nie obchodziło. I nikogo.

– Nie mów tak. Mnie obchodzi, co się z tobą stanie.

Myślę o sposobie, w jaki Sam się mną zajął. Lepiej mi bez tej jego opieki.

– Poza tym nie jestem w tym odosobniony – ciągnie. – Wielu ludzi się tobą przejmuje.

– Ale nikt tak naprawdę mnie nie zna, prawda? Bo jeśli wiedzieliby, co zrobiłam, nie przejmowałiby się mną tak bardzo, prawda?

– Nigdy nie dałaś im szansy, Lou. Tak jak nigdy nie dałaś szansy mi. Chociaż wiedziałem, co zrobiłaś, chociaż byłem tego częścią, nadal trzymałaś mnie na dystans.

– Wcale nie trzymałam cię na dystans – po twarzy zaczynają mi spływać niepowstrzymane łzy. – Nie miałam wyboru, wszystkich trzymałam na dystans. Zawsze tak było. Trzymałam się z dala od wszystkich i wszystkiego, od czasu zniknięcia Marii. Bycie z tobą trochę polepszyło sprawę. Nie czułam się taka odizolowana, ponieważ wiedziałeś i przynajmniej zdawałeś sobie sprawę, kim jestem. Więc kiedy mnie zostawiłeś... – Nie jestem w stanie mówić dalej. Targa mną szloch. Sam chwyta mnie za rękę. Kształt jego dłoni jest tak znajomy jak moja własna. Odsuwam rękę i ocieram oczy z zaciekłością. – Nie rób tego – mówię. – Nie dotykaj mnie.

Kładzie dłoń z powrotem na kierownicy i jedziemy dalej w milczeniu.

Żałuję, że nie ma nikogo innego, kto mógłby mnie wesprzeć, i że Sam

był jedyną osobą, która była po mojej stronie. Zastanawiam się, czy w ogóle kiedykolwiek tak naprawdę był po mojej stronie, czy też, jak to się dzieje w przypadku większości ludzi, dbał wyłącznie o samego siebie.

Przyspieszamy na A11, nadal milcząc, kiedy krajobraz hrabstwa Norfolk powoli zaczyna się jawić naszym oczom; przestrzenne nieba, nieskończone pola, znów przyciągające mnie do siebie. Żadna podróż nie wydawała mi się nigdy aż tak długa. W torbie znajduję stary bilet kolejowy i drę go metodycznie na coraz mniejsze strzępy, kiedy pędzimy szosą. Żadne z nas nie kojarzy sobie Woodside Street, więc kiedy dojeżdżamy na przedmieścia Sharne Bay, sprawdzam drogę na mapie w komórce. Skręcamy w lewo z głównej ulicy, wjeżdżając na osiedle klockowatych współczesnych domków z zadbanymi ogródkami i rozsądnymi samochodami na podjazdach. Woodside Street jest trzecią przeczną z kolei. Powoli mijamy kolejne zabudowania.

– Nie podjeżdżaj za blisko – mówię, panikując, kiedy przejeżdżamy obok numeru 11.

Kiedy Sam zjeżdża na pobocze, natychmiast otwieram drzwi, wyskakuję i puszczam się biegiem po ulicy.

– Louise! – krzyczy za mną.

– Zostań! – odpowiadam, porzucając go, spoglądającego z rozpaczą. Jestem jak naelektryzowana. Jeżeli ktokolwiek mnie dotknie, porazi go prąd, zupełnie jak kogoś, kto włożyłby nóż do opiekacza. Po tych kilku tygodniach ukrywania się, uciekania, reagowania jest w tej sytuacji coś niemal wyzwalającego. Robię coś pozytywnego, odzyskuję część kontroli, którą odebrano mi przemocą. Biegnę dalej, mijam kolejne domy: 19, 21, 23, 25, 27. I oto przybywam na miejsce. Dom numer 29 wygląda całkiem niewinnie. Chociaż okna innych lśnią zapraszająco zza zasłoniętych firanek, ten tutaj jest pogrążony w ciemności. Otwieram zardzewiałą bramę i ruszam ścieżką do wejścia. Ogródek przed domem jest głównie wyłożony płytami chodnikowymi, z nielicznymi chwastami przebijającymi się przez szczeliny między nimi. Otoczony jest wąskim paskiem kwietnika, który wygląda, jakby kiedyś ktoś o niego dbał, ale ostatnio przestał.

Drzwi wejściowe są niebieskie, z dwoma panelami z matowego szkła we wzorek w kształcie diamentów w górnej części. Unoszę dłoń, żeby do nich zadzwonić, zanim zmienię zdanie, kiedy nagle dostrzegam, że są uchylone. Powoli otwieram je szerzej, przypominając sobie o oddychaniu. Drzwi zgrzytają przeciągle. Wchodzę do środka, skrzypiąc butami na zakurzonej laminowanej podłodze. Dźwięk roznosi się echem w wąskim korytarzu. Czuję zatęchły, zastały zapach wilgoci i długich dni, które dawno nie były świadkiem żadnego ruchu.

Dom ma okna po obu stronach wejścia i po każdej stronie korytarza widzę drzwi. Wchodzę nieco dalej, nasłuchując jakiegokolwiek dźwięku. Ostrożnie zaglądam do pokoju po lewej. To salon. W świetle ulicznej latarni widzę staroświecki trzyczęściowy zestaw kanapy i foteli, skupiony wokół stolika kawowego ze szklanym blatem. Sosnowy kredens skrywa zakurzone trofea i porcelanowe ozdoby. Na najwyższej półce, osamotnione, stoi zdjęcie w srebrnej oprawie z wymyślnymi zawijaszami. Ledwie udaje mi się dostrzec w mroku twarz, w którą wpatrywałam się na ekranie przez ostatnie kilka tygodni. To szkolne zdjęcie Marii. Cofam się i wchodzę do pokoju po przeciwnej stronie korytarza. On również jest mroczny i pusty. Wygląda jak pokój gościnny, zawierający wyłącznie podwójne łóżko z ozdobioną falbankami brzoskwińową kołdrą.

Cofam się na korytarz. Mój umysł wrzeszczy, żebym wbiegła głębiej, wykrzykując imię Henry'ego, ale muszę postępować ostrożnie. Chwytam się framugi drzwi do pokoju gościnnego, usiłując uspokoić oddech. Drzwi przede mną, na końcu korytarza, są zamknięte. Znów jest ich dwoje i wyglądają identycznie jak te, przez które właśnie zajrzałam do dwóch pokoi. Dzieli mnie od nich kilka metrów. Drzwi są szczelnie zamknięte. Robię krok, a potem następny. Jeszcze dwa i znajduję się tuż obok nich. Spoglądam na jedne i drugie, a potem sięgam po klamkę tych z lewej. Drzwi otwierają się bezszelestnie, ukazując łazienkę, czystą, lecz niemodną, z wyposażeniem w kolorze awokado. Pomieszczenie jest puste. Wydaję z siebie stłumiony szloch ulgi zmieszanej z przerażeniem. Zamykam drzwi od łazienki i odwracam się w stronę tych po prawej. Zgaduję, że to kolejna sypialnia. Kładę rękę na klamce, usiłując

powstrzymać panikę, która buduje się we mnie niczym milczący krzyk, który nigdy nie może się wydostać na świat. Otwieram drzwi, widząc światło przesączające się przez szparę – więcej i więcej, aż wreszcie widzę jego źródło, w postaci standardowej lampki stojącej obok biurka.

Siedzi przy nim kobieta, zwrócona plecami do mnie. Spogląda na ekran komputera. Długie, rzadkie, przetykane siwizną włosy zwisają jej na ramiona. Nie odwraca się do mnie, a ja rozglądam się rozpaczliwie po pokoju, usiłując dostrzec wszystko, zanim się odwróci. Na podłodze stoi drewniany zestaw torów i pociągów, wyglądający na całkiem nowy. Szyny ułożone są w przemyślny wzór, który z nagłym przyływem strachu rozpoznaję jako jeden z ulubionych układów Henry’ego. Na ścianie przed kobietą, po lewej stronie komputera wisi moja fotografia, ta z mojego profilu facebookowego. Obok widzę kopię artykułu z „Sharne Bay Journal” o mojej nagrodzie za projekt, a także wydruk rekomendacji Rosemary z mojej witryny internetowej. Po prawej wiszą zdjęcia Sophie – wiele zdjęć. Pozuje na nich i wydyma usta, posyłając mi całusa. Jest też wycinek z tej samej gazety, przedstawiający Sophie wyglądającą nienagannie nawet po przebiegnięciu dziesięciu kilometrów z różowymi skrzydełkami wróżki na plecach. Na ekranie przed kobietą widnieje otwarty profil facebookowy Marii.

– Maria? – szepczę. Kobieta odsuwa krzesło, wstaje i się odwraca. Spoglądam w orzechowe oczy Marii, przejrzyste i chłodne. Jednak jej twarz jest pomarszczona, ręce powykrzywiane i z luźną skórą. Przez chwilę nie rozumiem, co tak naprawdę widzę. Oczywiście Maria miałaby teraz ponad czterdzieści lat, nie spodziewałam się zobaczyć szesnastolatki – jednak ta kobieta ma przynajmniej sześćdziesiąt pięć lat. To nie Maria. To jej matka. Bridget.

Rozdział 36

2016

Zastygam w progu. Bridget. Oczywiście, że to Bridget. Obrazy przelatują mi przez umysł: Bridget czająca się przy drzwiach do pokoju Marii z herbatą, ciasteczkami i nadzieją w oczach; Bridget na deszczu i w ciemności, prowadzona do szkolnego gabinetu, z twarzą wykrzywioną strachem i gniewem w równej mierze; Bridget uważnie dobierająca prezenty urodzinowe dla Esther każdego roku, udając, że to podarunki od Marii – plaster na jej roztrzaskanym sercu.

Dlaczego się wcześniej nie domyśliłam? Chociaż... jak mogłam? Nigdy w życiu nie potrafiłabym się zbliżyć do bólu, katuszy nie do wytrzymania, które przechodziła Bridget. Teraz jednak rozumiem, jak takie cierpienie mogło rosnąć przez te wszystkie lata, karmione jedynie mrocznymi myślami i czasem – hektarami niewykorzystanego czasu. Bridget pielęgnowała swój ból, ukrywała go, chroniła, aż przyszedł czas, aby go wykorzystać. A teraz zwraca go bezpośrednio przeciwko mnie.

– Wydajesz się zaskoczona, Louise. Spodziewałaś się kogoś innego. – To nie jest pytanie.

– Gdzie jest Henry?

– Naprawdę sądzisz, że Maria mogłaby żyć? Jakim cudem miałyby się to zdarzyć?

W ustach mi zaschło i trudno mi jest przełykać.

– Gdzie jest Henry? Proszę...

– Nie. Ona nie żyje, Louise. Nie żyje, ponieważ ty ją zabiłaś.

Zmuszam się do zrozumienia tego, co słyszę, ale przychodzi mi to z trudem. Mój umysł nie chce zaakceptować rozgrywającej się tu sceny. Jak Bridget może to wiedzieć? Kto mógł jej powiedzieć, że dosypałam Marii narkotyku do drinka?

– Nie... – zaczynam chrapliwie.

– Owszem, zrobiłaś to. Och, możesz twierdzić, że to był wypadek, wyjaśnić to, jak sobie chcesz, ale matka zna prawdę. Maria nie spadła z klifu przez przypadek. Była sprytna. Nawet jeśli piła, niemożliwe, żeby spadła przez pomyłkę. Jestem jedyną osobą, która wie, w jakim stanie umysłu była w tamtym czasie. Słyszałam ją, noc po nocy, płaczącą w pokoju, kiedy sądziła, że jej nie słyszę. Jedna noc była szczególnie niedobra. Nigdy nie wydobyłam od niej, co się dokładnie stało. Powiedziała tylko, że znów się zaczyna, tak jak w Londynie, i że ty, Louise, jesteś w centrum tego wszystkiego. Sophie Hannigan również. Wiedziałam, że to tego typu osoba na pierwszy rzut oka, ale to ty najbardziej zraniłaś Marię. Pamiętasz ten wieczór, kiedy przyprowadziła cię do nas do domu?

Jej oczy są czujne i twarde, wwiercają się we mnie niczym laser. Nie jestem w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. W ustach mi zaschło, język mi skołowaciał. Bridget ciągnie dalej.

– Widziałam to jej spojrzenie tamtego wieczora. Wiem, Maria myślała, że przesadzam z tą herbatą i ciasteczkami, ale ja dostrzegłam, że oto stoi przede mną prawdziwa przyjaciółka dla mojej córki, ktoś, kto mógł zmienić jej życie. Cóż, rzeczywiście się nie myliłam, prawda? Maria zabiła się, a ty i Sophie Hannigan jesteście za to tak samo odpowiedzialne, jakbyście osobiście zepchnęły ją z grani.

Moją pierwszą, okropną, egoistyczną reakcją jest ulga. Bridget nie rozumiała. Nie wie o ecstazy. Nie wie, że dodałyśmy narkotyku do drinka Marii. Byłam tak pewna, że osoba, która wysyła do mnie te wszystkie wiadomości, zna prawdę i nigdy nie zastanawiałam się nad alternatywnym wyjściem. Ulga szybko jednak zostaje zastąpiona zwątpieniem. Być może Bridget wcale nie jest daleka od prawdy. Jak mogę być pewna, że Maria nie popełniła samobójstwa? Esther tak nie

uważa, ale kto znał Marię lepiej niż jej własna matka?

– Ale... policja – zaczynam. Mój głos jest zachrypły i dziwnie brzmi. – Powiedzieli przecież, że to była przypadkowa śmierć...

– Policja! A co oni wiedzą? Co udowodnili? Nie było w tym nic przypadkowego. Moja córka odebrała sobie życie w bezpośrednim następstwie traktowania, jakie jej zafundowałaś. Nie mogę tego udowodnić i policja również nigdy nie będzie w stanie, ale wiem, że to prawda. – Jej dłonie drżą, a czoło jest wilgotne od potu. – Przez całe lata ty i Sophie chodziłyście sobie po świecie jakby nigdy nic, mając pracę, sympatie, mężów, domy, życie. I dziecko. Masz dziecko. Odebrałaś to wszystko mojej córce, szansę macierzyństwa. Szansę poznania tej potwornej, obezwładniającej miłości, strachu i wrażenia, że fizyczna częśćka ciebie spaceruje po świecie, sama, narażona na niebezpieczeństwo. A przez cały ten czas moja córka spoczywała na dnie zimnego morza. – Jej głos jest chrapliwy, gardłowy. Opiera się o biurko, jakby bała się, że upadnie.

– Chciałam tam być, na zlocie. Chciałam zobaczyć wasze twarze, wszystkich was, tych, którzy przeżyli. Chciałam urządzić wam scenę i wydobyć od was odpowiedzi.

– To ty zorganizowałaś zjazd absolwentów... Naomi Strawe.

– Tak. Zapewne wydaje ci się to głupie. – Bridget spogląda na mnie buntowniczo, jakby czekała na moje potwierdzenie. – Ale chciałam, żeby Maria też tam była. Powinna tam być.

– Ale nie było cię tam... prawda?

– Zamierzałam się pojawić. Chciałam wejść, ale Tim mnie powstrzymał. Zobaczył mnie przed szkołą na ulicy... nie pozwolił mi wejść do środka. Powiedział, że jego zdaniem nie zrobi mi to dobrze, a ja nie mogłam go przekonać, że naprawdę muszę. Tim nie rozumie. Nikt nie rozumie.

– To byłaś ty... wtedy, na podjeździe, z Timem.

– Widziałaś mnie? – Jest zdumiona.

– Tak. To znaczy widziałam Tima z jakąś osobą, ale nie udało mi się jej zidentyfikować.

– Myślałaś...? – Jej oczy lśnią.

Czy naprawdę wierzyłam, że Maria żyje?

– Znasz tę miłość, prawda? Miłość matki do dziecka – mówi Bridget.

– Tak... proszę. Gdzie jest Henry? Jest gdzieś tutaj?

Potrząsa głową, ale nie jestem w stanie rozszyfrować, czy oznacza to, iż mojego syna tutaj nie ma, czy też, że nie zamierza odpowiedzieć na moje pytanie.

– Moje maleństwo, moja śliczna dziewczynka. Zaraz po urodzeniu spała tylko na mojej piersi, w dzień czy w nocy. I chociaż niemal zwariowałam z wyczerpania, nie odkładałam jej do łóżeczka. Tuliłam ją, ponieważ tego właśnie ode mnie potrzebowała. Nie mogłam się nadziwić, że stworzyłam ją i nosiłam w sobie. Była ciałem z mojego ciała. I chociaż oczywiście koniec końców zaczęła chodzić i mówić, a wreszcie prowadzić swoje własne życie, o którym niewiele wiedziałam, część Marii nadal była we mnie. Wciąż jest. Czy to takie dziwne, że chciałam ją przywrócić do życia? Sprawić, że odpowiecie za swoje postęпки?

– Nie. Rozumiem, naprawdę. Ale teraz ja też jestem matką i proszę...

– Jak się poczułaś, kiedy zdałaś sobie sprawę, że zabrałam twojego syna? – Przerywa mi. Nie dopuszcza, aby w jej myśli wkraść się choćby cień współczucia. – Czy miałaś wrażenie, że cała krew, do ostatniej kropli odpływa z twojego ciała? Czy czułaś, że zrobiłabyś cokolwiek, wszystko, żeby tylko twój syn był bezpieczny? Tego właśnie chciałam, Louise. Pragnęłam, żebyś poczuła ułamek tego, z czym ja musiałam żyć każdego dnia od 1989 roku. Czasem ludzie porównują utratę bliskiej osoby do utraty kończyny... „Och, poczułem się, jakbym stracił prawe ramię”, powiadają. Ale to wcale tak nie jest. Człowiek uczy się radzić sobie z brakiem ramienia czy nogi, ale nigdy nie ze stratą dziecka. Do tego nie można się przyzwyczaić i nigdy nie staje się to łatwiejsze. – Słowa wypływają z niej niczym nieczystości z kanału ściekowego. – Mam nadzieję, że moje liściki do ciebie sprawiły, że zaczęłaś się oglądać za siebie wszędzie tam, gdzie się udawałaś w ciągu ostatnich kilku tygodni. Mam nadzieję, że budziłaś się w nocy ze strachu, podskakiwałaś na każdy najcichszy dźwięk, budziłaś się każdego poranka trochę bardziej

przerażona, z tym dziwnym, ciężkim uczuciem, zastanawiając się, czy to wszystko jest warte zachodu i czy potrafisz dalej żyć w ten sposób. – Bridget trzyma się mocno blatu biurka za jej plecami. Skóra na jej dłoniach jest naciągnięta, opinając się ciasno na kościach. Twarz ma zaróżowioną.

– Przepraszam. Tak mi przykro. – To wszystko, co jestem w stanie z siebie wykrztusić. – Proszę, powiedz mi, gdzie on jest.

– Na nic mi twoje przeprosiny. Nie chcę, żebyś żałowała. Chcę, żebyś cierpiała, tak jak ja. Wyobrażałam sobie tę sytuację po każdym wysłanym liście do ciebie. Niemal widziałam ten strach na twojej twarzy, czułam to przerażenie ściskające cię w dołku. Nawet śledzenie cię nie wystarczyło, chociaż twoja ucieczka przede mną w tamtym tunelu na South Kensington sprawiła mi radość. Chciałam, żebyś poczuła to, co ja, ale jednocześnie pragnęłam to ujrzeć; zobaczyć twój ból na własne oczy.

Spoglądamy na siebie bez zmrużenia oka. Bridget powinna triumfować – przecież dostała to, czego chciała. Ale ja widzę tylko rozpacz i potworny, nieskończony ból.

– Ale dlaczego teraz?

– Nie chciałam mieć kłopotów z policją. Prześladowanie, porwanie... policja nie traktuje takich rzeczy zbyt pobłaźliwie. Teraz jednak wszystko mi jedno, od ostatniej wizyty u lekarki. Była taka miła i zaniepokojona i z ogromną przykrością musiała mi powiedzieć, że nie ma pojęcia, ile jeszcze zostało mi czasu. Ale ja myślałam tylko o jednym: tak! Teraz mogę zmusić Louise Williams i Sophie Hannigan do zapłaty za to, co zrobiły.

Bridget umiera. Mój umysł usiłuje to sobie przyswoić, znaleźć w tym jakiś sens, ale wspomnienie imienia Sophie sprawia, że temperatura w pokoju spada nagle o kilka stopni. Cofam się o krok i chwytam framugi.

– Byłaś taka nieostrożna, Louise. Czy nikt nie powiedział ci, że powinnaś uważać, co publikujesz w internecie? Zdjęcia swojego chłopczyka w szkolnym mundurku? Przygodne komentarze o lokalnej

sieci sklepów? Zdjęcia swojego domu? Narzekałaś nawet na Facebooku, że musisz zostawić Henry'ego w świetlicy, więc wiedziałam, że dzisiaj nie będzie żadnego odbierania prosto po szkole, razem z pozostałymi prawdziwymi matkami. – Nóż wbija się mocniej w moje serce.

– A co do randkowania w internecie, mój Boże, tak łatwo cię było oszukać. Wystarczyło wkleić zdjęcie z katalogu. Nie musiałam się nawet specjalnie głowić nad listem. Najwyraźniej jesteś bardzo zdesperowana. No i tak długo czekałaś! Pół godziny! Musiałam zamówić sobie drugi napój w restauracji naprzeciwko baru, w której siedziałam. – Śmieje się nieprzyjemnie. – Wiedziałam dokładnie, gdzie i kiedy Henry będzie. Powinnaś się nim lepiej opiekować. Nie miał nawet pojęcia, że nie powinien iść z osobą, której nie zna. Był gotowy zaakceptować w pełni, że jestem jego babcią. Opowiadał mi o swoim dniu, częstował się słodyczami, które mu oferowałam, i powiedział, z czym chce zjeść swój tost.

Tost. Kuchnia. Musi być w kuchni. Odrywam się jakoś od pola grawitacyjnego bólu i wściekłości otaczającego Bridget i biegnę w dół korytarza. Drzwi zacinają się na chwilę, a potem otwierają ze skrzypnięciem.

– Och, dzięki ci, Panie Boże. Dzięki ci, Boże. – Henry siedzi na wysokim krześle przy barku śniadaniowym, zajadając tost z dżemem. Ma przed sobą szklankę z sokiem jabłkowym.

– Cześć, mamusiu – mówi, jakby nigdy nic.

Podbiegam do niego i przyciskam do siebie, wtulając twarz w jego włosy i szyję. Pod warstwą szkolnego odoru – zapachu ołówków, brudnych podłóg i lepiących się palców innych dzieci – nadal pachnie sobą; ma ten cudowny zapach, którym narkotyzowałam się od momentu jego narodzin.

– Hej – mówi rozeźlony, wyrywając mi się z objęć. – Mój tost.

– Musimy już iść. – Brakuje mi tchu. – Możesz zabrać ze sobą kanapkę.

– Chcę się jeszcze pobawić pociągami. Moja babcia powiedziała, że mogę.

– Nie mamy czasu. Tata czeka na nas w samochodzie. – Pociągam go za rękę. – Chodź, Henry.

W korytarzu rozlega się hałas, skrzypnięcie drzwi wejściowych i stukanie kroków na wykładzinie. „Sam”, myślę z nagłym przyływem serdeczności i wyprowadzam Henry’ego na korytarz.

– Mamo? – odzywa się przybyły.

O Boże, to Tim. Myśli szaleją mi w głowie. Jak to się wszystko skończy? Czy to ostatnia rzecz, jaką widziała Sophie? Tim, rzucający się na nią, mszczący się za śmierć swojej ukochanej siostry? Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby Bridget miała wystarczająco siły, aby zabić Sophie, więc to musiał być Tim. Chcę powiedzieć Henry’emu, żeby zmylił Tima, ominął go i uciekł stąd jak najprędzej, ale wiem, że mały nie rozumie, o co go proszę. Widzę wyraźnie, że w ogóle nie jest wystraszony i nie rozumie, że jesteśmy w niebezpieczeństwie.

– Louise, co ty tu robisz? – W głosie Tima czai się panika. Stoi na korytarzu, wypełniając go i blokując nam drogę ucieczki. Chwytam rączkę Henry’ego nieco mocniej. Moja dłoń jest wilgotna od potu.

– Ja ją tu zaprosiłam – mówi Bridget, stając w progu sypialni. Tim nie rusza się z miejsca. Stoję, uwięziona między nimi dwojgiem, niczym król w rozgrywce szachowej, bliski szach-mata, widzący, że jego wrogowie zbliżają się ze wszystkich stron.

Tim podchodzi bliżej.

– Co ona ci powiedziała, Louise?

Przyciągam Henry’ego bliżej. Czuję jego ciepłe ciało wtulone w moje uda. Spogląda na mnie szeroko otwartymi, ufnymi oczami.

– Mamo, co ty zrobiłaś? – pyta Tim nagląco. – Co Louise tutaj robi?

Usiłuję rozkazać moim nogom, żeby się ruszyły, zaczęły biec, a przynajmniej spróbowały uciec, ale one odmawiają spełnienia polecenia. Zupełnie jak w jednym z tych koszmarów sennych, w których człowiek tkwi uwięziony w gęstym błocie, gdy ściga go potwór, od którego nie ma szansy ucieczki.

– Powiedziałam ci, zaprosiłam ją tu.

– Właśnie wróciłem z posterunku policji. Opowiedzieli mi o profilu na

Facebooku. To twoja sprawka, prawda? – Spogląda na Bridget. Przyglądam się im obojgu zdeorientowana. Jeżeli Tim zabił Sophie, jak może nie wiedzieć o stronie facebookowej?

Bridget wzrusza ramionami buntowniczo.

– Dowiedzą się – mówi Tim. – Potrafią ustalić źródło takich rzeczy. Za kilka godzin będą wiedzieli, że to byłaś ty.

– Sądzisz, że się tym przejmuję? – Głos się jej załamuje. – Umieram. Ktoś musiał wymierzyć sprawiedliwość tym dziewczynom, które doprowadziły Marię do skoku z tamtego klifu.

Tim krzywi się i podchodzi jeszcze bliżej.

– Nie wiemy, co się stało, mamó. Musisz zostawić tę sprawę w spokoju.

– Zostawić? Jak mogę ją zostawić? Nic z tych rzeczy. Jest jeszcze coś, co muszę wiedzieć. Miał mi powiedzieć na zlocie.

– Słucham? Kto? – Tim przesuwając dłoń po włosach, sprawiając, że zaczynają sterczeć mu na głowie. Henry przysuwa się bliżej mnie, a ja obejmuję go mocno, gładząc go po włosach. „Wszystko jest w porządku”, usiłuję mu przekazać bezgłośnie, nie ważąc się odezwać lub poruszyć.

– Nathan Drinkwater – wypluwa z siebie Bridget.

– O czym ty mówisz? – Tim wydaje się zagubiony.

– Wysłał mi prośbę o dodanie do grona znajomych na Facebooku. A raczej wysłał ją Marii. Powiedział, że zdaje sobie sprawę, iż tak naprawdę nie jestem nią, ale twierdził, że wie coś o tym, co naprawdę zdarzyło się tamtej nocy, gdy Maria zniknęła. Powiedział, że ma coś, co należało do niej i dzięki czemu może udowodnić, że mówi prawdę. Miał się ze mną spotkać na zlocie, ale niestety ty tam się pojawiłeś i nie pozwoliłeś mi wejść.

– Ale mamó, to jakieś szaleństwo. Nathan Drinkwater nie żyje. Umarł kilka lat temu.

– Co takiego? – Jej gniew cichnie i po raz pierwszy od chwili naszego spotkania Bridget wydaje się zagubiona, bezradna. – To niemożliwe.

– To prawda. Próbowałem go odszukać po tym, jak Louise zapytała mnie o niego, gdy spotkaliśmy się w Norwich. Zginął w wypadku samochodowym w Londynie. Opowiadali nawet o tym w wiadomościach,

ponieważ dorobił się małej sławy. Napisał kilka książek, które odniosły sukces.

– W takim razie kto...

Spogląda na Tima, a potem na mnie, z poszarzałą twarzą.

– Nie wiem, ale to nie był Nathan – odpowiada Tim.

Widać, że nieco opada z sił. Opiera się plecami o ścianę i pociera oczy. Dostrzegam szansę i po początkowym letargu, który nagle mija, ruszam do akcji. Chwytam Henry'ego na ręce jednym płynnym ruchem i biegnę z nim w kierunku wyjścia z domu, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Przebiegam ścieżkę, wyskakuję za bramę. Dopiero kiedy znajdujemy się we w miarę bezpiecznej odległości od domu, stawiam Henry'ego z powrotem na chodniku i oglądam się za siebie, sprawdzając, czy Tim mnie nie goni. Robię to, nie zatrzymując się, ciągnąc małego za rękę. *Lup.* Wpadam prosto na Sama. Chwytam go, trzęsąc się nieopanowanie.

– Tatusiu! – mówi Henry, uśmiechając się. Tost i pociągi poszły w niepamięć.

Sam bierze go na ręce i przytula. Henry oplata go ramionami i nogami.

– Dzięki Bogu – mówi Sam, wtulając się w jego szyję. – Właśnie zamierzałem wejść. Nie mogłem już tego wytrzymać. – Spogląda na mnie nad ramieniem Henry'ego.

– Musimy iść. – Podbiegam truchtem do samochodu.

– Ale co się dzieje? Kto tam był? Czy to... – Milknie.

– Nie. Bridget, mama Marii. Wyjaśnię ci to w samochodzie.

– Bridget? – Stoi nieruchomo na chodniku. Pociągam go za ramię.

– Chodź.

Niezgrabnymi palcami przypinam Henry'ego do fotelika na tylnym siedzeniu samochodu Sama i wdrapuję się na fotel pasażera. Zamykam na chwilę oczy, nadal oszołomiona wyrzutem adrenaliny. Głos Sama wyrывa mnie z tego zawieszenia.

– Louise! Czy z Henrym wszystko w porządku? Zrobiła mu krzywdę?

– Nie. Wydaje się, że wszystko jest dobrze. Był całkiem zadowolony, kiedy go znalazłam.

– Dzięki Bogu. Musi być padnięty. Zabierzmy go do domu. Nad sprawą

Bridget możemy zastanowić się nad ranem.

Opieram głowę o zagłówek. Moje serce w końcu trochę się uspokaja. Teraz, kiedy Henry jest bezpieczny, nic nie wymaga natychmiastowego rozwiązania. Zmierzamy w kierunku głównej drogi prowadzącej z Sharne Bay. Henry od razu zasypia w foteliku. Wpatruję się przez okno w ciemność. Zaczyna padać i moim myślom towarzyszy jedynie rytmiczny dźwięk wycieraczek przesuwających się po przedniej szybie z cichym szumem.

Kiedy wjeżdżamy na A11 i deszcz wciąż wybija jednostajny rytm na szybach, zaczynam drzemać, z głową pod dziwnym kątem, opartą o okno. Zapadam się właśnie w ten rozkoszny stan rozluźnienia, kiedy człowiek wie, że zaraz uśnie, ale nadal jeszcze jest przytomny, kiedy głos Sama sprawia, że się wybudzam.

– Nie mogę uwierzyć, że to Bridget. Co powiedziała? – Wydaje się przestraszony.

– Wini mnie za śmierć Marii. Sophie również, ale głównie mnie. Wiadomości na Facebooku miały nas obie przestraszyć i ukarać za to, jak traktowałyśmy Marię.

– Ale skąd ona wie...

– O ecstazy? Nie wie. Myśli, że Maria popełniła samobójstwo. Dlatego właśnie mnie wini. Za sposób, w jaki ją traktowałam. Nigdy nie chodziło o narkotyki.

– W takim razie nie ma pojęcia, co się tak naprawdę zdarzyło? Zrobiła to wszystko, przeraziła cię nieomal na śmierć, zabierając nasze dziecko, tylko po to, żeby odegrać się na tobie za odrobinę szkolnego nękania? – Wyczuwam rosnący w nim gniew. Zaciska dłonie na kierownicy, aż bieleją mu kostki.

– Straciła dziecko, Sam – mówię ostro. – Żadne z nas nie potrafi sobie wyobrazić, przez co przeszła. – Usiłuję przypomnieć sobie Bridget taką, jaką ją poznałam: uśmiechniętą i pełną nadziei, z tą swoją herbatą i ciasteczkami. Widzę ją jednak taką, jak dzisiaj: z zapadniętymi policzkami, cierpieniem wyrzeźbionym na jej twarzy jak stanleyowskim nożem.

– Wiem, wiem, przepraszam. To przez tę dzisiejszą panikę, kiedy Henry zaginął. Myślałem, że go straciliśmy, Louise.

Wyciągam rękę i kładę ją na jego udzie. Sam przykrywa ją dłonią. Z tyłu Henry porusza się i cicho jęczy. Odwracam się, odsuwając dłoń z uda Sama, i sięgam do tyłu, żeby pogładzić nogę synka.

– Wszystko dobrze, Henry. Śpij dalej.

Wyglądam przez okno, myśląc na głos.

– Problem w tym, że Bridget nie mogła zabić Sophie. Po pierwsze, w ogóle jej tam nie było, a poza tym, nie miałyby na to siły. Sophie została uduszona.

– W takim razie to musiał być Tim – mówi Sam.

– Nie. Przyjechał przed chwilą do domu Bridget. Dopiero co dowiedział się o profilu Marii na Facebooku. Był na posterunku policji, gdzie został o tym poinformowany. On niczego nie wiedział, Sam. Nie miał pojęcia o sprawie. I skąd miałby mieć naszyjnik Marii?

– Cóż, nie wiem, co z naszyjnikiem, ale jeśli chodzi o stronę na Facebooku, przecież nie powiedziałaby niczego innego, prawda?

– Nie sądzę, żeby kłamał.

– Cóż, w takim razie może ma to coś wspólnego z Nathanem Drinkwaterem. – Sam odbija w prawo, żeby wyminąć ciężarówkę.

– Słucham?

– Z Nathanem Drinkwaterem. Powiedziałaś mi na zlocie, że Maria była z nim zaprzyjaźniona na Facebooku, pamiętasz? To on był tym chłopakiem, który miał obsesję na punkcie Marii, prawda? Zanim przeprowadziła się do Sharne Bay? Pamiętam, jak kuzyn Matta Lewisa opowiadał nam o tym przez cały czas. Może ma to coś wspólnego z nim?

– Ale on... – Milknę, nie chcąc dokończyć zdania. Myślę intensywnie. Kiedy na zlocie absolwentów opowiedziałam Samowi o tym, że Nathan Drinkwater był na liście przyjaciół Marii, Sam odparł, że nigdy o nim nie słyszał. Jak mógł o nim wspomnieć, jeżeli nie wie, kim jest Nathan? Powtarzam to wszystko w mojej głowie, żeby się przekonać. Sam nie wie, kim jest Nathan Drinkwater, prawda?

Zamykam znów oczy, ale poczucie odprężenia znika. Mój umysł pracuje

intensywnie, usiłując poskładać wszystkie informacje do kupy, ale wydają się pochodzić z różnych układanek. Powód Bridget, dla którego wysyłała wiadomości na Facebooku jest jasny: chciała, żeby poczuła choćby ułamek jej nieznośnego bólu. Pielęgnowała go w sobie przez te wszystkie lata, pozwalając mu rosnąć i owijać macki wokół pozostałych jej myśli, aby je zadusić, tak że w końcu zwiędły i obumarły i pozostało już tylko to jedno.

Ale Bridget nie zabiła Sophie i nie sędzę, żeby Tim był również sprawcą. Nie było ich tamtej nocy. Widziałam, jak odchodzili, pomimo pragnienia powodującego Bridget – obietnicy uzyskania informacji o swojej zmarłej córce i czegoś jeszcze, namacalnego dowodu. Naszyjnik?

Przypominam sobie Sophie na zlocie, zaśmiewającą się z chłopakami, mówiącą im, że wszystko wie i widzi. A później w panice z powodu wiadomości na Facebooku. Powiedziała mi, że podczas balu absolwentów działa się „różne rzeczy”. Co wiedziała? I co widziała?

Założyłam, że Nathan z Facebooka był prawdziwy i że Bridget odszukała go podobnie, jak to zrobiła ze mną i z Sophie. Ale Bridget powiedziała, że Nathan skontaktował się z nią, a nie odwrotnie. A Nathan Drinkwater nie żyje. Na Facebooku każda osoba może być, kim chce. Łatwo się ukryć za bezimiennym profilem internetowym. Załamana, umierająca matka może podszyć się za swoją nieżyjącą córkę, aby zemścić się na dziewczętach, które wini za zrujnowanie życia jej dziecku. Ktoś jednak przechytrył Bridget w jej własnej rozgrywce. Ktoś inny podszył się pod chłopca, który zmusił Westonów do wyprowadzenia się z ich domu, sprawił, że porzucili dawne życie i rozpoczęli nowe, w małym mieście w Norfolk. Ten ktoś wiedział, że Nathan Drinkwater był jedyną osobą, której osoba udająca Marię nie będzie w stanie zignorować.

Jedziemy w milczeniu przerywanym od czasu do czasu wierceniem się i mamrotaniem Henry’ego na tylnym siedzeniu. Nie śmiem spojrzeć na twarz Sama, na wypadek, gdyby moja twarz zdradziła moje myśli, więc zaczynam wyglądać przez okno. Próbuję dostrzec coś w ciemności poza moim odbiciem, ale nie jestem w stanie ignorować mojej twarzy,

wynurzającej się z mroku, z wielkimi, przerażonymi oczami. Nie mogę uwierzyć, że Sam nie słyszy, jak bardzo bije mi serce.

Powinnam wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny, że rzeczy nie są zawsze takie, jakimi się wydają. To tak, jak kiedy człowiek opowiada o jakimś zdarzeniu, przy którym się było i jego wizja zupełnie nie pasuje do tego, co sam pamiętasz. Może opowiada w ten sposób dla zwiększenia efektu, żeby rozśmieszyć słuchaczy albo komuś zaimponować. Czasami jednak po prostu nie pamięta szczegółów. Dla niego to, co mówi, jest prawdą. I w takim przypadku trudno jest rozstrzygnąć, czy sam pamiętasz prawdę, czy jedynie jej wersję.

Zdaję sobie sprawę, że usiłowałam trzymać się idei Sama jako porządnego człowieka, ponieważ był ojcem Henry'ego, ale okłamał mnie już przedtem i zrobił to bardzo dobrze. Nawet po tym, jak znalazłam esemesa od Catherine na jego telefonie, nadal kłamał, aż wreszcie przestało to być możliwe i wtedy odszedł ode mnie do niej. Wszystkie te kłamstwa, zdrady, liczne sposoby, na które mnie skrzywdził, teraz spadają na mnie, przyduszając mnie. Przypominają mi się te wszystkie chwile, w których przyduszał mnie do łóżka i zabawa przestawała być zabawą – chwile, w których zaciskał dłonie na mojej szyi, realizując marzenie, które nie było moje.

Obejmuję się ramionami, chociaż w samochodzie jest ciepło. Spędziłam tak wiele czasu w ciemności, oszukując nie tylko innych, ale również siebie samą. Teraz jednak drzwi są otwarte. Odrobinę, ale jednak otwarte – i przesącza się przez nie światło.

Rozdział 37

2016

Kiedy Sam parkuje przed moim mieszkaniem, wciskając samochód tyłem w bardzo ograniczoną przestrzeń, myślę tylko o tym, żeby znaleźć się daleko od niego. Moje myśli co chwila zmieniają kierunek i nie jestem w stanie zdecydować, co teraz zrobić i jak rozprawić się z tą dziwną nową rzeczywistością, w której się znalazłam. Koncentruję się na położeniu Henry'ego do łóżka, na tym, jak będzie się czuł, na chwili, gdy zamknę za sobą drzwi wejściowe i będziemy bezpieczni, a ja będę mogła wreszcie pomyśleć.

Gdy tylko Sam zaciąga hamulec ręczny, odpinam pasy i wysiadam z samochodu.

– Dziękuję ci bardzo. Wezmę teraz Henry'ego i położę go spać. Porozmawiamy wkrótce, dobrze? – Mój głos jest piskliwy i brzękliwy, zupełnie nie przypomina normalnego.

– Zaniosę go do domu. Jest bardzo ciężki, kiedy śpi.

– Nie ma potrzeby. – Skrzeczę i chrząkam, żeby oczyścić gardło. – Nie ma potrzeby – powtarzam spokojniej i niższym głosem. – Poradzę sobie.

– Wiem, ale chciałbym ci pomóc.

Zanim zdołam odpowiedzieć, Sam wysiada z samochodu i zaczyna odpinać Henry'ego z fotelika. Bierze go na ręce. Oczy małego otwierają się na chwilę i zaraz się zamykają. Opiera głowę ciężko na ramieniu Sama, który przesuwa sobie syna na biodro i rusza ścieżką do drzwi, bez słowa. Nie mam wyboru, jak tylko pójść za nim, szperając w torbie

w poszukiwaniu klucza.

Otwieram drzwi i odsuwam się na bok, żeby wpuścić Sama z Henrym. Przez kilka szalonych sekund myślę o ucieczce, o wezwaniu pomocy. Ale Sam chyba nie skrzywdziłby syna. Wydaje mi się to jednak idiotyczne. Zresztą, gdzie miałabym pójść? Nie znam żadnego z moich sąsiadów. I kiedy spoglądam na zaspaną twarz Henry'ego nad ramieniem Sama, wiem, że nigdy tak naprawdę nie wchodziło to w rachubę. Wszystko się zmieniło – zupełnie jakby człowiek wszedł do swojej sypialni i zobaczył, że ktoś poprzesuwał nieco wszystkie meble i przedmioty, tak żeby nie były na swoim miejscu. Nie mogę zostawić Henry'ego samego z moim byłym mężem. Nie wiem, do czego Sam jest zdolny. Podążam za nimi i zamykam drzwi wejściowe.

Sam idzie prosto do pokoju Henry'ego i układa go na łóżku. Ostrożnie zdejmuje mu buty i mundurek szkolny, a potem układa go pod kołdrą, ubranego tylko w majtki z Tomkiem i przyjaciółmi. Coś w sposobie, w jaki Sam robi to wszystko, sprawia, że zaczynam się zastanawiać, czy nie zrozumiałam tego po prostu. Osoba, która wie, że nie ma sensu zakładać piżamy naszemu synowi, ponieważ i tak obudziłby się w nocy i ją zdjął, nie może być człowiekiem, który zrobił... nie jestem nawet pewna, co takiego dokładnie. Nie potrafię tego ubrać w słowa, nawet we własnej głowie.

Sam wychodzi, zostawiając drzwi nieco uchylone, jak zawsze.

– Po czymś takim musimy się czegoś napić, nie sądzisz?

Zanim zdołam mu odpowiedzieć, rusza korytarzem prosto do kuchni, otwiera lodówkę i wyjmuje do połowy opróżnioną butelkę wina z półki na drzwiach. Wchodzę za nim.

– Posłuchaj, Sam, jestem zmęczona. Czy możemy się napić innym razem? – „Idź już sobie, proszę cię. Odejdź”.

Sam wyjmuje dwa kieliszki z górnej szafki. Przysięgam sobie, że jutro przeorganizuję całą kuchnię, jeżeli... jeżeli... mój umysł stara się dokończyć to zdanie, ale powstrzymuję się.

– Nie chcę niczego pić. Proszę cię, Sam, chcę po prostu położyć się spać. Napijmy się kiedy indziej.

Podchodzę śmiało, wyjmuję mu kieliszki z ręki i stawiam je na blacie kuchennym.

Wzrusza ramionami.

– W porządku, jeśli tego właśnie chcesz.

Ruszam za nim w stronę wyjścia, nie śmiejąc mieć nadziei, że wszystko prawie się skończyło i że nie zdał sobie jeszcze sprawy, że się wsypał, wspominając Nathana. Jeszcze minuta i zamknę za nim drzwi na klucz, i będę w stanie pomyśleć spokojnie.

Sam kładzie rękę na klamce, przygotowany do pociągnięcia jej w dół.

„Dalej – powtarzam w myślach. Otwórz drzwi”.

Zatrzymuje się i odwraca, spoglądając na mnie. „Po prostu otwórz drzwi”.

– Nie mogę, Louise – głos mu się załamuje. Widzę, jak jego palce na klamce drżą.

– To znaczy? Nie możesz czego? – „Oddychaj. Spokojnie, oddychaj”.

– Nie mogę wyjść. Jeszcze nie. Przepraszam.

– Owszem, możesz. – Usiłuję kontrolować ton mojego głosu, ukryć strach i panikę.

– Nie, nic z tego – z ukłuciem nagłego bólu, który mnie zaskakuje, dostrzegam w jego oczach łzy. W ciągu piętnastu wspólnych lat ani razu nie widziałam, jak płakał. Spuszcza wzrok.

– Wiesz, prawda? Przez to, co powiedziałem w samochodzie o Nathanie Drinkwaterze?

Ja również wbijam wzrok w podłogę, spoglądając na sęki i wzory dębowej klepki, którą wybraliśmy razem, na kurz gromadzący się w rogach przy wycieraczce przed drzwiami.

– Niczego nie wiem – odpowiadam chrapliwie, ponieważ gardło mam tak ściśnięte, że ledwie mogę oddychać.

– Owszem, wiesz, widzę to w twoich oczach. Powiedziałem ci na zlocie, że nigdy nie słyszałem o Nathanie Drinkwaterze i teraz wiesz, że kłamałem. Boisz się mnie. Wiesz. – Nie jest zły. W zasadzie to nigdy nie widziałam go tak potwornie smutnego. Miłość i rozpacz wypisana na jego twarzy sprawia, że wszystko w środku zaciska mi się w bolesną

kulkę. Chwieję się lekko i kręci mi się w głowie.

Sam wyciąga rękę, żeby mnie dotknąć, ale odsuwam ramię gwałtownie. Smutnieje.

– Chodź, usiądź – mówi. – Pozwól mi wytłumaczyć.

Nie czeka na odpowiedź. Wraca do kuchni, powoli, ciężkim, niepewnym krokiem. Zwalniam z wahaniem przy pokoju Henry’ego. Przez szczelinę w uchylonych drzwiach widzę poświatę nocnej lampki. Cicho zamykam drzwi i idę do kuchni na nogach, które ledwie mnie niosą.

Sam wziął butelkę wina z blatu, na którym ją postawiłam. Siedzi teraz przy stole i nalewa alkohol do kieliszków. Gestem zaprasza mnie do zajęcia miejsca obok, więc robię to. Moje ciało jest ciężkie, jakby wypełnione ołowiem.

– Pamiętasz nasze początki razem, Louise? – Zaczyna obracać nóżką kieliszka. – Byliśmy tacy szczęśliwi, prawda?

Zgodziłabym się z nim bez względu na to, co by powiedział, ale to akurat przychodzi mi łatwo. Po raz pierwszy w życiu byłam z kimś, kto wiedział, co robiłam, i nadal mnie kochał. W jakiś sposób zmniejszyło to ciężar mojej winy. Kiedy pocałował mnie przed pubem w Clapham, poczułam się tak lekka jak nigdy.

– Bycie z tobą było taką ulgą. Kochałaś mnie tak całkowicie, tak... niewinnie.

Jego dobór słów wydaje mi się dość dziwny, zważywszy na rzeczy, które robiliśmy razem. Chyba dostrzegł coś w mojej twarzy, ponieważ powtarza:

– To było niewinne, Louise. A może lepszym określeniem będzie „czyste”. To, co robiliśmy razem, robiliśmy z miłości. Pragnęłaś tego tak samo jak ja, prawda? Nigdy cię nie zmuszałem, czyż nie? – pyta niemal błagalnie.

Potrząsam głową. Nie, nigdy mnie nie zmuszał. A może bardziej precyzyjnie, nigdy nie powiedziałam nie. Przeszywa mnie dreszcz. Odrazą miesza się mdląco z resztkami pożądania. Na początku uwolnienie się z więzów przeciętnego seksu, który uprawiałam z poprzednimi partnerami, było swego rodzaju rewelacją. Było coś

w porzuceniu wszelkiej kontroli, poddaniu się, co mnie podniecało i sprawiało, że czułam się wolna. Były jednak chwile, zwłaszcza po urodzeniu Henry’ego, kiedy sprawy posuwały się dużo poza granicę mojego komfortu. Myślałam, że to dlatego, iż zostałam matką, że się zmieniłam, ale nigdy nic nie mówiłam. Nigdy nic nie powiedziałam, ponieważ czułam, jak się ode mnie oddala i nie chciałam mu dawać powodu do odejścia.

– Nie chciałem skrzywdzić Sophie, przysięgam. – Sam obraca kieliszkiem w dłoni. Płyn przelewa się z miejsca na miejsce, niebezpiecznie blisko brzegu.

– Nie, oczywiście, że nie. – W ustach czuję smak zółci. O Boże, co on zrobił?

– Chciałem po prostu, żeby się uciszyła, przestała mówić te wszystkie rzeczy, które ktoś inny mógł przypadkiem podsłuchać. Ale ona nie chciała się zamknąć. Powiedziała, że widziała mnie z Marią na balu absolwentów, zaczęła mnie wypytywać, co się wydarzyło i czy Maria coś powiedziała, albo czy ja jej coś powiedziałem. Powtarzałem Sophie, że nic takiego się nie stało, że zostawiłem Marię w lasku i ostatnim razem, kiedy ją widziałem, była cała i zdrowa.

– O czym ty mówisz? Co masz na myśli? Jak to: zostawiłeś Marię w lasku? Kiedy?

Nie odpowiada, zaczyna tylko obracać kieliszkiem jeszcze gwałtowniej.

– Sam? – Moja potrzeba dowiedzenia się prawdy przewyższa strach. Czy poznam za chwilę odpowiedź na pytanie, które męczyło mnie od szesnastego roku życia? – Czy to ma coś wspólnego z Mattem? – Wspominam świdrujące spojrzenie Matta na zlocie i jego naleganie, żebyśmy wszyscy trzymali buzie na kłódkę. Budzi się nagle we mnie szalona nadzieja, że Sam za chwilę powie mi, iż przez wszystkie te lata próbował tuszować ślady ze względu na Matta.

– Matt? Nie, to nie ma z nim nic wspólnego. Po prostu martwi się, że wyjdzie na jaw, iż załatwiał nam E. – Tracę nadzieję. – To było trudne – ciągnie Sam, odstawiając ostrożnie kieliszek na stół. – Widziałem, jak po tych wszystkich latach jesteś nadal rozdarta z powodu tamtej sprawy.

Wiedziałem, że wystarczy kilka słów, aby położyć kres twojemu poczuciu winy i wstydu. Zdawałem sobie jednak również sprawę, że to oznaczałoby koniec ciebie i mnie. Koniec nas.

Wpatruję się w niego, chcąc i jednocześnie nie chcąc, żeby mówił dalej. Sam bierze moje dłonie, rozkłada je i zaczyna wodzić kciukami po ich wnętrzu. Potem zakrywa nimi twarz, tak, że nie widzę jego oczu, kiedy zaczyna mówić, niepowstrzymanie. Czuję jego gorący oddech na moich dłoniach.

– To nie ty zabiłaś Marię, Louise. Ja ją zabiłem.

Rozdział 38

Louise nie rozmawia z nikim o szczegółach jej pożycia z Samem. Jest zbyt zawstydzona swoją reakcją na bycie zdominowaną, przygwożdżoną, bezradną. Powiedziała Polly, kiedy po narodzinach Henry'ego zrobiło się gorzej, ale nawet jej przyjaciółka nie zna całej historii.

Kiedy Louise była nastolatką i dwudziestokilkulatką, opowiadanie przyjaciółkom o szczegółach swojego życia seksualnego było niezwykle modne – mechanika działania, dziwactwa, odgłosy, wszystko, co poszło nie tak. Nic nie było tabu. Ale potem coś się zdarzyło. Mniej więcej w czasie, kiedy zeszła się z Samem, jej przyjaciółki zaczęły myśleć o małżeństwie i ostatecznie je zawierać. Nagle te intymne rozmowy zanikły. Czy było to dlatego, iż jej przyjaciółki podjęły decyzję i nie mogły się przed nikim przyznać, że sprawy układały się mniej niż idealnie? Nie tak łatwo się śmiać z seksualnych dziwactw kogoś, z kimś zamierzasz spędzić resztę swojego życia. Przystaje to być zabawne.

Rozmowy, w których Louise mogła poruszyć temat swojego własnego pożycia, ostatecznie się skończyły, a ona nie chciała być osobą, która na powrót wprowadzi ten temat do konwersacji. Chciałaby mieć kogoś, komu mogłaby się zwierzyć, sprawdzić, jak bardzo jej życie seksualne odbiegało od normy, zwłaszcza podczas ostatnich kilku lat, kiedy sprawy naprawdę wymknęły się spod kontroli. Czytała obsesyjnie na ten temat, wyszukując w internecie artykułów na temat [BDSM](#) i fantazji o gwałcie, pokrzepiając się artykułami, które twierdzą, że takie zachowanie zawiera się w „normalnym zakresie” fantazji i wpadając

w przerażenie z powodu felietonów, które łączą takie zachowania z rzeczywistą przemocą seksualną.

Zrobiło się jeszcze gorzej, kiedy Sam został pominięty przy awansie, a potem znowu, kiedy urodził się Henry. Myślał, że macierzyństwo wszystko jakoś wyrówna, że stanie się znów najważniejszy. Ale biznes Louise odnosił coraz większe sukcesy, a Sam zostawał w tyle. Ale oczywiście Louise nigdy nie mogłaby zostawić go w tyle. Nie jego – jedyne go człowieka, który ją znał. Gdyby tylko Louise wiedziała, co Sam zrobił, wszystko mogłoby się potoczyć zupełnie inaczej. Kim mogłaby się stać bez wszystkich tych lat, które spędziła na budowaniu wokół siebie muru, aby upewnić się, że nikt się nie przedostanie do środka; bez tych chwil, gdy stała na brzegu klifów lub na mostach, zastanawiając się, jak by to było, po prostu się poddać, zrobić krok do przodu i przestać istnieć?

Sam zawsze czuł potrzebę udowodnienia swojej wartości, tego, że nadal był dominującą siłą w jej życiu. Powinien wiedzieć, że nie musi jej niczego udowadniać, ponieważ kochała go całkowicie – od dni, w których obserwowała, jak flirtuje z Sophie Hannigan w szkolnej stołówce. Louise zawsze uważała, że nie było takiej rzeczy, którą mógł zrobić Sam, żeby przestała go kochać. Absolutnie żadnej.

[15] Ang. Bondage & Discipline (B&D), Domination & Submission (D&S) i Sadism & Masochism (S&M). Odnosi się do szerokiego spektrum działań, które nie są powszechną praktyką w relacjach seksualnych, jak zachowania z zakresu dominacji, dyscypliny, kar, niewoli, fetyszyzmu itp. BDSM jest praktykowany jako odgrywanie konkretnych scen z rytuałami. Nie jest formą molestowania seksualnego, ponieważ odbywa się za zgodą zaangażowanych partnerów (przyp. tłum.).

Rozdział 39

2016

Jestem całkiem zeszywniała. Wciągam brzuch tak mocno, że chyba dzięki temu reszta mojego ciała trzyma się jeszcze w całości. Mogłabym równie dobrze być ze szkła; twardego, gładkiego i chłodnego w dotyku. Jeden ruch mógłby mnie rozbić na kawałki. Siedzę nieruchomo na krześle, nader świadoma, że Henry śpi zaledwie kilka metrów stąd.

– Co się stało? – Pytanie brzmi, jakby zadała je inna osoba, cienkim, słabym głosikiem, który ledwie słyhać w ciszy wypełniającej kuchnię; to pomieszczenie, w którym spędziliśmy razem tyle wieczorów, rozmawiając, jedząc i śmiejąc się. Ostrożnie wysuwam dłoń z jego uścisku i układam je, drżące, na udach.

– Pamiętasz tamtą noc, Louise?

Oczywiście, że pamiętam. Dobrze to wie.

– Byłem miły, prawda? – Brzmi jak Henry, szukając mojej aprobaty. – Na początku? Miałem cię sam na sam w tamtej klasie i mogłem posunąć się dużo dalej, ale wiedziałem, że jesteś przestraszona, więc przestałem. Byłem miły. Pamiętasz to, prawda?

– Tak – niecierpliwe dłonie na zielonej satynie, jego palce wbijające się w moje ciało mocniej i mocniej, jego język w moich ustach, wszystko rozmazane i pełne żaru. A potem ja, samotna w klasie, oparta plecami o chłodną ścianę, przeklinająca się za mój brak doświadczenia i oschłość.

– Pragnęłaś mnie, ale się bałaś. Nie zasługiwałaś na zmuszanie cię, Louise. Jednak później podobały ci się nasze zabawy tak samo jak mi,

prawda? – Znow ten błagalny ton. Kiwam głową. Odruchowe pragnienie polepszenia mu nastroju jest nadal we mnie bardzo silne. – Ale nie byłaś wtedy gotowa. Jeszcze nie.

Pamiętam, jak upokorzona się poczułam, kiedy zostawił mnie w klasie, i z zaskoczeniem czuję odrobinę współczucia dla mojej nastoletniej wersji. Nigdy przedtem nie traktowałam jej z sympatią, wyłącznie z odrazą, wstydem i poczuciem winy.

– Ale Maria, ona była inna. Słyszałem o niej opowieści. Wszyscy słyszeliśmy. O tym, co zrobiła. Nie musiałem się martwić, że coś jej zrobię, bo ona już tego wszystkiego próbowała.

Chcę mu powiedzieć, że to wszystko były tylko kłamstwa, historie wymyślane przez kogoś innego, kto uważał, że może zabrać Marii Weston wszystko, czego pragnie, ale w tej chwili boję się Sama, więc nic nie mówię. Jeżeli pozwolę mu kontynuować, pomogę mu uwierzyć, że cokolwiek zrobił, nie było jego winą, może sobie pójdzie.

– Widziałem, jak wychodzi z sali, potykając się i przytrzymując framugi dla odzyskania równowagi. Zasłaniała usta dłonią. Poszedłem za nią, ścieżką na tyłach szkoły, prowadzącą do lasku. Maria panikowała, nie wiedziała, co się z nią dzieje, musiała wydostać się ze szkoły. Ja chciałem się upewnić, że wszystko jest w porządku. Koniec końców, w przeciwieństwie do niej wiedziałem, co wzięła. Troszczyłem się o nią. – Spogląda na mnie z twarzą pełną niepokoju.

Próbuję przybrać pokrzepiającą minę. Kiwam głową; tak, troszczyłeś się o nią.

– Zanim dotarła do lasku, zobaczyłem, jak się potyka i przewraca, więc zawołałem do niej. Maria odwróciła się, a ja podbiegłem do niej i zapytałem, czy wszystko jest w porządku. I to właśnie widziała Sophie. Ona również obserwowała Marię i poszła za nią, żeby zobaczyć, czy odleciała na ekstazy.

– Sophie widziała Marię tamtej nocy? Nigdy o tym nie wspomniała. – Przypominam sobie moje odwiedziny w mieszkaniu Sophie, to, jak śmiała się z prośby o dodanie do grona znajomych. „Od dziewczyny, która utonęła?”. Jej wystudiowany brak przejęcia musiał maskować

strach i poczucie winy, równie silne jak moje.

– Ja też nie wiedziałem, aż do chwili, kiedy zadzwoniła do mnie po tym, jak ją odwiedziłaś.

– Dlaczego nie powiedziała o tym policji, tamtej nocy?

– Była jak ty, nie sądzisz? – mówi Sam. – Przerazona tym, co zrobiliście i co by się stało, gdyby ktokolwiek się dowiedział. Uznała po prostu, że lepiej będzie nic nie mówić. W końcu to wszystko, co widziała: mnie i Marię, idących w stronę lasu. Kiedy rozmawialiśmy przez telefon przed zlotem absolwentów, myślałem, że przekonałem ją do tego, iż cała rzecz była niewinna i powinna o tym zapomnieć. Potem jednak, na przyjęciu, ciągle wracała do tematu. Była przerażona, wstrząśnięta wiadomościami na Facebooku. Nie chciała zostawić tego w spokoju. Myślę, że naprawdę sądziła, iż Maria jakimś cudem przeżyła i że ja coś o tym wiem. Była pijana i mówiła coraz głośniej i głośniej. Ludzie zaczęli się na nas gapić, zastanawiać, o czym rozmawiamy. Sophie była bliska zrobienia sceny. Musiałem ją stamtąd wyciągnąć.

– Dokąd... – Słowa więzną mi w gardle. Oddycham głęboko i próbuję ponownie. – Dokąd poszliście?

– Powiedziałem Sophie, że przypomniało mi się coś z balu absolwentów, co mogłoby jej pomóc. Zasugerowałem, żebyśmy poszli na spacer po terenie i porozmawiali poważnie. Sophie desperacko chciała usłyszeć odpowiedzi na swoje pytania. Powiedziałem... – Milknie. – Louise, musisz to zrozumieć. Zrobiłem to tylko dlatego, że musiałem chronić moją rodzinę. Nie chciałem, żeby moje dzieci miały ojca w więzieniu. Nie chciałem, żeby ta jedna niewłaściwa decyzja, którą podjąłem w wieku szesnastu lat, zrujnowała im życie. Nie mogłem do tego dopuścić.

Kiwam głową energicznie, zdeterminowana, aby sprawiać wrażenie, że go wspieram.

– Powiedziałem, że moglibyśmy pójść do lasu, bo tam nikt nas nie podsłucha – ciągnie Sam ciszej. – Do tej pory zrobiło się już całkiem chłodno, więc zabraliśmy płaszcze. Włożyłem ręce do kieszeni i poczułem, że mam w nich rękawiczki, więc je założyłem, żeby mieć

ciepłe dłonie, rozumiesz?

O Boże. Biedna Sophie.

– Ruszyliśmy ścieżką w stronę lasu. Nadal miałem nadzieję, że Sophie sobie odpuści. Zastanawiałem się nad tym, co mógłbym jej powiedzieć i co zaspokoiłoby jej ciekawość. Ale potem Sophie zaczęła gadać, że powinniśmy wszystko wyznać policji i... wtedy spanikowałem, Louise. Dlaczego musiała wmieszać w to wszystko policję? Nie mogłem pozwolić, żeby opowiedziała im, że widziała mnie tamtej nocy z Marią, prawda? Nie mogłem dopuścić, aby ta jedna pomyłka zrujnowała resztę życia mi i moim dzieciom.

– Więc... – szepczę, niezdolna do dokończenia zdania.

Sam ukrywa twarz w dłoniach.

– Nie chciałem. Nie miałem tego w planach. Musisz mi uwierzyć, Louise – mówi stłumionym głosem, który z trudem wydostaje się spoza jego palców.

– Ale przez wszystkie te lata... pozwoliłeś mi wierzyć, że to ja jestem odpowiedzialna za śmierć Marii... zachęcałeś mnie, żebym ja również trzymała to w tajemnicy.

Widzę teraz z przerażającą jasnością, jak doskonale odpowiadało to Samowi – utrzymywanie mnie w poczuciu winy, zachęcanie mnie do ukrywania całej sprawy, przez cały czas subtelnie utwierdzając mnie w przekonaniu, że to, co robiłam, oznaczało, iż nikt inny nie mógłby mnie zrozumieć ani pokochać. Sam nie chciał, żeby ktokolwiek zaczął interesować się okolicznościami zniknięcia Marii równie mocno jak ja. Musiał mnie trzymać w pobliżu i upewnić się, że będę milczała w tej sprawie.

Spoglądam teraz na tego mężczyznę, którego kochałam od tak dawna – i nadal – ojca mojego dziecka. Czuję się, jakby ktoś nagle uniósł zasłonę, którą pieczołowicie rozwiesiłam między mną a tym, kim Sam zaczął się stawać po narodzinach Henry’ego. Tak bardzo się starałam udawać przed samą sobą, że wszystko jest dobrze, ale teraz zmuszam się do spojrzenia w oczy prawdzie. Macierzyństwo wcale nie zmieniło mnie w pruderyjną osobę. To Sam się zmienił, nie ja. Nienawidził tego, że

poświęcałam Henry'emu tyle czasu i miłości, był zazdrosny o energię, którą wkładałam w sukces mojej firmy, więc naciskał mocniej, potrzebował więcej. Ciągnął mnie dalej i dalej od fantazji, które odgrywaliśmy razem, gierek, które, bądźmy szczerzy, podobały mi się. Prowadził mnie w kierunku czegoś mroczniejszego, bardziej złowieszczonego. Czegoś realnego. Czy to właśnie stało się z Marią? Czy zrobiła to, czego ja nigdy nie potrafiłam? Czy powiedziała „nie”? Muszę się dowiedzieć. Jestem jej to winna. Czuję, jak więzy łączące mnie z Marią napinają się. Maria zasługuje na to, aby ktoś poznał prawdę o tym, co się jej przydarzyło.

– Co się stało, Sam? Na balu absolwentów? – Usiłuję nadać mojemu głosowi rzeczowy ton, koncentrując się na równym oddychaniu i mówiąc cicho.

– Chciałem ci powiedzieć tak wiele razy, Louise. Musisz mi uwierzyć. Nie mogłem jednak zaryzykować, że utracę ciebie i Henry'ego.

„Ale przecież nas wyrzuciłeś – chcę powiedzieć. – Jeżeli tak bardzo się bałeś, że nas stracisz, dlaczego nas porzuciłeś?”

– Widziałem, jak upada, więc podbiegłem do niej i wziąłem ją za rękę, żeby pomóc jej wstać. Powiedziałem jej, że pospacerujemy przez chwilę, aby trochę otrzeźwiała. Maria panikowała, trzymając się mnie kurczowo. Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Poszliśmy do lasu. Było tam ciemniej, światło księżyca nie docierało do nas pośród drzew. Maria przyłgnęła do mnie jeszcze bardziej w tej ciemności. – Słowa wypływają z niego szybko, jakby czekały schowane w jego ustach przez całe wieki, zamknięte, za wszelką cenę chcące się wyrwać na wolność. – Rozmawiałem z nią o różnych rzeczach. Usiłowałem odwrócić jej uwagę od tego, jak się czuła. Wyszliśmy z lasu i podeszliśmy do krawędzi klifu. Słyszeliśmy huk fal rozbijających się u podnóża skał. Usiedliśmy. Zacząłem delikatnie głaskać ją po włosach. Podobało jej się, zwłaszcza że wszystkie jej zmysły były wyczulone z powodu tego, co jej podałaś. Odchyliła głowę do tyłu, a ja pogładziłem jej szyję z boku, tak jak z tobą wcześniej tej nocy.

Widzę Marię, jej białą szyję odsłoniętą w świetle gwiazd. Księżyc

tańczący na falach, słony smak w powietrzu.

– Odwróciła się wtedy do mnie, z rozszerzonymi źrenicami, i spytała, dlaczego się tak czuje, przecież wcale nie wypła tak wiele. Ja oczywiście wiedziałem, ale nie mogłem jej powiedzieć.

Och, Mario, tak mi przykro. Tak bardzo mi przykro.

– A potem nachyliłem się i ją pocałowałem. Najpierw odwzajemniła mój pocałunek, naprawdę, Louise. Chciała tego. Musisz w to uwierzyć.

Chcę w to wierzyć. Chcę mu wierzyć.

– A potem... leżeliśmy na ziemi, ja na niej, a ona... wrywała się, usiłowała się spode mnie wysunąć, ale ja myślałem... myślałem, że się jej to podobało. Że to była gra. Tak jak z tobą, później, rozumiesz? Tylko udawanie.

Tak jak ja? Tylko że ja straciłam poczucie początku i końca tego udawania.

– Więc kontynuowałem. – Słowa Sama ściągają mnie z powrotem do kuchni, do siebie samej. – Chciała tego. Jestem pewien, że chciała. Te wszystkie rzeczy, które robiła... słyszałaś o tym, prawda? Wszyscy słyszeliśmy. Usiłowała odepchnąć moje ręce, ale to była tylko zabawa. Musiała być, bo w końcu przestała i pozwoliła mi to zrobić.

Myślę o Marii, drobnej, kruchej, z pewnością ważącej nie więcej niż pięćdziesiąt kilogramów, unieruchomionej pod Samem, który już w tamtym czasie miał ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Nie dziwne, że przestała walczyć, osamotniona na klifie, gdzie ryk fal tłumił jej krzyki.

– A potem, po wszystkim, myślałem, że poleży przy mnie przez chwilę, tak jak ja tego potrzebowałem, żeby się pozbierać. Ale kiedy tylko się z niej zsunąłem, wstała, obciągnęła sukienkę i odeszła, zataczając się, w stronę szkoły. Zachowywała się dziwnie. Pobiegnęłam za nią i spytałam, gdzie idzie. Powiedziała, że wraca do szkoły, powiedzieć wszystkim, co jej zrobiłem.

Chociaż ze wzrastającym uczuciem przerażenia domyślałam się, jak musi skończyć się ta historia, mała częśćka mnie cieszy się tym drobnym aktem buntu.

– Co ja zrobiłem, Louise? A co z jej czynami? Poszła tam ze mną. Chciała tego tak samo jak ja. Ale potem zaczęła mówić o nadgarstkach i o ustach, powiedziała, że są ślady i krew. Oczywiście nie chciałem jej skrzywdzić, ale przecież czasem zostają ślady, prawda? Jak na przykład na tobie? Nie oznaczało to, że tego nie chciałaś.

Przypominam sobie dziewczynę, z którą kiedyś pracowałam. Zobaczyła szramę na moim nadgarstku i spytała mnie o nią. Nieprzygotowana, wyjąkałam coś o poparzeniu się piecykiem. Spojrzała na mnie dziwnie i od tamtego czasu mnie unikała.

– Powiedziałem jej, że nikt jej nie uwierzy, nie z jej reputacją, ale ona po prostu odeszła, a potem zaczęła krzyczeć „Gwałt!” na cały głos. Szła w kierunku lasu, wykrzykując to raz po raz. Pobiegiłem za nią znowu i tym razem stanąłem przed nią i chwyciłem ją za ramiona. Powiedziałem, że to nie był gwałt i że powinna przestać wykrzykiwać to słowo, ale ona splunęła mi w twarz, nazwała mnie gwałcicielem i spytała, czy wiem, co robią z takimi w więzieniu.

Chciało mi się płakać, krzyczeć i jednocześnie wychwalać siłę charakteru Marii.

– I wtedy właśnie zrozumiałem, że mówiła to poważnie. Zamierzała o tym powiedzieć, nieważne, w jak złym świetle by ją to postawiło i czy ktokolwiek by jej uwierzył – ciągnie Sam. – A nawet jeśli nie mogliby niczego udowodnić, znalazłyby się osoby, które nigdy nie spojrzałyby już na mnie jak przedtem. To byłby dla mnie koniec, Louise. – Głos mu się załamuje i wygląda, jakby za chwilę miał się rozplakać. – Byłoby to wydarzenie, które zdefiniowało moje życie. Na zawsze zostałbym chłopakiem, którego oskarżono o gwałt. Nie mogłem jej pozwolić, żeby mi to zrobiła, Louise. Nie mogłem dopuścić, żeby zrujnowała mi życie. Rozumiesz to, prawda?

Jestem tak przyzwyczajona do wierzenia mu, do spoglądania na świat jego oczami, że niemal mnie to przekonuje. Jego wersja samego siebie – niewinnej ofiary, fałszywie oskarżonej, potwornie pokrzywdzonej – prawie usypia moją czujność. Ale opowiedział mi to wszystko w nieodpowiedniej chwili. Gdybym dowiedziała się o tym te wszystkie

lata temu, zanim mnie zdradził, a potem porzucił mnie i naszego syna, kiedy jeszcze nadal pozostawałam pod jego urokiem, mogłabym mu uwierzyć i nawet mu współczuć. Może nawet bym zrozumiała. Ale widziałam niewysłowiony ból w oczach matki i złote serduszko na cienkim łańcuszku. Opadły mi klapki z oczu.

– Nie miałem wyboru, musisz mi uwierzyć. Nie mogłem jej pozwolić, żeby chodziła i rozpowiadała takie rzeczy o mnie. Musiałem... musiałem ją... uciszyć.

Och, Mario, wybacz mi. Myślę o Bridget, o bólu na myśl o tym, co jej zdaniem stało się z Marią, wypisanym na jej twarzy. Prawda ją zabije. Ale oczywiście – jak zdaję sobie sprawę, spoglądając na Sama tuż obok mnie – prawdopodobnie nigdy się nie dowie. Myślę o martwym ciele Sophie. Wiem, co dzieje się z ludźmi, którzy wiedzą o Samie zbyt wiele.

– Zabrało mi to dużo czasu, więcej, niż myślałem. – Znów mówi cicho i jeszcze raz przypomina mi się Henry przyznający się do jakiejś dziecięcej zbrodni: podkradnięcia słodyczy z szafki lub zbitcia ozdoby, której miał nie ruszać. – W końcu jednak ucichła. Nie mogłem jej tam zostawić, więc postanowiłem, że spróbuję przerzucić ją za krawędź klifu. Już się wtedy rozpadało i Maria wyslizgiwała mi się ciągle z ramion. Trząsałem się okropnie, a ona była taka ciężka, ale w końcu udało mi się dotrzeć na miejsce i położyć ją na trawie. Wtedy już płakałem, Louise, naprawdę płakałem, więc prawie nic nie widziałem.

Przerywa i wypija spory łyk wina. Kieliszek ślizga mu się w palcach, jego twarz pokrywa cienka warstwa potu.

– Przyklęknąłem koło niej i wtedy zobaczyłem coś, co niemal wszystko odmieniło: jej powieki zatrzepotały. Wciąż żyła.

W moich żyłach kursuje płynny lód. Sam dostał drugą szansę i nawet wtedy jej nie wykorzystał.

– Spojrzałem na morze i pomyślałem o reszcie swojego życia, o tym, jak by to było, gdybym przestał, pobiegł z powrotem do sali i zadzwonił po karetkę. Na początku byłoby w porządku. Mógłbym powiedzieć, że tak ją znalazłem, i wszyscy uznaliby mnie za bohatera. Przez chwilę. Ale potem pomyślałem o minie Marii, kiedy napluła mi w twarz,

i wiedziałem, że pierwszą rzeczą, jaką powie po przebudzeniu, będzie znów to kłamstwo: gwałciiciel.

Chwytam się kurczowo boków krzesła. Wszystkie te lata, które spędziliśmy razem, dzień naszego ślubu, trudy *in vitro*, radość poczęcia dziecka – wszystko to zniknęło. Myślałam, że jego odejście było najgorszą krzywdą, jaką mógł mi wyrządzić: zrujnował wszystko, przekreślił całe nasze przeszłe szczęście, skalał moje wspomnienia naszych wspólnych dni. Jakże bardzo się myliłam.

– Widziałem jej naszyjnik, lśniący w świetle księżyca, jakby do mnie mrugał. Uznałem, że mogłoby to pomóc ją zidentyfikować, jeżeli znajdą jej ciało dużo później... że ciągle tam będzie, wokół... kości jej szyi... – Urywa i zasłania oczy palcami, pocierając je, jakby usiłował wytrzeć to wspomnienie.

– Więc zdjąłem go i włożyłem sobie do kieszeni – ciągnie, nadal przesłaniając oczy.

Mój Boże, Sam miał naszyjnik Marii przez cały ten czas. Gdzie on go trzymał? Wzdrygam się na samą myśl o tym, że mogłam natknąć się na niego przez przypadek, sprzątając w szufladzie lub szukając czegoś na dnie szafy.

– A potem... zepchnąłem ją. Maria... nie widziałem zbyt dobrze, ale usłyszałem plusk, kiedy wpadła do wody. A potem zniknęła.

Pływy musiały mu sprzyjać tamtej nocy. Maria wciąż gdzieś tam jest, teraz już zostały po niej tylko kości – gdziekolwiek spoczywa na dnie morza. Mój Boże, tak bardzo ją zawiodłam!

Sam spogląda na mnie błagalnie.

– Nie mogłem pozwolić, żeby ludzie pomyśleli o mnie te wszystkie rzeczy, prawda, Louise? Nie wiem, czy ktokolwiek by jej uwierzył, ale zła reputacja zostaje, prawda? Nie mogłem egzystować przez resztę życia jako ktoś, kto został oskarżony o gwałt. Nikt nigdy nie spojrzałby już na mnie w normalny sposób.

Wracam myślą do tamtej nocy. Pamiętam, że rozmawiałam z Sophie, z Esther. Pamiętam pojawienie się Bridget i ujawnienie zaginięcia Marii. Zdaję sobie jednak w tej chwili sprawę, że Sama przy tym

wszystkim nie było. Nie było go również wtedy, kiedy tańczyłam, nieświadoma niczego poza pulsowaniem muzyki i chemikaliów płynących w moich żyłach. Nie było go, kiedy zapalono światła; nie było go na zewnątrz, kiedy pan Jenkins prowadził Bridget do gabinetu, żeby zadzwonić po policję. Nie, Sam w tym czasie przemykał się po lasku, w deszczu, przemoczony i ubłocony; biegł przez Sharne Bay, trzymając się bocznych uliczek, dopóki nie dotarł do bezpiecznej kryjówki w swoim małym domu na Coombe Road; zdejmował ubrania i wpychał je do kosza na śmieci, brał prysznic tak długo, aż brązowa woda spłukująca z niego cały brud zrobiła się znów przejrzysta.

Sam wyciąga rękę i gładzi mnie po włosach, oplatając sobie kosmyk na palcu. To mrozące mnie przypomnienie naszej byłej intymności. Siedzę nieruchomo na krześle, desperacko usiłując poskładać myśli.

– Ale... Nathan Drinkwater... Dlaczego?

– Musiałem się dowiedzieć, kto wysyłał te wiadomości na Facebooku. Sophie zadzwoniła do mnie po tym, jak odwiedziłaś ją w jej mieszkaniu. Opowiedziała mi o prośbie od Marii o dodanie do grona przyjaciół na Facebooku i o twojej wizycie. Dlaczego nie przyszedłaś z tym do mnie, nie zwierzyłaś mi się z tego?

Wzruszam ramionami, jakbym nie była pewna, ale wiem dobrze, dlaczego. Próbowалам się upewnić, że jego silne palce nie będą mogły znów sięgnąć w głąb mojego życia. Nie chciałam, żeby podjął rolę mojego powiernika i ponownie przejął kontrolę nad moim życiem. Chciałam rozwiązać ten problem sama.

Przypominam sobie ten dzień z Pete'em w Dulwich Park, o moich mrocznych podejrzeniach, kiedy Esther powiedziała mi, że widziała go z kobietą i dzieckiem. Założyłam tak po prostu, że skoro Pete skłamał mi na temat swojej sytuacji rodzinnej, mógł kłamać również w innej sprawie. Gdybym tylko wiedziała, że szukałam Nathana Drinkwatera w zupełnie niewłaściwym miejscu.

– Pomyślałem, że ktokolwiek założył ten profil na Facebooku, musiał znać prawdę o tym, co zrobiłem. – Sam mówi teraz szybko, jakby czekał na szansę przyznania się. – Musiałem się dowiedzieć, kim jest ta osoba.

Uznałem, że jeżeli tak bardzo zależy im na Marii, że zapoczątkowali tę całą facebookową szaradę, w takim razie nazwisko Nathana Drinkwatera sprawi, że się zainteresują. Kuzyn Matta Lewisa opowiedział nam o Nathanie i nigdy nie zapomniałem jego nazwiska. Oczywiście miałem rację; ta osoba nie mogła się oprzeć wiadomości od Nathana. Po prostu nie wiedziałem aż do dzisiejszego wieczora, że to Bridget. Kiedy „Nathan” powiedział jej, że wie coś na temat wydarzeń z balu absolwentów i ma jej coś do pokazania, czym prędzej zgodziła się z nim spotkać. Nie powiedziałem jej, co to za dowód. Chciałem poczekać i zobaczyć, z kim mam do czynienia, zanim pokażę komukolwiek naszyjnik. To ona zasugerowała spotkanie na zlocie, na tyłach szkoły. Czekałem więc, ale nikt się nie pojawił. Kiedy zdałem sobie sprawę, że nikt nie przyjdzie, wróciłem do środka. Porzucenie naszyjnika w lasku było pomyłką. Nadal nie wiem, jak to się stało. Musiał wypaść mi z kieszeni podczas... szamotaniny. Dopiero po jakimś czasie zorientowałem się, że go nie mam, a wtedy powrót na miejsce, żeby go odszukać, był zbyt ryzykowny.

Wiem, dlaczego Bridget się nie pojawiła. Wpadła na swojego syna, który uznał, że jego matka przyszła tu, aby wszcząć awanturę lub żeby katować się jeszcze bardziej, obserwując rocznik 1989 w dorosłej wersji, i przekonał ją, żeby wróciła do domu. I dzięki Bogu. Z drżeniem zastanawiam się, co Sam zaplanował dla osoby, która miała się pojawić na spotkaniu. W jego mniemaniu to, co zrobił Sophie i Marii, było aktem desperacji, dwiema potwornymi pomyłkami zrodzonymi z czystej paniki pod wpływem chwili. Taki właśnie jest, ten mężczyzna, którego poślubiłam, ojciec mojego dziecka. Aż do tej pory przerażał mnie fakt, iż człowiek, którego tak kochałam, mógł zrobić te wszystkie rzeczy. Ale spotkanie z Bridget zaplanował z zimną krwią. To nie była żadna pomyłka, chwilowe szaleństwo. Widzę go teraz, stojącego w świetle prawdy, odcinającego się na jej tle niczym surowa plama uczucia ulgi. I boję się – nie tylko tego, kim jest i co zrobił. Boję się tego, co zamierza zrobić.

Rozdział 40

2016

Moje całe ciało jest napięte niczym łuk gotowy do wypuszczenia strzały. Każda cząstka we mnie jest zmobilizowana, czujna, nie tylko usiłując obmyślić mój następny krok, ale jednocześnie nasłuchując z przerażeniem, czy Henry przypadkiem się nie obudzi i nie przyjdzie tu, zastając scenę, której nigdy nie będzie mógł się pozbyć z pamięci. Nie śmiem nawet myśleć o innej możliwości – takiej, w której nigdy nie będzie miał szansy pamiętać lub nie. Z Henrym śpiącym w swoim pokoju Sam ma mnie tutaj uwięzioną równie skutecznie, jak gdyby przywiązał mnie do krzesła żelaznymi okowami.

Sam wysuwa palce z moich włosów i z wysiłkiem powstrzymuję się od grymasu odrazy, kiedy przesuwa szybko dłonią po moim policzku.

– Pamiętam, jak to było na początku naszej znajomości – mówi. – Czasami budziłem się w nocy i znajdowałem cię wpatrującą się we mnie, jakbyś chciała na zawsze wyryć obraz mojej twarzy w swej pamięci. Bycie z tobą było takie proste, zwłaszcza po tamtych latach. Nikt nigdy nie patrzył na mnie w taki sposób co ty, nikomu na mnie tak nie zależało. Byłem centrum twojego świata. I byliśmy szczęśliwi, prawda? Ale nie mogę udawać, że pojawienie się Henry’ego niczego nie zmieniło. Zostałem odsunięty z centrum, zastąpiony. Pozostawiony gdzieś na obrzeżach, z których mogłem tylko zaglądać do wewnątrz. Kochałem Henry’ego, oczywiście, że tak, ale nie podobało mi się to, co robił z tobą, z nami.

Po raz pierwszy tej nocy w moich oczach pojawiają się łzy. Wiedziałam, że po narodzinach Henry'ego wszystko się zmieniło. Po upłygnięciu obowiązkowych sześciu tygodni Sam spodziewał się, że sprawy łózkowe powrócą do normy. Tylko że to, co chciał robić, nie było normalne nawet jak na nas. Zupełnie jakby ktoś przełączył coś w jego mózgu i zabawy, które odgrywaliśmy wcześniej, przestały mu wystarczać. Jakby iluzja krzywdzenia mnie już go nie satysfakcjonowała. Chciał widzieć prawdziwy strach w moich oczach.

– Nie obwiniaj Henry'ego – szepczę.

– Nie obwiniam go – odpowiada po prostu. – Obwiniam ciebie.

Nie mogę powstrzymać się od drżenia. Przysiadam na moich dłoniach, ponieważ nie jestem w stanie przewidzieć, co zrobią. Nie mogę krzyczeć, bo wtedy mogłabym obudzić Henry'ego, a nawet gdyby tak się stało, co wtedy? Czy ktokolwiek by mnie usłyszał? Co z milczącą Marnie na górze? Czy zadzwoniłaby po policję? A może po prostu chwyciłaby pilota i włączyła telewizor?

Sam odsuwa krzesło ze zgrzytem. Krzywię się, nasłuchując rozpaczliwie odgłosów z sypialni Henry'ego. Nic. Tylko cisza. Sam wpatruje się przez okno balkonowe w ciemność.

– O Boże, o Boże. – Zaczyna lekko uderzać czołem o szybę. – Dlaczego musiałem wspomnieć o Nathanie?

Uderza mnie wspomnienie innego razu: kiedy Sam posunął się za daleko. Naprawdę mnie skrzywdził i zdawał sobie z tego sprawę. Stał wtedy tam, gdzie teraz – skruszony, błagający, żebym mu wybaczyła. Oczywiście zrobiłam to. Nie wiedziałam wtedy, kim mogłabym być bez niego i czy w ogóle bym istniała.

– Możesz udąć, że tego nie zrobiłeś – wyrywa mi się. – Nic nie powiem. Po prostu idź już sobie. Nigdy nikomu nie powiem, przysięgam. Proszę, Sam. Co z Henrym?

Odwraca się do mnie ze łzami w oczach.

– Zaopiekuję się Henrym. Kocham go tak samo jak ty. Chyba nie myślisz, że mógłbym go skrzywdzić, co?

Nie chcę tak myśleć, ale nie wiem sama: w tej chwili niczego już nie

wiem.

– Henry mnie potrzebuje, Sam. – Wyciągam drżące ręce spod ud i chwytam brzeg stołu. – Dzieci potrzebują matki.

– Nic mu nie będzie, podobnie jak mi – odpowiada, ale w jego głosie nie ma żadnych uczuć. Jego oczy spoglądają w ciemność, w której nic nie widać. Wiem, że jest teraz bardzo daleko, w tym zaniedbanym małym domku z laminowanym stołem kuchennym pełnym dziur wypalonych papierosami.

Myślę o tym, jak Henry budzi mnie co rano, przysuwając twarz tak blisko, że kiedy się budzę, widzę tylko jego oczy, rozmazane, nieostre, jego rzęsy łaskoczą mnie i czuję jego gorący oddech na mojej twarzy. Myślę o tym, jak wchodzi mi do łóżka, wtulając swoje małe, rozgrzane ciało we mnie, kuląc się, jakby chciał wrócić tam, skąd przyszedł, do mojego łona. „Ja i Henry kiedyś byliśmy jednością”, chcę powiedzieć Samowi. „Może wyglądamy jak dwoje ludzi, ale tak naprawdę jesteśmy jednością”.

Sam podchodzi powoli z powrotem do stołu i siada obok mnie, przesuwając krzesło tak, że siedzimy teraz, stykając się kolanami. Zamyka oczy i gładzi moje włosy najpierw jedną, a potem obiema rękoma. Zaczynam dygotać i czuję, jak ślina napływa mi do ust.

– Przepraszam, tak bardzo cię przepraszam – mówi niemal szeptem, nadal nie otwierając oczu. Przysuwa usta do moich włosów i całuje je, wdychając mój zapach. Siedzę nieruchomo, oddychając gwałtownie. Czuję, jak krew krąży w moim ciele, wpływając we wszystkie zakamarki, aż po same koniuszki palców. Ręce Sama przesuwają się po moich włosach, wygładzając je, tak jak to robił, kiedy leżeliśmy w nocy w łóżku, a ja zasypiałam pod wpływem kojącego rytmu jego głaskania. Powinnam uciec, walczyć, zrobić coś – cokolwiek, a tymczasem ze strachu tkwię w katatonii. Potworny szok w powodu tego, co się wydarzyło, w połączeniu ze znajomym dotykiem jego rąk, delikatnym, lecz jednocześnie pełnym koszmarnych intencji, sparaliżował mnie całkowicie.

– Musisz być cicho, Louise. Proszę, proszę cię, bądź cicho – mruczy mi

we włosy i czuję, że spogląda niepewnie w stronę pokoju, w którym spokojnie śpi nasz syn.

Jego dłonie przesuwają się teraz niżej. Usta nadal przyciska do moich włosów. Jego palce zaciskają się na mojej szyi. Dziwne odrętwienie zaczyna mijać, ale jest już za późno. Już mam trudności z oddychaniem, jego palce zaciskają się mocniej i mocniej. Ciszę, w której uwięźliśmy ze względu na naszą miłość do Henry'ego i pragnienie, aby oszczędzić mu tego widoku, przerywa tylko dźwięk moich płytkich rozpaczliwych oddechów. Bezskutecznie skrobię palcami jego dłonie, usiłując wsunąć je pomiędzy moją szyję a jego rękę, ale nie ma miejsca. Palce Sama zaciskają się coraz mocniej.

– Ciiii – szepcze w moje włosy. – Nie obudź Henry'ego.

Rozpaczliwie ciągnę za jego palce, ale jest zbyt silny. Czuję, jak powoli odpływam, otoczona cieniami wszystkich tych przeszłych chwil, gdy czułam jego dłonie na mojej szyi, podczas naszych zabaw. Nigdy przedtem nie zaciskały się tak mocno. Nigdy przedtem nie byłam tak blisko ciemności.

Czuję pod sobą solidny kształt krzesła, dokładnie taki sam jak rano, kiedy jadłam tu śniadanie. Nieumyte naczynia nadal stoją na brzegu stołu: dwa talerze pełne okruchów z tostów, jeden kubek z cienką warstwą niedopitej zimnej herbaty, szklanka pełna tłustych odcisków palców, z odrobiną soku jabłkowego na dnie. Czy to ostatnia rzecz, którą dane mi będzie widzieć przed śmiercią?

Nie mogę oderwać dłoni Sama od mojej szyi, więc przestaję próbować. Zamiast tego zaczynam macać rękami na oślep, usiłując znaleźć coś, cokolwiek, co mogłabym wykorzystać do uwolnienia się od niego. Coraz trudniej i trudniej jest mi nabierać powietrza do płuc, za każdym oddechem robi się coraz gorzej. Odchodzę, czuję to: nie zostało mi już dużo czasu. Wszystko zaczyna mi się powoli rozmywać na granicy pola widzenia i kuchnia, w której co wieczór siadam z Henrym, gdy opowiada mi o swoim dniu, rozmazuje mi się przed oczami, zmieniając się w mgłę bólu i strachu. Och, Henry. Moje dłonie natrafiają na blat kuchenny za plecami. Szukam po omacku, z nadzieją na znalezienie czegokolwiek, co

mogłabym użyć do uderzenia Sama albo przynajmniej przestraszenia go na tyle, żeby mnie puścił, ale niczego tam nie ma. Moje dłonie chwytają powietrze.

– Ciiii – szepcze znów Sam, z ustami przy moim uchu, pieszcząc je delikatnie. Usiłuję powiedzieć „proszę”, ale nic nie wydobywa się z mojego gardła, a Sam i tak nie patrzy na moje usta. Jest pogrążony w świecie, w którym to, co robi, jest w porządku, w którym to tylko jedna z naszych gier, jego sposób na okazanie mi miłości.

– Wszystko jest dobrze, Louise, tylko bądź cicho, ciiii. Wszystko będzie dobrze.

Ale ja spędziłam zbyt wiele lat, milcząc. Zbyt długo udawałam, że wszystko jest w porządku, przemalowując ostatnie kilka lat naszego małżeństwa na jaskrawe kolory. Kiedy krąg ciemności zaczyna powoli pochłaniać skraj kuchni, przestaję się martwić tym, że Henry mógłby się obudzić. Liczy się tylko pozostanie przy życiu. Zbierając resztkę sił, kopię nogami, ale niczego przede mną nie ma. Po prostu wymachuję nogami w powietrzu. Próbuje jeszcze raz i tym razem moja stopa napotyka na nogę krzesła. Wsuwam nogę pod siedzenie i kopię z całych sił. Rozlega się potworny huk, kiedy krzesło upada na podłogę.

Uścisk dłoni Sama na mojej szyi rozluźnia się. Widzę znów przed sobą jego twarz, spojrzenie pełne paniki. Przez kilka sekund oboje jesteśmy zawieszani w czasie, a potem słyszymy ciche wołanie z sypialni.

– Mamusiu?

Przywołując resztkę sił, zrywam się z mojego krzesła, odpycham dłonie Sama. Czuję, jak jego ramiona opadają bezwładnie. Biegnę do sypialni Henry’ego, zamykam z hukiem drzwi i opadam na podłogę, opierając się o nie plecami, z kolanami pod brodą.

– Wszystko jest w porządku, H. Idź spać – szepczę, ale on już zamknął oczy. Hałas upadającego krzesła obudził go tylko na chwilę.

Słyszę kroki Sama zbliżające się na korytarzu i zamykam oczy, czując tylko twardą powierzchnię drzwi pod plecami i miękką dzianinę niebieskiego dywanu pod palcami. Wdycham zapach pokoju Henry’ego: proszku do prania, plasteliny i nikłego, lecz nie do pomylenia zapachu

mojego syna. Byłam w tym pokoju tyle razy, w ciemności, tak jak teraz, pochylona nad łóżeczkiem, starając się zachować ciszę i nie obudzić Henry'ego, bo to oznaczałoby, że będę musiała rozpocząć proces usypiania go od nowa. Wspominam wszystkie te długie godziny, które spędziłam, siedząc obok niego z dłonią na jego plecach, marznąąc coraz bardziej, przerażona na myśl o tym, że odsunięcie mojej ręki sprawi, iż Henry obudzi się i zacznie płakać. Wydaje mi się to teraz zupełnie innym życiem – egzystencją, w której dziwnie obca mi kobieta układała swoje dziecko do snu i wracała do łóżka, w ciepłe objęcia swojego kochającego męża. Bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnę teraz podejść do Henry'ego, utulić go, ale nie śmiem oderwać się od drzwi. Blokuję wejście sobą, gotowa na przytrzymanie ich całą swoją siłą.

Odgłos kroków cichnie i czuję nacisk na plecach, kiedy Sam usiłuje delikatnie otworzyć drzwi. Przygotowuję się; opieram stopy płasko na ziemi i odchylam się, napierając na drzwi. Zamykam oczy. Czuję słoność w ustach od łez spływających niekontrolowanie po moich policzkach. Stopy Sama rzucają cień w szczelinie pod drzwiami, oświetlonymi nocną lampką.

– Proszę, Sam – mówię chrapliwie, nie poznając swojego głosu. Nacisk się zmniejsza, ale cień stóp pozostaje. – Proszę, nie rób tego. Kochasz Henry'ego. Wiem, że go kochasz – mówię cicho, nie spuszczając oczu z małej, uśpionej sylwetki na łóżku po drugiej stronie pokoju, wyglądając najmniejszego znaku, czy się nie budzi. – Wiem, jak okropnie się czujesz, będąc z dala od niego, nawet na tydzień. Henry bardzo cię kocha. Kocha dobrego człowieka w tobie, podobnie jak ja go kochałam. Nadal kocham. Pomyśl, jak ty się czułeś, dorastając bez mamy. – Rozpacz mnie ośmiela. Sam nigdy nie opowiada o tych wszystkich latach, kiedy nie widywał swojej matki ani nawet o niej nie słyszał. – Nie każ Henry'emu wieść takiego samego życia. Nie pozwól, żeby dorastał beze mnie. On ci ufa, Sam. Pomyśl o tym, jak na ciebie patrzy, jak chwyta cię za rękę, kiedy razem idziecie ulicą. Jak obejmuje cię nie tylko ramionami, ale też nogami, kiedy bierzesz go na ręce.

Muszę wykorzystać absolutnie wszystko.

– A co z Daisy i Catherine? Wiem, że je również kochasz. Nie rób im tego. Nie pozwól, żeby ojciec Daisy był tą osobą. Proszę, Sam, proszę cię... – Głos mi się załamuje, jest chrapliwy, gardło mnie piecze.

Siedzę w milczeniu. Mijają kolejne sekundy. Po minucie, może dwóch, cień spod drzwi znika i znów słyszę odgłosy kroków. Nie mogę się jednak zorientować, w którą stronę się oddalają. Czy Sam wrócił do kuchni, czy poszedł w kierunku drzwi wejściowych? Nie śmiem otworzyć sypialni Henry’ego, żeby sprawdzić. Nie śmiem poruszyć się z mojej pozycji na podłodze, przerażona, że w każdej chwili znów mogę poczuć nacisk drzwi na plecy i tym razem nie będę w stanie nic na to poradzić. Dlatego siedzę tu, bez ruchu, drżąc. Mija godzina za godziną, a ja wciąż opieram się o drzwi, od czasu do czasu prostując zeszywniałe nogi. Pamiętam, że kiedyś zasnęłam na podłodze w tym pokoju, kiedy Henry był malutki. W tamtym czasie nie sypiał dłużej niż dwie godziny naraz, ale tej nocy przespał ciągiem od północy do piątej nad ranem, kiedy to zerwałam się z podłogi, przerażona, zmarznięta i zeszywniała, i zobaczyłam, że w tym czasie Henry po raz pierwszy przewrócił się sam z pleców na brzuch. Twarz miał odwróconą w drugą stronę i w mroku poranka widziałam tylko zwitek kocyków. Przez kilka chwil byłam absolutnie pewna, że Henry przestał oddychać, zadusił się na śmierć, kiedy ja leżałam na podłodze obok.

Dzisiejszej nocy jednak nie będę spała. Czuwam, dopóki przez szczeliny w kolorowych, malowanych w pociągi zasłonach nie zaczyna się przedzierać szare światło poranka i widzę, jak mały zaczyna się kręcić. Nie możemy się tu ukrywać bez końca, więc wstaję i podchodzę do łóżka, kładę się obok Henry’ego, czując jego ciepłe, nabite ciało w moich ramionach.

– Czy już pora na śniadanie? – pyta zaspanym głosem, obejmując mnie za szyję.

– Tak. Już pora. Tost z dżemem? – pytam na tyle normalnie, na ile potrafię. Każde wypowiedziane słowo przechodzi mi przez gardło niczym łyk szklanych okruchów. – Chcesz, żebyśmy dziś wyjątkowo zjedli śniadanie w łóżku?

Uśmiecha się szeroko i puszcza mnie, zaczynając układać swoje zabawki pluszowe, przygotowując miejsce do posiłku. Wstaję i ruszam w stronę drzwi. Zastygam z ręką na klamce, zastanawiając się, co mnie czeka po drugiej stronie i czy jest to moment, w którym życie Henry'ego zmieni się na zawsze, nieodwołalnie zrujnowane. Bardzo powoli otwieram drzwi, w całkowitej ciszy. Wyglądam na skąpany w słabym świetle korytarz, najpierw w lewo. Drzwi kuchenne są lekko uchylone. Spoglądam w prawo, w kierunku wyjścia, które jest zamknięte. Mieszkanie wygląda tak samo, ale ja czuję się w nim zupełnie inaczej. Nie jest już bezpiecznym miejscem, moim domem. Nie wiem, co może czaić się za rogiem, ukrywać w cieniu.

Idę korytarzem, wahając się krótko, zanim docieram do drzwi prowadzących do dużego pokoju. Oddycham głęboko i otwieram je szeroko, wchodząc do środka. Pokój jest pusty, dokładnie taki, jakim go zostawiłam. Robię to samo z moją sypialnią, gdzie idealnie posłane łóżko jest niezbitym dowodem na to, że ostatnia noc zdarzyła się naprawdę. Następna jest łazienka, również pusta. Z progu widzę moją twarz odbitą w lustrze wbudowanym w drzwi szafki. Mam ziemistą cerę, podkrążone oczy i przekrwione białka. Coś porusza się za mną i odwracam się szybko, z trzepotem serca, ale nic nie widzę. To tylko błysnięcie promieni słonecznych, które przenikają przez żaluzje, odbijając się na ścianie za moimi plecami.

Na palcach skradam się w stronę kuchni. Oddycham ciężko i zastanawiam się, jakich obrażeń doznałam, jednocześnie starając się oddychać jak najciszej. Kiedy sięgam do drzwi, żeby je otworzyć, nagły hałas sprawia, że krzyczę cicho i odskakuję. Sekundę później orientuję się, że to tylko glicynia stukająca o okno balkonowe pod wpływem wiatru. Butelka wina i dwa kieliszki stoją porzucone na stole, a krzesło, które przewróciłam kopnięciem, nadal leży na podłodze. W świetle poranka kuchnia jest pełna cieni, ale Sama nie ma.

Podnoszę krzesło drżącymi rękami i wylewam wino z kieliszków do zlewu. Kiedy to robię, słyszę odgłosy dochodzące mnie z korytarza. O Boże, nie! Wybiegam, cała sprężona do walki, ale to tylko Henry

wychodzi z pokoju i idzie do łazienki. Oddycham głęboko, biorąc się w garść. Potem, gdy Henry jest w łazience, szybko podchodzę do drzwi wejściowych i zamykam je na oba zamki, dodając jeszcze łańcuch na wszelki wypadek.

Wracam do kuchni, napełniam czajnik, wydaję kilka kromek z chlebaka i wkładam je do opiekacza. Przygotowuję dżem i masło, talerz i nóż, przez cały czas wpatrując się w moje własne dłonie, jakby należały do kogoś innego.

Kiedy tost Henry'ego jest już gotowy, zabieram go wraz z telefonem i kubkiem herbaty do jego pokoju. Sadowię się na łóżku obok niego, ostrożnie, żeby nie zmienić ułożenia jego śniadających misiów.

– Dziękuję, mamusiu – mówi Henry z typową dla siebie powagą.

– Nie ma za co – odpowiadam, popijając herbatę i przyciągając go bliżej. Jestem wdzięczna ponad wszelką miarę, że mój syn nie ma pojęcia, co się tu wydarzyło ostatniej nocy, ale jego niewinność, ślepa wiara w szczęśliwość własnego życia – i mojego – łamie mi dzisiaj serce.

Stukam palcem w telefon, nie trafiając w klawisze, a Henry pieczołowicie rozrywa tost na małe kawałeczki, częstując każdym z nich swoje misie. Kilka minut później mój telefon brzęczy i chociaż wiem, że Bridget już więcej do mnie nie napisze, żołądek i tak ścisną mi się w odpowiedzi na ten dźwięk.

Dwadzieścia minut później, kiedy stoję przy zlewie, splukując okruchy tosta z małych plastikowych talerzyków, rozlega się dzwonek do drzwi. Powoli podchodzę do nich, wycierając dłonie w ścierkę.

– Kto tam? – pytam z trudnością, ochryłym głosem.

– To ja – odzywa się żeński głos.

Na poły podbiegam do drzwi, mocując się z łańcuchem i zamkami. Wreszcie udaje mi się je otworzyć i widzę Polly z rozwianymi, nieuczesanymi włosami, w pizamie, na którą narzuciła swój za duży puchowy płaszcz. Spogląda na mnie, na moją ziemistą skórę, przekrwione oczy i niewyraźne ślady na szyi.

– O mój Boże – obejmuje mnie mocno. Nogi uginają się pode mną i opadam na nią, szlochając z ulgi, wreszcie mogąc sobie pofolgować.

Rozdział 41

2016

Oszroniona trawa chrzęści nam pod stopami, kiedy idziemy przez Dulwich Park w ten słoneczny zimowy dzień. Henry trzyma mnie mocno za rękę. Robi tak od czasu, kiedy usłyszeliśmy nowiny. Powiedziałam mu tylko, że tatuś musiał na jakiś czas wyjechać, chociaż słowa więły mi w gardle. Henry zdaje się jednak wyczuwać, że coś jest nie tak, i nie wypytuje mnie o żadne szczegóły. Dopytuje się za to o swoją siostrę, więc staram się zebrać na odwagę i spotkać z Catherine. Domyślam się, że mamy ze sobą wiele wspólnego.

Minęły dwa tygodnie, od kiedy wynurzyłam się z pokoju Henry'ego i Sam zniknął. Tamtego dnia siedziałam przy stole kuchennym z Polly, czekając na przybycie policji, pijąc herbatę i powoli rozluźniając się, czując powracające we mnie ciepło. Henry podśpiewywał coś, fałszując w dużym pokoju, przy akompaniamencie swojskiego stukania jego pociągów. Polly i ja rozmawiałyśmy. Opowiedziałam jej rzeczy, o których nie mówiłam nikomu – o Marii, o mnie i o Samie, o tym, co mi robił, na co mu pozwalałam i jak przez to się czułam. Miałam wrażenie, że między mną a moją przyjaciółką coś się zmieniło – może wyrosła jakaś bariera, której przedtem tam nie było. Jednak w miarę rozmowy zdałam sobie sprawę, że jest wręcz przeciwnie: mur – ten, który ja wznosiłam za każdym razem, gdy się z nią widywałam, teraz został wreszcie zburzony. Polly może teraz zobaczyć mnie całą.

Siedziałyśmy w odprężającej ciszy, gdy rozległ się dzwonek do drzwi –

przenikliwe przypomnienie, że nie mogę zostać tu, bezpiecznie ukryta z Polly w mieszkaniu na zawsze. Komisarz Reynolds zachowywała się jak zwykle bardzo profesjonalnie, chociaż z pewną dawką troski, której poprzednio u niej nie widziałam. W przeciwieństwie do naszych wcześniejszych spotkań, tym razem słowa wylewały się ze mnie jak rzeka. Opowiedziałam jej absolutnie wszystko. Komisarz stwierdziła, że zważywszy na upływ czasu i niedawne kroki Sama, nie sądzi, aby moje czyny zostały wykorzystane przeciwko mnie, czy to w powiązaniu ze śmiercią Marii, czy z powodu nieujawnienia sprawy z wiadomościami na Facebooku. Nie spytałam, czy Reynolds zamierza powiedzieć Bridget i Timowi o moim udziale w wydarzeniach z tamtej nocy 1989 roku. Profil Marii na Facebooku zniknął i ani jedno, ani drugie nie skontaktowało się ze mną od dnia, w którym uciekłam z domu Bridget ku, jak wtedy sądziłam, bezpieczeństwu.

Reynolds ma również dla mnie nowiny: jakiś spacerowicz idący ścieżką nad brzegiem morza jakąś godzinę temu zgłosił, że widział samochód Sama pozostawiony w pobliżu klifów w Sharne Bay. Było to na końcu wyboistej, niemal nieprzejezdnej drogi wiodącej od głównej szosy, obok przyszkolnego lasu w okolicy klifów. Kierowca wjechał w drzewo i porzucił samochód z przednim zderzakiem owiniętym wokół drzewa i okruchami szkła z osłony świateł rozrzuconymi dookoła.

Nie mogę się powstrzymać od wyobrażania go sobie, jadącego w ciemności po wyboistej ścieżce, mijającego las. Czy myślał wtedy o Sophie, czy o Marii? A może o Henrym i Daisy? Albo o Catherine i mnie. Od kiedy otrzymałam prośbę od Marii o dodanie mnie do grona znajomych, pytanie, co rzeczywiście się z nią stało, pochłonęło mnie bez reszty. Teraz nie muszę już spekulować, ale zapłaciłam za tę wiedzę ogromną cenę. Może na to właśnie zasługiwałam.

Henry pociąga mnie za rękę, prowadząc w kierunku placyku zabaw dla dzieci. Przypominam sobie moją ostatnią wizytę w tym parku i usiłuję nie wspominać Pete'a i naszej rozmowy w zeszłym tygodniu. Musiałam wykorzystać każdą najmniejszą kroplę odwagi, żeby do niego zadzwonić, ale wiedziałam, że należą mu się przeprosiny. Chciałam oczyścić

atmosferę między nami, żeby móc zacząć od początku. Najpierw rozprawiłam się z przeprosinami, ale Pete był zaskoczony, kiedy spytałam go o żonę i dzieci. Nie zrobiłam tego celowo; po prostu chciałam dać mu do zrozumienia, że wiem i że nie mam z tym problemu. Nic, co zrobił, z pewnością nie przewyższało tego, co zrobiłam ja, i wiedziałam, że nie mam prawa kogokolwiek osądzać. Chyba nie mógł się zdecydować, czy się na mnie zezłościć, czy roześmiać się z tego, że tak szybko i łatwo wyciągnęłam wnioski, podczas gdy owa kobieta, którą widziała z nim Esther, była jego siostrą, a dziecko było jego siostrzenicą.

Na placu zabaw Henry wskakuje na karuzelę, a ja ją popycham, obserwując jego poważną twarzyczkę, która przemyka mi przed oczami raz po raz. Jest tak bardzo podobny do swojego ojca – ciągle przypominam mi, co straciłam. Oczami wyobraźni widzę Sama, tak pięknego w wieku szesnastu lat, z ciemną blond czupryną wpadającą mu w oczy. Widzę go, jak z wysiłkiem przemierza ścieżkę, z bezwładną Marią w ramionach. Taki popularny, taki pewny siebie. Co takiego w nim tkwiło, że przekroczył tę niewidzialną granicę, i to nie raz? Wszystkie te lata wspólnego życia – powinnam chyba być w stanie to dostrzec? Nie sądzę jednak, że bym kiedykolwiek postrzegąła go wyraźnie. Moje oczy były przesłonięte historią, wstydem i miłością.

Myszę o ostatnich chwilach Marii, o tym, jak bardzo musiała być przerażona; o Bridget i jej całym życiu nieodwracalnie zniszczonym. Spowiedź Sama wcale mnie nie rozgrzesza. Nadal robiłam to, co robiłam Marii. Odegrałam swoją rolę w całym tym wydarzeniu i nigdy nie będę w stanie za to odpokutować. Nie mogę jednak przeżyć reszty życia w cieniu. Mam powód, żeby żyć dalej, iść w stronę światła, a on jest tutaj, wiruje przed moimi oczami, z policzkami zarumienionymi od mroźnego grudniowego wiatru.

Henry wyciąga ręce, chcąc, żebym zatrzymała karuzelę. Kiedy ruszamy w stronę huśtawek, jego odziana w rękawiczkę rączka wślizguje się w moją dłoń.

– Mamusiu.

– Tak?

– Gdzie jest tatuś?

– Powiedziałaś ci już, prawda? Musiał na jakiś czas wyjechać, do pracy.

– Ale gdzie on pojechał?

Widzę w przyszłości ponury dzień – dzień, w którym będę musiała mu powiedzieć, kim był jego ojciec. Sam został opisany w gazetach i w internecie. Nigdy nie będę w stanie ukryć tego przed Henrym. Ale póki co pozwolę mu zachować swoją różowolicą, niemożliwą niewinność skrytą pod czapkę z pomponem.

– Niedaleko. Musi po prostu popracować przez jakiś czas, to wszystko. Chcesz się napić gorącej czekolady?

Henry podskakuje z zachwytu. Łatwo w tej chwili odwrócić jego uwagę, ale nie zawsze tak będzie, podobnie jak nie zawsze będę w stanie zatrzymać go przy sobie. Przyjdzie dzień, gdy będę musiała mu pozwolić pójść do szkoły samodzielnie albo wybrać się na basen z przyjaciółmi. Oskarży mnie wtedy o nadopiekuńczość i będzie miał rację, podobnie jak ja mam swoje powody po temu.

Tłumaczę sobie, że Sam zniknął, ale nadal czuję jego dłonie na mojej szyi, czuję go gdzieś głęboko w moim wnętrzu, niczym pasożytniczego robaka, zakopanego w najmroczniejszym, najgorszym zakamarku mojej duszy. Mógłby być na dnie oceanu albo tutaj, w parku, obserwując nas przemierzających trawnik. Może nigdy się nie dowiem i być może będzie to moja prawdziwa kara za to, co zrobiłam Marii. Nie wiadomości od Bridget, nie owa noc w mieszkaniu z Samem, ale reszta życia spędzona na oglądaniu się za siebie i niepewności, ciągłym zastanawianiu się.

Mój telefon brzęczy w kieszeni i jak zwykle czuję znajomy instynktowny skurcz żołądka, chociaż usunęłam z Facebooka mój profil – nie tylko z telefonu, ale całkowicie. To esemes od Polly. Pisze, że się spóźni, ale niedługo się pojawi z dziewczętami. W tej chwili usiłuję utrzymywać osobisty kontakt z ludźmi, a nie przez internet. Przestałam trzymać się na obrzeżu mojego życia. Przejęłam inicjatywę, odbudowuję aktywnie życie z fragmentów, które mi pozostały.

Po ostatnich wydarzeniach moi rodzice przyjechali w odwiedziny na

kilka dni i chociaż niezupełnie zazналиśmy emocjonalnego przełomu w stylu hollywoodzkim, czułam ich ciche wsparcie, a to dużo dla mnie znaczyło. Tata siedział na podłodze z Henrym i bawił się z nim pociągami. Mama robiła mi ciągle herbatę i sprzątnęła w łazience. Czułam się bliżej nich niż kiedykolwiek.

Moi klienci również okazali się wyrozumiali. Rosemary przeprosiła za to, jak potraktowała mnie tego dnia w Islington, i zapewniła mnie, że nie zamierza brać pod uwagę nikogo innego.

Docieramy z Henrym do kawiarni i automatycznie rozglądam się po pomieszczeniu, zastanawiając się, czy kiedykolwiek będę w stanie odwiedzić jakiegokolwiek miejsce publiczne bez szukania Sama. W środku jest parno i głośno, pełno tu rodzin: dzieci głośno domagających się ciastek, rodziców wycierających im buzie i odsuwających filiżanki z kawą, żeby dzieci ich nie pozrzuciły. Podchodzę do kasy, nadal trzymając Henry'ego za rękę, i zamawiam dwie gorące czekolady. Wszystkie stoliki są zajęte, więc wynosimy gorące napoje na zewnątrz, zastanawiając się, czy jest wystarczająco ciepło, żeby tu usiąść.

Henry spogląda na mnie niepewnie.

– Jak sądzisz, mamusiu?

Mała chmura właśnie zaczyna przesłaniać słońce i na trawie pojawia się wędrujący cień, zmieniając jej kolor na ciemniejszy. Mam do wyboru pozostać w tym stanie zawieszenia na zawsze, bojąc się ciemności, lub wziąć sprawy w swoje ręce i żyć dalej. Mogę pozwolić, aby to, co zrobiłam, i to, co Sam zrobił mi, zdefiniowało mnie jako osobę, albo mogę spróbować wyciągnąć z tego wnioski i dzięki temu polepszyć swoje życie.

Chmura wędruje dalej i słońce znów pojawia się na niebie. Siadam przy stoliku na zewnątrz, ostrożnie stawiając czekoladę Henry'ego na stole naprzeciwko mnie. On również się rozsiada i jeśli ktoś nas teraz obserwuje, widzi nas razem, uśmiechających się do siebie w blasku słońca.

KONIEC

Podziękowania

Pragnę podziękować bardzo wielu osobom.

Mojej agentce Felicity Blunt za wiarę we mnie i w tę powieść oraz za profesjonalne komentarze, które zmieniły moją historię na lepsze.

Mojej genialnej redaktorce Lucy Malagoni za wprowadzenie mnie w świat wydawniczy w najmilszy możliwy sposób oraz całemu zespołowi w Little, Brown za entuzjazm i wsparcie. Wesowi Millerowi z Grand Central za przemyślane i konstruktywne komentarze redakcyjne.

Wszystkim pracownikom Curtis Brown Creative, a zwłaszcza mojej nauczycielce i wspaniałej pisarce Erin Kelly. Szczególna wzmianka należy się moim czternastu fantastycznym kolegom z kursu CBC za ich komentarze, wsparcie i przyjaźń, a także Eleanor Moran za to, że poleciła mi CBC i zachęcała mnie do podjęcia wyzwania.

Jurorom konkursu Lucy Cavendish Fiction Prize za to, że dostrzegli wartość już we wczesnym szkicu mojej powieści. Szczególne podziękowania dla Jo Ryan za jej nieustające wsparcie i zachętę.

Caro Ambrose i wszystkim organizatorom Bath Novel Award za ich fantastyczne wsparcie dla kandydatów do nagrody. Szczególne podziękowania dla Emmy za jej entuzjastyczną zachętę i porady w kwestii systemu wideonadzoru (CCTV).

Wszystkim moim przyjaciółom, którzy tak gorąco mnie wspierali, ale zwłaszcza Natashy i Claire, moim pierwszym czytelniczkom, które nie tylko dały mi nieocenione rady i zachętę, ale też spędziły niezliczone godziny, dyskutując ze mną na temat fabuły. Vicky za uwagi dotyczące

stylu i za jej genialny pomysł z zakonnkami. Hattie, Jane, Naomi i Rachel – za wszystko.

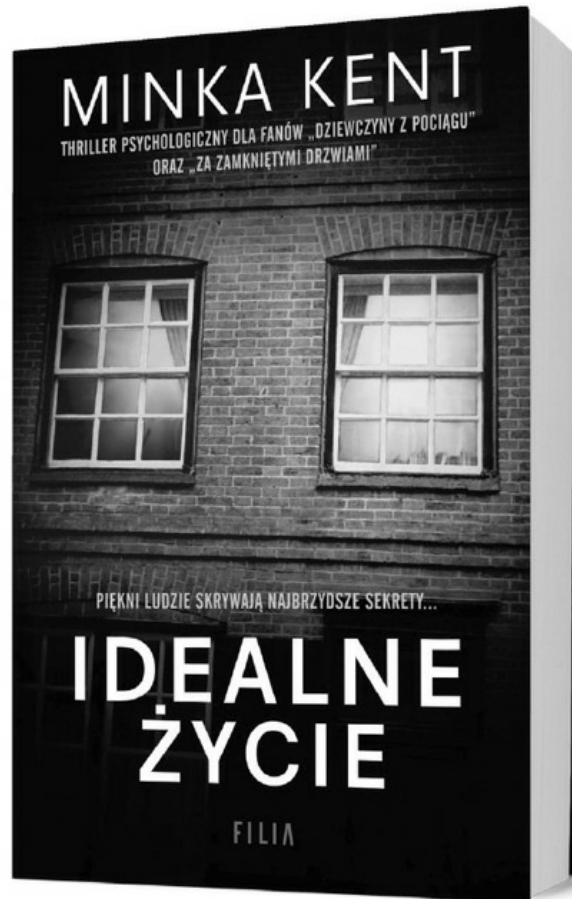
Glenowi Wilsonowi za to, że nigdy nie zapomniał o moim pisarskim przeznaczeniu.

Moim rodzicom, Murrayowi i Cecilii, za czytanie mi książek w dzieciństwie i zarażenie mnie swoją miłością do literatury. Mojej siostrze Alice za wszystkie nasze wymyślone zabawy. Sprawiliście, iż wyrosłam otoczona przez opowieści. Dzięki temu zostałam pisarką.

Moim chłopcom, Charliemu i Arthurowi, za wsparcie i opowiadanie absolutnie wszystkim dookoła o mojej książce. Wszystko to nie byłoby nic warte bez Was.

Wreszcie Michaelowi – za lekturę mojej powieści, porady i niekończące się dyskusje na temat zwrotów akcji oraz za to, że wierzył we mnie i wspierał mnie od samego początku tej przygody. Nie byłabym w stanie zrobić tego wszystkiego bez Ciebie. Kocham Cię.

PIĘKNI LUDZIE SKRYWAJĄ NAJBRZYDSZE SEKRETY.



„Idealne życie to Dziewczyna z pociągu 2017 roku! Nie można jej odłożyć.

No i to zakończenie!”

Romy, The Riveted Reader Blog

**FILIA MROczNA
STRONA**

mrocznastrona.pl

Spis treści

[Karta tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Podziękowania](#)

[Reklama](#)

[Karta redakcyjna](#)

Tytuł oryginału: *Friend Request*

Copyright © 2017 by Laura Marshall

Copyright for the Polish edition © 2018 by Wydawnictwo FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2018

Projekt okładki: Olga Reszelska

Zdjęcie na okładce: © Paul Knight / Trevillion Images

Redakcja: Paulina Jeske-Choińska

Korekta: Agnieszka Czapczyk

Skład i łamanie: Teodor Jeske-Choiński

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-487-4

FILIA

Wydawnictwo FILIA

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona

mrocznastrona.pl